



Iwona Bańach



# Klątwa utopców



Babie lato



Iwona Banach



# Klątwa utopców



Babie lato



# Iwona Banach

## Kłątwa utopców

### NASZA KSIĘGARNIA

*Bohaterowie tej powieści, poza Mućkiem oczywiście, są całkowicie fikcyjni, ale gdyby ktoś bardzo, bardzo chciał się w niej odnaleźć, to proszę się częstować...*

Autorka

## Rozdział I

Tytus Morawski był bardzo zmęczony. Złożył podpis pod dokumentem. Załatwione.

Przyjechał tu po raz pierwszy od wielu lat i po raz ostatni, to wiedział z pewnością. Chciał coś po sobie zostawić właśnie tutaj. Chciał, żeby ktoś pamiętał. Mógł sobie na to pozwolić, właściwie mógł sobie pozwolić na bardzo wiele, ale są takie momenty w życiu, kiedy nawet to bardzo mało znaczy. To był właśnie jeden z nich.

„Jeszcze tylko testament...”. Nie bez odrobiny złośliwości pomyślał o złożonym

u notariusza w Zamościu dokumencie, z którym w odpowiedniej chwili właściwi ludzie zrobią to, co należy. Musiał go spisać, bo inaczej... No cóż, naprawdę nie miał wyjścia.

Nadal ją kochał. Nawet teraz, i w pewnym sensie cieszył się, że umiera. Będzie tam pierwszy i pierwszy ją odnajdzie. A Ksawery? Ksawery dostanie za swoje!

Zastanawiał się, czy poinformować przyjaciela o tym, co miało się stać, i o swoim postanowieniu, ale zrezygnował. To byłoby zbyt melodramatyczne, poza tym Ksawery na pewno zostanie powiadomiony przez notariusza. Tak będzie i łatwiej, i lepiej. Zadbął o wszystko, nawet o kapliczkę. Przeznaczył na to odpowiednie pieniądze, żałował tylko, że ominie go cała frajda, choć może, kto wie? W takich sprawach nic nie jest przesądzone.

\*

Daga wyczuła nadciągające kłopoty.

– O, nie! Co to, to nie! – krzyknęła, choć wiedziała, że tak czy siak jej protesty na

niewiele się zdadzą. – Nie jadę do dziadka! Za Chiny Ludowe! Nie zmusisz mnie do tego, zresztą za dwa tygodnie wybieram się z Filipem nad morze! Mamo! Proszę! Błagam... To nasza podróż przedślubna!

– Też mi coś! – prychnęła matka. – Podróż przedślubna...

Podróże w towarzystwie chłopaka kojarzyły się pani Rogalskiej z seksem, seks z ciążą mnogą, a do tego dokładała jeszcze choroby weneryczne i śmierć w połogu, porwania, gwałty, pracę w agencji towarzyskiej i uzależnienie od narkotyków, toteż błagania Dagmary nie zostały wysłuchane.

Oczywiście była całkowicie pewna, że jej maleńka, ledwie dwudziestokilkuletnia dziewczynka nie sypia jeszcze z mężczyznami, i tak miało pozostać.

– Pojedziesz do dziadka i koniec! Tylko na kilka dni. Po prostu znajdziesz kogoś do pomocy i wrócisz. Co za problem? Przecież nie można go tak zostawić...

Daga uważała, że owszem, można. Nawet należy. Sam był sobie winien. Straszyl swoje gospodynie? Niech ponosi konsekwencje! Nie wiadomo, po co to robił, pewnie dla własnej chorej satysfakcji. Był przecież Generałem.

Przynajmniej tak jakby. Z wojska odszedł w stopniu podpułkownika, ale wojsko w nim zostało, jak u większości żołnierzy zawodowych, którzy nie umieją żyć w cywilu.

Nie miała najmniejszej ochoty do niego jechać i szukać kolejnej naiwnej kobiety, która i tak ucieknie z krzykiem.

Ale dla pani Rogalskiej w tej chwili najmniej liczyło się to, na co Daga miała ochotę.

– A Kinga? Zaprosiłam ją na dwa tygodnie – argumentowała dziewczyna, licząc na zmiłowanie. Na próżno.

– Zabierzesz ją ze sobą. Kto powiedział, że taki wypad jej się nie spodoba? Nie ma sensu tkwić w mieście. Zapowiadają straszne upały – ucięła matka tonem nieznośnym sprzeciwu.

Daga nie była aż tak naiwna, by sądzić, że na znalezienie kolejnej ofiary dla Generała wystarczą jej dwa tygodnie.

Całe zamieszanie spowodował telefon pani Stasi.

Pani Stasia była potworem, potrafiła dzwonić do nich o każdej porze dnia i nocy. Jej telefony zawsze wywoływały popłoch. Stanowiła coś w rodzaju rodzinnego szpiega.

Szpiegowała dziadka, i to bardzo sumiennie. Robiła to przez wiele lat, potem na jakiś czas dała spokój, a teraz znów od kilku dni nękała je prawie co noc.

– Uciekła! Już szósta w tym miesiącu uciekła! – oświadczyła tym razem. – I kto mu teraz będzie gotował? Straszy je wszystkie. Nikt nie chce u niego sprzątać... Jak tylko która słyszy, że do Generała, to puka się w czoło...

Oczywiście wiadomości jak zwykle były szokujące, ale w głosie babsztyła dało się słyszeć całkiem pokaźny ładunek zadowolenia.

Pani Rogalska prawie się rozpłakała, choć nie była z natury płaczliwa.

– I co my zrobimy? Przecież to katastrofa! Nie mogę zostawić ojca bez pomocy...

Trzeba mu kogoś znaleźć!

Daga zdawała sobie sprawę, że jeżeli pani Stasia twierdzi, że nikt nie chce pracować u dziadka, to niestety na pewno ma rację!

Pani Stasia. Hm... Hm... ona mogłaby się nim zająć. Oczywiście, że tak, a wówczas przestałaby nękać ludzi durnymi telefonami! Mieszkała tuż obok Generała, umiała gotować i uwielbiała go, ale... No właśnie, był jeden problem! Dziadek jej nie znosił. Na jej widok cały się jeżył i nieraz podobno chciał poszczuć ją psami. Czy faktycznie to zrobił, nie wiadomo, psy przeżyły.

\*

Następnego dnia Daga wyszła na dworzec po Kingę. Znały się od lat i naprawdę lubiły.

Daga była zresztą chyba jedyną kobietą na świecie, która darzyła Kingę sympatią. Wydawało się

to całkowicie nieracjonalne z babskiego punktu widzenia. Kinga była inteligentna, sympatyczna, ale niestety koszmarnie roztargniona i bardzo ładna. Nawet więcej. Prześliczna.

Uroda skutecznie zniechęcała do niej wszystkie kobiety, ale jakimś cudem Daga, dziewczyna może niebrzydka, ale też niespecjalnie urodziwa, po prostu ją polubiła.

Teraz czekała na dworcu i zastanawiała się, jak zdoła wytłumaczyć koleżance, że zamiast cieszyć się nocnym życiem Warszawy, będą musiały zadowolić się wiejską nudą i wątpliwymi urokami towarzystwa Generała.

Kiedy pociąg zatrzymał się na dworcu, z wagonu pierwszej klasy wyłoniła się Kinga. Miała rękę w gipsie.

– Co się stało? – zapytała Dagmara zdziwiona, bo kiedy ostatnio z nią rozmawiała, Kinga nic nie wspominała o tym fakcie.

– Zaraz pogadamy, ale idźmy już do samochodu, bo strasznie boli mnie głowa.

W pociągu jakiś kretyn przez trzy godziny puszczał Biebera!

– Ojej – jęknęła Dagmara. – To musiało boleć! Gdzieś się tak urządziła?

– W Kołobrzegu, pojechałam z Adamem...

– Z tym idiotą? I on złamał ci rękę?! – krzyknęła ze zgrozą Dagmara.

– Ależ skąd! On mnie tylko upił, a ja się potknęłam na deptaku, nie zauważyłam kwietnika, bo Adam wciąż tylko gadał o Filipie i o waszym ślubie.

Dagmara pokiwała głową ze zrozumieniem, bo roztargnienie Kingi było wręcz przysłowiowe. Nie umiała się skupić na dwóch rzeczach naraz.

– Po co w ogóle z nim jechałaś? – rzuciła zdenerwowana, bo doskonale znała Adama. – Przecież to kretyn!

– Wiem, ale przystojny, poza tym chcieliśmy spróbować jeszcze raz, żeby nie było potem, że zbyt łatwo się poddaliśmy...

Kinga była naiwna. Wierzyła we wszystko, co powiedział jej Adam, a on nawet nie starał

się wysilać i choć ich związek należał już raczej do przeszłości, wciąż utrzymywali kontakt, choćby ze względu na zbliżający się ślub Dagmary i Filipa, najlepszego przyjaciela Adama.

\*

– No i jak minęła podróż, Kiniu? – zapytała pani Rogalska, stawiając na stole kanapki i herbatę. Nie czekając na odpowiedź, dodała: – Daga ci już pewnie powiedziała, jaki mamy kłopot.

– Oczywiście, proszę pani – odpowiedziała Kinga, niezbyt pewna, o co chodzi.

– I co ty na to?

Popłoch nigdy nie jest dobrym doradcą, ale teraz musiał wystarczyć. Kinga nie miała pojęcia, jak zareagować. Rozpaczliwe spojrzenia w kierunku koleżanki nie dawały rezultatów. Dagmara na migi usiłowała jej pokazać, żeby pod żadnym pozorem nie dała się wplątać w rodzinny problem, ale jej podrygiwania, pokasływania, a nawet kopniaki pod stołem nic nie dały. Albo Kinga była mało domyślna, albo – co bardziej prawdopodobne – Dagmara nie sprawdziła się w roli suflera.

Kinga postanowiła wybrnąć z sytuacji w sobie tylko właściwy sposób, czyli sformułować ripostę tak, żeby nic nie powiedzieć.

– No wie pani, to naprawdę przykre – chciała powiedzieć „straszne”, ale nie była pewna, czy to odpowiednie – ale trzeba jakoś sobie radzić.

Frazes, którego używają wszyscy ludzie na świecie, choć kompletnie nic nie znaczy, sprawdził się doskonale.

– Tak, tak! Masz rację – odparła pani Rogalska, uśmiechając się smutno. – Cieszę się, że się ze mną zgadzasz.

Czasami gdy coś nic nie znaczy, może znaczyć wszystko.

– Dobrze, w takim razie postanowione, wyjedziecie jutro. Dziś w nocy powinnyście się dobrze wyspać, bo u dziadka różnie może być – rzuciła pani Rogalska już weselszym tonem



i wyszła do kuchni, podśpiewując.

– No i wpakowałaś nas w dziadka – burknęła Daga, zła na cały świat.

– To dokąd jedziemy? – Kinga wcale nie wydawała się zniechęcona, przeciwnie, wyraźnie ucieszyła się na wyprawę.

– Na wieś. Do Słodkowa.

– Super – odparła entuzjastycznie Kinga. – Kury, konie, kwiaty...

Usiłowała poprawić koleżance humor, ale na niewiele się to zdało.

– Kury, konie i nudy! Straszne, koszmarne nudy – powiedziała Daga obrażona. – A do tego dziadek i wszystkie te baby...

– Nie rozumiem? To on tam ma jakiś harem? Uuuuu! – Kinga się wzdrygnęła.

– To byłoby pół biedy! Trzeba mu znaleźć pomoc domową, a to oznacza sporo pracy.

Im szybciej nam się uda, tym prędzej wrócimy do Warszawy – podsumowała z westchnieniem, wiedząc, że to, co mówi, nie jest ani takie proste, ani zgodne z prawdą.

– Aj tam, nie marudź! Załatwimy to raz-dwa – stwierdziła wesoło Kinga. – Przecież to nie żaden problem! Jest kryzys, pracy brak, ludzie teraz garną się do jakiegokolwiek roboty, byleby tylko związać koniec z końcem!

Oczywiście nie miała najmniejszego pojęcia, o czym mówi, a Dadze nie chciało jej się wszystkiego tłumaczyć. Zresztą jak? O wiele łatwiej byłoby opisać atak kosmitów niż to, że dziadek robi swoim gospodyniom nocne alarmy bojowe. Przecież to wstyd, obciach i katastrofa razem wzięte! Wolą, żeby Kinga po prostu sama się przekonała, jakim świrem jest Generał.

\*

Do domu dziadka dotarły następnego wieczora. Okolica była piękna, to znaczy mniej więcej zielona, zarośnięta chaszczami (jak twierdziła Daga) lub zalesiona (jak utrzymywała Kinga), szachownica malowniczych pól też się dziewczynie podobała, a już dom (albo raczej domek) prezentował się wprost uroczo.

Kinga była minimalistką. Daga wiedziała, że nawet gdyby połowa budynku leżała w gruzach, też by ją zachwycił. Taką już miała naturę, że rozczulały ją nawet małe pajęczki, te jadowite także.

Minimalizm Kingi należałoby zresztą uznać za dość specyficzny: pragnęła tylko przystojnego księcia na białym koniu, wielkiej miłości oraz stylowej wiejskiej posiadłości z wielkim sadem i ogrodem, w którym mogłaby uprawiać swoje ukochane rośliny. Nie docierało do niej, że te marzenia nie mają nic wspólnego z pojęciem minimalizmu.

Kiedy tylko wysiadły z samochodu, usłyszały szczekanie i dudnienie. Szalejące po posesji dwa psy Generała natychmiast do nich podbiegły.

Kinga z piskiem schowała się za auto, widząc zwierzaki. Były ogromne.

– Kucyk? – zapytała, wskazując wielkiego psa o grafitowym umaszczeniu.

– Skąd! To Precel, dog niemiecki, łagodny jak baranek, ale uwielbia siadać ludziom na kolanach. Trochę to męczące, bo swoje waży. A to kudłate to Bestia. Paskudny złodziej. Kradnie, co mu w łapy wpadnie, a potem szantażuje, wymownie patrząc na lodówkę. Jak mu dasz coś dobrego, zwróci to, co podwędził, a jak nie, to schowa...

Kinga z trudem uwolniła się od oślinionej psiej miłości i pobiegła na ganek. Daga z psami poradziła sobie o wiele gorzej, w końcu dobrze je znała i kochała, one ją niestety też. W efekcie wylądowała w trawie na plecach, wylizana tak dokładnie, że po makijażu, choć dyskretnym, pozostały jej czerwono-brązowo-szare smugi na twarzy.

Na ganku pojawił się Generał. Był wysoki, siwy i wyprostowany, jakby kij połknął.

– Wchodźcie, dziewczęta – powitał je dość oficjalnie. Przepuścił dziewczyny w progu, a potem pokazał, gdzie mogą zostawić torby.

Czworonogi nie zostały zaproszone do domu. Dwa wielkie rezerwuary psiej miłości z niezadowoleniem odeszły od ganku, popiskując.

– Siadajcie. Pewnie jesteście zmęczone? – zapytał gospodarz miłym, choć nieco

zatroskanym głosem. – Co wam podać?

Daga nie miała ochoty siadać, z dziką satysfakcją wypatrywała oznak katastrofy, którą mogłaby wytknąć Generałowi. Natychmiast poszła rozejrzeć się po domu. Wypatrywała naczyń porośniętych pleśnią, brudnych skarpetek pod stołem i kilku psich kup w salonie. Niestety od razu wyczuła, że coś jest nie tak. Wszędzie panował wzorowy porządek. Co prawda dziadek nie był brudasem i nie znosił bałaganu, ale uważał też, że kto jak kto, ale on sam sprzątał nie będzie! Kto więc to zrobił, skoro podobno ostatnia opiekunka uciekła z krzykiem?

Spizarnia, co dziwne, też nie świeciła pustkami. Generał potrafił w ostateczności zrobić zakupy, umiał też nie przypalić wody na herbatę, ale szczerze nienawidził pichcenia. W końcu to „babskie zajęcie”!

Wieczór dziwnie się dłużył. Przy kolacji siedzieli naprzeciw siebie w krępującej ciszy, co także zaniepokoiło Dagę, bo zazwyczaj dziadek rozbawiał każdego. Opowiadał kawały, snuł opowieści z czasów służby, a swoim śmiechem potrafił zarazić każdego ponuraka. Teraz w ogóle się nie odzywał. Daga zaczęła się obawiać, że może jest chory, co nie poprawiło jej humoru. Poweselała dopiero wtedy, kiedy zadzwonił Filip. Nazajutrz miał wracać ze zjazdu absolwentów i koniecznie chciał, żeby wyjechała po niego do Lublina. Nie miał ochoty tłuc się pociągiem do Warszawy.

– Twoja mama powiedziała, że siedzisz u dziadka. Zostaniemy tam razem ze dwa dni, a potem wrócimy do stolicy – zdecydował, nawet nie pytając jej o zdanie. Daga jak zwykle nie oponowała.

Filip był jej manną z nieba. Odpowiedzią na wszelkie zadane i niezadane pytania oraz oczywiście Smerfem Marudą, ale to akurat potrafiła mu wybaczyć, skoro się nią zajął po okropnej zdradzie poprzedniego chłopaka. Dzięki niemu mogła pokazać zdrajcy, że ona też sroce spod ogona nie wypadła! Początkowo miał to być luźny układ, ale szybko przerodził się w coś poważniejszego.

Kinga kategorycznie odmówiła wycieczki do Lublina, co Dagi nie zdziwiło. Doskonale wiedziała, że Kinga i Filip się nie tolerują, mimo że z Adamem łączyła chłopaka przyjaźń. Może nie była to największa nienawiść świata, ale nie znosili się serdecznie. Kiedy przebywali w jednym pomieszczeniu, atmosfera gęstniała do tego stopnia, że można by ją kroić, a niemiłe słowa latały jak siekiery.

– I tak będę go musiała znosić w drodze powrotnej – stwierdziła Kinga. – To mi w zupełności wystarczy!

Dziadek przysłuchiwał się tej rozmowie, patrząc w dal nieobecny wzrokiem. Nie był sobą. Kilka razy usiłował coś powiedzieć, potem rezygnował, zaczynał ponownie, znów milkł, wzdychał... Wyraźnie coś go dręczyło.

„Aha, wreszcie zrozumiał, że przegiął” – uznała Dagmara i zostawiwszy Kingę z Generałem, pobiegła do domu obok porozmawiać z potworem z Loch Wyźnica, jak nazywała panią Stasię. Dlaczego nie z Loch Ness? Bo ten wydawał jej się znacznie bardziej sympatyczny, a zresztą przez Słodków płynęła akurat Wyźnica i mimo że nie była jeziorem, musiała wystarczyć.

– Dziewczyno! – sapnęła na jej widok kobieta. – Będą kłopoty, że ho, ho! –

Zadowolenie w jej głosie zmroziło Dagę do szpiku kości.

– Nikt, ale to absolutnie nikt tu nie przyjdzie do pracy!

– A szukała pani wszędzie? – Dziewczyna z każdą chwilą traciła resztki nadziei.

– W całym powiecie! W Kraśniku oczywiście też, ale żadnych szans...

– No to mam przerąbane – stwierdziła Dagmara.

Mimo to obiecała sobie solennie, że po powrocie z Lublina pojeździ po okolicy i popyta albo rozwiesi trochę ogłoszeń.

– Przecież to jest totalna katastrofa – dodała, wychodząc.

– Gorsza, niż ci się wydaje – rzuciła za nią kobieta z taką miną, że Daga poczuła

dreszcze. Rozumiała, że znalezienie gospodyni nie będzie łatwe, ale mina pani Stasi naprawdę ją przerażała. To, co się tu działo, musiało przechodzić ludzkie pojęcie. Przecież o pracę teraz tak trudno, dziadek całkiem nieźle płacił, a te biedne kobiety wołały nie zarobić, byle tylko nie musieć go znosić.

– I co teraz zrobimy, dziadku? – zapytała wcale nie najmiłym tonem, siadając za stołem.

Generał popatrzył na nią z zakłopotaniem.

– No bo widzisz – wydukał wreszcie niepewnie. – To dość skomplikowane, ale...

Zamierzał coś dodać, w końcu jej wszystko powiedzieć, ale jak zwykle mu przerwała.

– Dziadku! – prawie warknęła. – Skomplikowane? Ile razy trzeba ci powtarzać, że nie jesteś już w wojsku?! Dom to nie koszary ani poligon!

– No ale widzisz, to nie tylko o to chodzi... – Znow usiłował coś wtrącić, ale wściekła Daga nie dała mu dojść do słowa.

– Te biedne kobiety to nie rekruci, tylko zwykłe gospodynie! Nie wolno się nad nimi znęcać! Nie wolno, rozumiesz?!

– Ależ ja sobie wypraszam, nad nikim się nie znęcam! – fuknął obrażony. – Ja tylko...

– Tylko co? Wrzeszczysz, wydajesz rozkazy, poganiaasz...

Zrezygnowana wstała od stołu i poszła przygotować wszystkim łóżka. Postanowiła wcześniej iść spać, zresztą dziadek też wyglądał na zmęczonego. Zasnęła bez problemu, ukołysana ciszą, która w Warszawie była przecież nieosiągalnym luksusem.

Obudziła ją rozmowa.

– No i co teraz? – pytał męski głos, który bez wątpienia należał do dziadka.

– Jak to co? Trzeba postawić sprawę jasno! Nie mamy wyboru! – odparł drugi, tym razem żeński, którego Dagmara chwilowo nie rozpoznała.

– I co ja mam jej niby powiedzieć? Że co? Że musimy wyjechać? Na miesiąc? Wiesz,

– Jak trudno było ją tu ściągnąć w środku lata? Dobrze, że pracę zaczyna dopiero za dwa miesiące, ale i tak się wścieknie! Nie zgodzi się. Nie pojedzie z nami za nic. Znam ją.

– A jak to sobie wyobrażasz?! Tak czy inaczej musimy ją tam zabrać. To konieczne, podstawowy warunek, kto wie, jakie są inne, ale ten jest pewny. Kiedy wreszcie jej powiesz, o co chodzi?

– Jeszcze nie teraz – westchnął mężczyzna. – Na razie nie mogę...

„Co oni kombinują?” – zastanawiała się przez chwilę dziewczyna, trochę za bardzo rozespana, żeby zrozumieć sens rozmowy.

– Musisz! Powiedz jej cokolwiek!

– Dostanie szału! W życiu się nie zgodzi, a na dodatek jest jeszcze ta druga. I ten przydupas! On mi tu śmierdzi najbardziej... Coś kręci!

– Ksawery! – jęknął kobiecy głos i wtedy Daga go rozpoznała. To był głos potwora z Loch Wyżnica! – Nie wyrażaj się! Wiesz, jak tego nie znoszę!

– Ależ kochanie...

Daga poderwała się na równe nogi. Kochanie? Jakie kochanie? Przecież dziadek nienawidzi pani Stasi z całego serca! Więc dlaczego teraz z nią rozmawia? I czemu tak się do niej zwraca?! I dlaczego ona do niego mówi „Ksawery”? To jakiś przekręt! Jakieś totalne, cholerne oszustwo... O co tu chodzi? Co niby miał jej dziadek powiedzieć? Bo wyraźnie w rozmowie chodziło właśnie o nią... A może nie?

Przydupas...?

– Jestem przewrażliwiona – powiedziała sobie i już miała z powrotem zapaść w sen, kiedy dalsza część rozmowy wprowadziła ją w osłupienie.

– Ksawery, to twoja jedyna wnuczka! Nie możemy pozwolić, żeby stała jej się krzywda, musimy działać!

– To nic nie da. Jest uparta jak osioł, jedyny sposób to jakoś ją zmusić – odparł dziadek.

– Ciekawe jak! – Pani Stasia zaśmiała się zgryźliwie.

– Coś wymyślę, muszę, nie mam innego wyjścia...

Głosy się oddaliły, ale Daga z wściekłości do rana nie zmrużyła oka. W końcu była jedyną wnuczką Generała, więc ta jakaś okropna, zagmatwana historia bez wątpienia dotyczyła właśnie jej. A jakby tego było mało, oni zachowywali się jak przyjaciele, a nie jak... No, nie jak zwykle!

Z samego rana zadzwoniła do mamy z rewelacjami, choć sama na sto procent nie wiedziała, czy to przypadkiem nie był sen.

– Mamo, stało się coś strasznego. Oni się ze sobą zadają! Rozumiesz?! To koszmar! – krzyczała takim tonem, jakby chodziło co najmniej o nekrofilię i kanibalizm razem wzięte, po czym pełnym grozy głosem opowiedziała matce o nocnej rozmowie i dziwnym zachowaniu dziadka w stosunku do sąsiadki. Ze zdziwieniem stwierdziła, że mama nie jest jakoś strasznie przejęta ani zaskoczona.

– Wymyślasz coś – odpowiedziała nieuważnie, co bardzo dziewczynę zdenerwowało.

– Nieprawda! Jadę do Lublina po Filipa, potem wracam po Kingę, zatankuję po drodze i ruszam natychmiast do domu! Niech pani Stasia się nim zajmuje, skoro są w takiej komitywie. Nic tu po mnie – oświadczyła zdecydowanym głosem.

– No i z tym będzie kłopot – odpowiedziała mama z lekką nutą złośliwości. – Nie ma mnie w domu. Właśnie wyjechałam z koleżankami do Turcji, zapomniałam ci powiedzieć. Dziewczynę замуrowało. Przez chwilę zastanawiała się, czy wybrała właściwy numer, potem czy mama pod jej nieobecność nie zaczęła się narkotyzować, a na koniec czy to coś, z czym rozmawia, na pewno jest jej mamą, a nie jakimś mutantem.

– Zapomniałaś mi powiedzieć, że jedziesz do Turcji?! Oszalałaś, prawda? – usiłowała ją jeszcze usprawiedliwiać. W końcu trudno w ciągu jednej czy dwóch minut uwierzyć, że coś pożarło ci matkę i się pod nią podszywa. Szaleństwo jest o wiele wygodniejsze, no i da się

leczyć.

– Nie, po prostu jakoś tak wyszło! – rzuciła pani Rogalska wcale nie przepraszająco, a przecież powinna kajać się, tonąć we łzach i błagać córkę o wybaczenie. Zazwyczaj tak robiła.

– Mamo! Odpowiadaj natychmiast! Dobrze się czujesz?

– Doskonale. Tylko strasznie tu gorąco i jedzenie jakieś dziwne. Do wszystkiego dodają cynamon albo inne świństwo, brr...

Daga była wściekła. Strasznie zabolą ją ta zdrada. Mama pojechała do Turcji? Sama? Po prostu się urlopuje, a ją rzuciła na pożarcie dziadkowi?

– O, nie! Ja wracam do Warszawy! – zdecydowała, po czym syknęła obruszona: – Posiedzimy w domu same, jesteście dorosłe, poradzimy sobie.

– To niestety nie będzie możliwe – mruknęła pani Rogalska. – Przypadkiem zapomniałaś kluczy, a ja nie miałam ich komu zostawić. Musisz zostać u dziadka przynajmniej... trzy tygodnie.

– Mamo! O co tu chodzi? – jęknęła dziewczyna załamana.

– Absolutnie o nic. A że dziadek rozmawia z panią Stasią? To jeszcze o niczym nie świadczy. Zresztą pewnie ci się przyśniło! – dodała po chwili wahania. – Jakoś sobie poradzisz.

No to pa, kochanie. I nie dzwoń za często, bo roaming będzie mnie kosztował fortunę!

Daga starannie przeszukała torebkę. Kluczy nie było. Znalazła, co prawda, kartę płatniczą, ale jej konto w banku świeciło pustkami, więc nie miała wyjścia. Musiała zostać u dziadka.

– Cholerny świat. Szlag trafił wakacje z Filipem...

Przez chwilę liczyła na to, że może on zaproponuje coś sensownego, ale szybko porzuciła tę myśl. Filip ostatnio nie pracował, a nawet kiedy miał zajęcie, pieniądze się go nie trzymały.

Zamierzała właśnie wyjść z domu, kiedy zatrzymał ją dziadek.

– No więc, kochanie... – zaczął bardzo niepewnie.



– Taaak? – zapytała zła na cały świat.

– Bo widzisz, porobiło się takie coś, no i wyszło, że musimy, to znaczy ty i ja, jechać, no wiesz, tam, do tego, gdzie byliśmy kiedyś, no, do Suśca... – Jak wielu mężczyzn, którzy doskonale radzili sobie z bronią i zagrożeniem, zupełnie nie potrafił rozmawiać z własną wnuczką.

– Mowy nie ma – odparła Dagmara z dziką satysfakcją. – Wybij to sobie z głowy!

Nigdzie nie jadę!

– Kochanie... – Ton dziadka zrobił się prawie błagalny. – Kiedy musisz, od tego wiele zależy. Bardzo wiele.

– Taaak? A co na przykład?

– Nie mogę ci powiedzieć. Nie wiem. – I to była prawda. Wiedział tylko, że Tytus napisał dziwny testament i wymienił w nim jego wnuczkę, ale to wszystko. Gdyby użył tych argumentów, wyśmiałyby go.

– Dziadku, naprawdę przeginasz – skwitowała Dagmara, otwierając drzwi.

– Nie, kochanie, jak tylko wrócisz z Lublina, pakujemy się i ruszamy.

– Wykluczone! Nie mam teraz czasu włączyć się po Roztoczu, musimy ci szukać gospodyni. Razem. Koniec. Rozumiesz?!

I wyszła. Może gdyby podzielił się z nią swoją skromną wiedzą, zareagowałyby inaczej, ale sprawa była o wiele bardziej skomplikowana. Z Tytusem łączyła go przyjaźń. Kiedyś. Nie żeby potem się pokłócili, lecz wyjechał, no i ta sprawa sprzed lat... Mówi się, że miłość nie wybiera, a nienawiść owszem. Więc spadek mógł być, ale mogło też go nie być! A jeśli to jakieś oszustwo? Zemsta po latach? Może Tytus zapisał Dagmarze jakieś długi? Zdecydowanie musi poczekać z wtajemniczeniem jej, aż pozna konkrety. Trzeba wszystko sprawdzić, a tymczasem skłonić wnuczkę do wyjazdu, ale jak? Przez chwilę rozważał porwanie, potem postanowił załatwić to podstępem, prosząc o pomoc jej przyjaciółkę. Miał nadzieję, że się zgodzi, bo

wyglądała na dziewczynę z charakterem.

Dagmara z ponurą miną wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku Lublina. Miała przed sobą niecałą godzinę drogi i liczyła, że na dwunastą wróci do Słodkowa, zdąży spokojnie przygotować obiad i dać w kość dziadkowi.

Gotowała się z wściekłości. Zamiast romantycznie spędzać czas z narzeczonym, zamieni się w kuchnię! Na niczyją pomoc liczyć nie mogła, bo kto niby miał ją wspierać? Przecież nie Generał! Kinga, co prawda, obiecała obrać ziemniaki i przygotować sałatę, ale tylko tyle. Zresztą to i tak dużo jak na złamaną rękę...

Droga nie była zakorkowana i miejscami wydawała się nawet malownicza, ale dziewczyna koncentrowała się na niej z trudem, cały czas zastanawiając się nad tym, co się ostatnio wydarzyło. Najpierw ta dziwnie przyjazna rozmowa dwojga wrogów, potem mama, która ni z tego, ni z owego wyjeżdża do Turcji... I co ona zamierza tam robić?! Dagmarze w tym momencie przyszło do głowy kilka możliwości, w których pewną rolę odgrywał seks na plaży z przygodnie poznanymi Turkami, co szczerze ją przeraziło. Kto jak kto, ale jej matka nie powinna uprawiać seksu. Wcale, nigdy, no i oczywiście nie w jej wieku! Za chwilę stuknie jej pięćdziesiątka!

Na dodatek te zapomniane klucze... Przecież praktycznie nie wyjmuję ich z torebki, no i Filip, w sumie ciekawe... Skąd wiedział, że Dagmara jest u dziadka? Mówił, że dzwonił do jej matki, ale dlaczego?! Po co? Przecież się nie lubią, ba, raczej... no cóż... po prostu nienawidzą... Pani Rogalska kocha wszystkich ludzi na świecie poza Filipem. Posiadanie jednej latorośli szkodzi na mózg niektórym matkom, zwłaszcza gdy pojawia się ktoś, kto zaczyna wspominać o ślubie. Bo owszem, to nic złego, ale przecież nie w tak młodym wieku, najlepiej gdzieś w okolicach pięćdziesiątki!

Dagmara usiłowała się cieszyć na te wiejskie wakacje, tylko co to będzie za wypoczynek? Ciągłe awantury Filipa z Kingą oraz głędzenie dziadka. Jak on nazwał Filipa? Bo przecież

musiało chodzić o niego? Przydupas? Dobra, może go nie lubić, ale na litość boską, on go nigdy nawet nie spotkał! Nie znają się, więc skąd od razu taka niechęć? I co to za pomysł z wyjazdem? Zresztą niech sobie robią, co chcą, wybywają w siną dal, niech się zaprzyjaźniają, jakkolwiek paskudnie to brzmi, ale jej nigdzie zabierać nie będą! Koniec! Przesiedzi te pieprzone dwa, no, może trzy tygodnie w tej dziurze, a potem obrazi się na wszystkich śmiertelnie!

Dotarła w okolice placu Litewskiego, gdzie z trudem zaparkowała samochód. Filip już na nią czekał, jak zawsze elegancki, uśmiechnięty i z kwiatami. To w nim lubiła najbardziej.

– Wsiadaj! Jadłeś coś? – zapytała z troską w głosie.

– Przecież wiesz, że nie! – odparł, udając obrażonego.

Filip nie uznawał jedzenia w pośpiechu, dań barowych, fast foodów ani kanapek na wynos (nawet kiedy robiła je jego własna matka), nie znosił przydrożnych budek z grillowanymi kiełbaskami, chipsów i w ogóle... Był księciem z bajki, a trudno sobie przecież wyobrazić następcę tronu nad talerzem kartoflanki. Co to, to nie!

– Nie zawracaj jeszcze, najpierw musimy podjechać pod Chatkę Żaka – powiedział

Filip. – Zabierzemy mojego kumpla z taką jedną dziewczyną. Obiecałem, że ich podrzucimy do Warszawy.

Kiedy dojechali na miejsce, zobaczyli czekającą na nich parę. Chłopak wyglądał mniej więcej normalnie, za to dziewczyna... No cóż, Daga nie przepadała za różowym kolorem, a ta była ubrana... Hm, w określony sposób. Gdyby czekała na nich gdzieś na poboczu, można by ją zaklasyfikować do pewnej grupy zawodowej kobiet pracujących przy drogach i z pewnością nie byłyby to panie sprzedające jagody czy grzyby.

Miała białe kozaczki, kolorowe paznokcie z klejnocikami, ostry i błyszczący makijaż, przerażający neonowym różem futrzasty kubraczek, srebrną bluzeczkę i minispódniczkę, która bardziej przypominała opaskę.

– To Andżelika, a to mój kumpel Michał – rzucił Filip, zapraszając parę do samochodu,

i włożył ich torby do bagażnika.

– Hejka – odezwała się Andżelika i to było objawienie, jedno z tych, z którymi nikt nie chce mieć do czynienia. – Fajowo, że nas zabrałaś, i ogólnie super, Filip mówił, że jesteś ekstra, że niby trochę zakręcona jak słoik po ogórkach, ale ogólnie w porzo! Nie, Filip? Nie za bardzo wypasiona ta fura, ale zawsze lepsza niż autobus!

– Masz rację – przytaknął Filip łaskawie. – Samochód mógłby być lepszy, ale Daga się uparła, żeby kupić z drugiej ręki.

– Że niby jak z ciucholandu? Ja tam w szmateksach nie kupuję. Wolę dopłacić, zresztą na bazarku są ładniejsze rzeczy i kolory można dobrać, bo ja to różowy lubię najbardziej.

I telefon też mam różowy. – Wyjęła z obszytej futerką torebki aparat z podobizną Hello Kitty.

– Śliczniutki, nie?

– No, nie żartuj! – prychnął Michał, widząc rozbawioną minę Filipa. – Ona to mówi serio! Skoro właśnie taki chce, to czego jej bronisz? Różowy też może być elegancki – dodał po chwili. – Daga, zatrzymaj się przy jakiejś knajpce, może coś zjemy?

Zaparkowali przy stacji benzynowej, jednej z tych lepszych, obok której ktoś postawił całkiem sympatyczną i dość elegancką restaurację.

– Tutaj? – zapytał Filip zawiedzionym tonem.

– Tutaj, kochanie. Nie mamy wyjścia. Jak tak dalej pójdzie, to na miejsce dotrzemy dopiero wieczorem, a ja muszę jeszcze zrobić obiad. Kinga sama sobie nie poradzi, a dziadek musi jeść regularnie – powiedziała Daga przeproszająco.

– Wyluzuj, Filip – odezwała się Andżelika, której lokal wyraźnie się spodobał. –

Wyluzuj! Całkiem tu przytulaśnie. – Usiadła przy stoliku, wyjęła telefon i bez żenady zaczęła robić zdjęcia. – No co? Na fejsa wrzucę! Niech psiapsióły zazdroszczą! – wyjaśniła, widząc zdziwione miny całej trójki.

Michał uśmiechnął się zażenowany.

– To co zjemy? – zapytała Daga, przeliczając w myślach swoje finanse. Nie spodziewała się większych wydatków i miała przy sobie niewiele pieniędzy.

– Lody z podwójną bitą śmietaną i owocami! I po koniaczku! – zaproponowała Andżelika. – Albo nie, likierek bananowy będzie lepszy... Nie, nie bananowy, porzeczkowy!

– A ty, Filip, co weźmiesz? Może golonkę z kapustką? – zaproponowała Daga. – Albo schabowego z frytkami?

Chłopak skrzywił się z niesmakiem.

– Tutaj? Nie sądzę, żeby jedzenie było tu dość świeże, no i ten tłuszcz... I kapusta!

Brrr... Wolałbym coś lekkiego...

– Nie marudź, Filip! – prychnął Michał. – Wczoraj na imprezie wpieprzałeś schabowe jak małpa kit...

Filip zeszywniał, ale po chwili odparł z godnością:

– To co innego. Tamte były świeże, a nie z mikrofal!

Michał chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Filip zmroził go wzrokiem.

Daga jakiś czas temu przekonała się, że u jej chłopaka droga przez żołądek do serca jest wyboista, najeżona pułapkami i cholernie kosztowna.

– Rybkę? – zaproponowała bez entuzjazmu.

– Oszalałaś, kochanie?! Nie wezmę do ust tego mrożonego świństwa! – odparł ostro. –

Zresztą już sobie wyobrażam ich menu. Panga to obrzydlistwo, dorsz na pewno będzie suchy, mintaj... Nie... Zjadłbym węgorza, ale pewnie nie mają!

Niestety mieli, a cena przyprawiła Dagmarę o drżenie rąk. Sobie pewnie by odmówiła takiego luksusu, ale dla Filipa była skłonna do wszelkich poświęceń.

Wiedziała, że jak zawsze to ona zapłaci rachunek. Tak jakoś po prostu się przyjęło. Filip nie śmierdział groszem, za to był elegancki, przystojny, czasami nawet zabawny. Daga absolutnie nie przypisywała mu złych intencji. Tłumaczyła sobie, że po prostu dba o zdrowie, i słusznie. Po

co jeść tony tłuszczu, po co sobie zapychać żyły cholesterolom? Uważała jego postępowanie za mądre, dobre i godne naśladowania, nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego tak ją czasem denerwuje.

– Wiesz, kochanie – powiedział chłopak, zamawiając jeszcze jeden likier dla Andżeliki i koniak dla siebie, bo Michał nie miał ochoty pić o tak wczesnej porze. – Jak tylko się pobierzemy, na pewno znajdę odpowiednią pracę i będę utrzymywał nas na właściwym poziomie... Wiem, że ty się starasz, ale sama rozumiesz.

Jasne, że rozumiała. Starła się jak cholera! Bardzo, najbardziej na świecie, ale po prostu nie wychodziło. Może dlatego, że on był księciem z bajki, a ona niestety miała marne kwalifikacje na księżniczkę. Pracowała dorywczo to tu, to tam, w szkołach językowych, biurach i sekretariatach, czekając na obiecaną stałą pracę na uczelni. Wkrótce miała ją dostać, ale zarobki nie zapowiadały się specjalnie dobrze, w każdym razie nie tak, jak by chciała.

Pozostała część drogi minęła dość spokojnie, nie licząc słowotoku Andżeliki i złośliwych reakcji Michała.

Nowa znajoma zachowywała się jak kretyńka, co wyraźnie denerwowało Michała i bawiło Filipa. Dagmara miała niejasne wrażenie, że ci troje dość dobrze się znają. Robiła wszystko, żeby nie powiedzieć Andżelice czegoś nieprzyjemnego. Miała jej dosyć. To różowe coś wyraźnie kradło jej chłopaka! Więcej, narzeczonego. Prawie męża. Przecież za kilka miesięcy mieli się pobrać!

Skierowała się na Słodków. „Jakoś się ułoży” – pomyślała. Nie chciała tłumaczyć Filipowi i Michałowi, że co jak co, ale do Warszawy razem nie pojedą. Postanowiła, że załatwi to sam na sam z Filipem. Niech on się teraz tłumaczy! W końcu to jego znajomi.

Kiedy dotarli pod dom dziadka, Dagmara poczuła, że coś jest nie tak. Było zbyt cicho i zbyt pusto.

– Co jest, do cholery? – mruknęła, wysadzając pasażerów i podchodząc do drzwi.

Zamknięte. Klucz, co prawda, jak zwykle leżał pod donicą z pelargoniami, ale nigdzie nie było dziadka i Kingi.

Ani psów.

– Gdzie oni się podziali? – Zdezorientowana skierowała się do domu pani Stasi, nerwowo analizując sytuację. Przecież nie zrobił jej numeru i nie wyjechał... I co z Kingą?

– Pani Stasiu! – zawołała, usiłując zachować spokój. – Pani Stasiu!

Kiedy podeszła do drzwi domu starszej pani, stanęła jak wryta. Całe były czymś umazane. Czymś czerwonym. Miała tylko nadzieję, że to nie krew. Na wycieracze leżała spora lalka, jakby kukła ze szmat, z której sterczały jakieś igły. Na szyi lalka miała zawiązany powróż. Daga odruchowo złapała się za serce.

– Tylko tego brakowało! – krzyknęła. – Komuś odbiło czy jak?!

– To jakieś wiejskie voodoo! – stwierdził ze znawstwem Michał.

– Makabryczne! – pisnęła Andżelika. – Okropne!

– I co teraz?! – krzyknęła rozdzierająco Dagmara. – Coś musiało się tu stać! Nie ma Kingi, nie ma pani Stasi...

– Dziadek zwariował, złapał siekierę i już... Stąd ta krew na ścianach – zawyrokował Filip. – Lepiej stąd spadajmy. Wracajmy do Warszawy. Nie mam ochoty na kontakt z niebezpiecznym mordercą.

Nie był specjalnie odważny, dlatego lubił straszyć innych, bo to odwracało uwagę od jego własnych słabości.

Michał zdegustowany pokręcił głową.

– Nie bądź idiotą. To naprawdę paskudnie wygląda, trzeba coś zrobić. Coś tu się stało...

– Boże – jęknęła Dagmara. – A Kinga? Muszę ją odnaleźć. Nie zostawię jej na pastwę...

Nie wiedziała, na czyją lub czego pastwę nie zostawi przyjaciółki, ale wiedziała, że nie i już. Dagmara była zasadniczo lojalna, co nie zawsze się sprawdzało w układach z chłopakami,

którzy cenili tę cechę, ale tylko wobec siebie samych.

– Ja ci pomogę – zadeklarował Michał. – Nie zostawię cię samej w takiej sytuacji!

Zresztą ta kukła i cała reszta... To wszystko wygląda fatalnie.

– Ja też – szepnęła dotąd milcząca Andżelika, która cały czas dreptała krok w krok za Filipem.

Wszyscy popatrzyli na nią jak na cielaka z dwiema głowami, zastanawiając się, do czego mogłaby im się przydać ta koszmarna różowa zjawa. Dziewczyna zamilkła speszona.

– No co?! – pisnęła po chwili. – Chcę pomóc! Przecież głupia nie jestem!

Litościwie nie zaprzeczyli.

– Chyba zadzwonię na policję – stwierdziła Dagmara, ignorując deklarację Andżeliki.

Tylko tego jej brakowało do kompletu nieszczęść...

– Ale ja nic nie zrobiłam! Nie dzwoń! – jęknęła różowa, czerwieniąc się. – Po co zaraz wzywać gliny?

– To nie o ciebie chodzi, chcę zgłosić zaginięcie pani Stasi i pokazać im te drzwi...

– Zgłupiałaś? – Filip też był wyraźnie przeciwny wzywaniu przedstawicieli władzy. –

Te bohomyzy to pewnie keczup, lalka to wygłup dzieciarni, a pani Stasia jest dorosła, mogła wyjść choćby po zakupy! Albo gdzieś wyjechać!

– Filip ma rację. To nie najlepszy pomysł – stwierdził, aczkolwiek niechętnie, Michał. –

Pewnie nic jej się nie stało.

– Fakt – westchnęła dziewczyna niezbyt pewnie. – Ale jeśli ktoś ją zabił?

– Bzdura! – ostro zareagował Michał. – Kto i po co? Nakręcasz się.

Daga po chwili wahania wzięła lalkę w dwa palce, wzdrygając się z obrzydzeniem.

– Zabiorę ją do domu – oświadczyła. – To może być ważny dowód.

– Jesteś wariatką... kochanie – skomentował jej decyzję Filip, dodając ostatnie słowo ze

względu na wyraźną dezaprobatę w oczach Michała. – Mamy tu niezły pasztet. Twój dziadek był



politycznie uświadomiony czy moherowy?

– Moherowy generał? – Andżelika aż pisnęła z radości. – W bereciku?

Daga powstrzymała odruch wymiotny, choć żądza mordy jeszcze mocniej rozbłysła w jej oczach, ale postanowiła poczekać na bardziej sprzyjające okoliczności. Krzaki, wieczór, bezgwiezdna noc i różowa zjawa zniknie raz na zawsze... Brr... Otrząsnęła się.

W tej chwili zadzwonił telefon.

– Co się stało, dziadku?! – krzyknęła do słuchawki. – Gdzie jesteś?! Gdzie Kinga?!

– Mówiłem ci, wyjechałem, ty też musisz, bo... bo coś się stało! Coś strasznego. Nie siedź tam, tylko wsiadaj do samochodu i jedź za nami. To ważne!

– A Kinga? Co z nią, co się dzieje, dziadku...?

Nie dostała odpowiedzi. Miała ochotę gryźć i kopać. Generał przerwał połączenie.

– Boże, nie powiedział, co z Kingą! – wrzasnęła zrozpaczona.

– Porwał ją jak nic – mruknął złośliwie Filip, uśmiechając się wrednie. Wcale nie tęsknił za tą piekielnie złośliwą, choć piękną dziewczyną. Jej zniknięcie bardzo mu odpowiadało.

– A może to ona jego porwała? – zasugerowała Andżelika. Widząc zaszokowane spojrzenie Dagmary, na chwilę umilkła, ale postanowiła brnąć dalej. – No bo wiesz, seks i te rzeczy? To się zdarza nawet w najlepszych rodzinach!

W tej kwestii jednak Dagmara całkowicie wykluczała swoją rodzinę. Dziadek kiedyś z pewnością uprawiał seks, pewnie raz czy dwa, na co dowodem była jej matka. Dziewczynę ten fakt nieco przerażał, więc usiłowała o tym nie myśleć, zresztą to było dawno, ale teraz? Dziadek i seks? To wykluczone. W końcu bycie seniorem rodu do czegoś zobowiązuje!

– Andżeliko, jeżeli jeszcze raz powiesz coś na temat seksu, będę musiała cię zabić – powiedziała, cedząc słowa przez zęby. Miała dość.

– Wiesz, twoje zachowanie to czysta pudernica! – odgryzła się różowa. – Znalazła się cnotka niewydymka, świętsza od papieża!

– Pudernica? Chodzi ci o pruderię! I masz rację, Andżeliko – pochwalił ją Filip, czym wywołał na twarzy Dagmary wypieki złości.

Dziewczyna usiadła zrezygnowana przy stole.

– I co teraz będzie? – zapytała, nie licząc na odpowiedź.

Mimo to ją otrzymała.

– Jakoś sobie poradzimy – pocieszył ją Michał. – Pojedziemy za nimi! Skoro dziadkowi na tym zależy, to trzeba to zrobić.

Na twarzy Filipa pojawił się wyraz niekłamanego obrzydzenia.

– Nie słuchaj go, dziewczyno. – Filip wzruszył ramionami. – To nie ma sensu. Jeżeli dziadek uciekł, to coś się stało i jest niebezpieczne. A w takim razie lepiej trzymać się od tego z daleka. Proste? Proste! Nie chcesz wracać do Warszawy, to zostaniemy tutaj. Poczekamy na rozwój wypadków i spędzimy miło kilka dni...

Znów zadzwieczał dzwonek telefonu. Tym razem odezwała się Kinga. Jej głos wydawał się spokojny, choć to, co mówiła, było bardzo dziwne.

– Dagmara, proszę, błagam, przyjedź tu po mnie.

– Ale po co? Dlaczego? Mów! – krzyknęła Daga.

Na chwilę zapanowała cisza.

– On mnie porwał...

Dagmara nadstawiła uszu. Czy tylko jej się wydawało, że ktoś podpowiadał chyba Kindze, co ma mówić?

– Porwał?

– No tak. Proszę... – Kinga jakby zachichotała.

Dagmara chciała wierzyć, że to był nerwowy chichot.

– Mów natychmiast, co się dzieje! – zażądała.

Znów zapanowało niezręczne milczenie.

– Ojej, telefon mi się... – jęknęła Kinga. – Nie mogę rozmawiać. Przyjeżdżaj jak najszybciej.

Znow dało się słyszeć chichot. Potem dziewczyna się rozłączyła.

Dagmara próbowała się do niej dodzwonić, ale bez skutku. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Dziadek porwał Kingę? To jakaś totalna bzdura! A może ktoś porwał ich oboje? Nie, nielogiczne, ale stało się coś strasznego. Tylko co?

Usiłowała się dodzwonić na oba telefony raz jeszcze, ale nie odpowiadały. Z jednej strony czuła wściekłość, z drugiej przerażenie, ale chyba przeważało to pierwsze. W domu pani Stasi nikogo nadal nie było. Czyżby i ją ktoś porwał? Pojechała z nimi? Dlaczego?

Zdezorientowana Dagmara miotała się po kuchni. Nie miała ochoty robić obiadu, ale musieli przecież coś zjeść. Stańto na kanapkach, których nikt poza Michałem nie chciał nawet spróbować. Andżelika tak się przejęła sytuacją, że nie była w stanie przełknąć ani kęsa.

Filip znowu stroił fochy. Chleb z jajkiem na twardo najwyraźniej nie spełniał jego standardów.

– Pójdę do sklepu – zdecydował w końcu. – Kupię coś rozsądnego do jedzenia, może jakieś wino...

– Nawet mowy nie ma. Nie będę piła. Muszę mieć jasny umysł. Wy też. W końcu nie wiadomo, co się dzieje.

Michał z aprobatą pokiwał głową.

– Idę z tobą! – krzyknęła Andżelika i pobiegła za Filipem.

– A tej co znowu? – zdziwiła się Dagmara. – Łazi za nim jak różowy kurczak za kwoką!

– Niech łazi, przynajmniej nie będziemy musieli jej słuchać – rzucił Michał ze śmiechem, ale Dagmara nie była zachwycona. Rywalizowanie o Filipa z osóbką o inteligencji

majonezu nie za bardzo jej pasowało, ale nie mogła nic poradzić na to, że kwitła w niej zazdrość.

Nie łzawa, typu „mój ci on”, ale taka, która rozgląda się za porządną ostrzałką do noża...

\*

Dagmara posprzątała w kuchni i przycupnęła na ławeczce pod drzewem.

– Cicho tu, przyjemnie, prawda? – powiedziała do Michała, który usiadł obok niej.

Wcale nie była zachwycona spokojem, ale nie wiedziała, o czym ma z nim rozmawiać. – Gdyby nie to całe zamieszanie...

– Wiesz, to wcale nie musi być takie straszne, jak wygląda. Może to zwykłe nieporozumienie? Czy ja wiem? Przenocujmy tu, a jutro coś się postanowi. Daleko jest ten sklep?

– zapytał po chwili z nutą niepokoju w głosie.

– Nie, a dlaczego pytasz?

– Bo nie ma ich już od godziny, a robi się ciemno... Może wyjdziemy im naprzeciw, bo wyraźnie się zapodziali...

– Tu nie ma gdzie się zgubić! – parsknęła dziewczyna. – Wszędzie jest o rzut beretem!

– Tym bardziej mnie to dziwi – mruknął zaniepokojony Michał. – Idziemy!

Pospiesznie ruszyli zalesionym poboczem w kierunku sklepu. Z daleka zauważyli jakieś poruszenie i usłyszeli krzyki. Zobaczyli, jak ktoś rzuca się biegiem w ich kierunku, a za nim, piszcząc, biegło coś różowego, potykając się co chwila. Kilka metrów dalej, nieco wolniej i dość chwiejnie, zbliżały się inne osoby.

Z wrzasku, pokrzykiwań i wzniesionych rąk dało się wywnioskować, że ktoś wyraźnie ma ochotę na samosąd.

– Nie powinnam była im pozwolić tam iść! – jęknęła Daga rozdzierającym głosem. –

Zawracajmy i biegiem do domu, zanim dopadną i ich, i nas. Skróttem!

Odwróciła się i zawołała do zbliżającego się Filipa:

– Coś ty znów, kochanie, narozrabiał?!

Różowa zjawia, która wyglądała mniej więcej jak rozczochrana Andżelika, nie przestawała piszczeć. Miała poszarpaną kurteczkę i upaprane kozaczki, ale truchtała nadzwyczaj wytrwale.

Pędzili dalej, kiedy nagle usłyszeli za sobą tupot, trzask łamanych gałęzi i krzyki.

– Są za nami! – krzyknął Michał.

– Znają skrót, przecież to tutejsze pijaczki, szybciej!

Daga chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Michał gestem dłoni nakazał jej ciszę. Dotarli do domu ostatkiem sił i zabarykadowali się w kuchni.

– Gasimy światła, może pobiegną dalej! – zarządził Michał, ale nadzieja na bezkrwawe rozwiązanie sprawy szybko w nim zgasła.

– Ja ci dam, ty miastowy dupku! Teraz mnie popamiętasz, ty i twoja różowa pindzia! – krzyczał ktoś najwyraźniej bardzo pijany. – Popamiętaaaaaasz!

Tupot słychać było coraz lepiej.

– I nogi wam z dupy... – Ktoś czknął głośno. – No, tego, powyłamujemy! O!

Dopadniemy cię, bydlaku pieprzony...

Daga popatrzyła na Filipa z niedowierzaniem.

– Coś ty im zrobił? – zapytała.

– Kiedy nic! – odparł Filip z wyższością. – Nawet się do nich nie odzywałem. Mówię ci, odbiło im zupełnie bez przyczyny, dziewczynę zaczęli szarpać, to uciekłem!

Michał popatrzył na Filipa z gigantycznym niedowierzaniem.

– Dziewczynę zaczęli szarpać, to uciekłeś? Taki z ciebie bohater?

– Odczep się! Ja jestem po prostu rozsądny! Co niby miałem zrobić? – Filip obraził się na wszystkich. – Dać się posiekać? To nie w moim stylu!

Pewnie kłótnia trwałaby jeszcze długo, gdyby nie to, że pod domem zapanował nieopisany harmider.

– A wyłaż stamtąd! Wyłaż natychmiast, domu nie podpalim, bo Generałowy, ale czekać możemy i do rana!

– Już późno, a nam się wcale nie chce spać... – zaintonował ktoś, fałszując niemiłosiernie, co wzbudziło okrzyki aprobaty i głośne śmiechy.

– Strasznie to dziwne! – Dagmara pokręciła głową z niedowierzaniem. – Co wyście narozrabiali w tym sklepie?

– Naprawdę nic, tylko rozmawialiśmy – mruknął Filip niezadowolony. – O tym porwaniu i w ogóle... Zastanawialiśmy się, czy przypadkiem ten twój dziadek nie zwariował i nie porąbał kogoś siekierą.

Obok domu awantura trwała w najlepsze. Daga właśnie postanowiła zadzwonić po policję, gdy ze zdziwieniem stwierdziła, że z daleka dobiega głos syreny. Najwidoczniej ktoś postanowił wezwać stróżów prawa, ale awanturnicy zamiast się rozbiec lub ukryć, czego oczekiwała dziewczyna, nadal stali pod domem. Przyjęli bojowe postawy, jakby szykowali się do konfrontacji.

– Do pierdła z nimi! – krzyczeli, wskazując dom. – To jakieś oszusty!

– Do pierdła!

W całym tym gwarze trudno było usłyszeć poszczególne zdania, ale podpici i wściekle przejęci mężczyźni najwyraźniej mieli ochotę na jakiś koszmarny samosąd.

– ...i że wariat! – krzyczał ktoś z pokaźnego i wciąż rosnącego tłumu. – I że udusił...!

– Różowa Pindzia...! Zamordował!

– Ktoś zabił Różową Pindzię, jak rozumiem? – odezwał się bardzo głośno policjant.

– Jeszcze nie – odparło kilka głosów z tłumu. – Ale to da się naprawić!

Reszty już nie usłyszeli, ale zrozumieli, że kilka osób ma na to szczerą ochotę.

Po chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi. Otworzyli z wahaniem.

– O co tu chodzi? – zapytał policjant, wchodząc do środka. – Kto wywołał to

zamieszanie?!

– Nikt – wyrwał się Filip. – To oni zaczęli nas gonić! Bez dania racji! Naprawdę.

– Jasne. Włamaliście się tu! Zgadza się?

– Nie! To dom mojego dziadka! – jęknęła płacząco Daga.

– No, tego, który zwariował – dodała Andżelika.

– Co takiego?! Chyba nie mówi pani o Generale?!

– No właśnie mówię! – pisnęła dziewczyna zadowolona, że ktoś wreszcie jej słucha.

Policjant westchnął i oparł się o drzwi.

– Tak, teraz rozumiem i wcale im się nie dziwię! Nie wolno tak mówić o Generale! To

wyście musieli oszaleć, żeby coś takiego opowiadać, i to jeszcze w sklepie, przy... –

Funkcjonariusz przerwał oburzony.

– Przy tych pijaczkach? – Filip otworzył oczy szeroko ze zdumienia – Daga, dlaczego nie powiedziałaś, że dziadek jest alkoholikiem?

– Jakim alkoholikiem?! Niech się pan liczy ze słowami, młody człowieku, bo nie ręczę za siebie! Życie panu niemiłe?! Generał to...

– Jakiś tutejszy celebryta! Rozumiem! – krzyknęła Andżelika. – Piosenkarz! O kurczę, nikt mi nie uwierzy, jak opowiem, że miałam dla niego...

– Zamknij się, debilko – warknął Filip.

– Kim, do licha, jest ta pani? – zaciekawił się policjant.

– To Różowa Pindzia – odparli Michał i Dagmara grobowymi głosami, nie zastanawiając się, jak odbierze to zainteresowana.

– Nie piosenkarz? – zapytała dziewczyna z żalem w głosie.

– Nie! Generał! – odwarknęła Dagmara.

– A to znaczy co? To lepiej czy gorzej? – Andżelika wyraźnie nie wiedziała, o czym mówi. – To taki jakby zakonnik? Bo u jezuitów jest generał, babcia mi mówiła.

Słowotok Andżeliki skutecznie zamknął wszystkim usta.

– W każdym razie nie powinien mordować.

– Bo nie mordował! – mruknął policjant, szczerze zdziwiony tokiem rozumowania dziewczyny. – Co wy w ogóle wygadujecie? Odbiło wam? O co chodzi z tym mordowaniem?

– O nic! – krzyknęła Dagmara zdecydowanie.

Andżelika znów spróbowała się wtrącić, ale uciszył ją Filip, za co Dagmara była mu naprawdę wdzięczna. Na wszelki wypadek wołała na razie nie wtajemniczać policji w dziwne zniknięcie dziadka i historię z kukłą.

Funkcjonariusz skierował się do wyjścia.

– Uspokoję ich, ale przez jakiś czas proszę się nie rzucać w oczy, a poza tym doradzałbym ostrożność. Ci ludzie potrafią być nieobliczalni, dziś wam się udało, ale jutro...

Śpiewy i wrzawa za oknem cichły. Przez jakiś czas słyhać było jeszcze pojedyncze groźby, ale policjanci skutecznie, choć dość powoli, rozgonili towarzystwo do domów.

A wtedy znów zadzwonił telefon.

– Gdzie jesteś? Dojeżdżacie? – zapytała Kinga.

– Nie, no, siedzę cały czas w Słodkowie. W domu! Nie mam zamiaru nigdzie się stąd...

– odpowiedziała gniewnie Dagmara i tym razem w tle usłyszała: „Cholera jasna!”.

– Błagam, przyjeźdź, to ważne – sapnęła Kinga. – Bestia zżarł mi ładowarkę. To konieczne! I pani Stasia...

– Co z nią? I co z dziadkiem?!

Piiiip. Piiiip. Piiiip. Telefon Kingi zapiszczał, sygnalizując rozładowanie baterii. Dagmara nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Pozostali tylko się na nią głupio gapili. Przez jakiś czas chodziła po kuchni tam i z powrotem, ale w końcu się poddała.

– Musimy się przespać – zawyrokowała – a rano postanowimy, co dalej. Ty, Filip, śpisz na sofie w salonie, Michał bierze dwa fotele, nie położę cię w pokoju dziadka, bo nie wypada.



Andżelice pościelę u Kingi. No, dobranoc. – Udała ziewanie.

Nie miała ochoty na dyskusje, choć spać też specjalnie jej się nie chciało. Andżelika posłusznie podreptała za Dagmarą do sypialni Kingi.

– Bo wiesz... – wydukała wreszcie. Dało się zauważyć, że coś ją trapi. – Bo wy jutro gdzieś pojedziecie, prawda?

– Taaak, pewnie tak – mruknęła Daga na odczepnego, zmieniając pościel.

– No bo ja bym z wami... – zaproponowała z wahaniem dziewczyna. – Może się przydam.

„Jak dziura w moście” – pomyślała Daga, ale nie miała serca powiedzieć tego głośno.

– Bo widzisz, Filip mówił, że znajdę tu pracę, że niby własny pokój i jedzenie...

– Pracę? – Daga nie wierzyła własnym uszom.

– No, u tego dziadka, na opiekę chciałam przyjść, a teraz co ja mam zrobić? Zabierzesz mnie? Może po drodze coś znajdę albo jak ten dziadek przestanie wariować, to mnie weźmie do roboty? Wprawdzie świr z niego, ale nie za bardzo szkodliwy, co? – Ze strachem zasłoniła ręką usta.

Jej słowa rozczuliły Dagmarę. Filip pomyślał o opiece dla dziadka, żeby ona nie musiała sama kogoś szukać. No, no... Smerf Maruda to jednak naprawdę kochany facet! Szczerze ją to ucieszyło. Tylko skąd wiedział o całym kłopotcie? Pewnie mama mu powiedziała, choć, hm, zazwyczaj nie rozmawiała z obcymi na takie tematy...

– Ale wiesz – dziewczyna zatrzymała się przy drzwiach – to wszystko jest strasznie głupie!

– Co? – zdziwiła się Dagmara.

– No, wszystko. – Andżelika powiodła ręką dookoła siebie. – Ta ucieczka i w ogóle...

– Tak uważasz? Według mnie to raczej straszne! – Daga oburzyła się szczerze.

– No bo popatrz, skoro oni tak go tu wszyscy kochają, tego twojego Generała, że za

głupie gadki w sklepie o mała nie rozerwali nas na strzępy, to czego on mógł się bać? I po co uciekał, przecież ludzie by go obronili, nie?

Głupota Andżeliki nagle wydała się Dagmarze jakoś mniej oczywista.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że Różowa Pindzia jakimś cudem może mieć rację! To tylko pogłębiło jej niepokój, bo albo dziadek coś kombinował, czego nie dało się wykluczyć, albo naprawdę coś się stało. Choćby ta sprawa z kukłą... Chciała natychmiast podzielić się przemyśleniami z Filipem i Michałem, ale ci zdążyli już zasnąć.

Poszła więc do swojego pokoju, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Bała się usnąć, więc jak to zawsze w takich przypadkach bywa, zasnęła natychmiast.

I śniła. Coś plątało jej się po głowie. Jakieś słowa i makabryczna kukła. To nie był pokrzepiający sen.

– Szumu nie zrozumiesz głęboko noco nad zalew z czartami! Ukradła... I tak ukradła!

– Słyszała dziwaczne frazy wypowiedane z jakimś wschodnim, podchodzącym pod rosyjski akcentem.

Obudziła się zlaną potem. Zrozumiała.

– Rosyjska mafia! – krzyknęła. Zaraz potem dało się słyszeć huk, stukot i kilka przekleństw. Wskoczyła z łóżka i nie narzucając szlafroka, wpadła do saloniku.

Filip właśnie wstawał z podłogi, a Michał usiłował się wydostać spod zawalonej konstrukcji z foteli.

– Czego wrzeszczysz? – burknął wściekle Filip. – Morduje cię kto?

– Rosyjska mafia! – wrzasnęła.

– Morduje cię rosyjska mafia? Oszalałaś?

– Nie mnie, dziadka! Sama słyszałam. We śnie. – Dagmara się uśmiechnęła,

zadowolona z rozwikłania zagadki, ale po chwili zdała sobie sprawę, że radość w tym przypadku jest nie na miejscu. – W każdym razie tak mi się wydawało.

Andżelika wychynęła z pokoju trochę mniej różowa niż wczoraj. Piżamę miała zieloną.

– I co z tą mafią? – zapytała sennie, przecierając oczy.

– Śniło mi się takie coś. Jakby gadali po rosyjsku, że ktoś coś ukradł diabłom głęboko noco...

– Głęboką nocą – poprawił Filip z naganą.

Daga się obraziła.

– Nie, przecież mówię wyraźnie: głęboko noco. To było z takim wschodnim akcentem...

– U nas tak gadają. – Andżelika uśmiechnęła się ciepło.

– To ty z Rosji jesteś? – zapytał Michał ze złośliwą miną.

– No co ty? Z Zamojskiego! Przecież ja nawet ruskiego nie znam! – dodała usprawiedliwiająco, jakby sama znajomość tego języka była bardzo, ale to bardzo niebezpieczna.

– Spać! – jęknął Filip rozdzierająco. – Dajcie mi wreszcie spać!

Znów się położyli, a przynajmniej taki mieli zamiar. Michał odbudował konstrukcję z foteli, zazdrośnie patrząc na moszczącego się na sofie Filipa, dziewczyny poszły do swoich pokoi. Pogasili światła.

Dagmara poważnie się zastanawiała nad Andżeliką i jej inteligencją, bo o takową zaczęła właśnie dziewczynę podejrzewać, co niestety trochę ją martwiło. Po co ktoś niegłupi miałby udawać idiotę? Zazwyczaj to działa w drugą stronę i choć daje marne rezultaty, to jednak da się prosto wytłumaczyć.

Zamknęła oczy i nagle usłyszała to coś.

Nie był to właściwie jakiś szczególnie niepokojący dźwięk, tylko że rozległ się bardzo blisko domu.

Ktoś coś mówił, a brzmiało to obco i niepodobnie do niczego.

– Szete dike sekisi[1].

Drugi głos odpowiedział coś po swojemu, ale bardzo cicho. Do pokoju Dagi bezszelestnie wśliznęła się Andżelika.

– Słyszysz? Ktoś mówi, że się kisi!

– Słyszę, ale nie rozumiem. Kisi? Kto się kisi? Może to Cyganie?

Coś zaczęło sapać. Znów usłyszały męski głos:

– Folia forse[2].

Dagmara zrobiła wielkie oczy.

– Ktoś kisi pod folią jakąś forse?

– A macie tu kompostownik? – zapytała Andżelika.

– A bo ja wiem? – Daga nie była pewna – Mamy beczkę do kiszenia kapusty, to nie wystarczy? No ale kto kisi pieniądze?

– Może twój dziadek je schował...

Coś zachrobotło pod drzwiami.

– Jeśli to Cyganie, to będą kłopoty... – szepnęła Daga.

– Koma siekieri[3]?

– Cholera, gadają coś o siekierze!

– Szne sepa, szne sepa[4] – sapnęło coś po chwili.

– Będą ciąć rzepę siekierą? – pisnęła Andżelika ze zgrozą.

– Albo nas! – wrzasnęła Dagmara, podskakując na materacu.

– Co tam znów wyprawiacie, kretynki?! – rozdarł się Filip, zapalając światło i powodując kolejną katastrofę łózkową Michała.

Za drzwiami coś szurnęło i z tupotem zaczęło się oddalać. Daga dałaby sobie głowę uciąć, że to coś klęło, choć z pewnością w jakimś obcym języku.

Z lękiem wyszli na dwór. Było ciemno, chłodno i ogólnie zwyczajnie. Dopiero kiedy chcieli wrócić do domu, zobaczyli, co się stało. Drzwi wymazano czymś czerwonym, co jeszcze

nie przestało pachnieć sosem pomidorowym. „Wymazano” to jednak złe słowo. Na drzwiach widniał napis „Ócjekac zfhut”. Wszyscy jak jeden mąż pozostali w niezbyt błogiej nieświadomości znaczenia tego dzieła, dopóki Andżelika nie przeczytała napisu na głos.

– Uciekać wschód. – Niestety miała potworny zwyczaj wypiskiwania swoich wypowiedzi. – Aha, ktoś każe komuś uciekać na wschód.

– Ale... Boże, jak można... i kogo oni mają na myśli?

– Ciebie, to jasne – powiedział Michał. – Dziadek przecież mówił, że zdarzyło się coś straszego, niewykluczone, że... ale te ortografy to już przesada! Po co ktoś narobił tyle byków?

– Wiem, on chciał, żebym pomyślała, że jest rosyjskim mafiosem, który nie umie pisać, więc może mi spokojnie obharatać głowę siekierą?

– No tak, ale co to zmienia? Nawet umiejący pisać facet po studiach może spokojnie odrąbać komuś wszystkie członki, a nie tylko głowę! Do tego nie trzeba mafiosa!

– To po co te byki?

– Może ten ktoś nie zna polskiego?! – zasugerował Michał niezbyt pewnym głosem.

– To jeszcze gorzej! – jęknęła Dagmara. – Z Polakami zawsze jakoś da się dogadać, a z takimi to jak? Założmy, że leci do ciebie facet z siekierą, ty do niego coś mówisz, a on nie rozumie, ani be, ani me, ani kukuryku!

– Gość chce cię zarąbać, a ty urządzasz sobie z nim pogaduszki? Oszalałaś. – Michał popukał się w głowę. – Ja bym zwyczajnie spier... hm... uciekał!

– Ale po co ci ludzie, no wiesz...

– I do tego keczupem?

– Nie wiem, po co ani dlaczego, oczywiście wolę to niż krew, ale tak czy siak powinniśmy stąd jak najszybciej wyjechać – oświadczył Michał.

Filip, nieco blady i dziwnie milczący, nie zaprotestował. Nie chciał nigdzie jechać, no, chyba że do Warszawy, ale tego z kolei nie chciała Dagmara. Mógłby zostać tutaj, ale nie

w takiej sytuacji.

Daga pokiwała głową.

– Tak. Masz rację. Mogą wrócić i oblać nas musztardą! – dorzuciła złośliwie, nie chcąc się przyznać, że najzwyczajniej w świecie się boi, ale Michał pokręcił głową z dezaprobatą.

– Obawiam się czegoś gorszego. Tym razem uciekli, ale kto wie, co zrobią następnym razem. Może też przyjść ktoś inny, bardziej zdecydowany, mniej strachliwy i, niestety, tym razem naprawdę niebezpieczny. To musi mieć coś wspólnego z tą kukłą.

Filip bladł coraz bardziej. Przetarł ręką spoczone czoło.

– Hm. To mi się nie podoba – odezwał się drżącym głosem. – To jakieś świry, a świry bywają niebezpieczne. Jedźmy do tego Suśca!

– Po drodze zatrzymamy się w Zwierzyńcu – zaproponował Michał. – Muszę coś tam załatwić. Tak na szybko...

– Świetnie! Odwiedzę ciotkę – pisnęła Andżelika. – Robi świetną kiełbasę.

Pół godziny później wsiedli do samochodu, też trochę – choć raczej przypadkowo – upaćkanego keczupem, i ruszyli w drogę.

[1] *Je te dis que c'est ici* – Mówię ci, że to tu (fr.).

[2] *Faut la forcer* – Trzeba ją zmusić (fr.).

[3] *Comment ca s'écrit?* – Jak to się pisze? (fr.).

[4] *Je ne sais pas* – Nie wiem (fr.).

## **Rozdział II**

Filip prowadził przerażająco ostrożnie, do tego stopnia, że nie tylko Daga, lecz także pasażerowie klęli w duchu, na czym świat stoi. Zastanawiali się, czy da się jechać jeszcze wolniej i czy ucieczka w tak ślimaczym tempie w ogóle ma sens. Fakt, cała eskapada nie była zbyt przemyślana i specjalnie miła, ale po prostu nie mieli wyboru.

Co im pozostało? Siedzieć tam nadal i dać się zastraszać w tak okrutnie nieortograficzny

sposób?

Wszyscy ziewali na potęgę. Michał pochrapywał od czasu do czasu, niewygodnie włoczony za siedzenie Dagi, Andżelika siedziała wpatrzona w okno z tępych wyrazem twarzy i jakimś cudem milczała.

Filip nie krył wściekłości. Jak sam mówił, był typowym mieszczuchem i tereny choć odrobinę zalesione, oddalone od cywilizacji nawet o ułamek kilometra, przyprawiały go o dreszcze, a teraz życie, okrutne i w dużej mierze nieprzewidywalne, zmusiło go do podróży na jakieś cholerne odludzie.

– Nawet wysikać się nie ma gdzie – burknął, zatrzymując samochód.

– Lasu ci mało? – zapytał Michał. – Nikt cię nie będzie podglądał. Coś ty taki paniczek? Idź w krzaki i już!

– Nie! Tu nie sikaj – ostrzegła go zaspana Andżelika. – Podjedź kawałek dalej.

– Jasne! Dalej! Mowy nie ma! Nie dam rady! – odburknął Filip. Wysiadł z auta, przeszedł na drugą stronę drogi i zniknął.

– Gęsty ten las – mruknęła Daga, obawiając się o bezpieczeństwo Filipa.

Z daleka dały się słyszeć jęk, bulgot i przekleństwa.

– Nie mówiłam? Ten kawałek tutaj jest okropny. To nie jest las – odezwała się wciąż zaspana Andżelika. – To bagno, nie jakieś tam straszne, ale...

– Boże kochany! – krzyknęła Daga, wyskakując z samochodu i pędząc na pomoc narzeczonemu. Michał także wysiadł, ale nie spieszył się aż tak bardzo. Zanim przebiegli przez jezdnię, zobaczyli po drugiej stronie paskudnie upapranego i podrapanego Filipa.

Chłopak kipiał ze złości, co najwyraźniej było już u niego stanem permanentnym.

– To wszystko wina tego twojego dziadka... To on nas ściągnął na to zadupie! Jestem cały w błocie! Tapicerka to pryszcz, ale moje ciuchy będą do wyrzucenia!

Daga miała ochotę powiedzieć mu, że oprócz tego ma chyba rozciętą głowę, ale

pomyślała, że sam się o tym dowie, jak dojadą na miejsce.

Zresztą właściwie już prawie dotarli do celu. Jechali ponad dwie godziny, a przecież wyruszyli z domu o trzeciej w nocy.

Wjechali do centrum i stanęli niedaleko browaru. Zwierzyniec był jednym z tych miasteczek, które przejezdni określają jako urokliwe, turyści – znośne, a mieszkańcy – najpiękniejsze na świecie, szczególnie z perspektywy zakorkowanego Londynu, z którego kiedyś przecież wrócą, by osiedlić się całkiem niedaleko, w Lublinie albo Zamościu.

Michał poszedł załatwić swoje sprawy. Dagmara z Filipem siedzieli na ławce w parku, usiłując nie zasnąć. Nawet ze sobą nie rozmawiali. Andżelika gdzieś zadzwoniła, po czym zgodnie z zapowiedzią pobiegła do ciotki.

Czekali całe wieki. Później zwiedzili browar i park, a potem znów siedzieli bez ruchu, głodni i spragnieni.

Byli zmęczeni. Andżelika pojawiła się cała w skowronkach po kilku dobrych godzinach, nic sobie nie robiąc z tego, że na nią czekali. Michał także wrócił zadowolony, że udało mu się wszystko załatwić.

– Może pójdziemy na Bukową Górę? – zaproponowała niezdecydowanym głosem Dagmara.

– Mowy nie ma! – jęknął Filip – Nigdzie nie idę. Przynajmniej nie teraz! Muszę się wyspać. Wynajmijmy domek, stówa za cały, cztery łóżka...

Wszyscy wyraźnie się ucieszyli.

– Musimy się przespać – poparł pomysł Michał. – Noc spędzimy tutaj, a jutro rano ruszymy dalej, wiem, że można by teraz, ale po co się spieszyć. Zresztą jazda w takim stanie nie jest bezpieczna. Tak mi się chce spać, że padam z nóg.

– Ja też – mruknął Filip. – Odpocznijmy tutaj! To ładne miasteczko. – Wyraźnie nie miał ochoty na kontynuowanie podróży.



– A jeśli nas ktoś, bo ja wiem, goni? Śledzi?

– Nie, nie gadaj, nikt za nami nie jechał, nie bzdurz! Lepiej jeszcze raz zadzwoń do dziadka albo do Kingi, może któreś odbierze?

Wystukiwane od wczoraj po kilkadziesiąt razy numery nie odpowiadały. W komórce dziadka włączyła się poczta głosowa. Telefon Kingi także milczał.

– Szlag by to trafił! – warknęła Dagmara. – Jedźmy już wynająć ten cholerny domek, rzeczywiście padam na pysk!

– Cholera – zaklął Filip. – Pachnie kiełbasą. Co za boski aromat. Zabiłbym za coś do żarcia.

Z rezygnacją wsiadł do samochodu.

– Kupiłam bułki – poinformowała Andżelika. – I przyniosłam od ciotki kilo kiełbasy.

Zrobimy ognisko. Wiecie, melanżyk jak się patrzy! Trzeba się zabawić, nie?

Wszyscy popatrzyli na dziewczynę z zaciekawieniem. Różowa Pindzia postarała się o kiełbasę! Co prawda natura nie obdarzyła jej mózgiem, ale kiełbasa w tym momencie w zupełności im wystarczała. Wzmianka o melanżyku zaniepokoiła Dagmarę, bo to sformułowanie kojarzyło jej się z ostrym piciem, ale była wdzięczna Andżelice za pomysł z prowiantem.

Wynajęli domek.

Powoli zapadał zmrok. Jakieś latające stworzenia głośno zaznaczały swoją obecność bzyčeniami i coraz to nowymi bąblami na skórze. Teren budził się do życia. O tej porze wstawali studenci i wampiry. Oba te gatunki za dnia odczuwały światłowstręt i niechęć do jakiegokolwiek wysiłku, choć wampiry bywały nieco mniej niebezpieczne.

Zaczęli szykować kiełbasę. Przy innych domkach także coś się działo. Tu i ówdzie dało się zauważyć ogniska i usłyszeć niezbyt trzeźwe rozmowy.

Michał zajął się rozpalaniem ognia, Andżelika strugała patyki na kiełbaski. Filip siedział

naburmuszony, a Dagmara usiłowała jakoś zabawić towarzystwo.

– To co robimy jutro? – zapytała, nie zdając sobie sprawy, że wywoła tym burzę.

– Jak to co? – warknął Filip. – Szukamy jakiegoś wariata. Cały ten wyjazd, rozumiem, ci ludzie, czy jak im tam, mafia, no okej, nie mogliśmy tam siedzieć, ale nie ma sensu pchać się w to dalej. Mam dosyć. Chcę wracać do domu! Do domu!

Z daleka usłyszeli niezbyt trzeźwy rechot.

– Żeby ci mamusia pieluszkę zmieniła?! – zawołał ktoś siedzący przy sąsiednim domku. – Dzidzia chce smoczka?

– Odpieprz się – odparował Filip, ale niezbyt donośnie.

Najwyraźniej chciał się odgryźć, ale wołał, żeby go nie usłyszano.

– Z wsiokami nie gadam – dodał po chwili odrobinę głośniej.

– Te, warszawiak! A w mordę chcesz?! – odkrzyknął ktoś nieprzyjaźnie.

Michał popukał się w czoło.

– Zamknij się, debilu! – syknął. – Nie potrzebujemy tu awantury.

– Mamy dobrą kiełbachę, prawdziwą, swojską! – zawołała Andżelika, chcąc załagodzić sytuację. – Co wy na to?

– Świetnie – odpowiedzieli sąsiedzi z zachwytem. – To może się przemierzamy? Bo my mamy karkóweczkę. Idziecie do nas? Już dochodzi!

Poszli tylko na chwilę, zostali na dłużej. Sąsiedzi okazali się mili, choć trochę podpici.

Piotrek, student z Zamościa, był koszmarne rudy, ale przystojny, a Marek, jego młodszy brat, napakowany jak jakiś kulturysta i ogolony na zero. Andżelika w ich towarzystwie czuła się jak ryba w wodzie. Nie zamierzali siedzieć długo, bo Dagmara była zmęczona, Filip trochę się bał, a Michał nie miał ochoty na przygodne znajomości, ale po ostatnich koszmarach zapragnęli odreagować. W takich sytuacjach piwo zazwyczaj pomaga. Tym razem sprawdziło się aż za bardzo.

Najbardziej i najdokładniej odstresował się Filip.

– No i fffftedy taki jedenn ćw... tfu, świr...

– Filip, masz już dosyć! – usiłowała uspokajać go Dagmara, ale alkohol rozwiązał chłopakowi język, na szczęście skutecznie go płacząc.

Nie bardzo dało się go zrozumieć.

– Ssssso? – bełkotał. – Prawde mówie! No i ten, no, taki jeden, no taką kukłę, a por... podziamał... nnnnoooo...

– Nikt nikogo nie dzia mał! – oburzała się Dagmara. – Przestań, kochanie, opowiadać głupoty!

Pieszczotliwe określenie wyrzuciła z siebie siłą woli, bo nie po raz pierwszy cisnęło jej się na usta: „debilu”.

– A dzia mał! No! Keczupem...

Zjedli kiełbaski i trochę karkówki. Wrócili do domku nad ranem, wlokąc Filipa jak szmacianą lalkę.

– Nnno ssssso? Noc jjjjeszczcze nie skurwonek...

– On tak zawsze, jak wypije? – Andżelika patrzyła z niedowierzaniem na Filipa. – Oj, masz ty za swoje!

Pożałowała Dagmary, ale ta obruszyła się szczerze.

– A coś ty! Filip nie pije! Nigdy nie pił. Coś mu zaszkodziło, wiesz, jak ktoś jest nieprzyzwyczajony... No naprawdę! Nie pije! Słowo honoru!

– Aha. – Różowa pokiwała głową z udawanym zrozumieniem. – Już ci wierzę. Jasne, zaszkodziło...

Położyli Filipa na łóżko i dopiero wtedy zrozumieli, jak poważny popełnili błąd, tachając go do domu.

Tej nocy Dagmara nie zmrużyła oka, czuwając przy narzeczonym niczym wierna

i oddana pielęgniarka. Nie miała innego wyjścia. Filip śpiewał, krzyczał i kłął. W przerwach rzygał, choć gdyby się nad tym zastanowić, to jednak odwrotnie.

Zmordowana Andżelika snuła się po kuchni, usiłując wesprzeć Dagmarę, ale niewiele mogła pomóc.

– Okropnie się brzydzę – oświadczyła po kolejnym odruchu wymiotnym i ograniczyła się do podawania zza drzwi mokrych ręczników i herbaty.

Michał poszedł na spacer.

Kiedy w końcu sytuacja unormowała się na tyle, że można było iść spać, dochodziła czwarta rano.

– Trudno. Przedłużymy sobie dobę hotelową, ale tym razem bez imprezowania.

Musimy się wyspać – zdecydowała Dagmara i padła. Na szczęście na własne łóżko i zaraz po tym, jak wzięła prysznic.

Wtedy zaczął się koszmar.

Ludzie, którzy wynajmują domki, nie robią tego przecież po to, żeby spać, tylko żeby pić, jeść i śpiewać do rana.

Dagmara przeklinała pomysł noclegu w domku. Przeklinała z całego serca i duszy już po szóstym wykonaniu *Białego misia*, dziesiątym „o kurde, jak to dalej leciało” i setnym „ty, zagraj to, no wiesz, takie, la, la la...”.

Nie mogła zasnąć, bo domek po prawej dysponował rozstrojoną gitarą, która była w stanie zamordować każdą melodię, domek w głębi miał akordeon i bardzo wstawionego akordeonistę, a ten po lewej stronie – dobre chęci i zero słuchu, więc mimo braku instrumentu wokalnemu zapałem budził przerażenie.

Daga zamykała na chwilę oczy, kiedy któraś z grup muzycznych, a od jakiegoś czasu również coraz bardziej tanecznych, przerywała występy, by zastanowić się, co dalej, po chwili jednak budziła się wraz z nową falą śpiewów, krzyków i piosenek, których słowa coraz częściej

brzmiały podobnie...

– No, jak to szło? La, la, lala, lalam... Tego, no, a potem, o la, la, la...

Koło szóstej, kiedy zmęczenie i piwo pokonały ostatnich artystów, Dagmara odpłynęła naprawdę. Była jednak tak umęczona i zła na cały świat, że znów zaczęły jej się śnić koszmary.

„Nie zrozumiesz – szemrało coś w jej głowie. – Ciężki plecak, czartowe pole... głęboko noco nad zalew z czartami! Ukradła... i tak ukradła!”.

Obudziła się dobrze po południu.

Z trudem otworzyła oczy. Melodia trwała nadal. Dopiero wtedy pojęła. Oczywiście, to była ta piosenka! Ta, która jej się śniła tamtej nocy w Słodkowie. Ktoś ją śpiewał... I ten ktoś to była... Andżelika!

– Jeszcze raz! – zawołała do dziewczyny krzątającej się po kuchni. – Dawaj!

– Niby co? Jedzenie jeszcze niegotowe, ale kawę mam, chcesz?

Dagmara chciała. Bardzo chciała kawy, ale chciała też tamtej piosenki.

– Odbiło ci? Nie śpiewam na trzeźwo – odparła dziewczyna z niezadowoleniem. –

Chyba że nikt nie słyszy.

– Dobra, chodzi mi tylko o tę piosenkę, którą teraz nuciłaś! Proszę...

Andżelika coś zamruczała, ale Dagmara pokręciła głową.

– Nie ta, dawaj drugą. Tę o ruskiej mafii! Głęboko noco i takie tam...

– A, to *Roztocze!* – ucieszyła się Różowa Pindzia.

*Pójdę nad Tanew głęboką nocą,*

*Tanew, co skradła księżycą blask.*

*Gdzie na dnie w wodzie jasno migoce*

*ta najszczęśliwsza ze wszystkich gwiazd, [5].*

Dagmara nagle sobie przypomniała.

– To ta piosenka, dziadek ją śpiewał! – zawołała. – Chodziło o taką wieś koło Suśca,

nie pamiętam nazwy. Byliśmy tam i była Tanew, to stamtąd robiliśmy wycieczki po Roztoczu.

Pewnie tam musimy się dostać. Tylko ta nazwa...

Filip umierał. Był skacowany, wściekły, chory i trochę jeszcze zielony na twarzy. Dygotał drżeniem właściwym starym samochodom i młodym pijakom. „Rączki mu się trzęśli” – jak to określiła Andżelika. Usta miał spieczone i popękane, cuchnął jak wymioty i gorzelnia razem wzięte i wszystko go bolało.

– Oszalałaś?! – wrzasnął piskliwie i czknął. – Piosenka?! To ty wleciesz mnie taki szmat drogi na zadupie z powodu jakiejś melodii?! Doszczętnie skretyniałaś? A twój dziadek zwariował! Jego trzeba zabrać do jakiegoś psychiatry, zamknąć albo coś...

– Nie masz racji, kochanie. – Daga usiłowała się bronić, coraz bardziej tracąc grunt pod nogami. – To tylko...

– Dość tego! Ja wracam do domu – warknął Filip. – I ty mnie tam odwieziesz, czy ci się to podoba, czy nie. Nie mogę prowadzić w takim stanie. – W głosie chłopaka dała się słyszeć pretensja, jakby za jego stan odpowiadała właśnie Dagmara. – A poza tym mam dość wygłupów i włączania się nie wiadomo gdzie, w ogóle wszystkiego...

– Nigdzie cię nie odwiozę – powiedziała dziewczyna spokojnie i powoli, aż Filip przetarł oczy. – Chcesz wracać, droga wolna, ja się pakuję i ruszam do Suśca, a wy jak?

– Jedziemy z tobą – rzucił wesoło Michał, odpowiadając także w imieniu Andżeliki. – Nie odpuszczę sobie takiej frajdy.

Filip znów był niepoczyszony.

– No ale przecież... Nie pojedę sam, bo jak? Nie... – mruknął wyraźnie pokonany. – Ale jeśli tak strasznie ci na tym zależy, to mogę zostać. – Przemawiał wyniośle i łaskawie, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia reszty. – Przecież ja cię kocham! – zakończył.

– Ja ciebie też, kochanie, ja ciebie też – rozczuliła się Dagmara.

– A w tym Suścu to jak ich znajdziesz? – zapytał Michał, nie całkiem wierząc

w powodzenie przedsięwzięcia.

– Nie wiem – westchnęła. – Jestem wykończona. Nie spałam całą noc. Coś wymyślę.

Filip milczał obrażony. Siedział w kuchni, starając się przetrwać zawroty głowy i wciąż powracające mdłości. Co chwilę wybiegał do łazienki, skąd wracał jeszcze bardziej wymizerowany.

Wszyscy byli ospali i nie bardzo wiedzieli, co robić. Zabrane z domu dziadka konserwy smakowały jak trociny. Bez większego namysłu postanowili spokojnie spędzić dzień nad wodą, żeby trochę odpocząć.

\*

Przy kolacji rozległ się sygnał esemesa.

– Od Kingi! – zawołała Dagmara, ale zamiast go odczytać, natychmiast wybrała numer dziewczyny. Nie dodzwoniła się.

Wiadomość była dziwaczna i niewiele wyjaśniała.

– Utopce z mordami – przeczytała i aż jęknęła. – Jeszcze mi potrzebne jakieś utopce z mordami...! Kindze też odbija, ale chyba żyje, skoro pisze? I o co jej chodzi? Że niby co?

– Że gonią nas potwory? Jakies wiejskie zombie? – jęknął Filip.

– Utopce z mordami? – Michał uśmiechnął się niepewnie. – To bez mórđ też bywają?

Tfu, co ja gadam! Jakich mórđ, mord chyba, nie?

– Utopce to takie demony – jęknął Filip. – Porwały ich czy co? Ja pierdzielę! No ja pierr... O, przepraszam, ale demony?! Ja oczywiście w coś takiego... nie wierzę, ale...

Daga skrzywiła się na myśl o czymś tak paskudnym jak utopce, i to jeszcze z mordami.

Wyobraziła sobie wielkie i oślizłe, zielone stworzenia o ogromnych głowach. Zamiast twarzy miały okropnie wykrzywione pyski z żółtymi kłami i wybałuszonymi oczami. Otrząsnęła się z obrzydzeniem. Oczywiście nie wierzyła w bajki, ale chętnie oglądała horrory, co w jej obecnym stanie psychicznym zaowocowało makabrycznymi skojarzeniami.

Andżelika patrzyła na wszystkich z takim niedowierzaniem, jakby widziała ich po raz pierwszy w życiu.

– Co wy gadacie! Utopce to wieś. Zwykła, mała, normalna. – Zawahała się. – No, właściwie bardziej osada, nad samą rzeką!

– Coś mi się przypomina... To chyba tam. – Dagmara się ucieszyła. – Ale co z mordami?

– O tym nic nie wiem, więc może chodzić o coś zupełnie innego.

– Niby o co? O pyszczki? Gęby? Ryje? – wtrącił Filip, jak zwykle dość niegrzecznie.

– Nie, o mordowanie. Ktoś kogoś zabił albo co? – Andżelika uśmiechnęła się rozbijając, jakby naprawdę chciała dokopać Filipowi. – Mord to jakby duże morderstwo. Mogli tam kogoś zaciukać. Dlaczego nie? Zawsze gdzieś zdarzają się zbrodnie, to czemu nie tam?

– Daj spokój, Andżelika! Czego mnie straszysz? – Dagmara okropnie się zdenerwowała.

– Ja ci pomagam, a nie straszę. To ty wymyśliłaś sobie demony, ale w końcu przynajmniej wiemy, gdzie się podzieli twój dziadek i ta dziewczyna.

– W Utopcach? Jasne, możliwe, że masz rację, ale te mordy mnie nie przekonują. Po co by pisała o mordowaniu? To mało prawdopodobne.

– Już dziesiąta – przerwał im Michał. – Pakujmy się do łóżek, wyśpijmy wreszcie, skoro zapłaciliśmy za drugi nocleg. Trzeba to wykorzystać, rano oddamy klucze, a potem pojedziemy do tego twojego dziadka. Daleko to?

– Nie, pół godziny? Godzina? Może mniej. Jak wstaniemy o ósmej, będzie dobrze.

Wykończeni zapomnieli, że w takich miejscach, kiedy zapada zmierzch, budzą się upiory i te upiory zaczynają wyć.

Powoli nad domkami znów zaczęły rozsnuwać się koszmarne fałszywe melodie, dzikie



wrzaski i nawoływania, jakby wszyscy czekali tylko na to, aż ktoś zechce się położyć, by z przyjemnością zakłócić mu sen.

Dagmara wytrzymała do dwunastej, po czym usiadła w kuchni nad szklanką wody mineralnej. Po chwili dołączyła do niej Andżelika. Michał skapitulował o drugiej.

Filip spał kamiennym snem, odsypiając kaca giganta.

– Tu można normalnie ociepieć – powiedział Michał umęczonym głosem. –

Posprzątajmy, obudźmy Filipa i uciekajmy stąd. Klucze wrzucimy do skrzynki na listy!

\*

Wyjazd ze Zwierzyńca zajął im trochę czasu. Filip nie bardzo wiedział, którą drogę wybrać, ale w końcu mu się udało.

– Ty, widzę, obeznany z okolicą – skostatowała Andżelika z wrednym błyskiem w oku.

– Nie, a co? – odparł burkliwie Filip. – Coś nie tak?

– Wszystko tak, wszyściutko, tylko jakoś mi się wydaje, że na tutejszych drogach to na GPS lepiej nie polegać, bo...

Filip nie zamierzał jej słuchać.

– Daj spokój, nie znasz się na tym! – odpowiedział z wyższością.

Andżelika wzruszyła ramionami i znów zapadła w drzemkę.

Daga bezmyślnie wsłuchiwała się w monotony mechaniczny głos.

– Za dwieście metrów skręć w prawo, po stu metrach zakręt w lewo...

Zasnęła. Obudziło ją coś, co nie powinno było jej obudzić. Cisza.

– Dojechaliśmy? – zapytała, przeciągając się i prostując nogi.

– Zamknij się – warknął wściekły Filip, po chwili dodał z wahaniem: – Kochanie.

Michał otworzył oczy i zaczął rozglądać się dookoła.

– Drogę nam ukradli? – zdziwił się, widząc tylko chaszczę, błocko i jakieś pola.

– Ty też się zamknij! – odburknął Filip. – Nic nam nie ukradli, źle skręciłem i tyle.

Jesteśmy niedaleko Utopców. Czyli okej. Prawie dojechaliśmy, nie?

– Niby tak, ale zakopaliśmy się na cudzym polu! Tylko patrzeć, jak ktoś tu przyleci z widłami i nas pogoni!

– Nie przesadzaj, Andželiko, pójdę do tego domu, tam wyżej, poproszę o pomoc, na pewno nas wyciągną, choćby traktorem...

Andželika popukała się w czoło.

– Lepiej nie, bo pole to poważna sprawa, prędzej cię podziurawią widłami! Widzisz, jak zryty jest ten zagon?

– No to co? Przecież mi łba nie urwą! – Filip roześmiał się z wyższością i ruszył w kierunku widniejących w dali zabudowań. Daga obejrzała się na Michała i Andželikę, pospiesznie szukających kamieni i gałęzi, żeby wydobyć samochód z grząskiej pułapki.

– Ja tam nic do niego nie mam, ale normalnie przesadził, żeby tak ludziom porządnym w szkodę...! – mruknęła Andželika. – Wsiadaj do tego gruchota i wyprowadź go z błocka, bo jak znam życie i tutejszych ludzi, to Filip wróci bardzo szybko i z widłami w plecach! Rozbobrował pół pola, przywałą mu jak nic!

W oknach domu zapaliły się światła. Chłopak wszedł do środka. Po chwili Dagmara usłyszała wściekły wrzask i Filip wybiegł z budynku w towarzystwie kilku nie całkiem ubranych osób. Na przedzie pędziła wielka kobieta w szlafroku.

– Ty dziki piesie pieprzony! – krzyczała. – Niech no ja cię tylko dopadnę! Zabiję! Nie daruję! Moje pole! Jeszcze mnie popamiętasz! Dziki pies! Powariowali z tym dzikim piesem! Już czwarty raz w tym tygodniu w pole mi jakiś idiota wjechał!

Kobieta biegła nieco wolniej niż Filip, ponieważ dzierżyła w ręku drąg. Za nią podążało dwóch mężczyzn.

– Matka, szybciej, bo ucieknie! – poganiał jeden z nich.

– Nie ucieknie! Już ja go dopadnę! – odkrzyknęła baba gromko. – Łeb ci rozwałę! Nogi z tyłka powyrywam. A ty, Józek, leć do wsi! Znajdź tego dzikiego piesa, co się na nasze pole uwziął, to musi być któryś od Walczaków, bo one jak psy wredne! Nie popuszczę...

– Od Walczaków?

– Co racja, to racja, Dziwoty też nie lepsze, no i Dyndy parszywe... Ich też przetrąć.

Tylko porządnie! Kija nie żałuj!

– Dobrze, matka, już lecę!

Józek oddzielił się od goniących i popędził w przeciwnym kierunku.

Kobieta z zadziwiającym wigorem kontynuowała pościg.

Daga nie czekała, aż dobiegną do niej. Rzuciła się do ucieczki.

Zobaczyła jeszcze, jak Filip potknął się o jakąś grudę ziemi, wpadł w błoto, wywinął koziołka, ale szybko się poderwał, widząc zbliżające się niebezpieczeństwo.

Dopadł samochodu ostatkiem sił. Daga już siedziała za kierownicą. Odjechali pospiesznie i zatrzymali się na poboczu przy znaku wjazdu do wsi.

– Musimy tu doczekać świtu – stwierdził Michał. – Prześpimy się. Nie ma sensu włóczyć się po wsi nocą. Nic nam to nie da. Zresztą nie wiemy, jak ich znaleźć.

Zasnęli poskręcani na siedzeniach. Obudzili się trzy godziny później.

Utopce okazały się maleńką wioską o niewysokich, położonych blisko siebie domkach, z niewielkim ceglanym kościółkiem, gospodą i sklepem. Dagmara uważnie przyglądała się mijanym budynkom, chcąc zobaczyć coś, co mogłoby się kojarzyć z mordą, mordami lub mordem, choć wolałaby pominąć tę ostatnią opcję, bo to nasuwało jej na myśl głównie zakrwawione ściany i powybijane okna oraz zwłoki w dużych ilościach, leżące bezładnie na ziemi. Na szczęście niczego takiego nie zobaczyła. Owszem, tu i ówdzie dało się dostrzec wbite w pniaki siekiery, co też mogło sugerować pewne niepokojące rzeczy, ale na szczęście ani jedna nie była zakrwawiona. Żadnego domu nie zdobił też kamienny maskaron. Ludzie ciekawie

przyglądali się wolno przejeżdżającemu samochodowi, głośno wymieniając uwagi.

– Może to jaka czarna wołga, co na dzieciaki poluje? – rzuciła jakaś kobieta zza płotu. –

Niby kolor nie ten, ale różowe w środku ma. Do domu, w tej chwili!

Na paniczny głos matki zbiegła się z całego podwórka liczna gromadka maluchów.

Michał z dezaprobatą popatrzył na znów nieco różową Andżelikę.

– No, czego się czepiasz? – pisnęła dziewczyna. – Głupie baby i tyle. Tutaj wszystkie

takie! Też mi czarna wołga! Po pierwsze szara, a po drugie szkoda. Zresztą kto by chciał im

porywać te brudne bachory?

Filip zatrzymał auto niedaleko kościoła. Dagmara wyszła się trochę rozejrzeć.

– Jest tu jakiś dom z mordami? Pensjonat albo co? – zapytała kobiety prowadzącej na

sznurku koszmarnie utytłaną krowę.

– Pensjonat? To znaczy taki jeden jest, Mucha, on pracuje za pensję, ale głównie zarabia,

ale pani chodzi chyba o takiego, no, wariata? Mieszka na końcu wsi, jak sobie popije, to szaleje,

że ha! – dodała z dumą. – Mordę ma, że za sam wygląd dziesięć lat, ale tylko jedną.

– Ale mi chodzi o hotel! Spory chyba!

– Hotel? W Utopcach? Niemożliwe! I do tego z mordami? Ni! Nic takiego tu ni mo!

Jest jedna duża ruina, ale ona ni mo żadnych mordów, ino morwy, dla robali.

– Ruina? Dla robali? – zapytała dziewczyna, nic nie rozumiejąc.

– A gdzie tam, krzaczyska dla robali, ruina to normalnie, dla pijaków jest. A bo co? –

zapytała kobieta nieprzyjemnym tonem. – Całkiem porządna, jeszcze stoi. O, tam dalij.

Podjechali pod wielki dom, dookoła którego rzeczywiście rosły gęste, obwieszone

owocami ni to wybujałe krzaki, ni to drzewa. Potężny piętrowy budynek był prawie całkowicie

zrujnowany i wyglądał jak opuszczony szpital psychiatryczny z porządnego thrillera.

Niezgrabna, szara i ciężka bryła przypominała na wpół rozebrany dwór. Ściany miała

w łaty, bo tynk odłaził wielkimi płatami, kilku okien, szczególnie tych górnych, brakowało.

Wszędzie wałały się resztki starych mebli, jakieś papiery i zbutwiałe szmaty. Było brudno, smutno, dziwnie i... niesamowicie.

Dagmarę chyba najbardziej przestraszyła niepokojąca atmosfera.

– Pudło – stwierdziła niechętnie. – To rzeczywiście tylko jakaś cholerna ruina. Co dziadek miałby tu robić?

– Masz rację – przytaknął skwapliwie Filip, włączając silnik. – Spadamy stąd! Co za okropne miejsce...

Pewnie odjechaliby, i to szybko, gdyby Andżelika nie zawołała nagle piskliwym głosem:

– Patrzcie! Tam jest wilk! Normalnie, kurczę, jak w horrorze!

Wszyscy popatrzyli z ciekawością na biało-szare stworzenie o niebieskich oczach, które dostojnie tarzało się w trawie pomiędzy drzewami, i choć dostojne tarzanie się w czymkolwiek jest bardzo trudne, zwierzęciu jakoś się to udawało.

– Bestia! – krzyknęła Dagmara.

– No co ty? – obruszyła się Andżelika. – To przecież nie diabeł, tylko wilk, choć w takim miejscu nigdy nic nie wiadomo.

– Ale to Bestia! Pies dziadka!

Dagmara wyskoczyła z samochodu, podbiegła do psa i ku przerażeniu Filipa zaczęła go przytulać. Po chwili zobaczyła, jak ze skrzypieniem uchylają się drzwi tego koszmarnego przybytku i ktoś daje jej jakieś znaki, nie wychodząc nawet na zewnątrz. Wszyscy wraz z psem, choć może nie w takiej kolejności, bo Andżelika, Filip i Michał woleli się trzymać z tyłu, niechętnie udali się w kierunku wzywającej ich postaci.

– Jak dobrze, że wreszcie jesteście! – zawołała pani Stasia, stając w progu. – Mam nadzieję, że Generał czuje się dobrze. – Kobieta rozejrzała się, jakby szukała kogoś pośród przybyłych.

– Pani Stasiu! – jęknęła Dagmara. – Co pani tu robi? Co z Kingą? I gdzie jest dziadek?

– Nie przyjechał z wami?

– Jakim niby cudem? – mruknęła dziewczyna. – Myślałam, że jest tutaj!

Pani Stasia oniemiała. Nerwowym gestem zatarła rękę.

– No bo był – odpowiedziała. – Był, ale go nie ma. Przyjechał tu z nami. Kazał nigdzie się stąd nie ruszać. Zostawił samochód i zniknął, a w domu... W domu dzieją się straszne rzeczy!

Dagmara rozejrzała się dookoła.

– Pani Stasiu! O czym pani mówi, chyba nie o tym czymś... Chodzi o to, że... Przecież to jakaś koszmarna ruina, a nie dom!

– Nie taka znowu ruina – odparła kobieta. – Może nie wygląda to najlepiej, ale nie jest tak źle.

Budynek, który z zewnątrz prezentował się potwornie, wewnątrz był istnym koszmarem.

Ogromnym, pustym, ponurym, brudnym i ciemnym. Kiedyś chyba zielona, teraz bura lamperia sprawiała, że przypominał zaniedbany szpital. Ze ścian łuszczyła się farba. Meble i inne sprzęty sprawiały wrażenie, jakby ktoś je porzucił podczas nagłej ucieczki lub ewakuacji. Drzwi wyrwane z zawiasów stały smętnie oparte o ściany albo kołysały się na resztkach futryn, inne skrzypiały złowrogo, kiedy się nimi poruszyło.

– Nie, nie, nie! Pani Stasiu, pani zwariowała, prawda? – zapytała Dagmara z nadzieją. –

Nie możemy się tu zatrzymać! To jakiś wygłup! Przecież to nie nadaje się do zamieszkania!

– Nieważne, czy się nadaje, czy nie, mamy tu siedzieć i czekać, aż wróci Generał! –

Pani Stasia westchnęła, po czym ciągnęła pewniejszym tonem: – On wie, co robi! Powiedział wyraźnie, że musimy tu zostać. Wszyscy!

– Ona nie mówi poważnie – wysapał Filip. – Nie możemy zamieszkać w tym... w tym bajzlu! Prawda? Nie możemy!

– Musicie – sapnęła pani Stasia, wzruszając ramionami. – Tak jest i już! Jak wróci, wszystko wyjaśni.

– Może nie będzie tak źle? – mruknęła Dagmara nie całkiem szczerze, licząc, że dziadek wróci za godzinę, najdalej dwie. Chęć uduszenia winowajcy własnymi rękoma mieszała się w niej z pragnieniem zamordowania pani Stasi choćby za pomocą młotka. Ta kobieta z pewnością we wszystkim maczała palce, a teraz odgrywa jakąś komedię.

– Kłopot tylko z tym, że w domu coś jęczy po nocach, ktoś stuka do okien, coś straszy... To jedyna niedogodność, ale przecież sobie poradzimy! – dodała prawie wesoło sąsiadka.

– Zaraz, zaraz, pani Stasiu! Na dodatek ta ruina jest nawiedzona?

– Kurczę, ale odlot! Normalnie czad! – Andżelika pisnęła, tak jak tylko ona to potrafiła.

– To nie wygląda na dom! Prędzej na jakiś szpital czy co?

– W sumie racja, kiedyś znajdowało się tu sanatorium.

– Dla wariatów? – Filip zbladł jak papier.

– Ależ skąd. Dla nerwowo i psychicznie chorych, dopiero potem zrobili z tego szpital, ale na krótko...

– Przecież nie musimy tu mieszkać? – Dagmara popatrzyła na kobietę z nadzieją, która niestety bardzo szybko zgasła.

– Musimy! – powiedziała twardo pani Stasia. – Ale kuchnia jest prawie całkiem w porządku, jeden salon, ten dolny też, i pokoje na parterze są zdatne do użytku, tylko korytarz trochę zagracony, no i góra. Tam lepiej nie chodzić.

Z jednego z pokoi wybiegła Kinga i rzuciła się Dagmarze na szyję.

– Dobrze, że jesteś, hm... jesteście – powiedziała niepewnie. – Razem będzie nam różniej, trochę tu dziwnie nocami...

– Kinga, kochana! Jak dobrze, że u ciebie wszystko w porządku. – Dagmara się ucieszyła, po chwili jednak spoważniała. – Co to w ogóle ma znaczyć? Dlaczego... Jakim cudem... Dlaczego nie zostałaś w Kraśniku?

– Twój dziadek mnie prosił. Powiedział, że to ważne. Że muszę mu pomóc cię tu

ściągnąć, bo od tego coś zależy, jakaś ważna sprawa!

– I ty się zgodziłaś? Uwierzyłaś mu? Zwariowałaś?!

– No wiesz... Twój dziadek jest rozsądny...

– Jasne! I co niby ci powiedział? Co to za ważna sprawa? Dokładnie!

– Dokładnie to powiedział, że nie może mi nic powiedzieć, ale to wszystko dla twojego dobra.

– Boże! Kinga, ty naiwniaczko... I co teraz? Zostajemy? Wracamy?

– Mamy tu zostać! – odparła twardo Kinga. – To konieczne!

– O, co to, to nie! – odezwał się Filip kategorycznie. – Nie ma mowy. Palicho dziadka, sam się znajdzie. Jest dorosły. Chciałaś uratować Kingę, okej. Znalazłaś ją i misja zakończona!

Ten dom, tfu, nie dom, to coś to istny koszmar!

– Przestań, Filip – mruknęła Dagmara. – To nie takie proste... Sam wiesz, że mama...

– A, jasne! Olała cię i pojechała do Turcji!

– Daj spokój, idioto – odezwał się Michał z dezaprobatą. – Jak możesz tak mówić? Nikt nikogo nie olewał. Pani Rogalska też ma prawo do odpoczynku.

– Znasz moją mamę? – zapytała niepewnie Dagmara.

Michał jakby się spłoszył.

– Nie, oczywiście, że nie, ale pomyślałem, że... No wiesz...

Dagmara popatrzyła na niego życzliwie, udając, że dała się nabrać na te mętne tłumaczenia. Coś tu się nie zgadzało, to był jakiś przekręt, jakaś afera, kłamstwo szyte grubymi nićmi.

– A jak ty się stąd do Warszawy dostaniesz? – zapytał złośliwie Filip. – Zdaje się, że mówiłeś o jakichś praktykach...

Michał wcale się nie przejął.

– Teraz mam wolne, przez pół dnia kombinowałem w Zwierzyńcu, jak to załatwić,



i udało się! Zostanę z wami, oczywiście dołożę się do wyżywienia, to jasne!

Andżelika nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ja bym też została. Dom jak dom, trochę przerażający, ale co tam... No i jak ten dziadek się znajdzie, to może weźmie mnie do opieki, tyle że nie mogę się dołożyć do żarcia.

Forsy nie mam, ale chętnie pomogę, posprzątam, ugotuję, kozę wydoję...

– Kozę? Oszalałaś? Skąd weźmiesz kozę? – odparł Filip, rechocząc, ale pani Stasia popatrzyła na niego prawie z politowaniem.

– Jasne, że mamy kozę! – oświadczyła, uśmiechając się do Andżeliki.

„Ja chyba śnię – pomyślała w popłochu Dagmara. – To nie ludzie, tylko demony, kosmiczne roboty, zombie albo inne duchy... Wszystko robi się coraz dziwniejsze. Może te stwory zjadły już dziadka, a teraz chcą pożreć mnie i Filipa? Na deser?”. Nie wiedziała, co zrobić. Zostać tu i zmarnować tę resztkę wolnego czasu, która jej jeszcze została? Właściwie nie miała wyjścia. Nie mogła wrócić do Warszawy. Cała sprawa z kluczami śmierdziała na odległość, bo na pewno nie zostawiła ich w domu przez przypadek, nie była tak roztargniona jak Kinga, ale fakt pozostawał faktem, domowa forteca pozostawała dla niej niedostępna.

Wyważanie drzwi i zmiana zamków nie wchodziły w rachubę, a Słodków? W tej chwili dom dziadka nie jawił się jako specjalnie bezpieczne miejsce, zresztą co za różnica? Tam wieś i tu wieś... Przez chwilę myślała o tym, by na czas całego zamieszania zatrzymać się z Kingą u Filipa, ale dwupokojowe mieszkanie jego rodziców zupełnie się do tego nie nadawało.

Z oddali, gdzieś z góry, zwielokrotniony pustką korytarza dał się słyszeć przeciągły pisk.

– Co to, do cholery, było?! – zawołał Filip z przerażeniem w głosie. – Boże kochany!

– Spokojnie – mruknęła Kinga. – To tylko Precel.

– Dog dziadka – wyjaśniła Dagmara. – Jak wlezie na fotel, a kocha to najbardziej na świecie, to te wielkie łapska zawsze jakoś mu się zasupłają i trzeba go rozplątywać, bo inaczej zaczyna strasznie wyć.

Dziewczyny pobiegły na górę. Widok, jaki ukazał się oczom Dagmary, był przerażający.

Bure ściany, poniszczone drzwi i powybijane okna robiły koszmarnie wrażenie. W jednym pokoju odnalazły Precla, rzeczywiście potężnie zapętlonego. Mimo że miał tylko cztery łapy, wyglądał jak wielki grafitowy pajak, który właśnie został zaatakowany przez krwiożerczy fotel. Chude i kościste kończyny sterczały na wszystkie strony i nie wiadomo było, od której zacząć, żeby uwolnić zwierzaka z tej przerażającej pułapki.

Po chwili ze schodów, dysząc, tupiąc i sapiąc, zbiegł...

– Kucyk? – jęknęła Andżelika.

– Nie – mruknął Filip. – Kucyki są mniejsze!

Szybko odsunął się pod ścianę, widząc, jak ogromny rozpędzony pies szarżuje wprost na niego.

– Weźcie ode mnie to bydlę! – pisnął, jak, nie przymierzając, panienka.

– Precel, daj spokój – westchnęła pani Stasia.

Zwierzak zatrzymał się posłusznie, rozejrzał po korytarzu i powoli, systematycznie zaczął obwąchiwać stojących. Nikt nie drgnął. Po chwili pies wszedł dostojnie do jednego z pomieszczeń.

– To nasza kuchnia – wyjaśniła pani Stasia.

Precel z łoskotem zwałił się pod stół.

– Trzeba uważać, bo już raz go przewrócił – powiedziała pani Stasia niespecjalnie przejęta. – Czyli postanowione. Zostajecie. Co rano przychodzi tu taka jedna baba ze wsi i druga do sprzątania. Ma na imię Krycha, nic do niej nie mam, ale trzeba na nią uważać!

– Dlaczego?

– No cóż, ostatnio szukała czegoś w moich majtkach!

– Pani Stasiu! – Dagmara zmartwiała. – Nie interesują mnie takie intymne szczegóły, fuj!

– No, źle się wyraziłam, owszem, grzebała w nich, ale nie miałam ich na sobie! –

Kobieta zamilkła speszona.

– Rozebrała panią?!

– Co ty wygadujesz?! – Pani Stasia szybko się pozbierała. – Buszowała w walizce!

W walizce z majtkami! A nie powinna. To nie do pomyślenia. – Zamilkła, ale po chwili znów

zaczęła, tym razem z innej beczki: – Zrobimy tak. Wszyscy oczywiście śpimy na dole.

Wybierzcie sobie pokoje. Są jednoosobowe. Rozpakujcie się. Odświeżcie... Ale mówię wam, ta

Krycha kłamie i coś kombinuje!

– Pani Stasiu, niech pani nie przesadza. Wyraźnie miała pani zbyt dużo stresu – oceniła

Dagmara, pewna, że właśnie okiełznała bestię. Krycha kłamie? Oczywiście każdy kłamie, pani

Stasia jest reliktem przeszłości, a też coś kręci, więc dziewczyna postanowiła się nie przejmować.

Filip nie był zachwycony.

– Ja zupełnie spokojnie mogę spać z Dagmarą – wydukał niepewnym głosem, jakby się bał zostać na noc sam. – Jesteśmy parą.

– Zupełnie spokojnie to ty możesz spać tam, gdzie ci każę – odparowała pani Stasia

złośliwym tonem, bez ceregieli przechodząc z chłopakiem na ty. – To nie Warszawa. Tu szanuje się tradycję i pewne zasady!

Szybko uporała się z przydziałem pokoi, zarządziła prace kuchenne, wysłała Andżelikę do sklepu...

– A co do pieniędzy, to nie musicie się martwić. Generał zadbał o wszystko. Mamy lodówkę, prąd, wodę, pomoc kuchenną i pełną spiżarnię. Jakoś damy sobie radę.

Dagmara jeszcze raz poczuła, że coś się nie zgadza. Owszem, dziadek mógłby zadbać

o wszystko, ale tylko wówczas, gdyby był jasnowidzem. Filipa powinien przewidzieć. Kingę też, sam w końcu ją tu przywiózł, ale Michał i Andżelika? Ich przecież nie mógł się spodziewać.

– Pani Stasiu – zagadnęła kobietę. – Skąd ten koszmarny pomysł zamieszkania

w ruinie? Po co to całe zamieszanie? Po co było mnie tu wlec aż ze Słodkowa? I o co chodzi z tą tajemnicą?

– Twój dziadek dostał jakąś wiadomość i powiedział, że to konieczne, chodziło o jakiegoś jego przyjaciela, tyle wiem – odpowiedziała pani Stasia wymijająco. – Przecież dzwonił do ciebie, sam ci mówił...

– Tylko że nic nie powiedział – obruszyła się Dagmara. – A ty, Kinga? Dlaczego, do cholery, wyłączyłaś telefon?

– Bo... tak wyszło, musiałam, najpierw pies zezarł mi ładowarkę, a potem Adam... Nie chcę o tym gadać! – odparła dziewczyna i zamilkła z wyrazem zdecydowania na twarzy. – Zresztą przecież dzwoniłam.

– Tak? I co powiedziałaś? Że ktoś cię porwał!

– Musiałam, inaczej byś nie przyjechała! On mi kazał...

– Kto? Dziadek? Kazał ci powiedzieć, że cię porwał, a ty oczywiście go posłuchałaś. To jakieś kretyństwo! I po co to było?

– Hm, już mówiłam, dla twojego dobra – mruknęła Kinga, wzruszając ramionami.

– Pani Stasiu... Proszę natychmiast... Żądam...

– Możesz sobie żądać – odburknęła kobieta. – I tak ci nic nie powiem! Sama nic nie wiem.

Mimo wrodzonej prawdomówności pani Stasia nie miała wyjścia. To było coś jak kłamstwo pod przysięgą. Przyrzekła Generałowi, że nic nie powie, i zamierzała dotrzymać słowa, zresztą jej wiedza była ograniczona.

\*

Minęło sporo czasu, zanim wszyscy, choć wyraźnie niechętnie, jakoś się rozlokowali.

Pokoje okazały się w miarę przyzwoite, ale cała reszta przyprawiała o dreszcze. Może zresztą w tej ruinie nie kryło się nic niezwykłego, ale fakt, że wcześniej działał tu szpital, i to

psychiatryczny, trochę wszystkich przerażał. Tak jakby szaleństwo było zaraźliwe, a jego duch przesiąknął mury i sączył się z nich na mieszkańców.

Oliwy do ognia dołała Andżelika. Wróciła z zakupami i zaaferowana wpadła do kuchni z rewelacjami.

– W sklepie mówili, że we wsi znów dzieje się coś strasznego. Że niby utopce wylazły i będą mordować ludzi. No co? – obruszyła się, widząc minę Dagmary. – Ja tam nie wiem, ale jak to opowiadali, to aż strach było słuchać.

– Daj spokój. – Pani Stasia machnęła ręką. – Utopce to pryszcz. Ja bardziej bałabym się miejscowych.

– Co pani?! – oburzyła się dziewczyna. – Ta ruina podobno jest przeklęta i kto tu zamieszka, „rychło gniewu zmarłych doświadczy”. Mówią, że w nocy duchy szaleńców wyją, diabły chichoczą, a dookoła krąży śmierć!

Zrobiło się dziwnie. Dagmara w duchy nie wierzyła, w diabły też nie za bardzo, ale atmosfera tego miejsca sprawiała, że można było jak najbardziej uwierzyć w czyjeś szaleństwo, i to takie bardziej skrajne, no a od obłądu do krwi na ścianach już całkiem blisko.

Jedynie Michał jakimś cudem nie poddał się makabrycznej atmosferze.

– Głupoty – odezwał się. – Zwykłe bajki. Nie zamierzacie chyba w to wierzyć? Ktoś jaja sobie z was robi i tyle. „Rychło gniewu zmarłych doświadczy”, aha, jasne, to co niby, tu są jakieś upiory? Niemożliwe!

Popukał się wymownie w czoło. Reszta popatrzyła na niego niepewnie. O ile duchy i szaleństwo jakoś jeszcze mieściły się w głowie, o tyle upiory już nie. Bywają dobre duchy i łagodne szaleństwo, ale upiory są wyłącznie krwiożercze!

W oddali dało się słyszeć wiązanek przekleństw i głośne złorzeczenia. Bardzo to wszystkich podniosło na duchu. Brzmiało swojsko i zwyczajnie, nikt przecież nie klnie na upiory, no i co ważniejsze, one same nie używają chyba słów na „k”.

– Walczak! Ja ci nie popuszczę! – wrzeszczała jakaś kobieta, biegnąc za niezbyt trzeźwym mężczyzną, który co chwila zataczał się, padał, kłął, wstawał i znowu potykał. – Gadaj, skądś go wziął, tego dzikiego piesa?!

– Jakiego piesa, Muchowo, ja nie mam piesa, żadniusieńkiego. Dajcie wy mi święty spokój!

– A, jeszcze czego?! Spokoju ci się zachciewa, a dzikiego piesa to znów żeś na moje pole nasłał!

– A to co? – zaniepokoiła się Dagmara, patrząc, jak mężczyzna z wrzaskiem przebiega przed bramą. Za nim pędziła tęga kobieta, klnąca jak stado szewców albo i cały cech z dodatkiem kilku warszawskich taksówkarzy.

– Chyba jakaś tutejsza tradycja – mruknęła pani Stasia. – Oni tak codziennie. Muchowa jakiegoś psa chyba szuka, czy ja wiem? Dzikiego.

Dagmara wymownie popatrzyła na Filipa i o mało nie wybuchnęła śmiechem. Chłopak, obrażony, w ogóle się nie odezwał. Pokręcił się ostentacyjnie po kuchni, a potem zniknął. Wyszedł z domu i wrócił dopiero tuż przed kolacją.

– Dziura jakich mało, zanudzimy się tu na śmierć, nic tu nie ma, zupełnie nic! – oznajmił, siadając do stołu. – Ledwie kilka domów, jakaś rzeczyna, staw i nic więcej.

– Ta, jak mówisz, rzeczyna, to Tanew! – burknęła pani Stasia śmiertelnie obrażona, jakby doznała krzywdy bardzo, strasznie i okropnie osobistej, jakiegoś niedopuszczalnego afrontu i zbezczeszczenia świętości narodowych.

– Tak czy siak, rzeczyna, a to tutaj to wiocha, że aż strach. – Filip powiódł ręką dookoła. – Koszmar. Błoto, krzaki, komary i wiejskie pijaczki.

Przemawiał, jakby pozjadał wszystkie rozумы. Większość jego znajomych była zresztą zdania, że niewiele było do zjedzenia... Jedyne Dagmara wciąż usiłowała sobie tłumaczyć chamskie odzywki narzeczonego i właśnie miała to zrobić, ale nie zdążyła, bo w tym momencie

do kuchni wpadł Bestia. Miał zadowoloną minę, w oczach tliły mu się iskierki radości, a ogon w dzikim tańcu obwieszczał wszem wobec, że pies ponownie narozrabiał.

– O, nie – jęknęła pani Stasia. – Na pewno znów coś zwinął! Odkąd nie ma dziadka, trudno nad nim zapanować. Strasznie kradnie!

Bestia ułożył się obok lodówki, wymownie patrząc to na jej drzwiczki, to na siedzących przy stole ludzi, jakby chciał ich zmusić do reakcji. Z miny zwierzaka można było wyczytać, że ktoś szybko powinien zapłacić haracz, bo inaczej będą kłopoty.

– Dawaj to, obwiesiu – westchnęła Dagmara, wyjmując z lodówki kawałek kiełbasy.

– Wiem, wiem, że to niepedagogiczne, ale co mam robić? Muszę mu to zabrać, bo schowa i nawet się nie dowiemy, co to było ani gdzie się podziało... Przy tej liczbie pomieszczeń można by szukać miesiącami! Patrzcie. Telefon. Kto zostawił na wierzchu komórkę?

Wszyscy nerwowo zaczęli się klepać po kieszeniach.

– Jezus Maria! – pisnęła pani Stasia. – To telefon Generała! Jest zakrwawiony...

Spojrzeli na czerwone plamy na pysku Bestii i na aparat. Wyglądał paskudnie, jakby ktoś wyjął go z krwawej kąpieli.

– A gdzie tam zakrwawiony, pani starsza to normalnie ma nie po kolei w mózgowicy!

Buraczki! – westchnęła Andżelika. – Zeżarł mi pół miski, kradziej jeden, utarłam do bluzki, żeby była różowa!

– Farbujesz bluzkę buraczkami? – Michał popatrzył na dziewczynę z niedowierzaniem.

– A co, nie wolno?! – odgryzła się Andżelika. – Zresztą odczepcie się od moich buraczków! Zajmijcie się lepiej telefonem, bo wam pani starsza zejdzie na zawał jak nic! Rzeczywiście kobieta wyglądała okropnie. Była bladoszzielona. Wszyscy oglądali komórkę, podając ją sobie z rąk do rąk.

– Pani Stasiu, co tu się dzieje? – zapytała ostro Dagmara, licząc na cud. Zadowoliliby się choćby jedną konkretną odpowiedzią, ale się nie doczekała.

– Nie wiem. Nie wiem... Naprawdę nie wiem. Słabo mi... – pojękiwała pytana,

wyraźnie nie mając ochoty mówić nic więcej.

– Niech pani zacznie od początku, może to coś da – zaproponował Michał.

– Od jakiego początku? Ja nic nie wiem! Generał wpadł do mnie strasznie

zdenerwowany, była tam taka kukła, kazał mi się pakować. Mówił, że to niebezpieczne.

Wyjechaliśmy. Nic więcej nie chciał zdradzić. Kazał tylko zawiadomić Dagmarę.

– Czyli uciekaliście? Tak?

– Coś w tym rodzaju. Chyba...

– Chyba?! – oburzyła się Dagmara. – Jak to? Powinna pani wiedzieć, czy pani ucieka, czy nie! – Dziewczyna kipiała wściekłością.

– Generał nie chciał mi nic wyjaśnić – odparła twardo pani Stasia, dochodząc do siebie.

– Wyjechaliśmy w pośpiechu, stało się coś ważnego, ale nie powiedział mi co... Ktoś zadzwonił i strasznie wygrażał, że mu nie daruje, że go zabije... Że coś tam mu powyrywa. Gadał jeszcze o Utopcach i o jakimś spadku. Kiedy tylko przyjechaliśmy tutaj, Generał oświadczył, że musimy tu zostać, żeby nie wiem co, i że coś może się dziać, coś paskudnego, ale żeby pod żadnym pozorem nie wyjeżdżać. Zresztą jak? Zabrał kluczyki od land rovera...

– O co chodzi z tym spadkiem? – zaciekawiała się Dagmara.

– A żeby to ja wiedziała! – westchnęła teatralnie pani Stasia.

– I co dalej?

– Nic. To wszystko. No i w nocy rzeczywiście coś się dzieje, a Generał zniknął.

Pojechał coś sprawdzić, coś dotyczącego tego spadku, ale co? Nie wiem i nie mam pojęcia, gdzie się podziewa, nie powiedział, dokąd jedzie. Myślałam, że wróci z wami, ale ten telefon? Może go ktoś uprowadził? Uwięził? Porwał?

– Tylko po co?

– Skąd mogę wiedzieć? Może sobie narobił wrogów?



– Handlował czymś? – podsunął Filip lekko rozmarzony. – Może narkotykami?

– Głupek! – warknęła Daga. – O, przepraszam, kochanie, ale to niedorzeczne, dziadek to porządny człowiek! Prędeż któraś z tych jego bab...

– Taki był z niego kogut? – Andżelika uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

– Zamknij się, Andżelika! – obruszyła się pani Stasia. – Wam tylko świństwa w głowie!

Chodzi o te biedne gospodynie, co je tresował jak rekrutów, któraś mogła chcieć się zemścić!

Choć w sumie to mało prawdopodobne.

– Dlaczego? To co, gospodynie domowe nie mają prawa się mścić? Cóż to za dyskryminacja!

– Nic z tych rzeczy, jak chcą, to proszę bardzo, ale Generał nie uciekałby przed byle babą ze ścierką! To musiało być poważne niebezpieczeństwo, prawdziwe! Takie, no...

– Krwawe? – jęknęła Kinga.

– Z nożem w plecach? – podpowiedziała rozmarzona Andżelika.

– A niech wam język kołkiem stanie! – Kobieta się obraziła. – Wy, młodzi, w ogóle nie macie pojęcia, kim jest Generał! To wspaniały człowiek!

„Oho! – jęknęła Dagmara w duszy. – Będzie się działo. Wspaniały człowiek? Teraz nagle wspaniały, a wcześniej co mówiła? Nieodpowiedzialny, szalony, wariat. Wciąż na niego donosiła... Hm, albo pani Stasia ma zaniki pamięci, albo szykuje się jakaś grubsza afera”. Po chwili zastanowienia wybrała pierwszą ewentualność. Afera jej nie interesowała. Wcale, w żadnym wypadku, a tym bardziej krwawa, z nożem w plecach.

Zjedli kolację w niewesołych nastrojach i rozeszli się do swoich pokoi. Andżelika zajęła klitkę obok pani Stasi po lewej stronie, a Kinga i Dagmara dwie sypialnie po prawej. Filip niechętnie udał się do pokoju po drugiej stronie korytarza, a Michał trochę jeszcze pokręcił się po podwórku, dokładnie obejrzał okna i drzwi oraz zamknął drzwi wejściowe, zostawiając psy na korytarzu.

Nie bardzo wierzył w duchy. Sądził, że ewentualne nocne niepokoje to raczej sprawka żywych ludzi, więc wolał się upewnić, czy wszystko zabezpieczono jak należy, choć stan obiektu sprawiał, że było to najzwyczajniej w świecie niewykonalne.

Miał jeszcze coś do zrobienia, o czym nikt nie mógł się dowiedzieć, a do czego potrzebował Bestii. Szalony pies raz już pokrzyżował mu szyki, teraz więc musiał pomóc. Cicho zakradł się do pokoju pani Stasi, kiedy kobieta brała prysznic...

\*

Jakąś godzinę później obudziły wszystkich straszne, zduszone, wręcz potworne jęki, odbijające się echem od pustych ścian korytarza.

– Mówiłam! – krzyknęła z nieskrywanym zadowoleniem pani Stasia, wybiegając w szlafroku z sypialni. – Uprzedzałam, że coś się dzieje!

Dobiegające z głębi korytarza odgłosy przypominały kwik zarzylanego świniaka i piski stada przerażonych szczurów.

– Szybko! To gdzieś po drugiej stronie! – wrzasnęła Kinga, biegnąc ciemnym korytarzem.

Z oddali dochodziło narastające i coraz bardziej potworne wycie. Po chwili dało się słyszeć coś jakby dźwięk piły mechanicznej.

Andżelika z przenikliwym piskiem przeskakiwała pozostawione, gdzie popadnie, resztki mebli, za nią pędziły pani Stasia i Dagmara. Pisk dziewczyny powodował drżenie resztek szyb w oknach i zawroty głowy, przez co Dagmara miała ochotę zakneblować ją czymkolwiek, choćby skarpetką.

– Boże! To wyje z pokoju Filipa! – zawołała z niedowierzaniem. – Ktoś go dusi!

Błyskawicznie dopadła drzwi, nie zważając na niebezpieczeństwo. Nic jej nie obchodziło.

Ratowanie ukochanego to przecież był jej święty obowiązek. Najświętszy. Otworzyła drzwi.

Filip wył. Coś charczało.

Pani Stasia stanęła w progu niczym niezłomny Rejtan w szlafroku, na szczęście zapiętym pod szyję, ale tak czy siak w jednoznacznie heroicznej postawie.

– Nie wejdiesz tam, Dagmara! – krzyknęła histerycznie. – On może być nagi!

– Albo martwy! – sapnęła dziewczyna wściekle.

– Nie, nie dałby rady tak wyć – trzeźwo oceniła Andżelika, wzruszając ramionami. –

Normalnie trupy to cichsze są.

Pani Stasia zajrzała do pokoju, jakby się bała, że Filip jest nie tylko goły, lecz także poćwiartowany.

– Kretyn! – prychnęła, cofając się, ale po chwili znów wsadziła głowę do środka

i wrzasnęła na chłopaka: – No wiesz co?! Chyba oszalałeś, żeby nas budzić po nocach z takiego powodu! Co z ciebie za chłop?

– Chłop, nie chłop, ale ktoś go morduje! – jęknęła Dagmara już mniej pewnie.

– Morduje, zaraz morduje... To Precel się tylko zapętlił, biedaczek! Chciał się położyć, zapomniałam powiedzieć, że on tu sypia. Chodź, piesku, cicho, cicho. Ale trzeba przyznać, że warczy pięknie, jak piła mechaniczna...

– A swoją drogą, gdzie Michał? – zapytała nagle Dagmara, zorientowawszy się, że chłopaka brakuje wśród zgromadzonego towarzystwa.

– Nie ma go – powiedziała Kinga, której dopiero teraz udało się dotrzeć pod pokój Filipa. – No co? Zajrzałam. Pewnie gdzieś poszedł.

– W nocy?! – zbulwersowała się pani Stasia. – Zaglądałeś do niego w nocy? To niedopuszczalne!

– Tak, wiem. Mógł być nagi! – odparła Kinga złośliwie. – Pani Stasiu. To dla mnie nie problem. Widziałam już kilku nagich facetów, w tym paru całkiem nieźle zbudowanych.

Pani Stasia spłoniła się jak pensjonarka i o mało się nie przeżegnała. Dziewczyny popatrzyły na siebie i bezgłośnie parsknęły śmiechem, widząc to święte oburzenie.

Filip był wyraźnie obrażony.

– O, co to, to nie! Nie będę tu spał! – krzyknął. – Mowy nie ma! Ani chwili dłużej! Ja nie spiam na psich posłaniach! Jak mogliście mnie tak potraktować?! Przecież to niehigieniczne... I ta cała sierść! Mogę dostać jakiejś choroby odzwierzęcej!

– Precel jest zdrowy! – mruknęła Dagmara. – Nic ci nie będzie!

Wielka romantyczna miłość do Filipa wcale jej nie przeszkadzała mieć go czasami dość.

Szczególnie ostatnio. Zaczynał ją denerwować, nie żeby zaraz strasznie, okropnie czy coś. Tylko raz czy dwa miała ochotę go udusić albo przetrącić czymś ciężkim, ale oczywiście z miłości.

– Trudno, przenieś się gdzie indziej. Weź pościel, ale ostrożnie, nie wszędzie mamy światło.

Filip zwinął kołdrę, poduszkę oraz prześcieradło i z utyskiwaniem powlókł się do pokoju obok. Z trudem rozłożył wszystko na łóżku i obraził się na całe towarzystwo.

Umiał się obrażać w taki sposób, żeby niczego nie tracić, wywoływać poczucie winy u wszystkich dookoła i dostawać to, czego chce. Umiejętność tę doprowadził przez ostatnie kilka miesięcy do perfekcji, bo Dagmara, zapatrzona w niego jak w obrazek, na wszystko mu pozwalała.

– Nie chcę waszej herbaty! Chcę spać! – odpowiedział, kiedy zaproponowano mu zadośćuczynienie za straty moralne.

– Dziwny jakiś ten twój narzeczony. Obrażliwy, strachliwy, marudny... Całe szczęście, że go kochasz, bo inaczej byś z nim nie wytrzymała! – skwitowała zachowanie chłopaka pani Stasia. – I żeby tak z powodu pieska? Aż wierzyć się nie chce!

Precla z ledwością można było nazwać psem, a już zdrobienie zupełnie do niego nie pasowało, ale pani Stasia miała trochę racji. Tyle wycia i przekleństw z powodu zwierzaka? To rzeczywiście stawiało odwagę Filipa pod dużym i bardzo zapętlonym znakiem zapytania.

– A gdzie Bestia? – zapytała Dagmara, ziewając.

– Pewnie Michał go zabrał, poszli gdzieś razem. Na spacer może.

– Nocą? – Andżelika aż zakrztusiła się herbatą. – Tutaj po zmroku się nie wychodzi! To nienormalne. No, chyba że po pijaku!

– Ach, wiesz, normalność to rzecz względna – odparła pani Stasia, ale Andżelika nie chciała się z nią zgodzić.

– Co pani opowiada? Spacerować nocą po trzeźwemu? To nie tylko nienormalne, to niebezpieczne!

– Pewnie zaraz wróci – mruknęła Daga, też trochę zdziwiona nieobecnością chłopaka.

– No, jak spotka utopce, to raczej nie – skostatowała Andżelika.

Pani Stasia spiorunowała ją wzrokiem.

\*

Spały spokojnie, o ile było to możliwe w tak dziwnym miejscu. Przywodziło im na myśl stare cmentarze, opuszczone domy szalonych morderców, miejsca spotkań przygodnych, choć niezbyt pogodnych duchów albo psychopatów, lochy mrocznych zamków, gdzie lepiej czułby się Drakula niż współczesna warszawianka.

Dagmarze śnił się mroczny cień z zakrwawioną siekierą, goniący ją po niekończącym się labiryncie pokoi i korytarzy.

Pani Stasia spała o wiele lepiej. Najwyraźniej zdążyła się już przyzwyczaić do niezwykłego lokum, poza tym noc była nadzwyczaj spokojna, jeżeli nie liczyć wrzasków Filipa.

Uświadomiła sobie ten fakt z wyraźnym zadowoleniem, ale po chwili radość bezpowrotnie minęła. Z oddali znów dało się słyszeć jęki.

Były inne niż te, które budziły ją co noc. Jakby bardziej przerażone, za to mniej przerażające. Pani Stasia uznała, że to z powodu jasnego już, choć wczesnego jeszcze poranka.

Znów zwlokła się z łóżka i wyszła na korytarz. Po jakimś czasie dołączyła do niej Andżelika i reszta mieszkańców.

– Znów Filip? – zapytała Dagmara z niedowierzaniem.

– A temu co?! – zawołał Michał, przecierając oczy. – Czemu tak piszczy? Zobaczył mysz?

Roześmiał się złośliwie, co nie uszło uwagi Dagmary.

– Ja tam wejść – zadeklarowała, ale zrezygnowała, widząc pełne zgorszenia spojrzenie pani Stasi. – Wiem, wiem, on może być nagi!

Michał otworzył drzwi na oścież i zobaczył Filipa, wprawdzie nie całkiem ubranego, ale też nie nagiego. Chłopak siedział skulony pod oknem, zawinięty w kołdrę. Jęczał.

– Ja, ja, ja... Jak mogliście mi to zrobić? To nękanie! Mobbing! Znęcanie się psychiczne nad bezbronnym człowiekiem! To pani sprawka, tak? Chce pani, żebym dostał zawału! Kora z Miedzianego Grodu, Kasztelan z Zatrutych Źródeł, Sara z Olkusza...

– Oszalał? – zapytała Kinga niezadowolona, że nie mogła dłużej pospać. – To obłąd, jak nic. Jest tu jakiś lekarz?

– Tuż obok mieszka weterynarz – westchnęła pani Stasia. – W razie czego będzie musiał wystarczyć.

Filip był mniej więcej tak zielony i drżący jak galaretka agrestowa.

– Kazaliście mi spać w kaplicy cmentarnej? Ze zmarłymi wariatami?

Dopiero teraz rozejrzeli się po pokoju. Rzeczywiście na półkach i półeczkach wybitych w ścianach stały niewielkie pojemniki, też jakby kamienne. Nie były przerażające, ale jednoznacznie kojarzyły się z miejscem ostatniego spoczynku.

– Spałem ze zwłokami? – Filip robił się coraz bardziej blady.

– A gdzie tam! To tylko urny! Tu nie ma żadnych zwłok, tylko prochy!

– A to, to co? Niby nie zwłoki? Ci wszyscy ludzie? Przecież żywi nie są?

– To tylko psy i konie. Dawny właściciel urządził to miejsce, chyba dlatego że nie ma w pobliżu specjalnych cmentarzy dla zwierząt. Nie chciał ich wyrzucać na śmietnik. Ty jesteś

jakiś koszmarne przewrażliwiony, zresztą sam sobie wybrałeś pokój! Zapomniałam powiedzieć o kapliczce... No, po prostu wyleciało mi z głowy.

– Spałem w kaplicy? Cmentarnej? Nie zostanę tu ani chwili dłużej! Wy jesteście jacyś nienormalni! Świątynia dla psów! No kurczę... Odwala wam!

– Licz się ze słowami – burknął Michał.

– To weź sobie inny pokój – poradziła Kinga. – I nie przesadzaj! Też mi problem.

Kaplica... Coś ty taki? Boisz się?

Filip aż się zaczerwienił. Jak każdy tchórz najbardziej bał się nazwania swojej słabości po imieniu.

– Oczywiście, że nie! Są tu jeszcze inne tego rodzaju atrakcje? – zapytał, udając obojętność, ale nie za bardzo mu to wyszło. – Rzeźnia? Prosektorium? Pokój straceń? Może izba tortur? Znowu mnie gdzieś wpakujecie?! Lepiej prześpię się na korytarzu!

– O matko, przecież nie brakuje tu miejsca... – Michał wzruszył ramionami.

– A ty gdzie się podziewałeś w nocy, co? – zapytała Dagmara, dopiero teraz przypominając sobie o nieobecności chłopaka. – Martwiliśmy się, wiesz...

– Nie mogłem zasnąć – odparł, ziewając. – Wziąłem psa na spacer.

– W nocy? – zdziwiła się dziewczyna.

– Oj tam – mruknął, nie chcąc wdawać się w dyskusję, i uciekł do swojego pokoju.

Rano, czyli właściwie niedługo potem, Dagmarę obudziły łomoty i stuki dochodzące z kuchni. Zwlokła się z łóżka ledwie żywa.

– Znowu Filip?

– Nie, to Kusiakowa. Sprząta tutaj, gotuje... Kręci się po domu. I jest okropna. Ta baba to koszmar! Czy ona zawsze musi budzić nas o szóstej? – jęknęła Kinga, wychodząc ze swojego pokoju.

– Myślałam, że ktoś rozwała ściany!

Znów dobiegł je przerażający łomot.

– Może tłucze kotlety? – westchnęła Kinga z rozmarzeniem.

– Chyba że stalowe! Ten huk zdecydowanie nie pasuje mi do kotletów. Czy ona nie może zachowywać się ciszej?

– Nie, ale głośniej zdecydowanie tak – zapewniła Kinga. – To baba z piekła rodem i z mózgiem inkwizytora. Moher do kwadratu. Trzeba na nią uważać.

W tym momencie dał się słyszeć złowrogi wrzask. Potem dotarły do ich uszu pluski, tupanie i złorzeczenia oraz kilka kwiecistych wiązanek, zakończonych pospiesznym: „amen!”.

Po chwili rozległ się pełen satysfakcji basowy głos:

– Ryja nie miał! Dziabuł jeden! Ubiłam dziabuła!

Dziewczyny popatrzyły na siebie zdziwione. Z kuchni dochodziło teraz głośne sapanie.

– A masz!

Łup. Metaliczny, potwornie głośny dźwięk wywabił na korytarz również panią Stasię.

Ona też nie miała ochoty wchodzić do kuchni.

– A masz! – Kolejne łup. – Nie uciekniesz mi! Zaraz mnie popamiętasz! Więcej łupoł nie będziesz na porządnych ludzi, dziabule jeden!

– Co ona tam robi? – zapytała zachłannie Dagmara, bojąc się zajrzeć do pomieszczenia.

– Pewnie znowu coś zabija. Ona z tych skrajnie bogobojnych. – Pani Stasia trochę speszona wzruszyła ramionami. – Zawsze sobie coś znajdzie.

– Mówi pani o... o czymś żywym? Chodzi mi o węże, szczury? Czy ja wiem? Pająki?

– A gdzie tam – wtrąciła się Andżelika. – Przecież wyraźnie mówi, że dziabuła! Kto by tam zabijał myszy, od tego są koty! Szczury czy pająki to pryszcz, ona chce załatwić szatana!

– Aha. – Dagmara miała nieodparte wrażenie, że ktoś tu zwariował. – Często tak robi?

– No, dosyć... Właściwie codziennie – odpowiedziała niechętnie Kinga.

– Skąd go bierze? – zdziwiła się Dagmara. – Myślałam, że...



– Skąd go bierze, skąd go bierze... Sama nie wiem. Wczoraj rano załukła kopyścią świeczkę w kształcie kota... Prawie stół rozwalila. Ona potrafi wszędzie diabła zobaczyć! Jest bardzo zdolna w tym zakresie, a dziś najwyraźniej coś jej łypało.

– Łypało, mówi pani?! O, nie! – jęknęła Andżelika. – Tylko nie to!

Dziewczyna rzuciła się do kuchni z rozpaczą w oczach.

– Uważaj! – krzyknęła pani Stasia. – Jeszcze tobie przyłoży!

Wbiegły, a raczej weszły, zresztą może tylko lekliwie wsunęły się do pomieszczenia, po którym szalała potężna kobieta w chustce na głowie. Nawiasem mówiąc, płeć nieznajomej nie była aż taka oczywista. Co prawda miała biust i nosiła kraciatą spódnice, ale twarz zdobiły wąsy.

– Zabiłam dziabuła! – wystękała wyraźnie zasapana Kusiakowa. – O!

Z zadowoleniem wskazała jakieś różowe szczątki walające się po stole i po podłodze. –

Bezmordy kot z piekła rodem!

– Mój telefon! – jęknęła Andżelika.

W bezkształtnej masie z trudem dało się cokolwiek rozpoznać, Dagmara jednak bez trudu przypomniała sobie słodką komórkę z wizerunkiem Hello Kitty.

– Bezmordy kot? – powtórzyła bezwiednie.

– A tak! Piekielny! – zapewniła kobieta, zabierając się do sprzątnięcia. – Chciał mnie opętać. Świecił do mnie! Łypał! No, mówię wam, tak ło, ło, łypał, że strach! – Otarła pot z czoła.

– Śniadanie zara będzie. Kawa na stole, Krycha już bułki niesie.

W tej chwili w drzwiach pojawiła się dziewczyna. Niewysoka, niezbyt ładna, ubrana byle jak i do tego całkiem potargana. W dłoniach ścisnęła reklamówkę z pieczywem.

Andżelika starannie pozbierała resztki komórki. Spod szafki wygrzebała kartę SIM.

Wyglądała na nietkniętą, za to bateria, która wylądowała w misce z brudną wodą, raczej nie nadawała się do użytku. Dziewczyna westchnęła ciężko.

– No i po telefonie! I co ja teraz zrobię? Taki był słotaśny... – powiedziała do siebie

z ponurą miną. – Różowiutki!

Usiedli do stołu w jadalni, to znaczy w wielkim pomieszczeniu o ścianach tak oblaźłych z farby, że kojarzyłyby się z łaciatą krową, a może nawet z całym stadem, gdyby istniały krowy w kolorze zielonkawych wymiotów.

– Paskudnie tu – oceniła Dagmara, rozglądając się z niesmakiem. – Brudno i jakoś tak niesamowicie. I ten pogłos...

Tak jak we wszystkich pustych i zaniedbanych pomieszczeniach, tak i tu rozlegało się coś w rodzaju delikatnego echa.

– Czuję się, jakbym był jakimś pieprzonym skłotersem – warknął Filip od progu. – Ten dom idealnie nadaje się na scenografię do horroru.

– No... – potwierdziła Krycha, podając im bułki. – Z letka tu makabrycznie.

– Nie gadaj głupot! Zjedzmy, potem się rozejrzemy. Rozpakowaliście się już? – ucięła pani Stasia.

Okazało się, że właściwie tak, choć nie do końca. W samochodzie zostało jeszcze kilka puszek, woda mineralna, reklamówki i oczywiście...

– Boziuniu jedyny, co to?! – krzyknęła przeraźliwie Kusiakowa, widząc Dagmarę wracającą z podwórza i niosącą w dwóch palcach makabryczną lalkę znaną obok domu pani Stasi.

– Po coś ty to przywlokła?! – jęknęła starsza pani, łapiąc się za serce. – Trzeba było zostawić i nie ruszać!

– O kurczę! – sapnęła Krycha i przeżegnała się bojaźliwie. – Nieszczęście! Takie to zwiastują wielkie nieszczęście. Śmierć albo i co gorszego...

– A tam, zaraz nieszczęście! – Pani Stasia usiłowała zapobiec katastrofie, ale nie bardzo wiedziała jak. – Lalka jak lalka.

– Toż to śmiertelna kukła! Z powrozem wisielczym na szyi. Oj! Nieszczęście,

nieszczęście – biadoliła Krycha przy wtórze posapywań Kusiakowej.

– Takie to tylko diabła przyzywa! Nie wolno na to patrzeć! Spalić trzeba i popioły rozsypać. Księdza wezwać i poświęcić, żeby szatan tu nie miał dostępu...

– Głupoty – wtrącił się Michał. – Schowamy ją w szafie i z głowy. Teraz pójdziemy się rozejrzeć na piętrze.

Zdecydowana postawa chłopaka sprawiła, że baby się zamknęły.

Z ciekawością lekko podszytą lękiem udali się na górę. Weszli na piętro i znaleźli się w długim, posępnym korytarzu. Po obu jego stronach ciągnęły się drzwi do pokoi, tak jak na dole zdewastowanych, brudnych i pustych. Było ciemno. Dwa okna, przez które powinno wpadać światło, zabito deskami, podobnie jak powybijane okna w pokojach. Na dodatek nie było prądu.

– Wywaliło tu korki, zresztą i tak ktoś ukradł większość żarówek – poinformowała Kinga. – To dlatego lepiej tu nie chodzić nocą.

– A kto chciałby to robić? – mruknął Filip. – Chyba tylko jakiś samobójca!

– Wypluj te słowa – jęknęła pani Stasia. – Tego nam jeszcze tu trzeba!

– Albo jakiś ten, no, morderca – dodała po chwili Andżelika.

– Zwariowałaś?

– Kiedy by pasowało! Normalnie jakby jeszcze te ściany krwią pomazać, toby niezły odlot był!

Wszyscy zbili się w ciasną grupkę. Zaglądali do pokoi prawie zupełnie pozbawionych sprzętów. W niektórych stały tylko zdezelowane tapczany, w innych połamane krzesła albo szafki nocne, ale ogólnie prezentowały przykry i smutny widok. Na ścianach to tu, to tam wymalowane były jak napisy sławiły szatana oraz szczegóły damskiej i męskiej anatomii.

Wrócili na dół, nie bardzo wiedząc, co robić. Filip domagał się informacji o liczbie sanitariatów.

– Są dwie łazienki, w jednej prysznic, w drugiej wanna. Dziś ma przyjść hydraulik i naprawić jeszcze jeden prysznic, ale miał się zjawić już dwa dni temu i nic. Nie sposób na nim polegać. Fachowiec od siedmiu boleści!

– I co my tu będziemy robić? Ani radia, ani telewizji...

– Internat tu będzie! – wrzasnęła z kuchni Kusiakowa. – Od jutra!

– Internat? W tej ruinie? Przecież tu trzeba by zrobić remont!

– E tam, remont niepotrzebny, bo ksiądz proboszcz kazał na wieży huncwota powiesić!

– Powiesił człowieka na wieży?! – zbulwersowała się Dagmara, nie wiedząc, o co chodzi. – I od tego...

– Broń Boże! Nie człowieka, co wy, takie miastowe, a takie głupie! – obruszyła się Kusiakowa. – Huncwota!

– Może hotspota? – podsunął, krztusząc się, Michał. – Ale na wieży?

– No przecież mówię! Powiesił, gdzie chciał. Wolno mu! Toż to ksiądz proboszcz!

U nas ksiądz proboszcz osoba święta, może robić, co chce!

– Idźcie sobie na spacer, na jagody. – Pani Stasia przerwała dyskusję, która niebezpiecznie zaczynała zbliżać się do tematów, jakich w żadnym wypadku nie należało omawiać z tubylcami, a zwłaszcza z Kusiakową, chyba że miało się ochotę na szybką, aczkolwiek bardzo bolesną śmierć.

Na jagody skusiła się Kinga, po chwili dołączyła do niej Andżelika. Filip zaś postanowił iść z Krychą, którą Kusiakowa wysłała po zakupy.

Dagmara została w domu. Dłuższy czas krążyła po pustych pomieszczeniach, rozglądając się z zaciekawieniem. Wzięła ze sobą kukłę, którą zamknęła w nocnej szafce w jednym ze zrujnowanych pokoi na parterze.

[5] *Roztocze*, autor nieznany.

### **Rozdział III**

Zbieranie jagód nie jest specjalnie męczące, jeżeli korzystasz się z niedozwolonych narzędzi, takich jak specjalne grabki. O tym, że są niedozwolone, wie chyba każdy, ale mało kto się tym przejmuje. Kinga też bez większych problemów zwalczyła wyrzuty sumienia, tłumacząc sobie, że raz to nie grzech, a poza tym jak zrywać jagody z ręką w gipsie?

Początkowo nic nie zapowiadało katastrofy. Dziewczyny weszły w las znajdujący się niedaleko, tuż za drogą.

– Świrnięta ta Kusiakowa, nie? – zagaiła Kinga, nie bardzo wiedząc, o czym rozmawiać z Andżeliką. Są sytuacje, w których posiadanie tytułu magistra biologii nie pomaga, a wręcz przeszkadza.

– E tam, zaraz świrnięta... Po prostu nawiedzona. Widzi diabły i takie różne, wiesz...

Teraz wciąż się mówi, że trzeba uważać na szatana, no i ona uważa.

– I dlatego rozwaliła twój telefon?!

– Jasne! Jeden tutejszy wikary mówił, że Hello Kitty to diabeł.

– Czyli rozwaliła diabła chochlą do zupy? I ty uważasz, że to normalne?!

Kinga, choć tylko z filmów, wiedziała, że chochla do zupy nie jest przedmiotem skrajnie okultystycznym.

– Nic innego nie miała pod ręką. Siekiera też byłaby dobra. Kusiakowa wie najlepiej, co w trawie piszczy!

– No, no, ciekawie tu macie, ale wiesz... – Kinga popatrzyła uważnie dookoła i wskazała przed siebie. – Lepiej uważaj, bo tam jest jakiś dół.

Okolica dotąd była mniej więcej płaska, ale w pewnym momencie zmieniła zdanie i trochę się zapadła, niestety zapomniła o tym uprzedzić.

– Uważaaaaam! – jęknęła Andżelika, wpadając w rów pełen wody. – Cholera! Spodnie do prania. Widzisz, lepiej o diabłach nie rozmawiać, bo można wypowiedzieć w złą godzinę.

– Zbierajmy te jagody, bo z pierogów nici – mruknęła Kinga, smakowicie się oblizując

na samą myśl o tym niecodziennym rarytasie. – Bo tu chyba nikt nas się nie czepi o te maszynki?

– Jasne, że nie! Tu każdy tak... – Nagle stanęła jak wryta i jęknęła. – O jasny gwint!

Tylko nie on! Jeszcze jego nam tu brakowało...

– Witam panie. – Tuż przed nimi wyrósł mężczyzna w zielonym mundurze. – Co my tu mamy?

– Mamy przechłapanie... – odparła niechętnie Andżelika. – Przecież nie będziesz się, człowieku, czepiał o te kilka jagódek?

– Koszyczek całkiem spory, ale nie o to chodzi. Jak mówi artykuł 153 Kodeksu wykroczeń – zaczął cytować z pamięci – kto w nienależącym do niego lesie: wydobywa żywicę lub sok brzozy, obrywa szyszki, zdziera korę, nacina drzewo lub w inny sposób je uszkadza, zbiera mech lub ściółkę, zbiera gałęzie, korę, wióry, trawę, wrzos, szyszki lub zioła albo zdziera darń, zbiera grzyby lub owoce leśne w miejscach, w których jest to zabronione, albo sposobem niedozwolonym, podlega karze grzywny do dwustu pięćdziesięciu złotych albo karze nagany.

– O, nie! Tu nie ma nic o jagodach. Nie zbieramy szyszek, kory, mchu ani niczego w tym rodzaju – warknęła Kinga.

– Zbieracie jagody w niedozwolony sposób, no, chyba że...

– No właśnie, chodzi o ten las – sapnęła dziewczyna, usiłując ratować sytuację. – No bo widzi pan, tak ogólnie on należy do nas! O!

Zagrała *va banque*, licząc na to, że jakoś się wywinie, bo przecież nikt nie nosi dowodu posiadania lasu do... hm... lasu!

Mężczyzna popatrzył na dziewczynę z niedowierzaniem, a po chwili jego twarz rozjaśnił uśmiech tak wesoły, że Kingę przeszedł dreszcz zachwytu. „Czyli się udało” – pomyślała zadowolona z siebie. Chwilę potem usiłowała już wydostać się z uścisku obcego mężczyzny, który, co prawda, nie wyglądał groźnie, ale był raczej duży, bardzo wysoki i niestety nieprzeciętnie silny!

– Kochanie! – zawołał cały rozpromieniony. – Jakże się cieszę!

– Andżelika, ratuj! – jęknęła, nie mogąc się wyrwać. – To jakiś wariat!

– Nic się nie da zrobić – westchnęła Andżelika. – Nie z nim! Masz rację, to wariat.

– Nie jestem żadnym wariatem! Nie poznajesz mnie?! To ja, Jasiek! Twój mąż!

– Ratunku! – Rozpaczliwie próbowała się oswobodzić, bo mężczyzna, a właściwie chłopak w jej wieku, zabierał się do całowania. – Nie jestem niczyją żoną, a już na pewno nie twoją, debilu!

– Nie wypada tak mówić do męża! – Chłopak roześmiał się, nie wypuszczając jej z objęć. – Musisz być moją żoną! Skoro las jest twój, to inaczej się nie da. Bo należy również do mnie, a siostry nie mam, więc musimy być małżeństwem. Inaczej grozi ci kara grzywny w wysokości...

– Nie mamy ani grosza! – jęknęła Andżelika.

– No to jednak żona! – zawołał ucieszony Jasiek. – Chodźcie do domu, zapraszam na kawę albo ewentualnie na spisanie protokołu. Co wolisz, kochanie?

Kinga patrzyła na wielkoluda wzrokiem, który już kilka razy powinien był go zabić, ale chłopak najwyraźniej się tym nie przejmował.

– No to co? Kawa czy protokół?

– Zdecydowanie to pierwsze – warknęła Andżelika. – Że też cię tu dziś przyniosło... Musiałeś się przyplątać?

– Jasne, że tak. Normalnie by mi się nie chciało, ale jak ktoś idzie na szaber do mojego... – Urwał na chwilę i popatrzył na Kingę. – Przepraszam, kochanie, naszego lasu i nawet nie usiłuje schować tych potwornych maszynek, sam sobie jest winien! – Popatrzył na dziewczyny z dezaprobatą, po czym bezceremonialnie złapał Kingę za rękę. – Wybacz, ale nie pozwolę uciec takiemu skarbowi – dodał ze złośliwym uśmiechem.

– Przestaniesz? – warknęła Kinga niezadowolona.

– Protokół? – odparł chłopak, nie przestając się szczerzyć.

Poszły za nim potulnie. Kinga miała ochotę gryźć i kopać. Chętnie by mu zapłaciła te cholerne dwieście pięćdziesiąt złotych, żeby się tylko od niej odczepił, ale w tej chwili było to nieosiągalne marzenie. Nie miała przy sobie nawet dwudziestu, a w domu zostawiła ledwie siedemdziesiąt.

Chłopak wprowadził je do ładnego, zadbanego domku, stojącego kilkadziesiąt metrów na prawo od tego, w którym mieszkały.

– Mamo! – zawołał od drzwi. – Przyprowadziłem żonę na kawę!

Kinga oniemiała.

– Dzięki Bogu! – odkrzyknęła z kuchni jakaś kobieta. – Ale czy aby porządna?

– Porządna jesteś? – zapytał chłopak całkiem poważnie, tak że Kinga aż zaczerwieniła się z zakłopotania.

Andżelika kiwała głową ze znudzoną miną.

– O, tak, i nawet wykształcona – odpowiedziała Kinga, podejmując wyzwanie.

– Oj, to niedobrze! – usłyszeli głos z kuchni. – Jak uczona, to będzie kłopot! Takie są najgorsze. Krowę wydoić umie?

– A gdzież tam! – jęknęła dziewczyna, licząc, że to pomoże, po czym skłamała bez mrugnięcia okiem. – W życiu krowy z bliska nie widziałam.

W drzwiach stanęła niewielka kobiecina w skromnej sukience i fartuszk.

– Trudno! – westchnęła rozdzierająco. – Jak się nie ma, co się lubi... No, nie ma rady!

Krowę ci pokażę i doić nauczę.

– Kiedy ja nie chcę! Nie nadają się! – zaprotestowała „narzeczona”.

Andżelika z coraz większym rozbawieniem przysłuchiwała się rozmowie, co chwila krztusząc się ze śmiechu. Może i Kinga była wykształcona, ale poczucia humoru nie miała za grosz.



– Pyta cię kto o zdanie? Jaśkowa żona musi umieć krowę wydoić! Na bezrybiu i rak ryba, dziewczyny na rolę nie chcą, więc jak się Jaśkowi jakaś wreszcie trafiła, i to nawet urodziwa, ino chuda i połamana, to co robić? Trza brać! Trza brać, co jest!

Kinga spłonęła rumieńcem.

– No co? – mruknął Jasiek. – Przecież matka mówi, żeś ładna, więc czego się wściekasz?

– Niech pan już da spokój – jęknęła.

– Do męża na pan? My nie żadne państwo, tylko prości ludzie!

– No dobrze. Przestań! – słabo zaprotestowała Kinga.

– Ale z maszynką nigdy więcej do lasu, do naszego lasu, nie pójdziesz?

– Ja nigdy więcej do żadnego lasu nie pójdę!

– A jakżeby nie! Przecież na spacer dasz się zaprosić? Czy może protokół?

Kinga, sama nie wiedząc dlaczego, zaczęła chlipać. Po chwili po jej twarzy spływały wielkie jak grochy łzy.

Jasiek podał jej chusteczkę.

– No, nie płacz – mruknął. – Albo...

– Dobra, pisz ten cholerny protokół! – Dziewczyna rozplakała się na dobre, ale po chwili otoczona ramieniem chłopaka uspokoiła się nieco. – Czego się mnie czepiłeś?

– Zaraz się czepił! Jeszcze co? Ty serca nie masz! – Matka wzięła syna w obronę. –

Taki przystojny chłopak i do tego leśnik! Przecież to partia jak się patrzy. Las ma, stawy rybne ma, dom ma!

Kinga chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Do sieni jak burza wpadła Krycha.

– Jasiek! – zawołała. – We wsi gadają, że wreszcie żonę znalazłeś! Kusiakowa widziała, jak ją z lasu prowadzisz! I czego ona ryczy?! Na żartach się nie zna? To znaczy w sumie na twoich trudno się znać, ale co tam...

Kinga poczerwieniała. Teraz, kiedy minął szok, miała ochotę kogoś udusić. Najlepiej wszystkich po kolei.

– Ty debilu! – jęknęła. – Tak mnie przestraszyć? Już myślałam, że za chwilę tu księdza sprowadzisz!

– No co ty? Jeszcze nie oszalałem. Poczekamy do niedzieli. No i żeby było jasne, jakby co, rozwód nie wchodzi w grę!

Kinga popatrzyła na chłopaka z większą niż dotąd sympatią. Był wesoły, miał wielkie i roześmiane niebieskie oczy oraz fryzurę, jakby piorun strzelił w stóg siana. Jej gniew powoli topniał.

– Zresztą wiesz... Żeniaczka to poważna sprawa, bo po co mi żona, która będzie tylko marudzić, w domu nic nie robi, w pole nie pójdzie, krowy nie wydoi...

– Jasiu! – Matka spiorunowała go wzrokiem. – Tylko nie zaczynaj wydziwiać. Bierz, jaka jest! Żony nie leżą na ulicy, a już na pewno nie takie ładne.

– No ale... – Chłopak wyraźnie doskonale się bawił.

– No tak, masz rację, troszku połamana, ale przecież weteryniarz jesteś! – fuknęła matka. – Krowę wyleczysz, to i z dziewczuchą sobie też poradzisz. Żadna różnica!

– O, co to, to nie! Żaden weteryniarz nie będzie mnie leczył! Nie jestem krową! –

oburzyła się Kinga przy wtórze chichotów Andżeliki i Krychy. – A swoją drogą, Filipa z tobą nie ma? I co to za paskudztwo masz na ręku?

– Był, ale się zmył. Niby poszedł ze mną, ale potem gdzieś się zapodział. E, na pewno się znajdzie – powiedziała Krycha niespecjalnie przejęta. – A tu to wrzód mi się zrobił i chciałam się go pozbyć.

– I tak krwawisz?! To okropne! – skwitowała brudny, pokrwawiony bandaż na przedramieniu dziewczyny. – Kto cię tak urządził?

– W sumie nikt. Walczak miał mi dać czarną maść, ale spał pijany, to chciałam sobie

pumeksem zedrzyć i trochę przesadziłam.

Kinga i Andżelika aż wzdrygnęły się z przerażenia. Jasiek pokiwał z dezaprobatą głową i zabrał się do opatrywania rany. Przemył ją, a potem obandażował.

– To żeś się urządziła! – mruknął niezadowolony.

– Oj tam, nic mi nie będzie, do wesela się zagoi. – Krycha zachichotała z zaciśniętymi z bólu zębami. – Do twojego! Bo jakoś nie chce mi się wierzyć, że cię któraś w końcu zechce!

Dziewczyny wróciły do domu dość późno z koszykiem jagód i Jaśkiem jako obstawą.

Obiad był bardzo spóźniony i upłynął w ponurej atmosferze. Dagmara wciąż boczyła się na panią Stasię, ta siedziała zamyślona i może dlatego niczego nie zauważyła. Kinga i Andżelika kłóciły się o las i te marne jagody, które udało im się zbierać. Filipa nie było. Nie zjawił się, co właściwie jakimś cudem prawie wcale nie obeszło Dagmary. W pewnym sensie nawet się cieszyła, kiedy zajrzała do wazy.

– Barszczyk? – zapytała, widząc czerwonawą, zabieloną śmietaną zupę i pływające w niej kości od schabu. Wszystko niby było jak należy, tylko zapach jej nie pasował. Zamieszała zawartość i ze zdziwieniem zobaczyła pływający makaron.

– Barszcz z kluskami? – zapytała niepewnie.

– A gdzie tam! – odkrzyknęła z kuchni Kusiakowa. – Za ciepło dziś na barszcz!

Wiśniową zrobiłam. Jedzcie. Dobra! Zupa jak ta lala, palce lizać i kości obgryzać!

Dagmara nie wierzyła własnym uszom. Pani Stasia zamyślona zdążyła już sobie nalać, przełknąć odrobinę i ze zgrozą zerwać się od stołu.

– Arggghhhh – jęknęła. – Co to za cholerne świństwo?!

Miała taką minę, jakby zamierzała zwymiotować na obrus, ale że to czynność bardzo intymna, więc się powstrzymała.

– Czego pani starsza nie mówiła, że owocowej nie lubi? Nie gotowałamby.

– Tylko że w niej pływa kość! – krzyknęła Dagmara, wyręczając panią Stasię.

– No, a co ma robić? Tańczyć? – Głos Kusiakowej świadczył o potężnej irytacji.

– Kość w zupie owocowej?!

– Wy mnie gotować nie będziecie uczyć! Zupa ma być na kościach albo na jakiejś wędzonce. Tak jest i tak będzie... Inaczej się nie da! Następnym razem...

– Nie! – jęknęła pani Stasia. – Niech pani już nie robi więcej tej wiśniowej.

– A jabłkowa na boczusiu wędzonym może być? Pyszności, mówię wam, palce lizać!

– Nie! – krzyknęli wszyscy zgodnym chórem.

Kusiakowa obraziła się śmiertelnie.

– W dupach wam, miastowym, się poprzewracało! Nie zaznaliście prawdziwego głodu!

Boga w sercu nie macie, żeby marnować tyle dobrego jedzenia! Taka smaczna zupa – sapała wściekła. – To choć kości obgryźcie! Przecie tam pełno mięsa jest!

– Nie, nie da rady – sprzeciwiła się pani Stasia, powstrzymując kolejny odruch wymiotny. – Ta kość jest słodka!

– Przecież zupę porządnie posłodziłam, to jaka ma być?

– Słona? – zaryzykowała Daga, ale wzbudziła tym tylko wściekłość kucharki.

– No tego brakowało, żeby solić zupę wiśniową! Wy jakieś całkiem zboczone ludzie jesteście! Nie, tego jeszcze świat nie widział!

Nikt nie śmiał się głośno odezwać i towarzystwo po cichutku naradzało się, co zrobić z tym dziwnym przysmakiem. Dagmara odmówiła podania psom słodzonych kości. Pojawił się też inny, i to poważniejszy problem.

– Zabrakło psiej karmy! – stwierdziła pani Stasia z westchnieniem. – Kłopot jak nic. Tu nigdzie tego nie kupisz, w Utopcach pewnie nawet o czymś takim nie słyszeli!

– A owszem! – odezwała się wściekła Kusiakowa. – Słyszeli, że miastowe panusie to specjalne żarcie psom kupujom jak jakie cudoki, a pies to co? Bydlę i tyle! Ziemniaków nagotować i też zeżre! O!

– Kiedy tak nie wolno! Pies nie powinien jeść ziemniaków!

– Jak świnia może, to i pies może! – Kusiakowa chyba rzuciła czymś w ścianę, bo rozległ się łomot i wszyscy zamilkli. – A przecie świnia to porządne zwierzę, a nie byle kundel!

– Ta Kusiakowa to baba z piekła rodem – szepnęła Daga, kuląc się za stołem. – Karmę trzeba kupić. Nie ma innego wyjścia!

Kinga kategorycznie odmówiła wizyty u „weteryniarza” po prośbie, tak więc nie pozostało im nic innego, jak wyprawa choćby do Suśca. Pani Stasia obawiała się jednak, że i tam nie znajdą porządnego sklepu zoologicznego, więc pozostał Zamość.

Dagmara i Kinga, posilone kanapkami, wsiadły do samochodu, zostawiając na miejscu Michała, panią Stasię i Andżelikę, która gdzieś i tak zniknęła. Filipa nadal nie było.

– No i jak się układa między tobą a Filipem? – zapytała Kinga jak rasowa wścibska przyjaciółka.

– A między tobą a Adamem? – odgryzła się dziewczyna.

– Daj spokój. Mam go dosyć. Wydzwaniał przez cały czas, dlatego właśnie wyłączyłam telefon. Nie mam ochoty na powtórkę. A wy? Ostatnio jakby mniej ćwierkacie!

– No tak, bo on wciąż gdzieś znika, poza tym wszystko w porządku, tyle że w tych warunkach...

– No, ale nadal... – drążyła Kinga.

– Jasne, że tak. Oczywiście. Mówiłam, wszystko w porządku, tylko cały ten bałagan nie sprzyja intymności.

„I całe szczęście” – pomyślała Kinga. Była całkowicie i zdecydowanie przeciwna temu małżeństwu, ale przecież nie mogła mówić o tym otwarcie.

Filip parł do ślubu jak, nie przymierzając, taran.

– A może to łowca posagów? – dopytywała się raz po raz któraś z koleżanek, nie rozumiejąc, dlaczego takie dobro jak Filip nie trafiło się właśnie jej.

– Raczej łowca długów! Mam dwie niespłacone pożyczki i to cały mój posag,

mieszkanie nawet niewykupione! – tłumaczyła wszystkim Dagmara.

Kinga, patrząc na związek Filipa i Dagmary z pewnego dystansu, nie była w stanie oprzeć się wrażeniu, że to małżeństwo to bardzo niefortunny i dziwny – żeby nie powiedzieć: dziwaczny – pomysł, choć z wierzchu wszystko wyglądało jak należy. Po prostu nie lubiła chłopaka, nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że jest przewrotny, nieuczyny i oślizły.

Był już dość późny wieczór, kiedy wróciły do Utopców z bagażnikiem pełnym nie tylko psich, ale i ludzkich zapasów, bo zupa wiśniowa sprawiła, że postanowiły się zabezpieczyć na wypadek kolejnych ekscesów kulinarnych Kusiakowej.

Zrobiło się ciemno. Nikt na nie nie czekał. Dom jak zwykle wyglądał ponuro.

Nagle z góry doleciały dziwne odgłosy.

– Kusiakowa znów morduje diabła? – zdziwiła się Dagmara, ale Kinga pokręciła głową.

– Nie o tej porze. Boi się tu zostawać po zmroku. To musi być coś innego. To dom.

Choć domy nie wydają takich dźwięków. Nie mają czym.

Ruszyły na górę trochę niepewne. Wszyscy uwielbiają opustoszałe, przerażające ruiny, oczywiście kiedy sami są gdzieś indziej, choćby w kinie. W prawdziwym życiu takie miejsca nieodwołalnie kojarzą się z zakrwawionymi nożami, krwiożerczymi duchami małych dziewczynek albo morderczych niemowląt, ewentualnie z szalonymi naukowcami, którzy właśnie powołali do życia coś naprawdę paskudnego i obwieszczają to złowrogim śmiechem. Ale to, co usłyszały dziewczyny, bardziej pasowało do krwiożerczego ducha, choć Dagmarze przyszło do głowy, że może to być też zwyczajny przerażony, odrobinę skrzywdzony ratlerek. Nie miała pojęcia, skąd mógłby się tu wziąć, ale od czasu, kiedy Precel przyniósł dziadkowi uprowadzonego pekińczyka, wszystko wydawało jej się prawdopodobne. Podobno jazgotliwy piesek ledwo przeżył tę przygodę i przez dłuższy czas jąkał się, szczekając, jak utrzymywała w sądzie właścicielka.

Piszcząco. Trochę jakby wyło.

– To pewnie szczury – zawyrokowała Dagmara, wywołując obrzydzenie na twarzy koleżanki. – No co? Chyba się nie boisz?

Kiedy jednak weszły na górę, zauważyły, że korytarz jest pusty. Dźwięki, które – jak im się wydawało – dochodziły właśnie stamtąd, stały się głośniejsze, ale też nieco przytłumione.

– To nie tutaj – stwierdziła Kinga. – To gdzieś na zewnątrz.

– Ojjjjj – jęknęło coś jakby z zaświatów, a pogłos korytarza zwielokrotnił dźwięk echem.

– Może gdzieś za domem, w krzakach? – podsunęła Dagmara, ale Kinga pokręciła przecząco głową.

– Wydaje mi się, że to wydobywa się z piwnicy. Są tu jakieś podziemia?

– Nie. Kusiakowa mówiła, że coś z fundamentami było nie tak i nie dało się zrobić piwnic. Dlatego z tyłu wybudowano dodatkowe pomieszczenie! To musi być tam! Składzik!

Szybkim krokiem ruszyły na dół, okrążyły budynek od prawej strony i stanęły przed dużym, murowanym klockiem na planie prostokąta.

Nagle zza węgła wyłoniła się pani Stasia.

– To tu – stwierdziła. – Coś tu wyje! Tylko gdzie? Z tej strony jest garaż, a z tamtej skład na rupiecie.

Weszły bardzo ostrożnie.

– Ojjjjj – jęknęło coś jeszcze raz.

– Dziwne – stwierdziła Andżelika, która także nagle pojawiła się obok nich. – Filip, to ty?!

Jej głos, zniekształcony przez pogłos, odbity od pustych ścian pomieszczenia, przy akompaniamencie wiatru wyjącego przez szpary pomiędzy deskami i wybite szyby w znajdujących się u sufitu lufcikach, wydał się wszystkim bardzo złowrogi.

Coś znów zawyło.

Zrobiły kilka kroków, potem jeszcze kilka i wtedy dopiero zobaczyły Filipa. Siedział na podłodze, trzymał się za głowę i jęczał.

– Ktoś cię napadł? – zapytała z udawanym współczuciem pani Stasia.

– T-t-taaaak – wystękał chłopak. – N-n-n-napadło! Krycha! Boże! Krycha! Ratunku!

Krycha.

Pani Stasia, niewiele się zastanawiając, trzasnęła Filipa w twarz. Nieco otrzeźwiał.

– Krycha cię napadła? Mów!

– Tak! – wymamrotał trochę przytomniej. – Straaasznie n-n-napadła!

– Ale po co? No, gadaj! – Pani Stasia wyraźnie wiedziała, jak należy postępować z ludźmi w stanie szoku; starała się ten szok jeszcze powiększyć i tak zestresować rozmówcę, żeby nie był w stanie wydusić słowa.

To zawsze działało. Zresztą każdy to wie. Wystarczy porządnie wrzasnąć na kogoś, kto i tak jest już przestraszony, aby uzyskać dowolne wyznania, włącznie z tymi dotyczącymi kosmitów.

– I skąd wiesz, że to ona?! No?! – Pani Stasia w jednej chwili zamieniła się w warczącego pitbula. – Mów! Natychmiast.

Filip nie zdążył odpowiedzieć.

– Bo ona tam leży – powiedziała Andżelika zupełnie spokojnie. – Z odrąbaną głową!

– Ani mi się ważcie! – warknęła pani Stasia, widząc, jak przynajmniej dwie osoby powoli i jakby sennie osuwają się na ziemię. – Wstawać! Natychmiast. Ja was zaraz postawię do pionu. Nikt tam nie leży! To jakiś wygłup, tak?

– Nie. To Krycha z odrąbaną głową – powtórzyła Andżelika spokojnie, po czym padła jak długa na Filipa.

Pisk, jaki wydobył się ze wszystkich gardeł, był tak głośny, że usłyszało go chyba pół



okolicy. Kobiety przez chwilę zastanawiały się, czy mdleć, po czym rzuciły się do ucieczki. Po chwili wróciły po Andżelikę, bladą, ale w miarę przytomną. Filip też usiłował się podnieść, ale nie był w stanie i do drzwi dotarł na czworakach.

Tam znalazł ich Michał.

Przez następne pół godziny coś się działo. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, ale nie potrafili określić co. Pograżyli się w jakimś koszmarnym transie. Psy szalały uwiązane na smyczach, również podenerwowane. Nie można było pozwolić, żeby biegały samopas. Robiły mnóstwo zamieszania i bardzo interesowały się zwłokami.

– Z odrąbaną głową! – powtarzała Andżelika, to blednąc, to zieleniejąc.

– I ona wtedy ciach! Szuuust! O Boże, ona wtedy tą głową, tę głowę i... – Filip usiłował wszystkim wszystko opowiedzieć, ale robił to dość chaotycznie. Nic się nie dało zrozumieć.

Michał, najmniej zdenerwowany, próbował dowiedzieć się czegoś w oczekiwaniu na policję.

– Po co tam poszedłeś? – spytał Filipa.

– Wołało mnie! „Fiiiiilip!” – krzychało. Myślałem, że to Dagmara się schowała i że ona się na mnie rzuciła! Zupełnie się rzuciła! Ta Krycha.

– A ty ją ciach! siekierą w obronie własnej i odrąbałeś jej głowę? Masakra!

– No co wy! Nie miałem siekiery! Ona mnie napadła, wzięła i rzuciła we mnie.

– Czym, na litość boską? – dopytywała się pani Stasia. – Siekierą?

– Nie. Głową!

Kobieta usiadła z wrażenia. Nie wiadomo, dlaczego rzucanie głową wydało jej się o wiele straszniejsze od rzucania siekierą, choć przecież ta pierwsza w zasadzie nie ma ostrych kantów i nie robi krzywdy.

– Tą odrąbaną? – wymamrotała.

– Głupoty gada – zawyrokował Michał. – We łbie mu się poprzestawiało od tego szoku.

– A skąd miała wziąć inną? Rzuciła tą odrąbaną! I ona tak leciała, i... – Chłopak aż się wzdrygnął. – Brrr. I upadłem, a ona wołała: „Fiiiilip”. I była martwa. Całkiem.

– Ojej. Niezły pasztet! Była martwa i rzucała odrąbaną głową?

– Właśnie – odpowiedział Filip całkowicie pewny swego. Nadal się trząsł.

Wokół domu zakotłowało się od policjantów.

– Dzień dobry, aspirant Kotek – przedstawił się jeden z funkcjonariuszy. – Kto ją znalazł?

– Filip. – Wszyscy wskazali skulonego chłopaka.

– Wcale jej nie znalazłem. Napadła mnie! Rzuciła się i... Była cała oblepiona krwią i... Prawie zemdlałem.

– I wtedy ją pan zabił?

– Ależ skąd. Mówię, że prawie zemdlałem, jak rzuciła we mnie tą odrąbaną głową.

– A więc stracił pan przytomność?

– Jasne, że tak! Prawie albo nawet całkiem! Nie wiem! – krzyknął histerycznie. – Nic nie wiem, nic nie pamiętam. Czy to aż takie dziwne? Dostał pan kiedyś czyjąś głowę? Odrąbaną?

– Jeszcze nie i nie liczę na takie cuda! Mało kto rzuca szczątkami ofiar w policjantów, proszę mi wierzyć, nawet maniakalni mordercy tego nie praktykują. – Mężczyzna uśmiechnął się złośliwie. – A krew? Gdzie była krew? Powinno być jej więcej, choćby na ścianach, całe mnóstwo, rozumiecie, tętnice i w ogóle... Szczególnie kiedy ktoś rzuca głową, nieważne czy własną, czy cudzą.

– Jezus Maria! A więc to nie jej głowa?! – Pani Stasia usiłowała wstać, ale nie dała rady. – Tam były jeszcze inne zwłoki?

– Ależ skąd!

Ze składziku wyniesiono ciało przykryte plandeką. Obok w plastikowym worku leżało coś zakrwawionego. Było to czerwone, okrągłe i ogólnie głowopodobne.

– Upiera się pan, że martwa kobieta rzuciła w pana własną głowę?

Wszyscy popatrzyli na siebie z trochę niepewnymi minami.

– Bo tak było! – wrzasnął histerycznie Filip.

– Aha, choruje pan na coś? Ma pan jakieś zaburzenia psychiczne?

– Wypraszam sobie! Poszedłem tam, bo coś mnie wołało...

– Jeszcze lepiej. – Funkcjonariusz pokręcił głową z rezygnacją. – Tylko tego

brakowało! Co mam zapisać? Miał pan omamy słuchowe, a po chwili dostał halucynacji. Tak?

Czyli wachał pan klej?

– Niczego nie wachałem! Poszedłem tam po prostu i zobaczyłem Krychę. Była martwa.

Z całą pewnością. Leżała. Kiedy mnie zobaczyła, wzięła głowę i traaach! Rzuciła we mnie.

Policjant patrzył na chłopaka z dezaprobatą.

– Jasne! Wszystko jasne. Tylko jak mogła pana zobaczyć, skoro podobno nie żyła?

– Nie wiem! Nie mam pojęcia, ale tak było. A potem wzięła tę odrąbaną głowę...

– Nie ma żadnej odrąbanej głowy.

– Musi gdzieś być! Może wpadła pomiędzy skrzynie, deski czy co tam jeszcze jest...

– Pan mnie nie zrozumiał. Ta kobieta nie ma odrąbanej głowy!

– Czyli żyje?! – Filip znów prawie zemdłał.

– Nie. Nie o to chodzi. Niestety jest martwa, ale wszystko ma na swoim miejscu, włącznie z głową.

– Ale przecież rzuciła we mnie...

– Czymś innym. Na miejscu znaleźliśmy tylko jakieś warzywa.

– Nikt nie rzucał warzywami! – obruszył się chłopak.

– A to co tam wynieśliście z ciałem? Takie okrągłe i zakrwawione? – zapytała

Dagmara.

– Kapusta. Zwykła główka kapusty, fakt, umazana we krwi... Podejrzewam, że to nią

w pana rzucono, ale nie mogła tego zrobić ta martwa kobieta.

Filip poczerwieniał ze złości, Michał prawie zakrztusił się ze śmiechu, choć sytuacja była poważna.

– Wyobraźnię to ty masz! – syknęła gniewnie Dagmara. – Pani Stasiu, skąd te warzywa? I po co Krycha w ogóle tam poszła?

Pytanie zawisło nad wszystkimi jak jastrząb, bo Krychy o tej porze w ogóle nie powinno tu być. Poszła do domu jeszcze przed obiadem.

– Warzywa są logiczne. W schowku jest zimno i Kusiakowa trzyma tam większe zapasy. Może Krycha po coś wróciła... Tylko po co? Albo ktoś ją przyniósł? Martwą...

Policjanci rozleźli się po domu, zaglądali we wszystkie kąty, zbierali, co się dało i co można by nazwać dowodami. Wzięli też wszystko, co należało do Krychy, a potem pospiesznie się oddalili. Wraz z nimi wyszedł Michał, tym razem bez psów, wrócił jednak dość szybko w towarzystwie zaaferowanego Jaśka, niosącego skrzynię z narzędziami.

– Jutro powymieniamy zamki – stwierdził. – A na dzisiejszą noc muszą wystarczyć łańcuchy. Domu jako takiego nie da się zabezpieczyć. Przez te powybijane okna na górze ktoś tu może wejść i spokojnie wszystkich wymordować!

– Boże kochany! Spokojnie wymordować?

– No, w szale też może, ale fakt pozostaje faktem, a jak rozumiem, przeprowadzka nie wchodzi w grę... – Jasiek zwrócił się do pani Stasi, która energicznie pokręciła głową.

– Policja nie pozwoliła nam się stąd ruszać, zresztą to i tak nierealne. Tu nie ma ani jednego domu wczasowego, że o hotelu nie wspomnę.

Poszli spać dobrze po północy, zmęczeni, a jednocześnie niezłe wystraszeni. Krycha nie grzeszyła inteligencją, może i niespecjalnie ją lubili, ale znali. To było najgorsze. Rozmawiali z nią, śmiali się, a teraz... Ktoś ją zamordował. Czy na tym skończy, czy też to dopiero początek jakiegoś szaleństwa? A jeśli ktoś zamierza po kolei zabić ich wszystkich, wchodząc w nocy do

pokoju albo czatując na nich w sady? Pomiędzy drzewami? W zaroślach?

W którym szalonym umyśle zrodził się makabryczny plan, który zaowocował pierwszym i kto wie, czy ostatnim mordem?

\*

Żądna sensacji Kusiakowa obudziła ich, waląc do drzwi.

Jak rozjuszony niedźwiedź miotła się po kuchni, rzucając, czym popadnie, tłukąc się garnkami i talerzami. Jęki i utyskiwania przerywała od czasu do czasu przekleństwami i wyzwiskami.

Pani Stasia weszła do pomieszczenia i zamieniła się w słup soli.

– O matko jedyna! Boże kochany! Kusiakowo, kto wam to zrobił?! – wrzasnęła. – Kto wam tak głowę rozwalił? Pogotowie! Natychmiast trzeba lekarza!

– Po co zara pogotowie? Nic mi nie jest! – zdziwiła się kobieta szczerze.

Pani Stasia wiedziała, że tutejsi ludzie są uparci i ogólnie wytrzymali dzięki tradycjom z wiejskich potańcówek przekazywanym z dziada pradziada. Nie wierzą w lekarzy i ogólnie kurują się sami, różnymi sposobami i z różnym skutkiem, tak więc temu czy owemu czasami coś odpada, ale pani Stasia nie mogła pozwolić, żeby Kusiakowej odpadła akurat głowa.

– Co się stało?! – krzyknęła, łapiąc się za serce. – Skąd tyle krwi?!

– Łoj tam... – Kusiakowa machnęła tylko ręką.

Wyglądała strasznie. Głowę miała zabandażowaną jakąś niezbyt świeżą szmatą, przez którą zdążyła przesiąknąć krew, sącząca się spod zwojów cienkimi, gęstymi i lekko już skrzepłymi strugami.

– Wezwijcie lekarza! – zawołała pani Stasia do nadbiegającej Dagmary, nie zważając na protesty Kusiakowej. – Toż ona wykrwawi się na śmierć!

– Ktoś panią napadł? – zapytała zalekniona Kinga. – Z siekierą?

Wskazała palcem jej głowę i zaczęła się jąkać. Po wczorajszym wydarzeniu miała alergię

na zwłoki, a Kusiakowa wygląda jak ktoś, kto za chwilę padnie trupem albo już nawet padł, tylko tego nie zauważył.

– Nie wiem, o co tyle zamieszania – odpowiedziała kobieta, wzruszając ramionami. –

Włosy se zrobiłam! Ło!

– A skąd ta rana?! Przecież krew pani z głowy leci!

– Zaraz tam! Kolor, mówię, robiłam! Trzy godziny trzymam, żeby dobrze złapało – dodała z zadowoleniem. – Ale szmata przeciekła.

– Tyle czasu? A włosy? Matko jedyna! Jeszcze pani nie wypadły? – jęknęła Daga.

– Łojezusicku! A mogły?! – Kusiakowa aż usiadła z wrażenia.

– Niech pani zmyje tę krwawą maź, może jeszcze kilka zostało. I w ogóle po co to pani robiła? Akurat dzisiaj? Żebyśmy zawału dostali wszyscy naraz?

Kusiakowa wyprostowała się dumna.

– Zawał zawałem, a w telewizji trza jakoś wyglądać! Trup jest, to i telewizja będzie, to przecie każdy wie! Im lepszy trup, tym więcej telewizji. A taki z odrąbaną głową, to ho, ho! Jak nic przyjadą! I zdjęcia będą robić, to jak miałam się pokazać?

– Łysa? – zapytała Kinga złośliwie.

– A wypluj te słowa! – wściekła się kobieta, wkładając głowę pod kran i zalewając ją potokami wody.

– A tej co? Kusiakowo! – Aspirant Kotek wszedł bez ceregieli do kuchni. – Przy goleniu się zacięliście czy postanowiliście sobie odrąbać łeb?!

– A wypluj pan te słowa, panie władzo! Modna żem chciała być. A co, nie wolno mi?!

– Wolno, wolno – odparł ugodowo policjant, chcąc uniknąć konfrontacji z opłukaną już, ale bynajmniej nie spokojną Kusiakową. Włosy ocalały. Może nie wszystkie, ale trochę ich zostało. Miały kolor zeschniętej krwi, spomiędzy którego prześwitywała czerwona jak ogień zabarwiona skóra, a na twarzy widniały nieco jaśniejsze, ale doskonale widoczne zacieki.

Kobieta obejrzała się w kawałku ręcznego lusterka.

– No i gotowe – oznajmiła, przyglądając się sobie bezkrytycznie. – Mogą przyjeżdżać.

No i co ta głupia Krycha narobiła? Tak ło, zwyczajnie dać się zabić? I to gdzie? Żeby to choć w mieście, na ulicy, w domu, to rozumiem, ale w składziku na warzywa? Toż ona zupełnie pierdolnięta... Dobrze, że choć korzyść będzie, jak ta telewizja...

Nie skończyła, bo w tej chwili do kuchni wkroczyła Andżelika. Cała różowa, włącznie z włosami.

– Jest już ta telewizja? Kurczę, doczekać się nie mogę! Wszystkie mi psiapsioly będą zazdrościć, hejtery jedne, że w telewizji mnie pokazali...

– Coś ty z włosami zrobiła? – jęknęła pani Stasia. – Andżelika, Boże jedyny! One są różowe!

– Ładne, prawda? Super! – Dziewczyna poprawiła sztywne od lakieru i posypane brokatem loki.

– Nie! – odparła Dagmara. – Wyglądasz, jakbyś wpadła z głową w barszcz. Zabelany. Tylko jajka brakuje! Stań jeszcze na jednej nodze, to pomyślę cię z jakimś zmutowanym flamingiem!

– Po pierwsze mówi się flejming, a po drugie to ja się w wojny internetowe nie bawię. Płukanek buraczaną sobie walnęłam! A co? Też wystąpię! – Andżelika była wyraźnie zachwycona swoim pomysłem.

Kusiakowa mniej.

– O, niedoczekanie twoje! Krycha to moja kuma, nie twoja! Więc się do telewizji nie pchaj! Wara ci! Jasne, kurwa?

– Kusiakowo, tylko bez takich słów – mitygowała ją pani Stasia bez rezultatu. – Krycha to nasza wspólna znajoma, a telewizja nie jest najważniejsza, niech lepiej pani powie, po co ta dziewczucha poszła nocą do składziku?

– Kradła, cholera! Kradła i Pan Bóg ją ukarał – zawyrokowała kobieta, biorąc się pod boki.

Policjant ciekawie nadstawił uszu.

– Co też pani opowiada?! Bóg z siekierą?

– No nie. Bez siekiery.

– A co ona tam kradła?

– A bo ja wiem? Kapustę! O! Raz się jednej główki nie mogłam doliczyć. I ziemniaków zawsze jakoś tak ubywało! Marchewki też...

– Kusiakowo! Toż to niepodobna, przecież ona pole miała! Ogród, gospodarkę...

– I co z tego? Od przybytku głowa nie boli. To może co innego kradła? Jajka tam trzymam i wędzonkę... I jak tu teraz z tego gotować? Bo to wiecie, jakoś tak dziwnie jeść takie no... mordo... morde... – Nie wiedziała, jak wyrazić to, co miała na myśli. – No, takie mordercze jajka! Ale żeby zaraz odrąbywać jej głowę?

– Nikt jej niczego nie odrąbywał.

– Jak to nie! Kiedym słyszała! Jak ją nieśli, to krew ciurkiem sikała! A głowę to do worka zapakowali, a do drugiego ręce, bo nóg to znaleźć nie mogli!

– Bzdury! – Pani Stasia oburzyła się okropnie. – Bzdury kompletne! Co za makabreski pani opowiada! Sama widziałam. Niczego jej nie odrąbali...

– A co tam pani starsza wie! Śniadanie! – zawołała w głąb korytarza. – Dziś jajek nie będzie, bo ja tam nie pójde. Chleba ze smalcem wam zrobiłam. Jak nic Walczak ją zarąbał. Jak nic! Bo on wredny jest jak mało kto.

– Ale to jeszcze nie powód.

– Ludzi pani starsza nie zna wcale! Ani chybi Walczak! O, znów się zaczyna. –

Wskazała głową bramę, za którą widać było uciekającego w popłochu chłopca. – Walczak dzikiego jakiegoś piesa wysyła na pole Muchowej, a on tak kopie, drapie, że normalnie pół



hektara już zryte. To jak takiego piesa może, to mordować też może. Wredna była, wścibska i złośliwa. Czego chcieć więcej? Taka mniej więcej cholera, ale po prawdzie jak wszystkie! Co jedna, to lepsza! Wciąż by w spodniach latała. Do kościoła też, jak chłop. I chustki nie nosiła.

– To pani też jej za bardzo nie lubiła?

– Zaraz nie lubiłam! Też mi coś! Nienawidziłam tej dziewczuchy jak nic, głupia była jak mało kto, ale żeby zabijać? Nie... Siekierą? No i ten jej mąż...

– To Krycha była mężatką? – Wszyscy popatrzyli na Kusiakową ze zdumieniem.

– Owszem, ale chustki to nosić nie chciała jak porządne kobiety. Normalnie tak do wczoraj to właściwie wszystko miała na swoim miejscu, bo teraz to już nie całkiem.

– Czyli to mógł być mąż!

– Tak po prawdzie to każdy, nawet Filip. No przecież jakby tutejszy, a Krycha mogła...

– Pani się zamknie, pani Kusiakowa – warknął Filip. – Ja nikogo nie mordowałem!

A może to Andżelika?! I jaki ja znowu tutejszy? Ja z Warszawy jestem! Słyszysz pani?

– No przecieżem nie głucha, a warszawiak z ciebie jak z koziej dupy trąba! – Kobieta popatrzyła na chłopaka złośliwie.

Nie odpowiedział na tę wyraźną zaczepkę.

– Wracając do Krychy, strasznie to wszystko dziwne – westchnął Michał. – Po co tu właściwie przyszła? I w ogóle co z tą siekierą? Znaleźliście ją?

– Nie szukaliśmy – odparł aspirant Kotek, wzruszając ramionami. – Bo to radosna twórczość plotkarek. Nie było żadnej siekiery! Żadnej. Nóż, owszem, był, ale nie siekiera.

– I tak nożem jej głowę odślachtował? I nogi? Fiu, fiu... – zadziwiła się Kusiakowa. –

Ani chybi jaki rzeźnik! Albo masarz... Nie, to pewnie utopce ją objadły!

– Co to za bzdury? – obruszył się Kotek. – Kusiakowo, zaczynam tracić cierpliwość.

Jakie utopce?

– Bo mówią, że utopce wylazły i będą tych, no...

Andżelika uśmiechnęła się rozbrajająco.

– Tak, tak, kto tu zamieszka, „rychło gniewu zmarłych doświadczy”! – dziewczyna powtórzyła to, co usłyszała w wiosce. – Tyle że Krycha tu nie mieszkała, a utopce...

– Utopce nie istnieją!

– Istnieją! W nocy z Tanwi wychodzą i porywają ludzi... Tak jak starą Dziurową. Tylko jej nie objadły. Może Krycha młodsza, to smaczniejsza była? Bo Dziurowa to już sucha jak wiór i koścista, tak pod osiemdziesiątkę miała.

– Przecież ona sama się utopiła, i to w dodatku dwadzieścia lat temu!

– No tak. Wtedy to tu się działo! Pełno dziwnych ludzi się kręciło, w nocy krzyki i wycie... Po wsi mówili, że to opętane jakie... A teraz oni tu zamieszkali i klątwa wróciła. Bedo noco wychodzić i ludzi jeść...

Pani Stasia popukała się w czoło.

– Bzdury pani opowiadasz! Utopce nikogo nie jedzą!

– A jedzą! Tak jak te zombiaki, co mózgi wyzerajom! Normalnie powinny topić, ale one są teraz takie zmumifikowane genetycznie, jakiegoś giecego się nażarły, to i się zmumifikowały, i teraz jedzo. A nogi Krychy to gdzie się podziały?! Zjadli je!

Obraz, jaki nagle pojawił się wszystkim przed oczami, był bardzo wyrazisty i kolorowy, ze zdecydowaną przewagą czerwieni. Dagmara pozieleniała.

– Nogi są na miejscu! – warknął policjant. – Wszystko jest na miejscu... Wątroba również – dodał złośliwie, nie bardzo się zastanawiając nad tym, co mówi. Chwilę potem bardzo tego pożałował.

– O Jezusicku! To i wątrobę jej wyzarły! – wrzasnęła kobieta, wybiegając przed dom i wołając z nieukrywaną satysfakcją: – Walczak, Walczak! Wątrobę też!

Jako rozsądna, dobrze zorientowana, ba, nawet dość dociekliwa kobieta wiedziała, że nie wszystko, co usłyszy, jest prawdą. Zdawała sobie sprawę, że telewizja kłamie, a reklamy robią

ludziom wodę z mózgu. Wiedzę tę stosowała dość dowolnie w zależności od tematu.

Nie wierzyła na przykład w to, że ręce należy myć mydłem. Raz spróbowała. Zlewki okropnie się spieniły i potem świniom z pysków leciały bańki mydlane. Wiedziała też, że policja oszukuje na każdym kroku.

– Wracajcie tu, Kusiakowo! – wrzasnął za nią Kotek, bojąc się zbiegowiska. – Łeb macie taki czerwony, że jeszcze Walczak pomyśli, że wam co zrobiłem!

Kusiakowa przez chwilę poważnie rozważała blaski i cienie takiego obrotu sprawy. Ani chybi stałaby się na chwilę bohaterką całych Utopców, jak nic ktoś zrobiłby z nią wywiad, jakiś „Super Cośtam” albo inna gazeta od kosmitów i dwugłowych krów. Kusiakowa bardzo chciałaby się znaleźć w tak doborowym towarzystwie, ale bała się konsekwencji i zemsty oszkalowanych policjantów...

– Ta... – jęknęła do siebie i powoli zawróciła. – One mściwe som.

– U fryzjera tak panią urządzili? – zapytała Dagmara, nie rozumiejąc, jak ktoś mógł się zgodzić na taki rzeźniczy kolor włosów.

– A gdzie tam. Krycha trochę ludzi cesała, ale tera to już ni, poza tym kosztuje. Sama sobie zrobiłam.

– Jasne, tylko koszt farby...

– A po co mi? U starego w warsztacie bejcę znalazłam, trochę już przechodziona była, ale wiśniowa... Porządna, nie jakaś tam chemia!

Aspirant Kotek patrzył na zgromadzonych, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

W kuchni obok Filipa, Kingi, Dagmary i Andżeliki zjawili się też Jasiak z matką oraz Michał z psami, które jakimś cudem były mu posłuszne.

Była też pani Stasia. Wszyscy razem stanowili całkiem pokaźną gromadkę.

– Dobra, zacznijmy od początku – westchnął policjant. – Co wy tu w ogóle robicie?

Pytanie, choć dość ogólne, nikogo za bardzo nie zaskoczyło.

– A co mamy robić? Siedzimy i nudzimy się – odparła hardo pani Stasia. – Widać, nie?!

Tu nie ma nic do roboty!

– Nie o to mi chodzi!

– A o co? – zapytał tym razem Michał, w sumie dość niewinnie, ale jego wypowiedź miała wydźwięk zaczepno-obronny.

Daga zauważyła zaskoczona, że chłopak zadziwiająco dobrze dogaduje się z panią Stasią, i to często bez słów.

– A o nic! – znów odezwał się policjant. – Pytam, co tu robicie, konkretnie, tu!

W ruinach!

– Co robimy, co robimy... – mruknęła pani Stasia, jakby chcąc odwlec moment ostatecznego starcia. – Mieszkamy. To chyba jasne. I to nie są ruiny.

– To są ruiny! Nie wolno wam tu mieszkać! Ani wam, ani nikomu!

– Myli się pan – powiedział spokojnie Michał. – Mamy zezwolenie od wojewody. To znaczy pani Stasia ma. Sam widziałem.

– Pokazać!

Rozkaz został spełniony. Funkcjonariusz wziął w rękę niewielki świstek papieru i przeczytał z wielkim namaszczeniem.

– A wydano to coś na podstawie...? – Chciał wiedzieć więcej, ale pani Stasia wzruszyła ramionami, a Michał tylko pokręcił głową z bardzo nieprzyjemną miną.

– Tajne przez poufne, sprawa prywatna wagi państwowej. Nie jestem upoważniony do udzielania informacji pod karą sądu ostatecznego, to znaczy wojennego... A tak naprawdę sami nie wiemy. Proszę iść z tym do wojewody, może on panu wyjaśni – dodał, widząc zgrozę w oczach policjanta.

– No, niech wam będzie. Dobra. Macie zezwolenie. Jasne. Tylko po co? Od lat nikt tu nie mieszkał, nie przyjeżdżał, niczego nie remontował. Budynek stał pusty, a teraz nagle cały

tabun wczasowiczów.

– Ma pan coś naprzeciw? – tym razem, jakby z nadzieją w głosie, zapytała Kusiakowa.

– Nie mam nic naprzeciw, to znaczy przeciwko, ale coś tu nie gra! Zwalają się całym stadem, dobra, niby nic, niech im będzie, niech siedzą, niech robią, co chcą, ale zwłoki? Tak z niczego, nagle ciach i trup?

Kusiakowa przeżegnała się ostentacyjnie.

– A co my mamy do zwłok? Nie są nasze! Tfu! Cholera... – tym razem odezwał się też podenerwowany Filip. – My tylko je znaleźliśmy.

– Jasne, a jak to udowodnić?! Przecież każde z was mogło ją zabić. Wszyscy mogliście zadźgać tę biedną dziewczynę!

– Krychę? Wszyscy razem? – zdziwiła się Dagmara. – Ale po co?

– No, po mojemu... – Kusiakowej aż zaświeciły się oczy, co wraz z krwistą fryzurą sprawiło, że przez chwilę przypominała obdartego ze skóry królika. – Miastowe takie dziwne są, żrą różne podpalacze czy inne podpałki, słyszałam w telewizji, i potem latają z siekierami, a wikary mówił też o takich zboczonych, że jak za bardzo się zboczą, to też latają. Zielsko palą i wtedy również... Niby jeszcze ogniska nie robili, ale co ja tam wiem? No i ten... Szatan! Diabły mogły kogo opętać i latały z siekierami.

– Kusiakowa, mam dość waszych teorii! Jaki szatan? Jakie zielsko? Jakie podpalacze? Jakie diabły z siekierami?

– Kiedy sama słyszałam! – obruszyła się szczerze.

– No dobra. – Aspirant Kotek usiłował dowiedzieć się czegoś konkretnego. –

Mieszkacie tu. Tak? I co dalej?

– Nic dalej. Mieszkamy. Co prawda bardzo niechętnie, ale musimy. Z powodu dziadka.

– To znaczy?

– Oj, to skomplikowana sprawa. Ktoś go gonił i on uciekł. Potem myśmy musieli

zwiewać...

– Andżelika, zamknij dziób, błagam! Było inaczej – jęknęła Dagmara.

– No i?

– No i myśmy uciekali, bo coś nas straszło, a dziadek nasłał na nas takich pijaków, to znaczy Generał, a potem to w nocy napadła nas ruska mafia i Cyganie, ale tak tylko wyglądało, bo drzwi to keczupem pomazali, a nie krwią...

„Andżelice znów coś zaszkoziło” – pomyślała Daga.

Policjant coraz szerzej otwierał oczy.

– Boże kochany! Skąd wzięliście generała i co to za jeden? Gonił was?

– Nie, uciekał.

– Czyli dziadek was gonił, a generał nasłał pijaków z rusko-cygańskiej mafii, która wymazała dom keczupem, choć wy wolelibyście krew, tak? Już wiem! Jesteście jakąś sektą!

Nazarliście się jakiegoś zielska i w głowach wam się pomieszało!

– Nie! – krzyknęli wszyscy prawie jednogłośnie.

Kotek zastanawiał się przez chwilę, potem westchnął i opadł bezradnie na krzesło.

– W takim razie ona się czegoś nazarła – stwierdził, wskazując Andżelikę. – Jasiek, sprawdź jej źrenice, bo już nie wiem, czy naćpana, czy trzeba wzywać karetkę z psychiatryka.

– Kiedy jej nic nie jest – westchnęła Dagmara. – Ona tak ma.

– Znaczy świr wrodzony?

– Nic z tych rzeczy! Po prostu opowiadała bezładnie...

– Bezładnie? Też coś! Ona zaprezentowała prawdziwy amerykański serial, odcinek dwa tysiące czterdziesty pierwszy...! Zaraz tu się pojawi morderca z siekierą!

– Noż to łon już się pojawił! – westchnęła Kusiakowa. – Krychę grzmotnął... Co pan?

Zaniki pan ma?! Wczoraj ledwie ją porąbał!

– Zaraz, a mafia? Znaczy, że ścigają was bandyci? I wy dopiero teraz... Jezu kochany!

– E tam. Utopce ich gonią – stwierdziła Kusiakowa i nabrała tchu, by kontynuować wywód, ale widząc skierowane na siebie wściekłe spojrzenia, zamilkła.

Pani Stasia spróbowała jakoś uporządkować rozmowę.

– To dość trudno wyjaśnić – powiedziała. – W każdym razie ktoś nas prześladowe!

– A wy siedzicie w tych ruinach, żeby łatwiej was ten ktoś dopadł i wymordował? –

Policjant popatrzył na nich z niedowierzaniem. – Przecież to samobójstwo!

– Właśnie! Wciąż to powtarzam! Tkwimy w tej pieprzonej ruderze, bo pani Stasia nie pozwala nam wyjechać, chce, żeby nas tu wymordowali – burknął Filip.

– Głupek – syknęła Kinga.

– A ty co?! Taka mądra?! – odciął się. – Może ty wiesz, kto zamordował Krychę? No?!

Bo ja wiem!

– To proszę się z nami podzielić tą wiedzą – warknął policjant.

– To jasne, że pani Stasia! Zrobiła to, żeby policja nam nie pozwoliła wyjechać, bo jej matkę zawlokło do Turcji i dziadek się zapodział, to znaczy zniknął jak kamfora, i musimy czekać, to znaczy nie do końca, ale...

– Ktoś porwał jej matkę do Turcji? Biedna staruszka! – Policjant ze współczuciem pokiwał głową.

– Jaka staruszka? – zapytali wszyscy z ciekawością.

– No, matka pani Stasi z pewnością nie jest już najmłodsza! – stwierdził funkcjonariusz ze smutkiem w głosie.

– Kiedy tu nie chodzi o moją matkę! Ona nie żyje! – jęknęła kobieta.

– Ona też? Siekierą?! – wtrąciła zachwycona Kusiakowa. – No to masakra!

– Kusiakowo, dajcie spokój! Nikt nie mordował siekierą mojej matki! Chodzi o dziadka!

– Jego też? Siekie... – Kusiakowa wyraźnie się rozpromieniła.

– Dość tych siekier! – przerwał jej aspirant. – Niech wreszcie się wszyscy zamkną.

Muszę to jakoś poukładać. Czyli, jak rozumiem, zamierzacie jechać do Turcji szukać dziadka?

Przykro mi, oddajcie paszporty, nigdzie was stąd nie wypuszczę!

– Nie mamy – obruszył się Filip.

– No to jeszcze ciekawiej. Chcecie dziadka szukać nielegalnie?

– W ogóle nie mamy takiego zamiaru!

Aspirant Kotek rzadko stykał się w pracy z miastowymi, nie żeby wcale, ale rzadko. Wieś to wieś, znał ludzi i ich mentalność oraz wiedział, czego się po nich spodziewać. Sztachety, siekiery, bójkę to była jego codzienność, nigdy w życiu nie miał jednak do czynienia z narkomanami ani osobami chorymi psychicznie. Nie oznacza to, że na wsi wszyscy byli całkowicie zdrowi, wcale nie, ale ich szaleństwo było bardziej swojskie i mieściło się w pewnych ściśle określonych granicach.

– Ma pan gorączkę? Może wezwę lekarza? Co prawda to patolog sądowy, ale z żywymi też chyba umie się obchodzić, szczególnie z wariatami! Dość tego – warknął zniecierpliwiony. – Nikt nigdzie nie pojedzie i już! I natychmiast proszę mi opowiedzieć tę całą historię... Ze szczegółami!

Może i było to jakieś wyjście z sytuacji, ale musieli je odłożyć na potem. Do kuchni dostojnym krokiem wszedł bowiem Bestia i ułożył się przed lodówką. Jego mina nie wróżyła nic dobrego, zwłaszcza że w pysku trzymał paskudną kukłę z powrozem na szyi i wyraźnie liczył, że dostanie za nią coś smacznego.

– Boże jedyny! – jęknął policjant, łapiąc się za głowę. – Co to za makabra?!

– Śmiertelna kukła – wyjaśniła z zadowoleniem Kusiakowa. – Taka od mordowania!

Co się w nią wbija takie różne. Taka bardziej amerykańska. Od czarnej magii. Wikary mówił!

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Filip wstał z krzesła, chcąc złapać psa i wyrwać mu lalkę z pyska.



– Dość tego! Oddaj to, paskudo! – wrzasnął, rzucając się na zwierzę, ale bardzo się przeliczył. Bestia spojrzał na niego kpiącym wzrokiem i zwinnie uskoczył w kąt kuchni, Filip wylądował na podłodze, a pies, machnąwszy ogonem, rzucił się do drzwi.

– No i koniec – jęknęła Dagmara. – Teraz nigdy już nie znajdziemy tej cholерnej kukły. Zakopie jak nic i szukaj wiatru w polu!

Dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę, że z kim jak z kim, ale z Bestią nie mają żadnych szans.

Przez długie lata terroryzowania, tresowania i szantażowania ludzi zorientował się, jak działają, i wykorzystywał tę wiedzę z bezczelnym... no, może nie uśmiechem, ale z pewnością wyrazem pyska.

Nic nie było bezpieczne. Kradł telefony komórkowe z torebek, zapalniczki, piloty, w tym do telewizorów, i kochał to nad życie, bo za piloty dostawał zawsze szybką i sową nagrodę, podobnie jak za wszelkiego rodzaju dokumenty. Kochał skarpetki, i te brudne, bo pięknie pachniały, i te czyste, suszące się na kaloryferach, oraz wszystko, co się dało złapać w pysk i przytargać do kuchni. Miał w tej dziedzinie prawie nieograniczone możliwości.

Wszyscy, włącznie z policjantem i panią Stasią, rzucili się za nim w pogoń, chcąc odzyskać makabryczny artefakt.

Tylko Filip nie miał zamiaru się przyłączać. Dagmara wybiegła z całym towarzystwem, po chwili jednak zawróciła.

– O, widzę, że zmądrzałaś. – Filip się uśmiechnął, rozcierając sobie bolące kolano. –

Wreszcie będziemy mieli chwilę dla siebie, zanim ta chodząca pruderia znów nas dopadnie.

Podszedł do dziewczyny i objął ją.

– Tak dawno cię nie przytulałem – westchnął z zadowoleniem. – Dobrze, że zamiast ganiać tego debilnego psa, wróciłaś do mnie.

Dagmara popatrzyła na Filipa z niedowierzaniem. Przytulać się? Owszem, lubiła czułości,

ale nie w takich chwilach... To znaczy, chciała mieć na to trochę więcej czasu niż mgnienie oka.

– Przyszłam zabrać kawałek kiełbasy dla Bestii, inaczej nie odda kukły!

Filip spojrział na nią obrażony.

– No wiesz co? A po co ci ta durna lalka?! Niech ją zje, zakopie, rozszarpie, cokolwiek!

Filip nie bywał nachalny. Nigdy! Zawsze był grzeczny, ułożony i choć marudny, to jednak przemiły, ale ostatnio trochę się zmienił. Znikał na całe dni, ledwie się odzywał i wydawał się zupełnie nieobecny!

– Może być ważna – mruknęła Dagmara, próbując się uwolnić z objęć narzeczonego. –

Puść mnie! Zaraz ktoś tu wpadnie, przecież tu jest jak na jakimś pieprzonym dworcu!

W tej chwili usłyszała dudnienie, sapanie, a potem krzyk.

– Na moje wyszło! Zdybała żem! – Do kuchni wpadła Kusiakowa, zasapana i jeszcze bardziej czerwona niż przedtem, wlokąc ogromnych rozmiarów siekiere. – Oj, trzymaj ty ręce przy sobie!

Filip zbladł i odskoczył od Dagmary jak oparzony.

– No co pani! Nic jej nie zrobiłem! Niech pani zostawi to żelastwo! To nie moja wina, sama tu przyszła, seksu jej się zachciało...

Dagmara popatrzyła na Filipa ze zdziwieniem. Seks, hm... Ogólnie nie miała nic przeciwko, za to właśnie Filip miał. Zawsze twierdził, że dopiero po ślubie... Ona może by i chciała przed, mimo to staroświeckie podejście Filipa do tych spraw wydawało jej się wręcz urocze. A teraz...? Coś tu nie pasowało, coś wyraźnie rzuciło mu się na mózg, albo wczorajsze morderstwo i nadmiar wrażeń, albo zbyt duża ilość świeżego powietrza.

Nagle zauważyła, że stan umysłu Filipa coraz mniej ją interesuje.

– Żelastwo nie dla ciebie, tylko dla policjanta – wyjaśniła kobieta.

– Nie ma pani chyba zamiaru go ćwiartować? – zapytała ostrożnie Dagmara.

Kusiakowa i wielka zardzewiała siekiera to nie była bajka dla grzecznych dziewczynek,

zresztą ona sama przypominała bardziej drwała z rozwaloną czaszką niż słodką księżniczkę. Nie, słodka księżniczka w ogóle nie pasowała, ani jakakolwiek inna, nawet niegrzeczna dziewczynka. Grzeczne absolutnie nie wchodziły w grę, no, chyba że te martwe i bardzo z tego powodu wściekłe.

Coś, dudniąc, przebiegło przez kuchnię i z łoskotem wpadło pod stół, ze zgrzytem przesuając go o dobre pół metra. Za tym czymś, czyli za Preclem we własnej psiej osobie, w pochodzie weszli do pomieszczenia wszyscy uczestnicy pościgu, z zadowolonym Bestią na czele.

– Nie udało się? – zapytała niespecjalnie zdziwiona Dagmara.

– Nie. Skubaniec uciekł i gdzieś to cholerstwo schował – wyjaśnił Michał niezadowolony.

– Trzeba było go czymś przekupić!

– Jasne! Nic nie miałem!

No tak. Mało kto chodził z lodówką na plecach, a Bestia był wybredny. Miałby oddać coś komuś ot tak? Za nic? Hm, to właściwie nie do pomyślenia!

– Coście, Kusiakowa, tu przytargali? – Policjant ostrożnie odebrał kobiecie siekiere. –

Mam nadzieję, że nikogo tym nie chcieliście przetrącić? Po co wam to żelastwo i co to, do cholery, jest? Topór katowski?

– A gdzie tam! To narzędzie zbrodni! – odsapnęła z dumą. – Leżało, to żem wam przyniesła! Żeście nie chcieli szukać, ale ja wiem swoje! Musiała być siekiera! Gdzie by tam kto komu nożem głowę odrąbywał!

– Boże! Kusiakowo! Już pani mówiłem, że nikt nikomu niczego nie odrąbywał! – jęknął policjant.

Usilnie starał się wytłumaczyć kobiecie, że owszem, zwłoki były, ale cała reszta już nie.

Nikt nikogo nie ćwiartował ani nie dekapitował, nie stało się nic niezwykłego, może poza samym

faktem morderstwa, ale do niej to nie docierało. Należała do kobiet, które prawdopodobnie z braku innych możliwości kochają masakrę. Całymi dniami i nocami potrafią opowiadać o odciętych rękach, wylupionych oczach, kaszance, w której ktoś znalazł palec rzeźnika, i zwłokach nad rzeką, objedzonych do żywej kości.

– Co mi tam pan będzie opowiadał. Ja swoje wiem! Cała wieś gada! Utopce wyszli i ludzi mordują! – z zadowoleniem oświadczyła kobieta.

– Co tu się, do licha, dzieje?! Jakiś dziadek, jakiś generał, teraz utopce, co to wszystko ma znaczyć?

Aspirant Kotek należał do ludzi, którzy chcą wszystko zrozumieć i jakoś sobie poukładać.

– Normalnie, mówiłam, że nas gonili, ktoś kisił forszę w beczce po kapuście i takie tam... O, i o siekierach też coś gadali. – Andżelika uśmiechnęła się rozbrajająco. – Ci z mafii.

– Tego jeszcze brakowało. O Boże! Muszę to wszystko sprawdzić – mruknął policjant.

– A wy postarajcie się nie narażać. Siedźcie tu, nie wchodźcie w las... Ja się wszystkim zajmę!

Trzymajcie się razem, bo nie zniosę kolejnych zwłok! Taka spokojna okolica, a teraz co?

– Ale co pan?! Muchowa codziennie próbuje dopaść Walczaka, a Kryszyn Mietek wczoraj odgrażał się po pijaku, że sam dopadnie mordercę i udusi go własnymi rękami.

– Kryszyn Mietek? Co to za nazwisko? Dziwne jakieś – stwierdziła pani Stasia.

– Może to od Hare Kryszny? Nie wiedziałam, że mają tu swój kościół, ale oni chyba nie piją... – zagadnęła Dagmara.

– Tu nie ma żadnych Harych Krysznów! To porządna wieś. Ksiądz proboszcz by im dał! Kryszyn Mietek, to Kryszyn Mietek, chłop Krychy, co ją wczoraj siekierą...

– Kusiakowo! – warknął ostrzegawczo policjant, ale niewiele to dało.

– W prawie jest, nie? Tak jak mój chłop był!

– Jasne, był w prawie i poćwiartował...

– Nikogo nie ćwiartował! W łeb dał, ale mu się siekiera omskła! Za niewinność siedzi!

Dość tego gadania, muszę się brać do roboty, obiad się sam nie ugotuje! – odburknęła wściekle.

Podeszła do zlewu i ostentacyjnie zaczęła tłuc garnkami.

Policjant zabrał siekierę i odjechał. Właściwie można by powiedzieć, że wszyscy oddalili się do swoich zajęć, jedyny problem w tym wypadku stanowił ich całkowity brak.

#### **Rozdział IV**

Dziewczyny mimo próśb Jaśka i gróźb pani Stasi poszły po zakupy do wioski. Filip snuł się po podwórzu, Michał znów wywędrował gdzieś z psami, a pani Stasia poszła na herbatkę do Jaśkowej matki. Jedynie Jasiek nie próżnował, oglądał starannie wszystkie zamki, dziury w podłogach i zabezpieczał, co się dało. Przyniósł też do jadalni stare radio i przedpotopowy telewizor, żeby dać dziewczynom jakąś rozrywkę, bo nie chciał, żeby szwendały się same po okolicy.

Andżelika, uróżowiona od stóp do głów, przyciągała niechętne spojrzenia żon obawiających się o mężów, dziewczyn zazdrosnych o narzeczonych i chłopaków przekonanych, że taka laska jak to różowe bóstwo na pewno na nich nie poleci, a więc jest głupią pindą, którą natychmiast należy wyzwać od najgorszych.

– Kiedy się hajtacie z Filipem? – zagała Andżelika, bo głupio było tak iść bez słowa.

– Za cztery miesiące – odparła zamyślona Dagmara. – Ale ja się trochę waham. Mam niecałe dwadzieścia siedem lat, czy to nie za szybko?

– Jezu! Ale ty stara jesteś! Ciesz się, że Filip w ogóle cię chce. W twoim wieku...

– Pieprzysz jak potłuczona! – Daga zdenerwowała się na Andżelikę, ale ta tylko roześmiała się serdecznie.

– Panna młoda ma być młoda, nie jakiś stary rupieć!

Szły polną drogą pośród drzew, słońce świeciło całkiem przyjemnie i właściwie byłoby wszystko w porządku, gdyby nie to, że nie czuły się całkiem bezpiecznie. Niby nie działo się nic niezwykłego, a wszystko wyglądało podejrzanie.

Ludzie zza płotów patrzyli na nie, jakby miały po dwie głowy, dzieciaki chichotały, zerkając przez szpary pomiędzy sztachetami, a stare baby obserwowały je z czymś w rodzaju politowania.

Doszły do mniej więcej asfaltowej drogi, która składała się głównie z dziur, nie zaś z porządnej nawierzchni. Minęły nieczynny już młyn, potem jakiś klockowaty budynek.

– To tutejsza remizja – objaśniła Andżelika. – Zabawy tu robią. Fajne imprezy.

Orkiestra gra...

– Chłopy się biją... – dopowiedziała Kinga złośliwie.

– Oj tam, oj tam – odburknęła Andżelika. – A dziewczuchy to co? Gorsze? Też się biją, aż pierze leci... Mówię wam! Super!

Po kilku minutach dotarli do sklepu. Musiał być czymś w rodzaju lokalnej mekki, bo wokół tłoczyła się gromada mężczyzn nie pierwszej świeżości i nie drugiej nawet trzeźwości.

Weszły do budynku przy akompaniamencie pokrzykiwań, gwizdów i niewybrednych żartów.

Sklepowa też nie była specjalnie zachwycona ich widokiem.

– No? Czego chco? – zapytała uprzejmie.

Dziewczyny rozejrzały po pomieszczeniu, od podłogi po sufit wypełnionym skrzynkami po tanim winie i kontenerami po piwie. Poza tym na półkach leżały kostki szarego mydła, stało kilka słoików przecieru pomidorowego i dżem.

– Może kupmy bułki? – zaproponowała Kinga.

– We czwartek – odparła sprzedawczyni.

– A dziś?

– Głucha pani czy co? Jak mówię, we czwartek, to we czwartek! Dziś nie ma.

– A chleb?

– We czwartek!

– Kiełbasa? – zaryzykowała Kinga. – Kiełbasa też we czwartek?

– Ach, te miastowe! Po co komu kiełbasa? Nie sprzedajemy. Ludzie same robio!

Dziedziczka, a taka niekumata?

– Jaka dziedziczka?

– Ja już swoje wiem! – mruknęła. – Wstydu nie ma! Żeby tak przyjeżdżać i ludzi

łokradać?! Wstydu nie ma!

– Czego pani od nas chce?! – pisnęła Andżelika. – Albo żeśmy kogo okradły?

– Jeszcze się pokaże, co wy za jedne! – sapnęła, splatając ręce na potężnym biuście. –

Jeszcze wam krzywda ludzka bokiem wyńdzie i do krwi pokąsa! Rzewnymi łzami płakać będziecie!

– Ale o co pani chodzi? – zapytała Dagmara, sądząc, że kobieta musiała je z kimś pomylić.

– Chodzi, nie chodzi! Ja tam swoje wiem! Jeszcze się doigracie! Popamiętacie moje słowa!

Wyszły bez zakupów, bardzo zaniepokojone.

– Czego ona od nas chciała? – zastanawiała się Dagmara, która w życiu nie ukradła prawie niczego. Bo przecież ciastka ze słoja na kuchennej półce chyba się nie liczą? Matka sąznistym kazaniem i kilkoma klapsami złamała jej karierę dobrze zapowiadającej się złodziejki.

Dagmara nie rozumiała, co do tego miał fakt, że ciastka były spleśniałe.

– Kto ją tam wie? – mruknęła Kinga.

– Powróżyc? – zagadnęła je ni z tego, ni z owego wysoka, kolorowa, dziwacznie ubrana kobieta. – Cyganka prawdę ci powie. Daj no, pani, pieniążka, a połów tutaj, to ci przepowiem, co cię w życiu czeka...

– Mowy nie ma! – syknęła Kinga. – Ja w takie bzdury nie wierzę.

– A kiedy powinnaś! – odparła ze śmiechem nieznajoma. – Bo zły los idzie za wami jak

cień za słońcem.

– Głupoty...

– Złe was przywiodło, złe odwiedzie. Za mąż ci czas iść, żeby nie było za późno!

Zanim miesiąc minie, trzeba ci obrączkę na palec włożyć, bo niedola na ciebie spadnie. Oj, laboga! Niedola, niedola wielka!

– Dziewczyny, spadamy stąd – mruknęła Andżelika. – Jakaś dziwna ta cyganicha.

Nietutejsza. Jeszcze takiej nie widziałam, co by wróżyła za darmo!

Dopiero teraz się zorientowały, że rzeczywiście żadna jej nic nie dała.

– I pysk ma jak jakie kowadło! – dodała Andżelika.

Faktycznie, kobieta była dziwna, żeby nie powiedzieć dziwaczna. Wielka i gruba, z kwadratową twarzą i włosami jakby trochę nie na miejscu.

– Fryzura się pani przekrzywiła – zauważyła Kinga, wskazując głowę nieznajomej.

Nagle zza zakrętu wybiegła inna kobieta. Poruszała się zadziwiająco zwawo jak na swój bardzo zaawansowany wiek. Musiała mieć około stu lat, jeżeli nie więcej. Była siwa, brudna i koścista, na głowie miała czerwoną chustkę, a na nogach kalosze tak wielkie, że przy każdym kroku usiłowały jej spaść. Dziewczyny odwróciły się w jej kierunku. Cyganka oddaliła się pośpiesznie, mruczając coś pod nosem. Dziwaczna staruszka podbiegła i dosłownie się na nie rzuciła.

– Uciekajta stąd! – zawołała. – Już was tu nie ma!

– A to niby dlaczego?! – warknęła ostro Dagmara, wcale nieprzestraszona. – Co to, pani wieś? Ludzie tu całkiem popieprzeni!

– Mówię, uciekajta, bo...

– No jasne! Jeszcze czego! Będziemy szły, gdzie chcemy!

– Głupie dziewczyska. Mówię, żebyście uciekały! Muciek się zerwał!

– To jakiś tutejszy halny, tak? – Dagmara popatrzyła pytająco na Andżelikę, ale nie



uzyskała odpowiedzi.

Wiedziała coś niecoś o halnym, bywała w Tatrach, słyszała, że to zdrażliwy wiatr, ale nie miała zamiaru rejterować.

Dziewczyny odwróciły się ostentacyjnie i chciały iść dalej, kiedy usłyszały tętent.

– O Jezusicku, z drogi! Już leci! – wrzasnęła kobieta i rzuciła się do ucieczki, a po chwili z za tego samego zakrętu wyłonił się zapowiadany Muciek.

– O ja pier...! – krzyknęła Andżelika. – W krzaki! Dagmara, szybko, do cholery!

– No taka ty niby ze wsi, a krowy się boisz? – zdziwiła się Dagmara, ale mina

Andżeliki trochę ją zaskoczyła. Na twarzy dziewczyny malowała się autentyczna, można by powiedzieć, pierwotna groza.

– To nie krowa! – ryknęła z obłędem w oczach. – Wymion nie ma! Uciekajmy... To

Muciek! Durne byczysko Walczakowej, wciąż się zrywa z uwięzi i terroryzuje wieś.

Wskoczyły susem w rosnące przy drodze krzaki. Byk przebiegł obok, nie zauważywszy ich.

– Ojjj – mruknęła dość niepewnie Kinga. – Hm. Muciek Mućkiem, ale tu jest jakoś tak ślisko i zjeżdżaaaaam!

Popatrzyły na Kingę, potem na siebie i zdały sobie sprawę, że siedzą w rowie pełnym brudnej wody i mułu. Z trudem wygramoliły się na drogę i ruszyły z powrotem do domu.

Andżelika była już tylko do połowy różowa, a Kinga cała ociekała błotem.

Mijając kolejne zagrody, wzbudzały niekłamane zainteresowanie. Nic tak nie cieszy bliźnich jak cudze nieszczęście, najlepiej dobrze widoczne i niezbyt zaraźliwe. Ludzie z za płotów już nie przyglądali im się ze zdziwieniem, ale ze zgrozą, dzieciaki z piskiem uciekały do chałup, a stare baby żegnały się ukradkiem.

Wszędzie rozlegały się zduszone szepty, pośród których wyraźnie dawało się słyszeć:

„utopce”, „krew”, „zemsta” i „krwiożercze bestie”, a jakby lepiej nastawić ucha, można by

wyłowić jeszcze takie słowa, jak „urząd podatkowy” i „dentysta”, ale dziewczyny nie były zainteresowane rozmowami tubylców.

Kiedy wróciły do domu, Kusiakowa zemdląła. No, może nie całkiem, ale było blisko.

Padła na krzesło, które przeczuwając niebezpieczeństwo, usunęło się nieco, tak że kobieta wylądowała z hukiem na świeżo umytej podłodze.

– Jezusie Maryjo, utopce?! – zawołała i przeżegnała się trzy razy, zanim wstała. –

Utopce was goniły i w rzekę zaciągnęły? Tak? Zjeść chciały, zamordować? Łoczy wyłupić, głowy pourywać, krew wypić, ręce i nogi...

– Pani Kusiakowa! To nie była rzeka, tylko rów, i nie żadne utopce, tylko jakiś cholerny Muciek!

– Nie gadajcie bzdur! Muciek nie topi! Może poturbować, posiniaczyć, podziurawić, jak to porządny byk, ale nie topi! Wy mi tu nie kłamcie! Zaczęło się! Tak jako było powiedziane.

Kto tu zamieszka, rychło gniewu zmarłych doświadczy. No i doigrałyście się!

– A tam! Muciek gonił taką starą babę w czerwonej chuście na głowie, taką dziwacznie ubraną, wyglądała jak wariatka. Chudą, że aż strach!

– O Jezu kochany! Stara Adamkowa! O Boże jedyny, na mszę trza dać, dalej po wsi lata, a już trzy roky nie żyje.

Do kuchni wpadł Jasiek, który stanął w obronie dziewcząt i zdrowego rozsądku.

– Kusiakowa, nie straszcie dziewczyn! A wy idźcie się przebrać i nie słuchajcie tych wiejskich bzdur! Adamkowa, też mi coś!

– Kiedy ja muszę chyba do szpitala – jęknęła Kinga. – Coś mi się porobiło.

Gips był cały ubłocony i zawilgocony. Jasiek tylko na to czekał. Jak każdy prawdziwy mężczyzna chciał stanąć na wysokości zadania i okazać się rycerzem na białym koniu, tym bardziej że konie miał, dlatego czuł się zawiedziony, że Kinga wybrała te mechaniczne. Po dziesięciu minutach przekomarzań pędzili samochodem do Zamościa.

Wieczór zastał wszystkich przed telewizorem, ale nikt nie miał ochoty na oglądanie filmów. Na dwóch kanałach, które dało się złapać, leciały horrory, a spotkanie z Adamkową tak dziewczyny zestresowało, że nie miały ochoty na takie emocje.

Pomysł, że akurat tę wioskę co noc odwiedzają jakieś śluzowate demony, a w ciągu dnia po drogach biegają, i to dość żwawo, nieżyjące od lat staruszki, wszystkim jeszcze około południa wydawał się bezsensowny i wprost głupi, niestety wieczorem coraz bardziej nabierał sensu, jakby zmrok za oknem osłabiał zdolność racjonalnego myślenia.

Dagmara od jakiegoś czasu miała ochotę zamordować dziadka, ale po dzisiejszym dniu zmieniło się to w straszną, potworną, wręcz maniakalną żądzę mordy.

Przecież to przez niego znalazła się na tym pustkowiu. Uciekał, nie uciekał, gonił go kto czy nie gonił, Dagmara nie znała prawdy, ale wiedziała jedno. To jego wina. Fakt, nie miała nic przeciwko wsi. Wsi spokojnej, wsi wesołej jak z Kochanowskiego, ale ta w niczym nie przypominała sielankowych obrazów Chełmońskiego. Zamiast skromnych chat, choćby i krytych strzechą, były mroczne ruiny, zamiast poczciwych krówek – szalone byki, zamiast kwietnych wróżek, za którymi specjalnie nie tęskniła – utopce, a ludzie... No tak, powinni być prości, ale sympatyczni, a tu co? Zgroza. Agresywna sklepowa, Muchowa usiłująca dopaść Walczaka, szalony morderca, Kusiakowa, Krycha i Adamkowa w wersji zombie. I to miała być ta sielska polska prowincja? Przecież to kłębowisko żmij najpotworniejsze z możliwych!

Dagmara się nie bała, co to, to nie, nie czuła w ogóle strachu... Była najzwyczajniej w świecie przerażona.

Wieczorem wzięła kołdrę i zapukała do pokoju pani Stasi.

– No wie pani – powiedziała nieśmiało. – Nie chciałabym pani obrazić, ale po tych emocjach pewnie boi się pani sama spać. Prześpię się tu na podłodze, będzie pani raźniej. W końcu swój honor miała. Co innego przecież umierać ze zgrozy, a zupełnie co innego zwyczajnie się do tego przyznać!

Pani Stasia uśmiechnęła się z zadowoleniem i wpuściła dziewczynę. Dagmara, dumna z dobrego uczynku, przygotowała sobie pośłanie i już szykowała się do snu, kiedy rozległo się pukanie.

– No wie pani – usłyszała przez drzwi. – Nie chciałybyśmy pani obrazić, ale po tych emocjach pewnie boi się pani sama spać. To my prześpiemy się u pani na podłodze, będzie pani raźniej.

Po chwili trzy dziewczyny mościły się na deskach z zadowoleniem.

Znów usłyszały pukanie.

– No wie pani, ja oczywiście nie chciałbym pani obrazić, ale...

– Nie, Filip! – mruknęła pani Stasia złośliwie. – Aż tak się nie boję. Jakoś sobie bez ciebie poradzę.

Chłopak odszedł jak niepyszny. Noc zapowiadała się niewygodna, ale w miarę spokojna.

Michał wyprowadził psy, po cichutku porozmawiał z kimś przez telefon i upewnił się, że na razie wszystko w porządku. Odetchnął z ulgą, zabezpieczył, co się dało, sprawdził wszelkie drzwi i okna, szczególnie te, które zdołał zamknąć. Położył się i zasnął na chwilę, najwyżej na godzinę, ale nie dłużej. Dziewczyny spały w najlepsze, pani Stasia usiłowała usłyszeć własne myśli poprzez chrapanie Kingi. Zamiast nich dobiegł ją jednak zupełnie inny dźwięk.

Długi, nieprzyjemny, bulgoczący chichot przerwał ciszę nocy. Wszyscy zerwali się na równe nogi.

– Znowu się zaczyna – sapnęła pani Stasia. – Mam tego szczerze dosyć.

– Co to było?! – wrzasnęła Dagmara, łapiąc się za serce.

– Nie wiem. – Pani Stasia wyszła na korytarz, gdzie pogłós sprawiał, że chichot wydawał się jeszcze bardziej makabryczny. – Tutaj tak prawie co noc ktoś się wygłupia i tyle. – Kobieta w odróżnieniu od dziewcząt nie wyglądała na specjalnie przestraszoną, była raczej zła.

– Zresztą może to w rurach?

– Rury? Wyglupy? A psy? Przecież powinny jakoś zareagować!

Psy wcale nie zainteresowały się odgłosami, które dochodziły z piętra. Wszyscy z latarkami pobiegli na górę. Chichot ucichł i więcej się nie powtórzył.

Zeszli na dół w posepnych humorach.

– Pieprzone ruiny! – jęknęła Dagmara. – Cholerna wiocha!

– No – przytaknęła jej Kinga. – Makabra. Ten chichot był jakiś taki diabelski...

– I złowrogi – dodała Andżelika z satysfakcją.

W jadalni panowała mroczna atmosfera. Michał i wezwany natychmiast na pomoc Jasiak, popijając herbatę, usiłowali odgadnąć, co mogło się stać. Filip owinięty w kołdrę trząsł się jak w febrze.

– To nie rury! – zawyrokował Michał. – Rury nie robią takich rzeczy same z siebie.

Trzeba coś odkręcić, gdzieś puścić wodę, a przecież wszyscy spali. Nie?

– No, raczej tak – odparła Dagmara. – A wiatr?

– Hm, chichoczący wiatr? – Chłopak popatrzył na nią z niesmakiem.

– No dobra, rzeczywiście przesadzam – odburknęła.

– Czyli wyraźnie ktoś was straszy, a jeżeli tak, to musi mieć jakiś powód! Pewnie chce się was stąd pozbyć – stwierdził Jasiak twardym głosem. – Tylko dlaczego? To są ruiny!

Pieprzone, stare i beznadziejne. Nikt tu nie mieszkał od lat. Wszystko marnieje, więc po co was stąd wyganiać? Jak przyjechaliście, tak wyjedziecie, to proste...

– A może to jest czyjeś i właściciel się boi, że my to ukradniemy albo co?

– Gdyby to miało jakąś wartość, to jeszcze, ale po co komu ta kupa gruzu? W tej chwili wartość tej, pozał się Boże, rezydencji wynosi tyle, co cena cegieł z rozbiórki. Trzeba by tu włożyć setki tysięcy, żeby to odnowić i żeby zaczęło pracować na siebie. Zresztą taniej byłoby wyburzyć!

– A ziemia?

- Nieee, nie na tyle, żeby robić takie cyrki. Kiepska lokalizacja. Niby jest Tanew i świeże powietrze, ale to za mało. Teraz potrzebne są albo zabytki, albo jakieś inne atrakcje... Coś dla snobów, bo tylko oni mają forszę. To nielogiczne. Zresztą jak ukraść ruiny?
- Przez zasiedzenie?
- Nie wiem, ile to musiałyby trwać, ale chyba całe lata, a nie wyobrażam sobie, żebyście tu przetrwali choćby jedną zimę. I po co? Po co byłyby wam te ruiny? Przecież to zadupie. Owszem, ja je kocham, ale nie jestem warszawiakiem. Goście ze stolicy zanudziliby się na śmierć.
- Ale ten chichot – szepnęła niepewnie Kinga. – On tak jakby bulgotał! I... i...
- Aha! Widzę, że Kusiakowa porządnie was nastraszyła! – Chłopak roześmiał się serdecznie. – Wierście mi! Tu nie ma żadnych utopców.
- Ale jak szłyśmy takie upaprane, to ludzie...
- Oj tam. Gadają i tyle! Przynajmniej mają o czym, choć rzeczywiście wszystko zaczęło się chyba dopiero wtedy, jak się tu zjawiliście. Trochę się we wsi nerwowo zrobiło, to prawda. Może ludzie myślą, że znów ktoś otworzy tu sanatorium dla psychicznie chorych? Morderca to morderca, wiadomo, czego się spodziewać, a taki wariat jest całkiem nieprzewidywalny! Wszystko mu wolno i jeszcze nie pójdzie siedzieć! – Jasiak westchnął zrezygnowany. – Zresztą cała ta sprawa jest koszmarnie zagmatwana. Bo przecież wasz pobyt tu kompletnie nie ma sensu! Zreasumujmy. Siedzicie sobie gdzieś tam w świecie i ni z tego, ni z owego ktoś was napada...
- Nas to potem, najpierw chyba dziadka.
- Przecież ci tłumaczyłam, że to nie tak! – znów wtrąciła się pani Stasia, ale Dagmara zbyła ją machnięciem ręki.
- Ja tam nie bardzo pani wierzę! – odpowiedziała.
- Wszystko jedno, w każdym razie uciekaliście? Zgadza się?

– No tak jakby – westchnęła Andżelika i się zawahała. – Choć w sumie to trochę durne.

Bo po co uciekać akurat tutaj? Nie ma innych wioch w Polsce? Są, a my zwiewamy na jakies cholerne zadupie i zaszywamy się w zrujnowanym psychiatryku. Genialna miejscówka!

– No, w sumie bunkier to to nie jest...

– Dobrze sobie! Namiot z porządnym zamkiem błyskawicznym daje lepszą ochronę, przynajmniej od deszczu, a tu? Dziura na dziurze, zamki wyłamane, okna powybijane, dookoła las... Ja tam nie wiem, ale to raczej kiepska kryjówka.

– Pewnie zależy, kto cię szuka, nie? – mruknęła Dagmara.

– To nieważne! Nawet przed komornikiem byś tu się nie ukryła. Przez okno by wlaź!

Nie ma znaczenia, kto was goni, czy to mafia, czy morderca, czy szalona babcia klozetowa...

Każdy może was tu dopaść i wymordować.

– Może już dopadł i zaczął od Krychy! Z drugiej strony przecież nie zabili jej, żeby się nas pozbyć! Prawda?

– Mogli chcieć nas nastraszyć.

– Mordując zupełnie obcą nam osobę? Powinni zaciukać któreś z nas, wtedy byśmy się stąd wynieśli! Zresztą nie... O Boże jedyny! Wiem! – zawołała Daga i pobiegła do swojego pokoju, a po chwili wybiegła stamtąd z krzykiem. – Rozumiem! O ja pier... Wszystko jasne!

Wpadła do któregoś pokoju, wyskoczyła, skierowała się do kolejnego.

– Często tak świruje? – zapytała Andżelika z satysfakcją w głosie. – Bo jak tak teraz widzę, to ona ciut nienormalna jakaś, nie?

Dagmara zajrzała do pokoju pani Stasi.

– Cholera jasna! – wrzasnęła, potykając się o Precla. – Schowaj kopyta!

– O co ci chodzi? – zapytał stojący w korytarzu Filip, owinięty w kołdrę, lekko przerażony i wciąż trochę zielony.

– Zamordowano Kingę, nie Krychę! – oznajmiła Dagmara triumfalnie.

– Mnie? – zdziwiła się dziewczyna. – Aha, i teraz w charakterze upiora płaczą się między wami i wyję? Wiesz, albo coś do mnie nie dociera, albo macz jakiś atak...

Dagmara wbiegła do kuchni, dzierzząc w ręku brudną skorupę.

– Gips! – zawołała. – Krycha miała zabandażowaną rękę! Było ciemno. Ktoś się zaczął. Chciał zamordować Kingę, trafił na Krychę!

– No dobra. – Michał wzruszył ramionami. – Pozostaje tylko wyjaśnić jeden drobiazg.

Po co ktoś miałby mordować Kingę?

– Mówiłam! Żeby nas przestraszyć, to tak jak z tym koniem w *Ojcu chrzestnym*! Jasny przekaz i propozycja nie do odrzucenia!

– Nie jestem koniem! – zaprotestowała Kinga. – I finansowo jestem o wiele mniej warta!

– Jasne, jasne... tylko hm... Bo jeżeli ktoś zamordował Krychę, bo chciał zamordować Krychę, to jeszcze jakoś się składa, ale jak ktoś polował na Kingę, a zaciukał Krychę, to już nie! One nie są do siebie podobne, no i Krychę każdy tu znał!

– Czyli musiałyby być to ktoś obcy, kto nie znał ani jednej, ani drugiej, albo komu mniej więcej wszystko jedno, w kogo wali.

– Kusiakowa! Jej byłoby obojętne! – stwierdziła Andżelika.

Wszyscy popatrzyli na nią z dezaprobatą.

– Nie. Ona znała i Krychę, i Kingę. Nie miałyby szans się pomylić.

Różowa Pindzia rozparła się wygodnie na krześle.

– Czyli tak jak mówiłaś, ta ruska mafia potraktowała Kingę jak konia? A ja myślałam, że oni takie więcej kozaki, co się na koniach znają.

– No ale wy tu nadal jesteście! Czyli co? Zamordują jeszcze kogoś?

Filip pobladł bardziej, co wydawało się niemożliwe.

– Nie! Mafia tak nie działa! – zaprotestowała Dagmara. – Oni najpierw straszą, potem



mordują!

– No tak, a ci najpierw zamordowali, a teraz straszą. Potwornie nielogiczne, ale kto wie, jak działa taka cygańska mafia...

– Cyganka! – wrzasnęła Dagmara. – Napadła nas dzisiaj Cyganka! Należała do gangu!

Chciała wróżyć... Kazała Kindze natychmiast wyjść za mąż i stąd uciekać!

– A to ciekawe – rzuciła w zamyśleniu pani Stasia. – Naprawdę radziła Kindze ślub?

Jesteście pewne?!

– Najzupełniej. I to zanim miesiąc minie, bo podobno niedola na nią spadnie, i w ogóle okropnie nas straszyla.

– Czyli mafia chce cię wydać za mąż? Ale po cholere jacyś bandyci mieliby się interesować twoimi planami matrymonialnymi...? Oni raczej są od pogrzebów, nie od ślubów!

– I od straszenia – sapnęła Andżelika.

– Czyli rury to też oni? – Dagmara się ucieszyła.

– Nie, hydraulików tam chyba nie przyjmują... A właśnie, przyszedł już ten hydraulik?

– No tak, ale gówno zrobił. Woda leci jak krew z nosa.

– To może on załatwił te rury i chichot?

– Nie, to mafia, a nie hydraulik! – odparła zdecydowanie Andżelika.

– Czy w jakimkolwiek filmie widziałaś chichoczących mafiosów?

– Chichoczących hydraulików też nie widziałam, co nie znaczy, że ich nie ma, ale

dobra, ci z mafii mogą być tacy bardziej niespełna rozumu, nie? – mruknęła Andżelika. – To co?

Bo już nic nie wiem. Znowu kogoś zamordują?

– Dość tego głupiego gadania – ucięła pani Stasia. – Trzeba tylko zachować ostrożność.

Koniec dyskusji! Musimy kupić Andżelice telefon, nie może być zdana sama na siebie, gdyby coś się działo.

Po zakończeniu przemowy kobieta pogoniła dziewczyny do łóżek, a właściwie zagoniła

je znów na podłogę do swojego pokoju.

Spały długo i nawet dobrze, nie licząc ciągłych przepychanek z Preclem, który raz po raz wpychał Dagmarę na ścianę, Kingę pod łóżko, a z Andżeliki robił sobie poduszkę, wylizując jej pachnące buraczkami włosy. Może i nie byłoby to takie straszne, gdyby nie późniejsze problemy żołądkowe. Przez całą noc Precel miał gazy.

\*

Ranek przyniósł nowe wiadomości. Andżelika właśnie wybierała się wydoić kozę, kiedy Kusiakowa wpadła z rewelacjami.

– Policja do was! – wrzasnęła pod drzwiami, powodując katastrofę w ruchu podłogowym, bo dziewczyny zerwały się w panice i potykając jedna o drugą, próbowały doprowadzić się do jako takiego porządku i nieco wywietrzyć z psiego smrodu.

Po dobrych kilkunastu minutach wszyscy zebrali się w jadalni. Wokół unosił się nie najpiękniejszy zapach, a dziewczyny były zmęczone, niedospane i lekko podtrute. Andżelika wyszła z tego najgorzej, bo na głowie miała sklejoną psią śliną kłęb włosów.

– Ło! Zapuściłaś sobie kołtuna! Zdrowa będziesz, a i szatan cię nie dopadnie – pochwaliła Kusiakowa.

– Hm. – Policjant pociągnął nosem z dezaprobatą. – Kusiakowo, jakieś mięso się wam psuje. Okna trzeba otworzyć!

Kobieta chciała coś odburknąć, ale była za bardzo ciekawa policyjnych rewelacji, żeby się sprzeciwić. Otworzyła wszystkie okna. Zebrani odetchnęli z ulgą.

– Znalazłem waszego Generała – oświadczył policjant, przechadzając się po sali z piersią wypiętą prawie jak do orderu. – Jest we Wronkach.

– Czyli niedaleko? Prawda? – Dagmara miała mordercze zamiary wobec dziadka, ale był on potrzebny do ich realizacji, w miarę możliwości cały i zdrowy.

– Dostatecznie daleko, żeby się panie nim nie przejmowały – odparł z dumą Kotek. –

Siedzi w więzieniu! Jak słusznie się pani domyślała, kierował mafią. Taką pomniejszą.

– O, moje serce! – krzyknęła pani Stasia, prawie mdlejąc.

Należała do kobiet starej daty, które bezbłędnie potrafiły symulować utratę przytomności, nie robiąc sobie przy tym żadnej krzywdy.

– To jakieś bzdury! – rzuciła po chwili zdecydowanie. – Generał nie kierował żadną mafią. To nie może być on.

– Zadzwoń do kolegów i spytałem, czy znają kogoś o takim pseudonimie. Okazało się, że taką ksywkę nosi Jakub Sowa, szef zorganizowanej grupy przestępczej, która zajmowała się okradaniem... – Nie dokończył.

– Jaki Jakub Sowa? To nie on!

– Na pewno on! – Policjant nie był zadowolony. – Na sto procent, teraz szukamy tylko współników, tych, jak im tam, braci Utopców, to chyba jakieś rosyjskie nazwisko, ale i tak ich znajdziemy. Ktoś coś musi wiedzieć.

Dagmara zauważyła, że aspirant z uporem odmawia uznania demonów Kusiakowej za faktyczne upiory. Tyle razy słyszał o utopcach, a wciąż nie chciał w nie uwierzyć, co w pewnym sensie było pocieszające, ale z drugiej strony dziewczyna zdawała sobie sprawę, że policjant to nie zwykły zjadacz chleba. Prywatnie może wierzyć, w co chce, nawet w krwiożercze marchewki, ale służbowo musi robić wrażenie całkowicie pozbawionego wyobraźni, przynajmniej tej oscylującej ku złym duchom.

– Utopce to zmory! – wrzasnęła. – Polskie, nie rosyjskie, nasze rodzime, własne, a on nie nazywa się żaden Jakub i żadna Sowa! Znamy go, to rodzina!

– No, jeżeli macie osobiste powiązania z mafią, to ja się wcale nie dziwię, że ktoś was chce wymordować! Czyli jak niby się nazywa?

– Ksawery Rogalski!

– Ksawery Rogalski, pseudonim Generał, trzeba było tak od razu, zadzwonię do

Interpolu...

– Panie aspirancie – westchnął trochę znudzony Michał. – Ja panu wszystko wytłumaczę.

Chłopak zabrał policjanta na przechadzkę wokół domu. Wszyscy byli mu za to szczerze wdzięczni.

Wkrótce dobiegły ich coraz bardziej zaciekawione pomrukiwania funkcjonariusza.

Stłoczyli się przy oknie, chcąc usłyszeć jak najwięcej.

– Ach tak! No, no... A, teraz rozumiem. No, przecież trzeba było tak od razu...

Minęło trochę czasu, zanim do policjanta dotarło, że Jakub Sowa, siedzący w więzieniu we Wronkach przestępca o pseudonimie Generał, nie jest tą samą osobą co Ksawery Rogalski, dziadek Dagmary.

Drugie tyle Michałowi zajęło wytłumaczenie mundurowemu, że to, co mówi Andżelika, nie jest jakąś prawdą absolutną, ale wytworem wyobraźni dziewczyny, i że wszystko albo prawie wszystko należy włożyć między bajki.

– Coś mu tam naopowiadał? – zapytała podejrzliwie Dagmara, jak tylko Michał wrócił.

– To samo co wy, tylko w odpowiedniej kolejności! – Chłopak roześmiał się szczerze. –

Nic innego nie wiem.

To szybkie zapewnienie trochę zastanowiło dziewczynę, ale mu nie uwierzyła. Już miała poddać go bardziej szczegółowemu przesłuchaniu, ale przenikliwy pisk Andżeliki udaremnił jej plany.

– Coś się dzieje w tamtym domu! – zawołała.

Wszyscy popatrzyli z zaciekawieniem na sąsiednią posesję.

– O Boże! Rudy Piotrek? – stwierdziła z niezadowoleniem Kusiakowa. – Zawsze

mówiłam, co rude, to złe. Ja wam mówię, ryż, zyz i kuternoga to naznaczone przez Pana Boga!

Na podwórku sąsiadów zobaczyli znajome sylwetki.

– Czy to nie te pijaki ze Zwierzyńca? – mruknął niezadowolony Filip.

– Pijaki? – zdziwiła się Kinga. – To ty upiłeś się jak kretyn.

– Zamknij się! – odparował chłopak. – Po cholere się tu przywlekli? Śledzą nas czy jak?

– Może... – pisnęła Andżelika. – Ten kark z ogoloną głową, napakowany jak PKS do Lichenia, wygląda mi na takiego, co ledwie z mamra wyszedł, ale jest całkiem ciachowaty! A ten rudzielec... Śliczny chłopaczek, nie?

– Już wiem! To on! On zamordował Krychę – zawyrokowała Kusiakowa. – Ten rudy, bo rude to złe.

– On chyba ma na imię Piotrek? Mówił, że w Zamościu studiuje!

– Mówić to on sobie może i studiować tyż, ale mordować to mu nie przeszkadza. Toż on Malecha! Wstydzilibyście się. Żeby z mordercami się zadawać. Wstyd! Trudno się po Malechach czego dobrego spodziewać.

– Tylko po co oni tu przyjechali? – zastanawiał się Filip. – Śledzili nas. Na pewno.

– Przecież oni tutejsi – stwierdziła Kusiakowa.

– Przyznaj się. Znów cię tchórz obleciał! – parsknęła Kinga. – Znalazł się bohater od siedmiu boleści.

– Po prostu jestem rozsądny i nie zadaję się z przerośniętymi wsiokami.

– Mnie tam się podoba ten kark. Widać, że wie, co to siłka – westchnęła Andżelika.

– Jasne – dodała Dagmara. – Szkoda, że nie wie, co to mózg. Ten drugi mądrzejszy!

– A skąd wiesz? Może ty w ciąży jesteś i za nim tu przyjechałaś? Aha! – wykoncypowała Kusiakowa, nie dając nikomu dojść do głosu. – To chociaż pasek zdejmij, bo się dziecko pępowiną okręcone urodzi... I na ogień nie patrz... Rude to i tak będzie, ale choć przez dziurkę od klucza nie zerkaj, bo zez gotowy.

– Ja go nawet nie znam!

– I co z tego?! Ale dzieciaka ci zrobił!

– Nikt mi niczego nie robił. Nie jestem w ciąży i niech się pani wreszcie zamknie! Dość tych głupot! – warknęła dziewczyna tak ostro, że wszyscy popatrzyli na nią z niedowierzaniem.

Kusiakowa zamilkła i obrażona wyszła na korytarz znaleźć inne miejsce obserwacyjne.

– Ploty i tak rozniesie – jęknęła Andżelika. – Wredny babsztyl, ale co tam, to też ma swoje dobre strony, bo ludzie tutaj boją się ciężarnych! Wierzą, że jak ktoś odmówi takiej czegokolwiek albo ją oszuka, to mu myszy wszystko zjedzą! Cały dobytek... Teraz jesteś najbardziej nietykalną laską na Lubelszczyźnie! Choć gadać i tak będą.

– Kiedy nie jestem w ciąży, debilko!

– Oj, to szczegół.

– Przestańcie natychmiast! – ucięła pani Stasia. – Dość mam tych babskich gadek.

Dagmara, jedziemy po telefon! Andżelika, ty zostajesz na gospodarstwie, pilnuj tu wszystkiego, telefon sama ci wybiorę, bo ty byś za bardzo cudowała, a poza tym mam z Dagmarą do pogadania. Bez świadków.

Wyjazd z panią Stasią nie był tym, na co w tej chwili dziewczyna miała ochotę, ale po pierwsze z tonu starszej pani wynikało, że nie ma co dyskutować, a po drugie liczyła na pospieszne choćby zakupy w jakiegokolwiek księgarni, bo nie lubiła się nudzić, a nie zabrała ze sobą żadnej lektury.

– I co o tym wszystkim myślisz? – zagadnęła ją kobieta, jak tylko wyjechały za bramę.

Tego typu rozmowa wcale nie ucieszyła dziewczyny. Za bardzo podchodziła pod klasyczne zagajenie i mogła zboczyć w kierunku Filipa, czego Dagmara się nieco obawiała.

– Nic nie myślę.

– Tak, to rzeczywiście da się zauważyć – odparła złośliwie pani Stasia. – A jak tam między tobą a Filipem?

No i stało się.

– A jak ma być? Dobrze! – warknęła Dagmara. Nie chciała być niegrzeczna, ale, na

litość boską, miała chyba prawo do prywatności?

– Czyli nadal...

A więc chyba jednak nie miała.

– Pani Stasiu! Co to panią obchodzi?! To są moje sprawy. Nagle wszyscy tylko „a jak tam, a co tam”. Jest dobrze i już!

– No, ale wy nadal...

– Tak! I co z tego?! – rzuciła Dagmara wściekła, że dała się sprowokować.

– No bo jakoś tak... No i w ciąży chyba nie jesteś, co?

– Jakim cudem mogłabym zajść? Przez zapylenie chyba!

– Nie żartuj sobie z poważnych spraw.

– A kto mnie pilnuje na każdym kroku? A kto wyje po nocach...

– A więc to niby moja wina? Ja pilnuję moralności, no i tego... hm... tradycji, żeby potem nie wyszło... Bo wiesz, on jakiś taki dupkowaty – dodała po chwili, uśmiechając się zaczepnie.

I niestety Dagmara musiała przyznać jej słuszność. Oczywiście nie zamierzała robić tego głośno, ale gdzieś w głębi duszy wiedziała, ba, nawet była pewna, że pani Stasia ma rację.

– Filip źle się czuje w takich warunkach – usiłowała go bronić. Jak każda może już nie zakochana, ale nadal lojalna kobieta potrafiła znaleźć wyjaśnienie wszystkich dziwacznych zachowań obiektu swoich westchnień.

– Trudno czuć się dobrze, kiedy w okolicy grasuje morderca, ruina się wali, Kusiakowa opowiada krwawe bajki, a dom chichocze, ale inni jakoś sobie radzą, tylko on chodzi wciąż pozieleniały.

– Pani Stasiu, dlaczego się pani tak na niego uwzięła?!

– Ja? Przecież to zwykły leń, nierób, tchórz i dupek! – odparła baba z werwą.

Tu również Dagmara musiała przyznać jej trochę racji, bo nawet Różowa Pindzia

potrafiła sobie znaleźć coś do roboty i nie kwękała jak jakaś księżniczka.

– Taka jego natura. On się na wieś nie nadaje, pani Stasiu.

– No, rozumiem, ale z tego, co pamiętam, urodził się tu, w okolicy, a do Warszawy przeniósł się dopiero rok temu. Pochodzi z Chłopkowa, wsi z ledwie czterystoma mieszkańcami... A patrz, jakie panisko z niego wyłazi! Tak bardzo chce stać się warszawiakiem, że aż przesadza.

Dagmary to nie obchodziło. Filip był plastrem na złamane serce i w stolicy doskonale się sprawdzał. I chociaż tutaj wydawało jej się, że to chyba jednak plaster na odciski, ale kiedy serce boli i rozpada się na kawałki, człowiek najczęściej łapie to, co ma pod ręką.

Był miły, przystojny, uroczy. Takiego potrzebowała. Jego samego i poczucia, że świat też da się jakoś posklejać. Jednak dobre czasy należały do przeszłości. Sama się do tego przed sobą nie chciała przyznać, ale coraz bardziej miała go dość.

– Wie pani – zaryzykowała – jak się chodzi z chłopakiem trzy lata i planuje ślub, a on wysyła esemesa, że „pa, wybaczone, ale kocham inną”, to szlag może człowieka trafić. I trafia.

– A, rozumiem, Filip to taki szlag? Trafił cię? Jasne! Świetny wybór – wyłóśliwiła się starsza pani. – To już większego głupka nie było pod ręką?

Dagmara ostro zahamowała na skrzyżowaniu i spojrzała na kobietę ze wściekłą miną.

– No dobrze, już się zamykam – powiedziała pani Stasia mniej więcej ugodowo. –

Chciałaś, to masz. Twój wybór, twoje życie... Skoro go kochasz? Bo kochasz, prawda?

Dagmara wkurzyła się tak, że o mało nie skasowała latarni, ale musiała się nad tym zastanowić. Bo pojawił się pewien problem. Wcale nie taki mały. Dagmara się jakby odkochiwała. O ile zakochywanie się jest superprzyjemne, wyjąwszy motyle w brzuchu, bo Dagmara nie znosiła takich amerykańskich sensacji, to odwrotny proces przebiega paskudnie i przypomina stan po zjedzeniu nietoperza.

Coś człowieka dręczy, gryzie, tłucze mu się po wnętrznościach i sprawia, że przy każdej



nadarzającej się okazji ma ochotę albo zwymiotować, albo kogoś udusić.

Niestety takich momentów zdarzało się coraz więcej. Dagmara popierała ideę równości płci, ale, na litość boską, facet nie powinien pisać jak pensjonarka, kiedy coś zachichocze na strychu albo ktoś rzuci w niego byle kapustą. Usiłowała się przekonać, że kapusta miała coś wspólnego z trupem, a chichot z utopcami, ale średnio jej to szło. Albo ten dziki pies lub zupełnie niewinne figle Precla, no i histeria na widok urn z prochami...

Może jakiś czas temu uznałaby to za urocze fanaberie, słodką wrażliwość i fantazyjne podejście do rzeczywistości, ale teraz wszystko ją drażniło, może jeszcze nie wkurzało, jednak irytacja stopniowo rosła i zaczynała osiągać coraz większe przyspieszenie.

– To co, kupujemy różowy? – zagadnęła pojednawczo dziewczyna, chcąc zmienić temat. – Z bezmordym kotem, taki jak miała?

– Coś ty, dziewczyno, ogłupiałaś? Nie wolno drażnić bestii. – Pani Stasia wyciągnęła z kieszeni kostiumu okazałych rozmiarów kartkę. – Mam tu spis wszystkiego, co zakazane.

Popatrzmy. Pierścień Atlantów, drzewko szczęścia, pokemony, kucyki Pony, motyl, jednorożec, skarabeusz...

– Kusiakowa przesadza z tymi diabłami...

– Zgoda, ale jest nam potrzebna. Poza tym nie chcę, żeby zrobiła w końcu krzywdę Andżelice, a dziewczyna musi mieć telefon, nie powinniśmy jej narażać...

– A wie pani, o czym sobie pomyślałam...? Może to ona jest morderczynią? No bo wtedy, tam, podejrzenie szybko przyszła...

– Jasne. Zabiłaby ją chyba swoim odblaskiem. Daj spokój! Andżelika jest nieszkodliwa.

Jak na nią patrzę, to oczy mi łzawią, a gdy jej słucham, to mózg mi się skręca i zaczynam wątpić we własną inteligencję, ale to nie ona...

Dagmara postanowiła przypuścić atak frontalny.

– Pani Stasiu. Niech mi pani powie, co się dzieje. Wszystko, co pani wie! Proszę!

– Kochanie, wiem tyle, ile ty, czyli niewiele. Mamy tu czekać na dziadka, on coś załatwia. Coś ważnego, chyba z tym spadkiem. Są jakieś sprawy... jacyś ludzie... No, jest coś. Nic więcej nie umiem ci powiedzieć. Naprawdę.

– Ale gdzie on jest i po co to wszystko? – zaryzykowała Dagmara błagalnym tonem, licząc na jakąkolwiek odpowiedź. I otrzymała ją, choć nie taką, jakiej pragnęła.

– O, patrz, księgarnia, idź coś sobie kup i wracamy, bo aż boję się pomyśleć, co tam się wyprawia, kiedy nas nie ma!

\*

Wracały prawie w milczeniu i nie było to dobre milczenie. Dagmara wybrała kilka tytułów, bo jej finanse w tej chwili nie pozwalały na wykupienie całej księgarni. Udało im się też znaleźć niedrogi telefon dla Andżeliki, zaopatrzyć w zapas karmy dla psów i trochę jedzenia, na wypadek gdyby Kusiakowa znów usiłowała nakarmić ich jakimś lokalnym specjałem. Ale nie potrafiły się porozumieć. Strasznie trudno dogadać się z kimś, kto nie zamierza nic mówić.

Dom spowijały gęste szare chmury.

– Ale numer! Przecież po drodze wcale nie było mgły! Teraz to cholerstwo wygląda jeszcze bardziej horrorowato! – oceniła nie bez pewnej dozy lęku Dagmara. – Aż mnie ciarki przeszły! Fuj! Tylko duchów brakuje...

– Nie zachowuj się jak Filip! – odpowiedziała pani Stasia, korzystając z okazji, żeby wtrącić swoje trzy grosze. – Co ci przeszkadza mgła? O, cholera! To dym! Czuć spaleniznę. Ktoś podpalił nam...

– Ruiny? – złośliwie podpowiedziała Dagmara. – A niech mu tam! Przynajmniej się stąd wyniesiemy!

Z wnętrza domu dobiegły wrzaski, piski, tubalny głos Kusiakowej i przekleństwa.

Pani Stasia i Dagmara rzuciły się biegiem w stronę drzwi. Wiedziały, że trzeba będzie kogoś ratować, i to raczej nie z pożaru. Lekko zasapana kobieta wpadła do środka pierwsza.

Stanąła w kłębach dymu i prawie została staranowana przez coś wielkiego, wściekłego i umazanego sadzą.

– Łolaboga! Łolaboga! I co teraz będzie?! I co ja zrobię, o ja nieszczęsna?! Chyba się zabiję! – wrzeszczała Kusiakowa, tocząc się przez zadymiony korytarz.

– Spaliła pani dom? – spytała Dagmara z nadzieją w głosie.

– A gdzie tam! Ja ni! To łone! – krzyknęła kobieta.

– Aha. – Dagmara pokiwała głową ze zrozumieniem. – Pewnie utopce... Czy pani się to nie nudzi?

Pani Stasia przyjrzała się babie ze zgrozą.

– Kusiakowo, co pani tam trzyma?

– Kiedy nic – rzuciła tamta spłoszona, chowając za siebie coś czarnego, długiego i bardzo poskręcane. Wyglądało to jak laska jakiegoś demonicznego maga. – Złapałam, bom złapała...

– To na utopce? – Dagmara pokiwała ze zrozumieniem głową. – Pani Kusiakowa, da pani już spokój, niech pani lepiej mówi, co się stało.

– Ksiądz proboszcz przyszedł!

– Jasne, i podpalił chałupę! Co też pani wymyśla? Bzdura! Powinniście się wstydzić! – strofowała ją pani Stasia, po czym rozkaszała się na dobre. – Co tak się koszmarnie kopci?

Z daleka słyhać było szepty i przerażone popiskiwanie.

Kusiakowa pognęła do kuchni, z której kłębami wydobywał się czarny, cuchnący dym.

– Rosół! – jęknęła Kusiakowa. – Spaliły mi zupę... Cała poszła z dymem!

– Chyba nadal idzie – zauważyła filozoficznie Dagmara. – Ale kto jest w stanie spalić rosół?

Z daleka usłyszały jeszcze głośniejszy pisk.

– Wyłazić mi tuta! – wrzasnęła Kusiakowa. – Wyłazić, bo obję!

– Ale co z tym księdzem? – dociekała pani Stasia.

– A co ma być? Przyszedł, to go ugościłam, kazałam pilnować rosołu, a teraz co?

Skwarek z garnka został, a chochla... – Kobieta jeszcze raz pokazała czarne coś i chlipnęła. –

Taka była poręczna, a teraz cała poskręcana!

Do tej pory nikt nie podejrzewał Kusiakowej o to, że posiada uczucia, a już z pewnością nie w stosunku do ludzi, ale najwyraźniej sprzęty kuchenne to co innego.

– Jeszcze raz! Proboszcz przyszedł i Kusiakowa go ugościła, a potem kazała mu pilnować rosołu? Nic dziwnego, że sobie nie poradził, księża zazwyczaj nie umieją gotować, mają od tego gospodynie!

– Że niby proboszczowi kazałam? A gdzie tam! Nicem nie kazała! To nie ksiądz, to łone! – Wskazała ukochaną chochlą w kierunku drzwi, w których właśnie pojawiły się Kinga i Andżelika. – Łone!

– Co zrobiliście, debilki?! – warknęła Dagmara.

– Nic!

– A juści! Nic a nic – biadoliła Kusiakowa. – Tylko rosół... A taki był dobry. Spaliły!

Do ostatniej kropelki...

– Czyli co? Obiadu nie będzie?! – ryknął wściekły Filip. – To już przechodzi wszelkie pojęcie! Naprawdę. Kusiakowa, za co my pani płacimy? Za pogaduszki z księdzem?

Kusiakowa zamarła. Jak każda porządna i szanująca się gospodyni miała swoje priorytety, choć pewnie to słowo, gdyby je znała, kojarzyłoby jej się bardziej z praniem, zwłaszcza że teraz miała ochotę porządnie sprać Filipa.

Owszem, uznawała pewną hierarchię. Wiedziała, kto jest ważny, a kto nie, i kto ma w domu najwięcej do powiedzenia. I jakimś cudem ze wszystkich jej obliczeń wynikało, że w domu najważniejsza jest właśnie ona.

– Łoj, nie strzymam! Łubiiiije! – zawyła głosem, którym wzbudziłaby grozę w każdym,

kto ma trochę mózgu i szczyptę wyobraźni. Filip najwyraźniej nie posiadał ani jednego, ani drugiego.

– Też mi coś! – rzucił zaczepnie, ale cofnął się o krok. – Obiad szlag trafił! To pani wina.

– Ty mi tu winy nie wpieraj, bo jak mi się nawiniesz, to popamiętasz, żreć nie dam przez tydzień!

Filip ostentacyjnie wzruszył ramionami.

– Musi tu być jakaś gospoda. Poradzę sobie sam – dodał i zniknął.

Dagmara zamarła zdziwiona. Filip i gospoda? Zwykła wiejska gospoda? Powietrze w Utopcach potrafiło działać cuda!

Rosół w stanie stałym został wraz z garnkiem wyniesiony na śmietnik. Nie dało się go odłupać od dna. Chochla została w kuchni jako niemy dowód ludzkiej głupoty i wizyty duszpasterskiej.

Dziewczyny po prostu trochę się zagapiły, no, może bardziej niż trochę albo nawet całkiem porządnie, i za karę teraz musiały asystować Kusiakowej i wysłuchiwać jej narzekań podczas gotowania kaszy i czyszczenia grzybów.

Potrawa początkowo wzbudziła wśród głodomorów przy stole entuzjazm, który jednak wkrótce zamienił się w popłoch.

– Zna się na grzybach czy zamierza nas otruć? – szepnęła Dagmara pytająco, nieco przewrażliwiona po ostatnich wydarzeniach.

– Zna się – odparła jej równie cicho Andżelika. – Jak każdy tutaj. Z sitkiem, znaczy można jeść, zresztą grzyby gotuje się u nas z cebulą i srebrną łyżeczką... Raz sobie o mało zęba na takiej nie złamałam.

– To faktycznie nas pocieszyłaś – westchnął Michał drwiąco. – Przecież to jakieś głupie zabobony! Srebrna łyżeczka... Ciekawe!

– Bo jak cebula albo łyżeczka szernieje, to trujące.

– O Boże jedyny! Wytruje nas jak nic!

– Przestańcie! To rozsądna kobieta.

– Mówi pani o tym czymś, co chciało nas zabić z powodu rosołu? O tym, co gania diabły po kuchni?

Pani Stasia trochę się speszyła. Rozsądna? Nie, w żadnym razie to określenie nie pasowało do Kusiakowej, „kobieta” też zresztą nie bardzo, a już oba naraz?

– Jedzmy! Nic nam nie będzie! – zachęciła jednak, głodna jak całe stado wilków. – Przecież nie mogłaby...

– Serio? To dlaczego to cholerstwo jest takie gorzkie? – jęknęła Kinga, tak samo przyciszonym głosem. – Niby widziałam te grzyby i żaden nie miał kropek, ale może je wydłubała?

– Pewnie się pomyliła i goryczaków dodała! – wyjaśniła Andżelika.

– Pochorujemy się tylko czy zginiemy w męczarniach?

– Ani to, ani to! Goryczaki nie są trujące! No, jadalne też po prawdzie nie – stwierdziła dziewczyna zamyślona. – Nic nam się nie stanie, choć trudno będzie to zjeść, ale każdy może się pomylić.

– Ta! Pomyliła się! Już w to wierzę! To zemsta za rosół! Czyli co? Głodujemy?

– Wolę głodować, niż jeść to paskudztwo, ale trzeba się jakoś tego pozbyć, żeby nie zobaczyła. Wtedy obrazi się jak nic i tym razem naprawdę nas wytruje albo nocą zakradnie się po cichu, żeby poderznąć nam gardła – oświadczyła Dagmara z czymś w rodzaju satysfakcji w głosie.

– Jak słoń mógłby zakraść się po cichu?

Wszyscy jak jeden mąż zaczęli zgarniać zawartość talerzy do podawanej pod stołem z rąk do rąk reklamówki.

– Zaraz to gdzieś wyniosę – zaofiarował się Michał. – Gdzieś daleko, żeby nie zauważyła!

Ułagodzona, ale też jakby zadziwiona pustymi talerzami Kusiakowa przestała rzucać garnkami.

\*

Nieobecność Filipa, tak w tej chwili dogodna, zaczęła wszystkich jednak trochę zastanawiać.

Nie pojawił się nawet na kolacji.

Przyszedł dopiero nocą.

\*

Przy śniadaniu wszyscy ziewali na potęgę, choć tej nocy właściwie nic się nie działo.

Prawie wszyscy.

– A gdzie Filip? – zapytała Dagmara. – Pójdę go obudzić. Słyszałam, że wrócił dość późno. – Spojrzała złośliwie na panią Stasię, która naprawdę zaczynała jej działać na nerwy. –

Tak, wiem, może być nagi! – rzuciła szyderczo. – I nic mnie to nie obchodzi!

– Tylko się nie gzijcie! – Pani Stasia chyba świadomie chciała dolać oliwy do ognia, bo nie wyglądała na szczególnie przejętą.

– A właśnie, że będziemy! – burknęła po cichu Dagmara.

„Co za pruderyjna baba” – pomyślała, wchodząc do pokoju chłopaka. Wnętrze wyglądało jak po trzęsieniu ziemi. Meble powywracano do góry nogami, zawartość szafki nocnej leżała na podłodze, szuflady były wybebeszone, a walizka wywleczona spod łóżka.

– Jezus Maria! – krzyknęła Dagmara tak rozziewając, że wszyscy jedzący śniadanie zerwali się na równe nogi.

– Chyba się gzą – zaanonsowała Andżelika.

Pani Stasia zmartwiała.

– A żeby ci język kołkiem stanął! – zawołała i pobięła do pokoju Filipa.

Zobaczyła Dagmarę stojącą nad chłopakiem, w samym środku bałaganu.

– Boże! Filip! Kto to zrobił? – zapytała dziewczyna prawie łagodnie. – Co tu się stało?

Dlaczego tak nabałaganiłeś?

– To nie ja... – odparł, ledwie otwierając oczy.

– A kto?

Przez myśl przemknął jej gang wojowników ninja albo włamywaczy. To mogłoby w tej chwili usprawiedliwić stan pomieszczenia.

– Co tu się stało?

– Nie wiem. Spałem. Ktoś pewnie wszedł przez okno.

– Bzdura. Z tej strony byśmy usłyszeli, chyba że włamywacz dostał się z dachu na piętro i poszedł schodami. Ale czego tu szukał?

– Skąd mam wiedzieć? Czegoś na pewno – odparł obrażony.

Poszli do jadalni, gdzie Daga, czując się winna całego nieszczęścia, o czym zresztą Filip wciąż jej przypominał, podsuwała mu pod nos co lepsze kąski.

– Nie ma grahamek? – marudził chłopak. – Te białe są niezdrowe. I w ogóle znów jajka? Przecież niedawno była jajecznicza.

Utyskiwania nie miały końca.

– No nie, Dagmara! Nie każesz mi chyba pić kawy rozpuszczalnej? Przecież to świństwo!

– Przepraszam – spieszyła się dziewczyna. Cała sytuacja zaczęła ją przerastać.

I może na tym by się skończyło, gdyby nie wołanie Andżeliki, która poszła po coś do swojego pokoju.

– Chodźcie tutaj! – krzyknęła. – U mnie też wszystko powywalane!

Niestety wszystkie pokoje, które ostatniej nocy stały puste, bo dziewczyny koczowały



u pani Stasi, zostały tak samo rozbebeszone jak Filipa, z tą tylko różnicą, że ten ostatni przecież nie był pusty, w każdym razie nie przez całą noc.

Bałagan panował nawet w kapliczce, gdzie na podłodze ktoś usypał tajemnicze kupki popiołu.

– Chodźcie! – zawołała pani Stasia. – Zjedźmy wreszcie to śniadanie. Potem powinniśmy się rozejrzeć po okolicy, poszukać śladów włamania. Sprawdzić dach, zobaczyć, czy jest tu jakieś tajemne wejście albo co.

– Co do dachu, to już sprawdziłem – odezwał się milczący dotąd Michał. – Z tego wielkiego drzewa można zejść, ale nie każdy dałby radę, czyli ta opcja odpada, bo linoskoków i wojowników ninja raczej tu nie uświadczysz. I dlaczego akurat wczoraj w nocy, a nie, powiedzmy, w czasie, kiedy nas nie ma... I czego niby szukali? W ruinach, które dotąd stały puste i każdy mógł je spenetrować bez problemu?

– Czyli nie chodziło im o dom. Rozumiecie? To gruzowisko mogliby przeszukać w każdej chwili, rok temu albo za dwa miesiące, kiedy nikt tu nie będzie mieszkał. Tu jest bardzo dobry dostęp. A skoro tak, to chodziło im o nasze bambetle. Ale dlaczego psy nie podniosły alarmu?

– Znały włamywaczy?

– No cóż, to dziwne, ale nie całkiem wykluczone.

– Kusiakowa! – zawołała Kinga ucieszona i po chwili wszyscy widzieli już oczyma duszy tęgą kobietę gramolącą się na dach.

Wielka jak piec, sapiąca jak lokomotywa i zgrabna jak ciężarówka na podwójnym zakręcie Kusiakowa? Na drzewie?

– Tu nie rosną baobaby! – zaryzykowała Dagmara.

– Ciekawe, jak by wlaźła na cokolwiek – mruknęła Andżelika. – Chyba tylko za pomocą dźwigu, zresztą wybiłaby dziurę w dachu jak nic. I po co? To zupełnie bez sensu. Ona

akurat może wejść prawie zawsze i chyba nawet wszędzie pod naszą nieobecność! Po co miałyby włąmywać się nocą?

– Filip, a ten bałagan to już był, jak wróciłeś? – zapytał Michał z ciekawością.

– A bo ja wiem? Nie paliłem światła.

Dagmarze ta odpowiedź nie wydała się logiczna. Filip przecież nie położyłby się spać, tak jak stał. Umyłby chociaż zęby, a do tego chyba musiał znaleźć szczoteczkę... czyli zapalić światło?

– Wybieram się z psami na spacer i obejrzę sobie te drzewa. Dagmara, idziesz ze mną?

– zaproponował nagle Michał.

– Filip chciał jeszcze kawy – jęknęła przeproszająco Dagmara, ale Michał popatrzył na nią z taką miną, że zamarła.

– Chodź! – ponaglił, dając oczami znaki, że ma jej coś do powiedzenia.

Wyszli. Bestia szalał w zaroślach, a Precel krążył z istic końskim tętentem dookoła nich.

Michała wyraźnie coś niepokoiło, postanowił jednak odejść spory kawałek, zanim cokolwiek powiedział.

– Ty długo znasz Smerfa Marudę? – zapytał od niechcienia.

Dagmara wzruszyła ramionami, zupełnie nie rozumiejąc, skąd to pytanie.

– Gdzieś tak od trzech miesięcy, może czterech. O co ci chodzi?

– Właściwie o nic, ale hm... Zastanawiam się, czy jest w porządku.

– Owszem! Możesz mi wierzyć – zapewniła Dagmara. – Ty też przecież go znasz, ze szkoły.

– No tak – skłamał pospiesznie. – Ale ludzie się zmieniają! Jak sądzisz, można mu zaufać? Tak całkowicie, na tysiąc procent?

– A skąd mam wiedzieć? – Daga znów wzruszyła ramionami. – Jest okej. Wyraźnie coś ci się w nim nie podoba, prawda? Filip to Filip, prochu nie wymyśli.

– A co z pieniędzmi? No, czy je ma, czy nie? – dodał, widząc, że Dagmara nie rozumie pytania.

– Na razie nie, ale to kwestia czasu. Mówił, że jest świetnie wykształcony, poza tym, jak się tylko ożeni, dostanie duży spadek! Ach, o to ci chodzi? Że niby Filip szukał w pokojach pieniędzy? Bzdura! Nie jest złodziejem! Zresztą po co by robił cały ten bałagan? – Dagmara irytowała się coraz bardziej, ale nie mogła pohamować ciekawości. – Czyli sugerujesz, że to mógł być on sam? Jakies to wszystko pokręcone...

– Masz rację. Na tym etapie to rzeczywiście wygląda dziwacznie, ale nie tak bardzo, jak myślisz. Pomyśl. Ktoś nabałaganił we wszystkich pokojach, tylko nie u pani Stasi i u mnie też nie. Po co to zrobił? Którędy dostał się do środka?

– No przez okno, z dworu! Albo głównym wejściem, tak zwyczajnie.

– Głównym wejściem? Nie... Przez to okno też się nie da, jest zabite na głucho, chyba że przez górne, na piętrze, a potem przez drzwi, jeżeli nie założył łańcucha.

Michał pokazał Dagmarze wielkie rozłożyste drzewo, obwieszane drobnymi czarnymi owocami. Zerwał kilka z nich i roztarł w dłoniach.

– To trześnia – powiedział. – Taka dzika czereśnia, zobacz.

Z jego dłoni spływał ciemnoczerwony sok, przez co przypominały ręce nieuważnego rzeźnika po bliskim spotkaniu z maszynką do mięsa.

– Gdzie ślady? Ktokolwiek tam by się wdrapał, powinien się upaprać, a potem zostawić odciski palców w którymś pokoju. Były?

– Nie. Może zostały wytarte?

– Ktoś zostawił wszystkie ciuchy na podłodze, ale wytarł plamy soku?!

– No tak, masz rację. To nieprawdopodobne.

– Czyli nie mogli wejść przez okno. To jedyne drzewo, z którego da się zeskoczyć na dach, poza tym ten bałagan jest nie na miejscu. Niepotrzebny... To jakiś przekręt. Zresztą

penetrowanie pustych pokoi może jeszcze jakoś trzyma się kupy, ale jeżeli ktoś w nich śpi, to już nie jest normalne. I pozostaje najważniejsze pytanie: po co?

– Z ciekawości? Pani Stasia mówiła, że Krycha też czegoś szukała po walizkach...

– Tylko że Krycha nie żyje! I co my możemy mieć takiego w walizkach?

Na to pytanie nie byli w stanie sobie odpowiedzieć.

\*

Kinga z Andżeliką wybrały się na jagody. Tym razem legalnie i z obstawą Jaśka.

Dom opustoszał. Pani Stasia chodziła krok w krok za Michałem, zadręczając go pytaniami.

– Coś cię niepokoi? – drążyła, chcąc za wszelką cenę usłyszeć, że nie.

– Ta trześnia – odparł zgodnie z prawdą. – Bo skoro w pokoju Filipa nie było czerwonych plam, to na pewno nie weszli oknem, ten sok...

– Oj, wiem coś na ten temat, zaraz pierwszego dnia załatwiłam sobie kostium! Wiesz, zachciało mi się tych owoców, bo nie jadłam ich od stu lat, i co? Poplamiłam sobie rękaw i garsonka do niczego. Musiałam się jej pozbyć. Była już stara, ale w doskonałym stanie, Kusiakowa powiedziała, że komuś odda. Tutaj jest wielu biednych ludzi!

Dagmara weszła do kuchni rozzłoszczona i gotowa do ostatecznej rozprawy.

Miała ochotę gryźć, kopać i zabijać, a nade wszystko kląć.

– Powiedźcie mi wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi – rzuciła od progu, patrząc z mordem w oczach na panią Stasię i Michała. – Po co to całe zamieszanie? Dlaczego muszę tu tkwić? Co się dzieje?! Muszę wiedzieć, inaczej zwariuję!

– Spokojnie, nic ci nie będzie. A jeśli chodzi o twoje pytanie, to nie wiem –

odpowiedziała zdecydowanie pani Stasia, po czym wzruszyła ramionami zupełnie nieprzejęta. – Bo niby skąd? Zresztą już ci mówiłam.

– Niech pani nie kręci! – Dagmara postanowiła użyć ostatecznego argumentu. –

Słyszałam, jak jeszcze w Słodkowie rozmawiała pani z dziadkiem o jakimś niebezpieczeństwie...

– Ja? – zająknęła się tamta niezbyt szczerze. – Musiało ci się coś przywidzieć, ja z nim prawie... hm... tego... prawie wcale nie rozmawiam.

– Słyszałam was nocą pod moim oknem! Na pewno! Mówiliście, że musicie mnie gdzieś zabrać i że jest jakiś warunek...

– Och tak, już pamiętam! – odparła kobieta niepewnym głosem. – To wcale nie chodziło o ciebie, tylko o tę nową pralkę Generała. Trzeba ją było zawieźć do serwisu... no bo warunki umowy...

– Co to za brednie?! – Daga wściekła się nie na żarty. – Czyli, jak rozumiem, pralka jest jedyną wnuczką Generała? Tak? Kłamie pani jak z nut!

– No dobra – skapitulowała kobieta. – Kłamię, a co? Nie wolno?

– Czyli powie mi pani wreszcie, o co chodzi? – Dagmara czuła już smak zwycięstwa, ale się przeliczyła.

– Kiedy nie mogę! – sapnęła pani Stasia. – Naprawdę... Uwierz mi. Dowiesz się przy pierwszej nadarzającej się okazji. Co mogłam, powiedziałam. Poczekaj.

– Wie pani co?! Wie pani co?! Pani jest... – Dagmara miała kilka nieprzyjemnych epitetów na końcu języka, ale jakoś się powstrzymała. – To wszystko pani wina! Biedny Filip!

– Nie przesadzaj, dziewucho! – Pani Stasia popukała się w czoło. – Skoro sobie wybrałaś takiego gamonia na narzeczonego, to go trzymaj! Też mi chłop! Przecież on wszystkiego się boi.

Dagmara w duchu musiała przyznać kobiecie rację.

– Może i jest odrobinę lękliwy, ale co do tego bałaganu w pokoju, przecież sam go nie zrobił.

– Hm. – Michał poskrobał się w głowę. – A jeżeli...?

– Wiesz, co ci powiem? Filip nie należy do najodważniejszych ludzi na świecie, ale

przynajmniej nie jest chory psychicznie! O! A ja, jak tylko mama wróci z Turcji, wyjeżdżam stąd natychmiast. Ile trwa taka wycieczka? Najwyżej dwa tygodnie, może trzy! Wytrzymam jeszcze te kilka dni i ani chwili dłużej, a dziadek niech sobie robi, co chce. Jest dorosły! W końcu się znajdzie. Mam go dosyć, rozumiecie?!

– Nie kochasz go? – ze zdziwieniem zapytał Michał z taką miną, jakby fakt niekochania dziadka, jakiegokolwiek lub tego konkretnego, był zagrożony karą chłosty.

– Pewnie, że kocham – odparła Dagmara. – Tylko mam go dość! Tak już z nim jest, jak się przedawkuje, łatwo dostać niestrawności.

– Co ty opowiadasz? Jak można przedawkować... własnego dziadka?

– A tak! I wierzcie mi, marzę o tym, żeby go dopaść! Udusić, posiekać, poćwiartować, zamordować, powiesić i stłuc na kwaśne jabłko za to, co mi zrobił, a potem wyjechać stąd i nigdy więcej nie wracać!

## **Rozdział V**

Filip znów nie pojawił się ani na obiedzie, ani na kolacji. Na główny posiłek Kusiakowa podała wątróbkę bez kości, jak sama się chwaliła.

– A gdzie wątróbka ma kości?

– No przecie mówię, że nie ma! Wy to jakieś dziwne jesteście. Nie ma, bo jest bez kości!

\*

Dagmara naprawdę nie wiedziała, co robić, i choć nikomu nie brakowało Smerfa Marudy, ona trochę się martwiła. Nie bardzo i nie tyle tą konkretną chwilową nieobecnością, co tym, że wciąż gdzieś znika. Zaczynała podejrzewać najgorsze.

Dziewczyny lepiły pierogi, dzięki czemu, jak twierdził Jasiek, ręka Kingi miała odpowiednią rehabilitację, a Michał znów spacerował z psami.

– A jeżeli go ktoś porwał? – Daga roztaczała przed koleżankami coraz mroczniejsze

wizje losu Filipa, ale nie znajdowała u nich współczucia.

– Niby kto? I po co? – Andżelika popukała się w czoło. – To spokojna wieś. Tu nikt nikogo nie porywa, może morduje, ale nie porywa i nie napada! Nic się nie stało. Nic nie zginęło.

Ktoś wlaźł, pogrzebał w ciuchach i poszedł.

Było już późno, kiedy wrócił Michał.

– Filip jest?

– No właśnie, że nie! – jęknęła Dagmara płaczliwie. – Nie ma go od rana!

– Uciekł? – zakpił chłopak. – Pewnie już dojeżdża do Warszawy. Nie zabrał rzeczy, bo wie, że mu je przywieziesz. Daj spokój, dziewczyno, facet ma trzydziestkę na karku, na pewno umie o sobie zadbać. Niańka mu niepotrzebna.

Nagle z daleka dał się słyszeć mrozący krew w żyłach wrzask.

– Jezu! To Filip! – zawołała Dagmara.

– Znowu znalazł trupa? Ciekawe, czym tym razem w niego rzucał...

– Przestań, Kinga – obruszyła się Daga. – Nie rób sobie jaj z tragedii.

– Która godzina? – zapytał niespokojnie Michał.

– Jeszcze nie ma jedenastej – odparła Kinga.

Wszyscy ruszyli w kierunku, z którego dochodził krzyk. Wrzask, przeciągły, straszny i coraz bardziej piskliwy, dobiegał spośród drzew.

– To koło studni – zawyrokowała grobowym głosem Dagmara. – Może trafił na mordercę Krychy?

– Albo wybrał się na schadzkę i poparzył dupę pokrzywami – rzucił ironicznie Michał, wbiegając pomiędzy drzewa.

– Świnia! Wredna świnia – sapnęła Dagmara, pędząc tuż za nim.

Z daleka zobaczyła stojącą postać, a dokładnie miotającą się z wrzaskiem, bardzo podobną do Filipa.

– Widzisz? Żyje – mruknął Michał. – Ale to się zaraz zmieni, jak go dopadnę i czymś  
zdzieleń za te wrzaski! Pół wsi się tutaj zleci!

– Cała – mruknęła złowieszczo Andżelika. – Uwierz mi na słowo. Starych i chorych też  
przywłoką...

Różowa Pindzia doskonale знаła małe, niepozorne wioski. Rządziły się swoimi prawami  
i naprawdę dalekie były od wyobrażeń mieszcuchów. Tu nie istniały takie pojęcia jak  
prywatność czy wolność słowa, panowała wszechobecna nuda, jedyną rozrywkę stanowiła  
plotka, a każda sensacja, od ciąży po morderstwo, wydawała się długo wyczekiwany cudem.  
Świat istniał tylko w domyśle, gdzieś za zakrętem drogi, niespecjalnie interesujący, a raczej zły  
i zepsuty.

Dobiegli do Filipa. Był oblepiony jakimś śmierdzącym świństwem, upaprany, brudny  
i chyba zakrwawiony...

– Kto ci to zrobił, kochanie? – zapytała żałośnie Dagmara, chcąc rzucić mu się na  
ratunek, ale jakoś nie była w stanie.

– Onnaaaa! – zawołał. – Pani Stasia!

– Ale co ci zrobiła? Chciała cię zabić?! Przestań wrzeszczeć i powiedz, co się stało  
i dlaczego tak wyglądasz. Skąd ta krew?

– Z-z-z-z-z – zaciął się i zaczął szczekać zębami. – Z-z-z-z niej...

– Z pani Stasi? – Andżelika patrzyła na chłopaka z niedowierzaniem. – Zabierzmy go  
do domu, pewnie nażarł się czegoś, bo majaczy. W tutejszej gospodzie bigos bywa zabójczy, a po  
flakach można mieć całkiem odjechane zwidy.

– Nieprawda! – zaprzeczył histerycznie Filip. – Szedłem, ona podstawiła mi nogę,  
a teraz, a teraz... Ona nie żyje!

– Pani Stasia?! To niemożliwe! – zaoponowała Dagmara, idąc powoli w kierunku  
wskazanym przez narzeczonego. – Kolejny trup? I też chce cię dopaść? Wtedy głowa, teraz



noga?

– Jutro będą ręce – rzucił złośliwie Michał. – Albo dupa.

Ale kiedy podeszli bliżej, zobaczyli coś, czego naprawdę nie chcieli ujrzeć.

– Znowu zwłoki! – stwierdziła Kinga tak zde gustowanym tonem, jakby widywała je ostatnio na każdym kroku.

– Może jeszcze żyją?

– To ile ich jest? – zapytała Dagmara, trzymając się troszkę na uboczu.

– Jedne, ale bardzo, bardzo nieżywe. I mają dużo krwi dookoła – stwierdził Michał. –

Pani Stasia?

– Na pewno! Na pewno! – wrzasnął Filip. – To ona! To jej ubranie... Horror! Zabierzcie mnie stąd!

– Sam się zabierz! – uciszyła go Kinga.

– Kiedy nie mogę się ruszyć. Tak mnie jakoś przymurowało.

Michał odszedł na bok i zadzwonił po policję.

– Co się stało? – zapytał ktoś, kto zwabiony krzykiem chłopaka przybiegł chyba w charakterze gapia.

– Kolejne morderstwo. Ktoś załatwił panią Stasię – jęknął Filip, obejrzał się, szeroko otworzył oczy, złapał się za serce i padł zemdlony na ziemię.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę. Przed nimi stała domniemana ofiara i wcale nie wyglądała na ducha. Zjawy raczej nie noszą papilotów.

Policja zjawiała się po kilku minutach.

– Co tu się znowu stało? – zapytał jeden z funkcjonariuszy. Co prawda wiedział, że zgłoszono morderstwo, ale musiał jakoś zagaić dla porządku.

Filip drgnął. Przetarł ręką oczy, rozmazując sobie kolejną porcję krwistej mazi na twarzy, a potem usiadł.

– Bo ja szłem, tfu, szedłem – poprawił się. – I ona podstawiała mi nogę. – Wskazał ręką panią Stasię, a właściwie najpierw zwłoki, potem panią Stasię, potem znów zwłoki.

– Czyli jeszcze żyła? Czy to tak jak z głową? Pan ma naprawdę makabryczne poczucie humoru. Tak nie wolno! Wiem, że jesteście miastowi i można się po was wszystkiego spodziewać, ale takie wygłupy to już przesada.

– Ona żyje! – zawołał histerycznie Filip. – Żyje!

– A pan majaczy. Za dużo krwi! Musi być martwa – stwierdził fachowo policjant, podchodząc do trupa. – Nie żyje. Nie ma najmniejszych szans.

– Kiedy tam stoi! – Filip nie radził sobie z sytuacją, raz po raz obcierał się z krwi i mazi, która zaczynała na nim zasychać.

– Aha. Rozumiem. Szok. To normalne.

– Chyba poporodowy – westchnął Michał.

– Niech pan nie przesadza! – oburzył się aspirant Kotek, przejmując dowodzenie. – Musi być w szoku, skoro widzi duchy!

– Ale on widzi panią Stasię. A przecież ona żyje!

– Pan też? A miałem pana za rozsądnego człowieka. Dobra! Dość wygłupów. Po kolei.

Kto znalazł zwłoki?

– Filip! – zawołali wszyscy jak jeden mąż, no, może oprócz pani Stasi, która nie czuła się zbyt dobrze w roli ducha i zwłok równocześnie, poza tym niewiele w sumie rozumiała.

– Przybiegliśmy, bo wrzeszczał jak opętany!

Dookoła zaczęli zbierać się ludzie.

– Kto jest opętany? – usłyszeli pełen satysfakcji głos.

Policjant obejrzał się zrezygnowany.

– O Boże jedyny! Kusiakowa! Jeszcze tylko jej tu brakowało! – Funkcjonariusz

odwrócił się do kobiety usiłującej przecisnąć się przez tłum, a właściwie po nim przejść, co

nawet jej wychodziło, zważywszy na gabaryty.

– Nikt, Kusiakowo, nie jest opętany, jak mi Bóg miły, nikt – zapewnił pospiesznie. –

Chodźmy do domu, tam was przesłucham, a moi ludzie trochę tu się rozejrzą.

Weszli do środka, ale najpierw musieli przedrzeć się przez gromadę gapiów, która skutecznie zagradyła im drogę.

– Rozejść się! Rozejść się! – krzyczał raz po raz policjant, bez większego skutku. – Tu nie ma nic do oglądania!

– Jakżeby nie! Trupa chcem zobaczyć! – odpowiedziały mu liczne głosy. – My tutejsze, w prawie jesteśmy zobaczyć!

– Trzeba, bo to już drugi, więcej może się nie trafić! – dodał ktoś z wyraźnym zachwytem.

Policjanci obawiali się zdeptania śladów, więc ogrodzili spory teren i rozpoczęli drobiazgowo poszukiwania.

W domu czekały psy, które Michał przezornie zamknął w kuchni.

– Czyli pan wrzeszczał, a oni przybiegli? – zaczął mundurowy. Nie dokończył, bo do pokoju wpadła nieduża kobieta, a za nią Jasiek.

– Krzyczał, sama słyszałam – powiedziała nowo przybyła, jakby to ją pytano, po czym zwróciła się do Kingi. – Jak się czujesz, kochanie? Bładaś, biedactwo.

– Nic mi nie jest – odburknęła dziewczyna.

– Kiedy widzę! Błada, chuda... – Kobieta cmoknęła z niezadowoleniem.

– Zamknijcie się, Ziębowo, do cholery! Ja tu trupa mam, a wy co?!

– Jak to co? Wy macie trupa, ja synową! Nieboszczykowi nic już nie pomoże, a ją trzeba podtuczyć, bo jak takie chuchro brać na gospodarkę?

– Róbcie, co chcecie, to nieważne. – Kotek znów przerwał, bo ktoś przyszedł, odciągnął go na bok i coś mu pokazał. – Weźcie to i zaraz wyślijcie do laboratorium, i niech mi skopiują

jak najszybciej. To może być coś istotnego.

Wszyscy patrzyli na niego z niemym, aczkolwiek bardzo intensywnym wyczekiwaniem, chcąc się dowiedzieć więcej o ważnym dowodzie, ale mundurowy nic nie powiedział.

– A, i zbadajcie próbki ze studni i z tego tutaj. – Wskazał Filipa. – Krew na pewno ofiary, ale ta maź? Sam nie wiem. Narzędzie zbrodni?

– Mazią to on jej z pewnością nie zabił – mruknęła Andżelika.

– Nie do pani mówiłem! – odparł stanowczo aspirant.

Jeden z policjantów podszedł do Filipa z jakimiś próbkami i patyczkami. Kazał mu oddać ubrania.

– Co było dalej? – spytał Kotek, rozglądając się dookoła.

– Nic – odpowiedziała Dagmara. – Pobiegliśmy, on stał, trup leżał, stwierdziliśmy, że to pani Stasia, i tyle.

– Czyli zamordowana to pani Stasia. A kto to właściwie jest?

– To ja – odpowiedziała zgodnie z prawdą kobieta w papilotach, trochę blada i dość przejęta, ale ogólnie rzecz biorąc, żywa.

– Pani? Przecież mówiliście, że...

– No bo to prawda. Ta zamordowana miała na sobie kostium pani Stasi, no i była podobnej postury...

– Trochę chudsza – mruknął Filip.

– Ty się mojej tuszy nie czepiaj – warknęła niedoszła nieboszczka.

– Czyli on zawył, wy pobiegliście i wpadliście na trupa? Zgadza się?

– Tak, ale nic nie widzieliśmy, nic nie wiemy. Nikogo tu nie znamy, to znaczy znamy

tych, jak oni się nazywają, tych z domu obok, tego rudego i jego brata. Może to oni? Ten jeden to podobno w więzieniu siedział, Kusiakowa mówiła.

Policjant popatrzył na nich z zaciekawieniem.

– A ja – powiedział Filip, okrywając się kocem z psiego posłania, bo tylko to znalazł –

ja stąd spadam. Jutro. Bez dwóch zdań. Nie zostanę tu ani dnia, ani minuty, ani chwili dłużej!

I ty, Dagmara, też to zrobisz, jeżeli jesteś rozsądna...

– Jeżeli jest rozsądna, to właśnie zostanie! Nie wolno wam stąd wyjeżdżać.

– Ach więc to tak?! – wrzasnął, wskazując panią Stasię. – To w takim razie znowu ona!

Ta wiedźma chce nas tu uwięzić!

– Olaboga! Jest tu jaka wiedźma?! – ryknęła z zachwytem Kusiakowa, od jakiegoś czasu podsłuchująca przy drzwiach.

– Kusiakowo, idźcie stąd – syknął policjant. – Natychmiast! Nie chcę słyszeć tego waszego bełkotu o diabłach. Mam dość kłopotów ze zwłokami.

Kobieta posmutniała i zamilkła, ale nie wycofała się z korytarza. Filip odmówił dalszych zeznań. Zresztą właściwie nie miał wiele do powiedzenia. Funkcjonariusz wyszedł szczerze zawiedziony.

– No i wszystko dobrze się skończyło – podsumowała wesoło matka Jaśka, wzbudzając powszechne zdziwienie.

– Mamy trupa, nawet dwa, więc to chyba nie najlepsze zakończenie – zaproponował Jasiek, ale kobieta tylko wymownie spojrzała na Kingę.

– Teraz to już na pewno nigdzie nie wyjedzie!

– Mamo! – jęknął chłopak, choć wcale nie wyglądał na niezadowolonego.

– No co? No co? Jak już umarłak się przydarzył, trzeba skorzystać! Taka okazja nie trafia się codziennie!

– Hiena cmentarna! – burknęła Kusiakowa. – Zewłokowi należy się szacunek!

– Ty mnie nie wyzywaj, moherze jeden! Słyszałam, że dziewczusze telefon rozwaliłaś, bo zobaczyłaś diabła! Lepiej popatrz w lustro, tam zobaczysz prawdziwą zmorę.

– Mamo! – Jasiek jęknął po raz kolejny. – Przestań się kłócić z Kusiakową!

– Nie mam zamiaru. To ona mogła zabić, bo pomyślała, że to szatan!

– Nieprawda, bo ja dobra, bogobojna baba jestem, a nie to co ty! Po lasach z czartami hasasz. Stara wiedźma!

– Dewotka!

– Wypłosz!

– Wariatka!

Wszyscy stali i patrzyli na kobiety z przerażeniem.

– Nie przejmujcie się. – Jasiek machnął ręką. – One tak zawsze. Tradycja!

– Macie strasznie dziwne tradycje – oceniła Kinga, obserwując dwie starsze kobiety.

Jasiek tylko wzruszył ramionami.

– To nie tak. Są... Hm, tradycyjne! To normalne z dziada pradziada!

– I z babki prababki! – dodała z zadowoleniem Kusiakowa. – Bo jej prababka, no tej tu,

Ziębowej, Jaśkowej matki, to ona chłopca ukradła mojej prababci. Stąd to wszystko.

Ziębowa puściła uwagę mimo uszu. Minęła północ, wszyscy byli zmęczeni i nikt nie miał ochoty na dłuższe pogaduszki. Zagrzmiało.

– Ojj – jęknęła Kusiakowa. – Ojj!

– Burzy się pani boi? – zapytała z zaciekawieniem Dagmara. – Nic nam nie robi.

Wkoło jest pełno...

– Ojjjj! – wrzasnęła Kusiakowa, podrywając się z krzesła. – Zaraz rąbnie jak nic...

Muszę znaleźć miejsce... Muszę się schować. Natychmiast!

Kobieta pognała przez kuchnię, potem jadalnię. Wypadła na korytarz. Po chwili usłyszeli, jak zamyka się w ubikacji.

Burza była coraz bliżej.

– Są tu jakieś odgromniki? – zapytał Michał, ale Jasiek wzruszył tylko ramionami.

– Oczywiście, ale to niewiele daje.

Nagle usłyszeli ogłuszający huk.

– Co to, do cholery, było? – odezwała się drżącym głosem pani Stasia, której papiloty wyraźnie się nastroszyły.

– Walnęło. Urwało kawał dachu – oświadczył Jasiek, wyjrzawszy przez okno. – Tu, od lewej strony. Trzeba będzie załatać, ale to nieważne, gorzej, że musimy wyciągnąć Kusiakową z kibla, bo wrzeszczy, że się zaklinowała.

Akcja ratunkowa przebiegła w miłej i przyjaznej atmosferze, to znaczy zainteresowana wrzeszczała ze strachu, Jasiek miotał przekleństwa, a Michał ciągnął kobietę za ramię. Była to jedyna dostępna część jej ciała, bo przerażona burzą Kusiakowa wcisnęła się między ścianę a spłuczkę. Z wielu względów nie powinna tego robić. Nie było tam zbyt dużo miejsca, toteż nogi utknęły jej w szczelinie między ścianą a sedesem, a głowa w szparze obok spłuczki.

Poddana naprężeniom deska klozetowa chrupnęła i oderwała się od muszli.

– O, teraz luźniej – zauważyła z ulgą kobieta.

– Pani Kusiakowa, niech pani się zaprze nogą o ścianę – zakomenderował Jasiek.

– Juuż – stęknęła. – Uuuuummmmmfffff...

Kusiakowa z wysiłkiem naprężyła... biust. Coś zgrzytnęło. Był to bardzo niepokojący, metaliczny odgłos. Trzasnęło. Posypał się tynk.

– Uwaga! – wrzasnęła Ziębowa niczym wytrawny drwal. – Leciiiiii!

Dziewczyny odskoczyły w ostatniej chwili. Żeliwna spłuczka rąbnęła o ziemię, padając jak podcięte drzewo, roztrzaskała się o podłogę i chlupnęła wodą wprost na Filipa, który z daleka obserwował akcję ratunkową, niesłusznie sądząc, że zapewni mu to bezpieczeństwo.

\*

Nazajutrz wszyscy wyszli przed dom sprawdzić, co z dachem, i naprawę się nie zawiedli. Zobaczyli okazały stosik potłuczonych dachówek na ziemi i osmaloną ścianę. Tylko tyle. Dzięki Bogu, uderzenie pioruna nie wywołało pożaru.

Kusiakowa, która po burzy pobiegła do własnej chałupy, stawiała się u nich z samego rana i czekała na świeże wieści. Wiedziała, że tak czy siak więcej dowie się tutaj niż we wsi.

Rankiem zjawili się też policjanci, aby jeszcze raz przeszukać teren.

– No i co? No i co? – dopytywali się wszyscy, ale otrzymywali taką samą odpowiedź.

– I nic, no, prawie. My tu pracujemy powoli, ale dokładnie.

– A tożsamość ofiary? Ktoś musiał tutaj ją przecież znać! To mała wieś, sami swoi.

– Ale ona... – funkcjonariusz usiłował coś powiedzieć, jednak mu przerwano.

– Wiem, mogła nie być stąd, tylko skąd miała kostium pani Stasi? Niby sporo tu kobiet w tym wieku...

– Kiedy to nie była kobieta.

– To co? Baba? Że niby taka ze wsi, ale one przecież też są płci żeńskiej, nie?

– Zazwyczaj tak, ale ta była mężczyzną! – warknął policjant, a Daga zakrztusiła się jajkiem na twardo, które przegryzała suchym chlebem.

Byłe jakie postne piątkowe śniadanie, przygotowane naprędce przez zaaferowaną Kusiakową, i bez tego z trudem przechodziło jej przez gardło.

– Jakiś facet udawał babę? Po co?

Michał siedział, także smętnie pogryzając jajko na twardo.

– Czyli ktoś przebrał się za panią Stasię i dał się zadźgać w sadzie? A włosy?

– Nie miał.

– Był łysy?

– Nie do końca, poza tym zawiązał sobie na głowie chustkę.

– A może to jaki gender? – zasugerowała Kusiakowa. – Mało tu wariatów?

Pogenderować sobie chciał i się doigrał!

Wszyscy popatrzyli na nią z rozbawieniem.

– Macie tu jakichś odmieńców?



– Może i tak, ale się nie ujawniają, jak nie chcą wydlubywać sobie siekiery z pleców co pół godziny. Tu ludzie szanują tradycje – obruszył się policjant.

Dagmara zdążyła już sobie wyrobić własne zdanie na temat lokalnych zwyczajów, ale wolała się nie odzywać.

– Czyli ktoś chciał zabić panią Stasię! Już w Słodkowie działy się dziwne rzeczy...

– W Słodkowie? – powtórzył policjant z autentyczną ciekawością. – Hm.

– Co „hm”? – wtrąciła się blada i milcząca pani Stasia. – Albo pan mówi, albo niech pan tu nie humka!

– Chodzi o to, że przy zwłokach tej, hm, tego... – Funkcjonariusz zamilkł i po chwili ciągnął: – No, były zdjęcia. Zniszczone, częściowo podpisane... O!

Wyjął z torby kopie fotografii, na których widniały plamy krwi i, niestety niewyraźnie, jakieś osoby, w dodatku od tyłu. Zdjęcia podpisano fioletowym mazakiem, więc litery całkiem się rozmazały.

Fotografie nie były specjalnie ciekawe ani nawet dobrze zrobione. Z tyłu jednej z nich zachował się tylko kawałek podpisu: „W Słodkowie, od lewej...”. Na kolejnym, również nieostrym zdjęciu dało się odcyfrować jedynie, że „Dziewczyna po lewej to właśnie...”. I tyle. Zgromadzeni przekazywali je sobie z rąk do rąk w milczeniu.

– No niby ja jestem ze Słodkowa – odezwała się w końcu pani Stasia, wzruszając ramionami. – Ale te zdjęcia nic mi nie mówią, a co do tego zamieszania, to bzdura, dzieciarnia zrobiła głupi kawał. Nie ma o czym gadać.

– To ta śmiertelna kukła, co ją pies porwał – mruknął Michał, dając wszystkim znaki, żeby się zamknęli, bo chciał się dowiedzieć jak najwięcej. – A wyniki? Ma pan już wyniki tych próbek?

– Chodzi o tę maź? To kasza jęczmienna z grzybami – westchnął policjant.

– Moja kasza?! – krzyknęła Kusiakowa. – Co wyście najlepszego zrobili... Skąd ona...

A ja myślałam, żeście wszystko zjedli. Oj, niedobre z was ludzie, niedobre! Pracy ludzkiej nie szanujecie, jedzenie marnujecie!

– Pani Kusiakowa, gorzkie było jak diabli – mruknął Michał przepraszająco.

– I trujące – dodał policjant. – Chciała ich pani zabić? No, ja się tego po was, Kusiakowa, nie spodziewałem!

Kobieta zbladła, złapała się za serce i usiadła z takim impetem, że krzesło aż jęknęło.

– Co też wy gadacie! Ło Matko Bosko! Ło Jezusiku!

– Ja chyba wiem lepiej! Zresztą dzwonił z Zamościa. Trujące jak diabli... Będą kłopoty, Kusiakowa, oj, będą. Usiłowanie zabójstwa to poważny zarzut. Czy ktoś to jadł?

– No właściwie nie – odpowiedzieli chórem. – Nie smakowało nam, więc Michał zebrał wszystko i wyrzucił gdzieś koło studni, żeby się Kusiakowa nie dowiedziała... Bo ona to jest bardzo wrażliwa na swoje gotowanie...

– Mieliście szczęście! Inaczej wszystkich was by wytruła. Jak tylko dostanę resztę wyników...

– Kiedy... Kiedy... Ło Jezu, kiedy ja nie... – Kusiakowa wyraźnie nie wiedziała, co powiedzieć, w końcu wybuchnęła szlochem. Zerwała się z krzesła i wybiegła z domu, zanosząc się płaczem.

– No i kucharkę szlag trafił! – westchnęła Andżelika. – I co my teraz zrobimy?

– Jakoś sobie poradzimy – odparł wyniośle Filip. – Ona chciała nas otruć!

Rozumiecie?! Otruć!

– A tam, to jakaś bzdura – powiedziała Ziębowa, uśmiechając się złośliwie. –

Kusiakowa to durna baba, ale nikogo by nie otruła, choć co racja, to racja, jakoś sobie poradzimy.

Policjant zabrał zdjęcia i zostawił ich z niewesołymi myślami.

– Jasiu, bierzesz Kingę i po zakupy – zakomenderowała Ziębowa. – Reszta do

sprzątania... Ty, Filip, jakeś taki panicz, to idź z pieskami na spacer i nie wracaj za wcześnie.

Tylko drogą! Do lasu ich nie wpuszczaj, bo Jasiek cię przetrąci. No, a teraz...

Ziębowa nastawiła czajnik.

– Napijemy się kawy. Gadajcie, o co w tym wszystkim chodzi. Tylko bez marudzenia.

Michał i Andżelika, idźcie się przejść po wsi. Posłuchajcie, co ludzie gadają... No co? Trzeba to jakoś rozplanować i wreszcie wyjaśnić. Co tu się w ogóle dzieje?

Pani Stasia popatrzyła na kobietę z rezygnacją, ale i z podziwem.

– No bo ja kostium oddałam Kusiakowej. Potem te grzyby... No i Ksawery zniknął, w domu są chyba jakieś duchy... Po prostu horror – westchnęła, po czym dodała zmieszana: – I jeszcze ktoś nas, to znaczy ich, gonił.

Ziębowa słuchała, nie za bardzo rozumiejąc.

– Ksawery to kot? – zapytała niezbyt pewnie.

– A gdzież tam. To Generał.

– A, chodzi wam o tego motyla? I co z tego, że zniknął?

– Motyl to admirał, a nam chodzi o Generała, mojego dziadka!

– Zniknął wam dziadek? Oj, niedobrze... Trzeba wezwać policję, musimy go poszukać, w tych lasach długo nie pociągnie! Ściągniemy ludzi ze wsi... i tyralierą!

– Nie, nic nie musimy robić. On zniknął, ale się nie zgubił. Po prostu wyjechał!

Po dłuższej chwili Ziębowa, detektyw jak się patrzy, wyciągnęła wnioski. Były śmiałe i dość zaskakujące.

– Kusiakowa utłukła Krychę, potem wzięła garsonkę i dała odmieńcowi.

– Przedtem – wtrąciła swoje pani Stasia.

– Dobra, przedtem. Odmieniec przyszedł jej się pokazać, ale ona nie wiedziała, że to on, więc zadźgała go nożem, kolejny diabeł, ale najpierw przygotowała grzyby i chciała was otruć. Jak nic jej odbiło, bo dotychczas diabły widywała tylko pojedynczo, a teraz dostała zbiorowego szaleństwa.

– Kiedy ona przecież jedna była!

– Ona tak, ale diabeł zbiorowy! Przecież was kilkoro...

– Aha! – jęknęła Dagmara. – Czyli ona narobiła bałaganu u Filipa i u nas w pokojach?

Mogła. Psy ją znają, no i ma klucze do domu... Poza tym Filip nie dałby jej rady, nawet gdyby się obudził, związałyby go jedną ręką.

– I zakneblowała – z zadowoleniem sapnęła Ziębowa.

– Ona by go nawet mogła ugotować i zjeść – syknęła pani Stasia. – To baba z piekła rodem!

Coś z tupotem przebiegło przez podwórko, wydając nieartykułowane dźwięki. Po chwili przebiegło jeszcze raz, znikając pomiędzy drzewami, zanim ktokolwiek zdążył zidentyfikować tajemniczą zjawę.

– Duże było, podobne do słonia – stwierdziła Dagmara, wzdychając. – O, chyba znowu leci.

Ponownie usłyszeli tętent i jakieś jęki.

– Nie mamy tu słoni – stwierdziła Ziębowa. – Żubr? Nie, wykluczone... Może Muciek?

– A gdzie tam, on lata tak bardziej na pych i jednokierunkowo, a to zygzakiem. To

Kusiakowa – stwierdziła ze znanstwem pani Stasia, podchodząc do okna i otwierając je szeroko.

– Ona. Biega tam i z powrotem. Kusiakowo, co wam?!

Kobieta stanęła jak skamieniała.

– Ło Jezusicku! Kiedy nic!

– To czego tak latacie?

– Bo mnie coś łopętało! – zawołała i znów zalała się łzami. – No, łopętało mnie.

– To walnijcie się w łeb chochelką, powinno pomóc – poradziła złośliwie pani Stasia. –

Na telefon zadziałało.

– Kiedy nie mogę – jęknęła Kusiakowa. – Nie mogę, bo to moja wina! Bo ja ich żem

chciała otruć! Kazali mi!

– Boże kochany, zwariowaliście do reszty?

– Kiedy ni! Za pieniądze chciałam ich otruć, ale nie zrobiłam tego, a teraz co? Do mamra mnie wsadzą.

– Niech pani opowiada od początku! – rozkazała Dagmara, strasznie dziwnie czując się w tej sytuacji. – Po co miałyby pani nas zabić?

– Bo on mi kazał!

– Szatan?

– Kiedy ni!

– To kto? Może coś ją rzeczywiście opętało? – Ziębowa aż podskoczyła na krześle. – Kto ci kazał?

– Mój wnuczek! Zadzwoił i powiedział, że jak ich wytruję, to mi da dziesięć tysięcy.

– Co takiego? – Ziębowa popatrzyła na kobietę zaskoczona. – Kusiakowo, przecież wy nie macie wnuczka!

– Wiem! Sama się zdziwiłam – odparła trochę już spokojniejsza baba. – No, ale zadzwonił! Bo ja długów narobiłam. Telefonem. Niby wygrałam strasznie dużo pieniędzy, odpisałam, żeby przysyłali, wiadomo, każdy grosz się przyda, a potem wciąż do mnie coś pisali. A czy na pewno wysłać, a jeszcze jak wysłać, a to, a tamto, ciągle tylko pip, pip, piiiip i coś przychodziło, łypało, a na koniec to się okazało, że przyszedł mi rachunek na pięć tysięcy...

– A co ma do tego trucie, bo nie rozumiem?

– Ten mój wnuczek zadzwonił i powiedział, że zapłaci dziesięć tysięcy. To pomyślałam sobie: dług oddam i jeszcze zostanie, grzybów im nagotuję...

– Trucicielka! Nie wstyd ci? Trujaków im nagotowałaś? Kusiakowo, że wy głupia, to każdy wie, ale żeby mordować? Niemożliwe!

– Kiedy nie! Zwykłych nagotowałam, goryczaków tylko kilka włożyłam, żeby były

gorzkie, a tamtemu powiedziałam, że dałam muchomor, a potem miałam mu nagadać, że miastowe takie jakieś odporne.

– No, ale grzyby były trujące!

– I tu jest pies pogrzebany, bo wcale nie! Jak mi Bóg miły! Obrzydliwe były, gorzkie, paskudne, tak, ale nie trujące! Nie wydacie mnie?

– A ty nas nie wytrujesz?

W efekcie została zawarta tajna umowa. Sprowadzała się do jednego zdania: „Żadnych grzybów”. Nie sądzili, żeby Kusiakowa знаła inne trucizny.

– A kostium? – zapytała Ziębowa.

– Co z nim? Na mnie był za mały... Zostawiłam go... W korytarzu chyba, miałam potem zabrać, zapomniałam. – Nagle jakby w głowie zaświtała jej myśl. – Na pamięć mojego starego przysięgam, że was nie otrułam!

– Na pamięć twojego starego? Kiedy on żyje!

– To i co? Niech se żyje, ale pamiętać o nim mogę! Ziębowo, pomożecie mi się z tego wyplątać?

– A czego mam nie pomóc? – odparła kobieta, dumna ze swojej roli.

– Ta... – Kusiakową jednak coś dręczyło. – Ale co potem? No, żeby później było normalnie, bo ja to żadnych przyjaźni nie chcę! Tradycja rzecz święta! Tyle że do więzienia nie w smak mi iść, bo to pomyślą, że jak ich chciałam otruć, to i tamtego biedaka zadźgałam. We wsi tak mówią! Że niby nawet sierpem...

– Ale kto teraz w domu trzyma takie rzeczy?

– No ja na ten przykład mam, po ojcach! – wyjaśniła Kusiakowa z dumą, po czym natychmiast jęknęła. – Ale przecież to nie ja! Po co miałabym go zabijać? Nie znałam...

Do kuchni wpadły zziajane psy, Andżelika i Michał.

– A Filip gdzie? – zapytała zaniepokojona Dagmara.

– Nie wiadomo. Zwierzaki same przybiegły do domu.

– Boże kochany! – Dagmara próbowała zacząć panikować, ale zmroziły ją miny pozostałych.

– Nic mu nie będzie – mruknęła Andżelika. – A to był popapraniec!

– Filip? Popapraniec? No wiesz co? I dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym? Coś mu się stało?

– A gdzież tam! Chodzi mi o tego umarlaka. Tak we wsi gadają! Mówią, że na pewno normalny nie był, że pewnie taki, co to z chłopami... No wiecie, i że sobie coś tam obciął...

– No bo niektórzy to sobie tak robią – wtrąciła się Kusiakowa. – Widziałam w telewizji. No, różne takie... I on to niby wcale nie był zamordowany, tylko sam sobie chciał coś tam ciachnąć i sierp mu się wysnął, i o!

– To jednak był sierp?

– Nie wiadomo, może kosa albo takie nożyce do krzaków?

– I on tak sam sobie? W naszym sadzie? Ale co?

– No te... no te...

Kusiakowa zamilkła i przeżegnała się skromnie.

– Panie Boże, wybaczone – szepnęła. – Jaja! Jaja sobie obciął!

– Nie, pani Kusiakowa, to bzdury – odezwał się w końcu Michał. – Niczego sobie nie obciął. On podobno dźgnięty w plecy był. To jak mu się ten sierp na plecy omsknął? Nie mógł!

– A jakżeby nie! Tak jakoś. – Tu Kusiakowa wykonała przedziwny taniec imitujący skomplikowane ciosy. – Ło tak! – zakończyła, usiłując wyjąć głowę spod pachy i upchnąć biust na swoim mniej więcej zwykłym miejscu.

– Tak to on by sobie najwyżej oko wyłupił albo głowę odciął, a nie jaja!

– A ty co taki mundry? Pod spódnicę mu zaglądałeś?

– Nie, ale wiem, że sam się nie zadźgał i na pewno nie sierpem – upierał się chłopak. –

Tylko po co i skąd to przebranie? Czyli mamy tak: trujące grzyby i nieboszczyka.

Pani Stasia wyglądała na wyraźnie zaniepokojoną.

– Wiecie, to naprawdę mi się nie podoba. Tu zaczyna być coraz bardziej niebezpiecznie.

– No, ale fajowo – pisnęła po swojemu Andżelika. – Teraz to każdy nas we wsi zna, chłopcy się za nami oglądają, baby plotkują... Kurczę. Super.

– Fajowo? Ktoś może nas w każdej chwili wymordować! Andżelika, oszalałaś? To horror i dom wariatów w jednym! Jeżeli wynajęli Kusiakową do trucia, to za chwilę naślą na nas kogoś innego.

– Jeżeli postawili na nią, to znaczy, że mają nie po kolei w głowie – odburknęła Ziębowa. – I co ważniejsze, zupełnie jej nie znają. Czyli to nie jest ktoś stąd... Kto o zdrowych zmysłach wynajmowałby Kusiakową? I to do czego? Podłogi umyć, w porządku, studnię wykopać też pewnie dałaby radę, nawet wykarczować kawał lasu, ale do mordowania?

– To niewiele zmienia, znalezienie płatnego zabójcy w Warszawie jest chyba o wiele prostsze, nie?

– Niby tak, ale też zostawia ślady i znacznie więcej kosztuje.

– To jasne, ale ja pytam, dlaczego ktoś chciał nas wymordować?

Pytanie tak naturalne, a jednocześnie nieoczywiste zawisło nagle nad nimi jak gradowa chmura.

– No właśnie? Krycha Krychą, ale przecież tak naprawdę mogło chodzić o Kingę, a ten popapraniec wyglądał z kolei jak pani Stasia. Co my im zrobiliśmy, żeby nas tak wszystkich w czambuł? Krycha, dobra, załazła komuś za skórę, pani Stasia pewnie też, ale my?

– Może chodziło im nie o wszystkich, ale o jedną osobę, tyle że było im wszystko jedno, ile będzie trupów? Taka przykrywka.

– Bardzo pocieszające. Normalnie macie tu jakiegoś Hannibala Lectera, tak? –



Dagmara patrzyła na Kusiakową ze zgrozą.

– Ni. – Kusiakowa wzruszyła ramionami. – Takie tu nie mieszkają.

– I kto byłby ich celem? Nikt nas tu nie zna!

– W zasadzie nikogo nie da się wykluczyć...

– Dagmara, przynieś telefon dziadka, leży u mnie – rozkazała kobieta. – Sprawdzimy ostatnie połączenia. Może to nam coś da.

Dziewczyna wyszła z kuchni. Po chwili dało się słyszeć złowrogi krzyk.

– Nie ma! Zniknął! Ktoś znowu nas okradł.

Wszyscy rzucili się do pokoju pani Stasi, jakby to mogło coś zmienić.

– I co my teraz zrobimy? – zawodziła pani Stasia naprawdę zmartwiona.

– Może Filip go wziął – zasugerowała nie wiadomo dlaczego Dagmara.

Nagle wszyscy zauważyli nie tylko brak telefonu, lecz także bardzo znaczący brak samego Filipa!

– No właśnie, gdzie on się podziewa? – jęknęła znowu Dagmara.

– Ano pewnie siedzi u tej swojej... Oj.

Kusiakowa złapała się za usta, a wszyscy popatrzyli na nią z zaskoczeniem.

– No u tej swojej tak jakby rodziny – skłamała z dziwną miną.

– Rodzinę tu ma? – zapytała zaskoczona Dagmara.

– Ale daleką! Dziesiąta woda po kisielu. – Kusiakowa najwyraźniej zaczęła plątać się w zeznaniach. – O, może ja już pójdę – stęknęła i spojrzała błagalnie na panią Stasię.

– To my się wybierzemy na spacer – zdecydowała kobieta, patrząc znacząco na

Ziębową. – Mamy do pogadania, takie wiecie, no... – Zamilkła na chwilę i poderwała się z krzesła. – Idziemy – zakomenderowała.

Wszystkie trzy ruszyły ku drzwiom. Wyglądały komicznie. Na przedzie szła najniższa z nich, pani Stasia, za nią trochę wyższa, za to szczuplejsza Ziębowa, a na końcu sunęła,

posapując, wielka jak piec Kusiakowa.

– Istny sabat czarownic – mruknęła Andżelika.

Nagle pochód przystanął.

\*

– Czyli co? – Kinga popatrzyła na wszystkich z niedowierzaniem. – Kusiakowa? Ona chciała nas otruć? Wszystkich? Na zlecenie? Mnie ona na specjalnie normalną nie wygląda, ale żeby coś takiego?

– A niby truciciel musi być normalny? – mruknęła Dagmara. – Ona jest tak porąbana jak drewno na opał! Mogła.

– Za pieniądze? Na zlecenie? Bogobojna, a właściwie diabłobojna Kusiakowa?

– No co? Sama mówiła! I miała do nas dostęp!

– Też mi problem. Tu każdy ma do nas dostęp. I po co mordować?

– Żebyśmy uciekli? – zasugerowała niepewnie Andżelika.

– Jak? Bylibyśmy martwi i na dodatek toż to byłaby prawdziwa hekatomba! Ty, ja, pani Stasia, Michał, Filip... – liczyła Dagmara, zwracając się do Kingi. – Przecież by tu antyterrorystów sprowadzili! Pięć plus dwa to siedem! Siedem trupów?!

– Sześć, bo Filipa wtedy nie było. Nie jadł.

– No dobra, ale mógł. Po prostu wyszedł. Czysty przypadek.

– Nawet jeżeli, to i tak dziwne. Jakieś koszmarnie mordercze te Utopce! Wiecie, że naprawdę zaczynam się bać?

– Masz rację! Utopce – pisnęła Andżelika. – To one! Wylazły nocą i...

– Zadzwończyły do Kusiakowej, podając się za wnuczka? Miałam na myśli wieś, a nie jakieś tutejsze wymysły.

– Nie wyobrażaj sobie za wiele. – Michał uśmiechnął się spokojnie. – Wyobraźnia w takich przypadkach to najgorszy doradca, po prostu trzeba przyjrzeć się faktom, a są one takie,

że...

– Mamy dwa trupy i sześć potencjalnych ofiar.

– Nie, mamy dwa trupy i tyle. Kusiakowa bredzi. Może i ktoś dzwonił, ale ona nie nadaje się na morderczynię. Zupełnie. Ktoś wybrał ją z pewnością nie po to, żeby nas zabiła, może żeby przestraszyła, podtruła, cokolwiek, ale te wszystkie zwłoki i Kusiakowa? To mi zupełnie nie pasuje!

– Krychę pociachał, tak? Czyli co? Nie chciał? Skoro najpierw posiekał ją, a potem chciał otruć nas, to musiał być bardzo zdecydowany, no nie? I jeszcze ten babochłop, bo w końcu nie wiem, co to za jeden.

– Może to nie ten sam?

– Czy sugerujesz, że mamy tu dwóch morderców?

– Albo i trzech, w tym jednego psychopatę od mordów zbiorowych.

– Mafia?

– Nie! Wszystko się dzieje tutaj, u nas, w naszych ruinach, tak? Wyraźnie widać, że chodzi o ten cholerny dom, a mafia to porywa ludzi i wywozi. A nie morduje na miejscu.

\*

– Kusiakowo, a powiedzcie mi, jaki głos to był, ten wasz wnuczek? – spytała pani

Stasia, zatrzymując pochód.

– Diabelski! Taki jakby zza grobu mówił.

– Dobra, dość bajek, młody czy stary?

– A bo ja wiem? Jak wnuczek, to musiał być młody, nie?

– Tak, ale czy był?

– Nie zastanawiałam się.

– A co konkretnie mówił?

– Żebym was wytruła.

– Dokładniej!

– Babko Kusiakowa, powiedział, jako wnuczek wasz wiem, że pieniądze wam potrzebne, to ja wam zapłacę, ale strujcie wy mi tych miastowych z ruin. Strujcie, na pewno tak, bo żem nawet zapytała, czemu miałabym ich stroić i czym. A on na to, że grzybami, żeby się pochorowali jak koty, to już żem zrozumiała.

– Ale wy głupia jesteście, Kusiakowo, toż to kryminał! Truć ludzi? A wy niby taka święta...

– No to właśnie po to żem księdza proboszcza zaprosiła i on powiedział, że mogę.

– Co?!

– Powiedział, że jak intencja dobra, to i grzech mniejszy, a moja przecież dobra była, zarobić chciałam!

– I co, księdzu powiedzieliście, że ludzi zamierzacie truć?

– No co wy, Ziębowo, przecie głupia nie jestem, zapytałam tylko, co Pan Bóg na to, jak kto co niedobrego ugotuje. To ksiądz, że to nie jest wielki grzech, bo przecie nie zawsze jedzenie się udaje, to ja go jeszcze zapytałam, co wtedy, gdy to się zrobi specjalnie, a on na to, że jakby kto żarłok był i w czasie postu tak mu paskudztwa ugotować, i on by pościł, to też dobrze. No to pomyślałam, że ugotuję.

– Trujące grzyby?

– Nie trujące, tylko niedobre.

– Boże, Kusiakowo! Jak z wami dojść do ładu? Siadajmy – zaproponowała Ziębowa, wpuszczając je do domu i sadzając za stołem. – Trzeba się zastanowić, kto mógł zabić Krychę!

– Każdy. To prawdziwa cholera była. Kradła, ploty roznosiła. Wścibska taka...

Ziębowa postawiła przed nimi szklanki z herbatą, placek jagodowy i masło.

– Częstujcie się – powiedziała zamyślona. – Ten babochłop mnie zastanawia. Może to on zamordował Krychę, zadzwonił do was, a potem jakoś tak rzeczywiście krzywdę sobie sam

zrobił, przewrócił się na co, czy ja wiem?

– Na sierp? Plecami?

W tej chwili do kuchni przez niedomknięte drzwi wpadł z łoskotem Bestia, trzymając w pysku zakrwawioną nogę. Z zadowoleniem ułożył się przed panią Stasią, prosząc wzrokiem o kawałek ciasta.

Za nim wbiegła wściekła Dagmara.

– Jezusie Maryjo, jeszcze jeden trup, chyba że to Kryszyna noga, co to jej nie znaleźli!

– Kusiakowa przeżegnała się z obawą, ale Ziębowa tylko machnęła ręką.

– Nie, to nie jej, Jasiek ma tu tego cały składzik.

– Prowadzi magazyn nóg? – Dagmara zbladła.

– Rąk też – odpowiedziała Ziębowa.

– A głowy ma? – wyszeptała pani Stasia pobladłymi wargami.

– A jak? Pewnie, i to kilka! – Ziębowa nie wydawała się specjalnie przejęta.

– O Boże! To może my już pójdziemy? – jęknęła Dagmara – Tak, tak, trochę nam się spieszy. – Nerwowo zatarła ręce i odwróciła się do wyjścia.

– Aaaaa! – wrzasnęła przeciągle i rzuciła się do drzwi, a za nią z podobnym wrzaskiem pobiegła pani Stasia.

– Trzeba ratować Kingę! Ją też poćwiartuje! Jezus Maria... Może już to zrobił!

Dopadły drzwi, ale nie dane im było wybiec, bo w drzwiach pojawił się jakiś cień, straszny i wielki ponad miarę.

Drogę zastąpił im Jasiek, krwawy morderca. Na rękach niósł strasznie brudną i chyba całkiem martwą Kingę, były tego najzupełniej pewne.

– Aaaaa! – wrzasnęły obie strasznymi głosami, cofając się w głąb kuchni. – Aaaaa!

– No, czego się drą? – zapytała zdziwiona Kusiakowa. – Psa wystraszą!

– Oddaj nogę, piesku. – Ziębowa dała Bestii kawałek ciasta i odebrała krwawy ochłap.

- Jeszcze się przyda. Jasiak, lepiej byś porządnie zamykał komórkę!
- Sinobrody – jęknęła pani Stasia. – Teraz już wszystko wiadomo! Co zrobiłeś Kindze? Zamordowałeś ją? Zaciukałeś biedną dziewczynę, a teraz ją poćwiartujesz?
- Nikt nikogo nie zabijał! Skręciła nogę i tyle. Ślisko było!
- Morderca! – stęknęła pani Stasia. Dotychczas nie wiązała zabójstw z osobą Jaśka, ale teraz nagle najwyraźniej zaczęła.
- Co takiego? – Jasiak popatrzył na wszystkich z zaskoczeniem. – Ja?! Oszalałyście?
- Twoja noga! Ta odrąbana – z drzeniem pisnęła Dagmara.
- Moja noga? Mam obie!
- Nie twoja, to znaczy twoja, ale nie własna, tylko ta, co pies ją przywlókł!
- A, to... – Chłopak uśmiechnął się nadzwyczaj wesoło, od czego Dagmarze przeszedł dreszcz po plecach. – Zaraz wam wytłumaczę!
- Nie trzeba! Po prostu nas wypuść...

Kinga otworzyła oczy i oparła się na zdrowej nodze, postawiona ostrożnie przez Jaśka.

- Co to za masakra? – zapytała, wskazując leżącą na stole zakrwawioną kończynę. – Czyli co, mamy kolejnego trupa? Tylko po co trzymacie zwłoki na stole? Fuj! Odbiło wam?
- Pani Stasia wzdrygnęła się mimowolnie.

- Ale to nie jest noga – jęknął Jasiak. – To znaczy też, ale przede wszystkim materiał poglądowy...
- Dla seryjnych morderców?
- Nie, debilko, dla kłusowników!
- Odcinasz im kończyny? Czy to aby legalne?
- Chciałbym, żeby było – odpowiedział z rozmarzeniem. – Ale, niestety, nie wolno.
- To skąd te bebechy? Ręce, głowy? No skąd? Z trupów?
- Produkuję je. Skąd niby miałbym wziąć zwłoki? – odparł z wyższością.

– Ostatnio ich tu nie brakuje... Wiem! To ty chciałeś nas wytruć, żeby mieć trochę nóg i rąk. Boże kochany...

– Oszalałaś? Przecież to plastik, drewno i trochę szmat.

Dopiero teraz wszyscy z niedowierzaniem podeszli bliżej.

– A co wyście myślały, że ja ludzkie szczątki na stole trzymam? – obruszyła się

Ziębowa. – To Jaśkowe pomoce naukowe i tajna broń!

– Bo ja walczę z kłusownikami!

– Sztucznymi nogami?

Wyobraziła sobie kogoś w rodzaju Zorro, kto w ręku zamiast szpady trzyma zakrwawioną kończynę.

– Czym się da. Jak tylko widzę jakieś wnyki albo pułapki, wkładam w nie te realistyczne pomoce naukowe z karteczką: „Jeszcze raz, a to będzie twoja noga”. Ludzie mają mnie za wariata, więc się boją. W moim lesie już nikt nie kłusuje. Czasami podkładam nogi, a innym razem głowy, żeby się ludziom nie znudziło!

Wszyscy popatrzyli na niego z mieszaniną lęku i podziwu.

– Ale z tamtą głową to przesadziłeś, przyznaj – zagadnęła go matka. – Straszne zrobiło się zamieszanie.

– A moja wina, że była podobna?

– No niby nie, ale wiesz, ile we wsi gadali! Normalnie aż huczało od plotek, do dzisiaj niektórzy jeszcze się potrafią przeżegnać, jak widzą Jaskółę.

– No tak – wyjaśnił Jasiek. – Raz jeden taki tutejszy Józek Jaskółę zastawił wnyki, ale nie mógł sam sprawdzić, co się złapało, żonę posłał, a ja wtedy tę głowę wsadziłem w jego wnyki, przecież nie były podpisane! Głowa do Jaskuły jak dwie krople wody podobna, baba zawału dostała. Jak ją odratowali, to jakaś dziwna się zrobiła. Tak jakby trochę jej odbiło. Nawet wegetarianką próbowała zostać, bo ona podobno tę głowę wciąż na talerzu widziała, ale Józek ją

powstrzymał.

– A to dlaczego?

– Bo u nas trawę to krowy jedzą, a nie ludzie! – odparła bez wahania Kusiakowa. –

Więc ją Józek lekko przetrącił i była znów jak nowa.

## **Rozdział VI**

Jasiek zdawał sobie sprawę z tego, że Kinga jest roztargniona, ale był osobą praktyczną, mocno stąpał po ziemi, nie przejmował się głupotami i nie rozumiał, jak ktoś mógłby tak niefrasobliwie zachowywać się w lesie, toteż kiedy wybierał się z Kingą na spacer, nie przeczuwał niczego nadzwyczajnego, no, może poza ewentualnym pocałunkiem.

Kiedy więc na samym początku dziewczyna wlaźła niechcący w krzaki malin, a zaraz potem w krowią kupę, uznał, że chyba się w nim zakochała, skoro chodzi z głową w chmurach, zamiast patrzeć pod nogi. Kiedy potknęła się o wystający z ziemi korzeń, a chwilę potem wpadła na pień pochylonej sosny, stwierdził, że nie chyba, ale na pewno, i to szaleńczo. Ucieszył się jeszcze bardziej, kiedy jakimś cudem prawie wpadła do rowu melioracyjnego. Dopiero poślizg na spróchniałym, porośniętym opieńkami pniaku trochę go otrzeźwił. Owszem, dobrze, niech go kocha! To miłe, przyjemne i fantastyczne, ale niech zostanie przy życiu! Tragiczna miłość do grobowej deski niespecjalnie go interesowała, ta mniej tragiczna, ze szpitalem i połamanymi kończynami, też nieszczególnie.

– Uważaj trochę, dziewczyno! Ostrożnie! Co ty wyprawiasz?! – krzyknął, łapiąc ją za łokieć.

– Przepraszam, potknęłam się – odparła Kinga, wzruszając ramionami.

– Opanuj się i patrz pod nogi, bo w końcu skrećisz kark!

– Jesteś przewrażliwiony – odparła z lekką dezaprobatą w głosie. – Ale obiecuję, że będę uważać, tylko tak jakoś trudno się tu chodzi.

Nie dokończyła. Pośliznęła się na wilgotnym pniu, co bardzo chłopaka ucieszyło.



– Mam nadzieję, że robisz to specjalnie – mruknął, chwytając ją wpół i ratując przed konsekwencjami poślizgu. – To niebezpieczne! Baby są takie nieuważne!

– Baby? Myślałam, że masz bardziej otwarty umysł! – fuknęła Kinga.

– Owszem, nawet bardzo, już bardziej się nie da, chyba że siekierą! – jęknął na widok Kingi usiłującej utrzymać równowagę po kolejnym potknięciu. – Taniec świętego Wita odwalasz?

W tym samym momencie Kinga z mlaskiem wylądowała twarzą w kałuży. Jasiek rzucił się jej na pomoc, a chwilę potem leżał obok niej, ocierając błoto z oczu.

– Chyba zwichnęłam nogę – powiedziała dziewczyna, siadając.

Rezygnując z dalszego spaceru, wziął ją na ręce i poniósł w kierunku domu.

\*

Wieczór nie przyniósł żadnych rewelacji.

Kinga z racji obrażeń nie była w stanie koczować na podłodze u pani Stasi, choć bardzo się przy tym upierała.

– Jestem przeziębiona – jęknęła w końcu tak żałośnie, że Dagmarze zrobiło się jej żal.

– Na przeziębienie najlepszy jest pies grzewczy – stwierdziła dziewczyna.

– Jasne, piec byłby idealny, ale skąd go teraz wziąć?

– Nie piec, ale pies! Taki jak Bestia, milutki, mięciutki i ciepłutki... Jak wpuścisz go do łóżka, rano nie będzie śladu po przeziębieniu.

– Albo po mnie, jak mnie zeżre! – mruknęła niechętnie Kinga, niezbyt ufając słowom koleżanki, nie miała jednak wyboru, zresztą pies, grzewczy czy nie, zawsze stanowił jakąś ochronę w razie napadu. Skoro nie mogła koczować u pani Stasi, musiała się zabezpieczyć inaczej.

O ile wieczór był w miarę spokojny, wręcz nudny, o tyle noc obfitowała w gulgoty i chichoty. Tym razem także wyło i waliło. Rozpętała się potężna burza, błyskawice cięły niebo

zygzakiem jak pijak tort, a deszcz dudnił o dach, deski w oknach, resztki parapetów i nieliczne szyby. Mimo całego tego huku wyraźnie dało się słyszeć dziwne odgłosy dochodzące z góry.

– Jasna cholera! Ja tego nie wytrzymam. – Pierwszy na korytarz wypadł Filip i pieklił się tak głośno, że wszyscy, nawet ci, którzy usiłowali zignorować hałasy, musieli zerwać się na równe nogi. – Pieprzę! Pieprzę! Pieprzę to wszystko! Wariacji tu dostanę! Zróbcie coś wreszcie, bo nie wytrzymam!

– No czego japę drzesz? – burknął zaspany Michał. – Zamknij się i daj ludziom spać.

– W takich warunkach?! Przecież tu coś straszy. Tu są jakieś pieprzone duchy, utopce albo cholera wie jakie jeszcze złe moce! Ten dom to jeden wielki horror. Wyje, chichocze, morduje... Nie wytrzymam! No nie dam rady! – pisał chłopak jak niezbyt rozgarnięta panna na widok szczura.

Kinga zwlokła się z łóżka, kulejąc. Pies grzewczy podążył za nią.

– Dagmara, zabierz ode mnie tę syrenę przeciwpożarową – mruknęła, ledwie otwierając oczy. – Może i grzeje, ale wyje!

Właśnie w tym momencie Bestia usiadł, podniósł pysk i zaskowytał. Wyglądało to pięknie, ale niepokojąco.

– Śmierć przechodzi koło domu – jęknęła Andżelika, przeżegnawszy się. – Czyli pewnie znów ktoś kogoś morduje.

– Wypluj te słowa, dziewczyno – obruszyła się pani Stasia. – Mało nam dwóch trupów?

– No to dlaczego tak się zachowuje? Nigdy nie wył na burzę... Na chichot też ostatnio nie...

Nagle zdali sobie sprawę, że rzeczywiście coś w tym jest.

Michał, nic nie mówiąc, wielkimi susami dopadł schodów i wbiegł na piętro. Usłyszeli dochodzące z góry ciężkie tupanie, potem urywany wrzask, grzmot i krótką szamotaninę.

– Czy mi się zdaje, czy on dopadł utopca?

– A coś ty! To niemożliwe – wyjaśniła Andżelika. – Utopce są, no tego... Nie da się ich... Ani dopaść, ani zabić. Kołki na nie nie działają. Utopce to takie wodne demony, wbijesz kołek w wodę?

Zbili się w ciasną grupkę obok wejścia na schody, którymi po chwili zszedł Michał.

– Uciekł mi! – powiedział niezadowolony. – Nie wiem, co to było. Wiem tylko, że mi jakimś cudem uciekło. Przez okno?

– W taki deszcz? To pewnie się łobuz pośliznął i zabił – stwierdziła Andżelika.

– A bodajby cię pokręciło – warknęła pani Stasia. – Czyś ty oszalała?

– Pani Stasiu! Nie oszalałam! Każdy by kark skręcił, schodząc z dachu w taką ulewę.

– O matko jedyna! My rzeczywiście tu wszyscy skończymy w wariatkowie! Wciąż tylko zwłoki... Może on wcale nie uciekał przez dach!

– To przez co? Przez okno? Latać chyba nie umiał? – wtrąciła Dagmara.

– Jak utopiec, to mógł umieć.

– Co ty gadasz? Przecież one podobno żyją w wodzie, potrafią pływać, ale chyba nie latają!

– No, deszcz jest...

– Andżelika, skończ – uciął Filip przerażonym głosem. – Bo oka do rana nie zmruję!

– Zamknijcie się wszyscy – mruknął Michał. – Chodźmy spać!

Przetarł dłonią twarz. Wiedział dokładnie, co zobaczył, a właściwie poczuł na górze. To coś było żywe, śliskie i z pewnością cielesne.

Wszyscy popatrzyli na Michała, który cały był upaprany czymś zielonym.

Andżelika wrzasnęła, Kinga usiadła z wrażenia na zdezelowanym fotelu, a Filip uciekł do swojego pokoju.

– Chciało cię zeżreć? – zapytała lękliwie Kinga. – Bo wyglądasz, jakby trochę cię napoczęło, tak od głowy. I coś tu strasznie cuchnie...

– Nic mnie nie napoczytało! Odwała wam? Upaprałem się czymś. Utopców nie ma, słyszycie?! Nie istnieją! A śmierdzi... – zastanowił się. – Kanalizacja?

Usiłując pocieszyć się tą deklaracją, jakkolwiek niezbyt w tym momencie wiarygodną, poszli spać, ale nie zmrużyli oka aż do świtu.

\*

Sabat czarownic aktywował się już około piątej rano, kiedy wraz z Kusiakową wpadła do domu Ziębowa.

– Wstawajcie! – krzyknęła niezadowolona Kusiakowa, widząc, że wszyscy jeszcze śpią.

– Już rano! Podobno włamanie u was było.

Nikt nie wiedział, jakim cudem dotarła do niej ta informacja.

– No tak. Policję trzeba wzywać, trupa szukać – stwierdził Michał, bo Kusiakowa uparcie tropiła każdą sensację.

– Jakiego trupa?

– No bo ktoś mu przez okno uciekł z dachu i taki niby zielony był – dodała Andżelika.

– Utopiec! – jęknęła z zachwytem Kusiakowa. – Jak mi Bóg miły, utopiec! Tylko skąd trup? Bo utopce to takie niezabijalne są!

– A tam, nawet wampira da się zabić, kołek, czosnek, święcona woda i już – rozmarzyła się Kinga.

– Tylko jak? Utopiec to taki bardziej wodnisty – zastanowiła się Andżelika. – Może trzeba go wysuszyć?

– Powariowaliście wszyscy – westchnęła pani Stasia. – Chodźmy obejrzyć piętro, może coś znajdziemy. Nie będziemy suszyć utopców! Mowy nie ma! I co tu tak paskudnie cuchnie?

Wszyscy pociągnęli nosami, ale nikt nie znalazł odpowiedzi na to zapachowe pytanie.

– Może Michał?

– Raczej nie – odparła Kinga. – On się czasami myje!

– Codziennie, debilko – warknął chłopak. – Może to z dworu?

– Utopce! – jęknęła zadowolona Kusiakowa. – One mogą cuchnąć. Wodorosty cuchną tak rzecznie... zgniło...

Aspirant Kotek przyjechał prawie natychmiast w towarzystwie jakiegoś młodziutkiego policjanta, choć oczywiście musieli go ściągać z domu. Nie lubił pracować w niedzielę, ale ten przypadek wymagał jego osobistego zaangażowania – za dużo się działo, żeby pozwolił któremuś ze swoich podwładnych kierować choćby jednym przeszukaniem. Nie chciał skopać tak obiecującej sprawy. Nie liczył na awans, osiągnął już prawie wszystko, czego chciał, poza spokojem, który kochał, miłował, uwielbiał. Wstąpił do policji właśnie z tego powodu, podjął pracę na wsi, ba, w kompletnej dziurze, właśnie w imię tego spokoju, a tu nagle ktoś podniósł rękę na jego największą osobistą świętość.

– Szambo wam wybiło czy jak? – zapytał lekko umęczonym głosem człowieka, który najpewniej udusi rozmówcę, jeżeli tylko ten zbliży się na odpowiednią odległość. – Znowu jakieś włamanie?

– Po mojemu nie – odezwała się jako pierwsza Kusiakowa. – Po mojemu kara boska.

– Kusiakowo, po waszemu to wszystko jest kara boska. Nie was pytam. Was tu nie było! Zamknijcie się wreszcie. Co się stało? – syknął zdenerwowany, patrząc na Michała, jakby u niego szukał ratunku. Zamiast niego odezwała się Andżelika.

– No, chichotało, gulgotało, jakby w rurach...

– Nie interesuje mnie stan kanalizacji! Wzywajcie hydraulika! I to szybko, bo się tu jak nic od tego smrodu podusicie!

– Kiedy to nie rury. To utopce! Żem mówiła, kara boska... – wyrwała się Kusiakowa, spojrzała na policjanta i spiorunowana wzrokiem zamilkła.

– Coś chichotało.

– To chyba nie jest przestępstwo?

– Ale w nocy? Na piętrze? Z gulgotem? I pies wył. – Andżelika pospieszyła

z wyjaśnieniami. – I to było zielone!

– Utopce! – mruknęła z satysfakcją Kusiakowa, po czym znów zamilkła.

– Czyli ktoś to widział, tfu, co ja gadam? Jakie „to”? Włamywacza ktoś widział, tak?

– Nie, tylko Michała. Był zielony!

Aspirant Kotek usiadł ciężko za stołem.

– Powiedzcie prawdę. Wy się urwaliście z jakiegoś wariatkova, tak? Specjalnie tu przyjechaliście, żeby mnie wykończyć? Chcecie wymordować pół wsi? Któryś z moich kolegów was wynajął, żeby dobrać się do mojego świętego spokoju, jaja chciał sobie ze mnie zrobić, ale coś źle poszło?

– Ależ skąd! – obruszyła się pani Stasia, której umysł właśnie zaczynał się budzić pod wpływem dobroczynnego działania kawy.

– Jasne. Pewnie chcecie wymordować całą wieś, ale ja wam na to nie pozwolę!

Słyszycie?

– Nikogo nie chcemy mordować! – wtrącił się wreszcie Michał, który wcześniej bez skutku usiłował włączyć się do rozmowy.

– Czyli co? Nie chcecie, ale musicie? Coś wam każe zabijać? Powiedzcie, wy bierzecie jakieś świństwo? Narkotyki czy co? Albo coś wączacie?

– Jasne! Kwiatki! – odburknęła Kinga. – Co pan insynuuje?! Najpierw jesteśmy wariatami, a teraz ćpunami?

– Ktoś się włamał i był zielony, mówicie? Ukradł coś?

– Nic mi o tym nie wiadomo, nie poszliśmy na górę, żeby niczego nie zdeptać.

Policjant wysłał młodego na zewnątrz, żeby obejrzał dom dookoła, a sam w asyście domowników udał się na piętro.

Korytarz wyglądał okropnie, to znaczy jeszcze gorzej niż zwykle. Pachniało dziwnie.

Cała podłoga pokryta była czymś zielonym i glutowatym.

– Kisiel? – zdziwiła się Andżelika, wpadając w poślizg nie za bardzo kontrolowany.

– Utopce! – zawołał histerycznie Filip, bliski łez. – Cholera, mówiłem, że tu coś straszy, no ja pieprzę...

– Bzdury – odezwał się ostro Michał. – To jakaś mistyfikacja! Niech pan pobierze próbki. To na pewno coś naturalnego...

– Utopce też są naturalne – stwierdziła Andżelika. – Przecież nie sztuczne.

– A żeby cię pokręciło – westchnęła Dagmara.

Zeszli na dół, chcąc się dowiedzieć, jakie ślady odkryto wokół domu, ale młody funkcjonariusz gdzieś zniknął i nie reagował na wołanie.

– Boże! Teraz ci smarkacze zupełnie nie szanują pracy. Ile razy muszę go wołać?

Mrówecki! Mrówecki, chodźcie no tu!

– Nie przyńdzie – stwierdziła Kusiakowa. – Nie do rady. Tarza się. Tak leży

i podryguje, jakby psychiki jakiej dostał! Ło, teraz to nawet mundur se łupaprał. Na zielono...

Fuj...

Wszyscy rzucili się do okna.

– Ratuunkuuu! – dało się słyszeć, kiedy wreszcie ktoś wpadł na pomysł, aby je otworzyć. – Ratunkuuu!

– Mrówecki, chodźcie tu natychmiast! To rozkaz! – wrzasnął aspirant.

– Kiedy koń na mnie leży!

Ciasnota i ograniczone pole widzenia nie pozwalały wszystkim dokładnie ocenić sytuacji.

– Ho, ho! To policja tu wierzchem do wezwań jeździ? – zaciekała się Kinga.

– Ależ skąd! Nie mamy koni! Mrówecki, co na was leży, do cholery?

– No mówię, że koń! Czarny chyba. Chce mi odgryźć głowę!

– To Precel – zawyrokowała Dagmara. – On się tylko tak bawi! Zrobi człowiekowi psią

myjnię i już!

Przez błoto podwórka dotarli do leżącego w trawie policjanta, na którym z pięknie wywieszonym ozorem dyszał Precel.

– Niech pan się nie boi. On jest łagodny jak...

– Jasne, jednym skokiem mnie powalił! Chciał mnie...

– Zalizać? – Dagmara uśmiechnęła się złośliwie. – Podobno taka psia myjnia dobrze robi na cerę – dodała, robiąc aluzję do pryszczatej twarzy Mróweckiego.

Aspirant nie był zadowolony.

– Mrówecki! Jesteście na służbie! Co wy wyprawiacie z tym psem? Ja was do raportu...

I mundur... No! Mrówecki! Macie przechlapane. Sprawdzić mi teren, natychmiast, wezwać jeszcze dwóch, przekopać całą okolicę. Wykonać! A wy... – Wrednym wzrokiem popatrzył na domowników, których w myślach złośliwie nazywał ruinnikami. – A wy do domu! Ktoś wreszcie powie mi prawdę albo ciężko tego pożałujecie!

Wszyscy weszli do środka. Kinga usiłowała coś powiedzieć, ale aspirant nie dał jej dojść do słowa.

– Teraz ja mówię. Potem wy! Dobrze – pochwalił sam siebie. – Co tam macie,

Mrówecki?

– Nic, tylko jakiś kisiel. Przyjechali technicy z Zamościa pobrać próbki, cudem udało mi się ich... – nie dokończył.

– No to niech pobierają, a wy mi dupy nie zawracajcie! Mam tu ważniejsze sprawy.

Dobrze, co to ja chciałem... A, tak – zwrócił się do siedzących wokół niego nieco speszonych ludzi. – To spokojna wieś, co ja mówię, cała okolica jest spokojna, to znaczy była. Nagle zjawiacie się wy i co? Spokój szlag trafia! Najpierw jeden trup, potem drugi, włamanie, teraz kolejne, kisiel na ścianach. Trujące grzyby, chichoty...

– Kiedy to nie my!



- Jasne. Nie wy. To kto? Kto, do jasnej cholery, odwała całą tę masakrę? Nikogo nowego poza wami tu nie widzę, a tutejsi, gdyby chcieli się mordować, to już dawno całkiem by się powybijali. Po co w ogóle tu przyjechaliście?
- Na wypoczynek? – odparła cicho pani Stasia, wzbudzając niedowierzanie wszystkich włącznie z Dagmarą.
- Jasne – mruknął kpiąco policjant. – Wypoczynek w ruinach... Nowa moda? Nie, to się nie trzyma kupy! Warszawiacy w takiej ruderze. Pyszczą na wszystko, wszystko im źle, wszędzie nie tak, a tu nagle im się podoba. Ja głupi nie jestem, a na dodatek ktoś tu was podobno straszy...
- Utopce – pisnęła Andżelika.
- Głupoty, nie utopce! I niby po co? Na litość boską, po co?! – Policjant nie był już tak pewny siebie jak przed chwilą.
- To akurat jasne. Ktoś chce, żebyśmy się stąd wynieśli. Dlatego nas straszy. Z trupami nic nas nie łączy, o ile tę Krychę zamordowano celowo...
- Czyli ktoś miał ją zabić niecelowo? Że niby co? Szalał z nożem po spiżarni, a ona się napatoczyła?
- Chodzi o to, że ten ktoś mógł ją wziąć za Kingę.
- Tak, a tego chłopca za panią?
- No właśnie. I teraz to wygląda tak, jakbyśmy mieli nie dwa, ale cztery trupy – dodała po chwili.
- Gdzie? – Aspirant aż pobladł. – Gdzie je trzymacie?
- Nigdzie. Mówię, że wygląda. No bo w pierwszym przypadku, kiedy zamordowano Krychę...
- Tę, co ją posiekali na kawałki – dodała z satysfakcją Kusiakowa.
- To ten ktoś mógł chcieć zabić albo ją, albo Kingę, w drugim też. Oraz tego przebranego chłopca albo panią Stasię, tylko się pomylił, to w sumie jakby cztery trupy, tylko nikt

nie wie, dlaczego ani kogo chciał wyeliminować. Bo może akurat zabił tego, kogo chciał? Albo i nie... – Daga się trochę poplątała.

– A po co ktoś miałby mordować Kingę?!

– Albo mnie? I czy ja jestem podobna do tego przebierańca? – warknęła pani Stasia.

Policjant niechętnie pokręcił głową.

– Miał brodę. No i prawie trzy promile alkoholu. I te grzyby mnie martwią. Coś z nimi nie tak. Jeszcze nie wiem, bo jak dzwoniłem do laboratorium, to nie byli pewni, że niby i trujące, i nietrujące... Kusiakowo, mam was na oku jakby co! – warknął w kierunku kobiety. – A teraz ten kisiel.

– To utopcza mazia! – zawołała Kusiakowa zadowolona, że nikt jeszcze nie wspomniał aspirantowi o grzybowym zleceniu, bo jak nic obserwowałyby już świat z za krat. – Bo one takie wodniste som, to i glutu z nich się wylewają.

– Kusiakowo, przestańcie, bo mi się robi niedobrze! – Aspirant nie krył wściekłości. – To jakieś babskie brednie. Czy ktoś z was coś słyszał albo widział?

– Chichot to słyszeli wszyscy – odparł Michał. – Ja coś widziałem, ale niewiele.

Dopadłem kogoś na górze, ale mi się wyrwał i uciekł. Lało, mógł wyskoczyć przez okno, ale to nierealne, połamaby się.

– Zaraz, zaraz. Chcecie mi wmówić, że ktoś aż tak bardzo chce was wystraszyć, że zakrada się tu mimo psów i deszczu, a potem skacze z okna? Czyli naprawdę usiłuje was się stąd pozbyć. Dlaczego? I czemu wy akurat tu się zagnieździliście?

Pani Stasia jęknęła jak na torturach.

– Jest takie jakby coś, ale ja nic nie wiem. To Generał. On się we wszystkim orientuje, ale jego tu nie ma. Pojechał gdzieś wszystkiego dokładnie się dowiedzieć, ale na razie nie daje znaku życia. On potrafiłby to jakoś wyjaśnić. Prawdopodobnie – dodała szybko.

– Morderstwa też?

– Tego nie jestem pewna, ale morderstwa to również może być straszenie, prawda?

Znaczy się, ktoś kogoś morduje, wszyscy się boją i uciekają, gdzie pieprz rośnie...

– A tam, pani Stasia gada jak potłuczona. To żadne straszenie. To utopce. Tak się tu mówi, że gniewu zmarłych doświadczy, no i te utopce, co pilnuję tych ruin, to nie chcą, żeby kto tu zamieszkał, więc morduję. Normalnie to topięm tych ludzi, ale widocznie przeflancowały się na dźganie.

– Kusiakowo, wyście zwariowali! Nie ma żadnych utopców.

– A stara Adamkowa? Co to przed Mućkiem już trzeci rok ucieka? Utopiły jom!

– Kto? Mamy kolejne zwłoki?

– Aż tak to nie. Ona po wsi lata.

– Jak to, skoro nie żyje?! I kto ją utopił? Kusiakowo, wy to już osiągnęliście Himalaje obłądu.

– Ja swoje wiem! Adamkową porwały utopce, a tera ona lata w charakterze ducha.

– Jeszcze tego mi tu trzeba! – jęknął policjant. – Dajcie spokój z wygłupami!

Chciał coś dodać, ale w tej chwili znów w drzwiach pojawił się upaprany Mrówecki z kartką w ręku.

– Tylko to znaleźliśmy i trochę tego zielonego gluta, ale na drodze się kończy. – Młody

funkcjonariusz podał kartkę aspirantowi. – W oknie była, nawet nie bardzo zamokła.

Kotek ostrożnie, przez plastik, obejrzał kartkę papieru.

– To jakiś list.

*Kochana Dagmarko,*

*już wszystko w porządku. Możesz spokojnie szykować się do ślubu, nie ma żadnych przeszkód. Cieszę się i czekam z niecierpliwością na ten wielki dzień. Wszystko zostało sprawdzone. Nie ma też żadnego spadku. To były tylko jakieś nieodpowiedzialne plotki.*

*Kocham Cię.*

*Dziadek*

*PS*

*Mam nadzieję, że zdejmą Ci wkrótce ten paskudny gips, żebyś pięknie wyglądała na ślubie.*

– No i co? – zapytał, patrząc na wszystkich z niekłamaną wściekłością. – O co tu chodzi? Co to za spadek i ślub i co to wszystko ma wspólnego z tymi ruinami?

– Nic – odparła Dagmara. – Ten list jest fałszywy. Dziadek wcale nie chciał, żebym wychodziła za męża, a tu nagle ciach i się zgadza? No i powinien chyba wiedzieć, jak wygląda jego wnuczka. Chodzi o ten gips. Ja go nie miałam, tylko Kinga.

– Tak. – Pani Stasia pokiwała głową. – Już rozumiem! Przecież to całkiem logiczne. To Kinga przyjechała z dziadkiem i ze mną jako pierwsza, dlatego ktoś, kto nie wiedział, jak wygląda wnuczka Generała, pomyślał, że to właśnie ona.

– Pani Stasiu! O co chodzi z tym spadkiem? – Dagmara stanęła wyprostowana z bardzo poważną miną. – Proszę mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

– Kiedy ja nic nie wiem. Owszem, dziadek coś wspominał, ale sam niezbyt się orientował, dlatego wyjechał, żeby to sprawdzić. Obawiał się czegoś w związku z jakimś zapisem i zemstą czy coś takiego. Jakiś jego przyjaciel podobno zmarł i zostawił spadek, ale co dalej, to nie ma pojęcia.

– Ale skoro ktoś wołał za mną „dziedziczka” – przypomniała Kinga – to powinnam coś dostać, tak? Ktoś najwyraźniej wziął mnie za wnuczkę Generała. I wiedział, że mam gips, zgadza się? Skoro ktoś uznał mnie za Dagmarę i zamordował Krychę z tego powodu, że chciał zabić mnie, to tak naprawdę nie zamierzał mnie uśmiercić. Miał ochotę zaciukać ją.

Policjant popatrzył na dziewczynę zakłopotany.

– Ktoś chciał zabić jedną babę, ale zamordował kogoś innego, bo wziął go za jeszcze kogoś innego, a potem ten ktoś się przebrał za panią Stasię, tak? – zapytał z przerażeniem

w głosie. – Czy to jakiś film? Serial? Opera? Mordują jednego, chcą drugiego, a okazuje się, że załatwili trzeciego?! Chciałbym dopaść tego idiotę, bo to musiał być niezły kretyn...

– W sumie może i tak – westchnął Michał. – Ale wyraźnie widzę kilka nieścisłości. Jak ktoś mógł pomylić Kingę z Dagmarą?! Są zupełnie do siebie niepodobne! I Krychę z Kingą? Kto widząc brodatego pijaniusieńkiego chłopa, bierze go za kobietę... I to z bliska? Przecież żeby go dźgnąć, musiał podejść. Dlaczego ktoś nas straszy? Po co? To tak, jakby było tu stado świrów i każdy działał na własną rękę, nie wiedząc nic o całej reszcie.

– Czyli jedni straszą, drudzy mordują? To głupie! I po co zabijać panią Stasię? Czy ona coś dziedziczy?

– Nikt niczego nie dziedziczy! Tak jest napisane w liście. – Policjant stuknął palcem w stół.

– Tym bardziej ktoś coś musi dziedziczyć, ale kto i co?

Pani Stasia zaczęła się wiercić na krześle, jakby nagle zaczęło ją coś podgryzać.

– Dagmara. Jeżeli już, to ona, ale nie wiem nawet, czy na pewno.

– Czyli eliminacja Dagi miałaby sens – stwierdził Michał, czym poważnie naraził się wszystkim dookoła. – Ale kto zabija tak na oślep? Jakiś idiota chyba? Przecież powinien wszystko sprawdzić, obserwować cel, zabrać się do tego profesjonalnie! I ta sprawa z panią Stasią. To naprawdę jakieś popaprane, bo o ile zamordowanie Dagmary coś mogło komuś dać, to zaciukanie pani Stasi nie ma najmniejszego sensu. À propos, kto po tobie dziedziczy?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła zebranych.

– Po mnie? – Dagmara zastanowiła się przez chwilę. – Mama chyba...

– Czyli ona wynajęła zabójcę, logiczne, a sama pojechała do Turcji, żeby mieć idealne alibi! – Andżelika aż pisnęła z zachwyty nad swoją inteligencją.

– Jasne! Tylko że moja mama wie, jak ja wyglądam!

Policjant, który przysłuchiwał się tej dyskusji z nieodgadnioną miną, nagle uderzył się

w czoło.

– Jasne! To oczywiste – powiedział jakby do siebie. – Ten, kto straszy, nie ma zamiaru zabijać, bo po co mu to. Prawdziwy morderca nie straszy, bo to też nie miałoby sensu. A pani Dagmara może być potencjalną ofiarą dopiero po tym, jak otrzyma spadek.

Zadowolony z rozwiązania zagadki zaczął zbierać się do wyjścia.

– Nie tylko, bo przecież taki majątek czasami jest dzielony na kilku spadkobierców i ludzie się eliminują, zanim go dostaną! – zauważył Michał.

– No tak, to może w testamencie figuruje też pani Stasia i dlatego ktoś ją chciał załatwić? – dorzuciła Andżelika.

– Ludzie, powariowaliście? My nawet nie mamy pewności, czy jest jakiś spadek – jęknęła Kinga.

Mrówecki wpadł do jadalni zdyszany i wyraźnie ucieszony.

– No, szefie, to już wiemy, jak uciekł... Tu od góry był taki jakby korytarz, nawet nie całkiem zamaskowany, tylko każdy chyba myślał, że to jakaś pakamera albo nawet zsyp, a to prowadziło po schodkach do piwnicy, a dalej do tego tam magazynu, gdzie zaciukali tę dziewczynę, a stamtąd na zewnątrz.

– Kiedy tu nie ma piwnic – powiedziała Andżelika. – Kusiakowa mówiła, że coś z fundamentami było nie tak i nie zrobili.

– Jasne, Kusiakowa, naczelny architekt kraju, toż widać, że solidna ta ruina, musiała być podpiwniczona. Słuchajcie tej wariatki, to daleko zajdziecie – obruszył się policjant.

\*

Dagmara w spadki nie wierzyła, to znaczy oczywiście wiedziała, że istnieje coś takiego jak testament bogatego krewnego albo wygrana na loterii, ale nie wierzyła, by mogło to zdarzyć się akurat jej albo komuś z jej otoczenia. Najbliżej tego typu wydarzeń znajdowali się bohaterowie seriali brazylijskich albo znajomi znajomych znajomych.

Dla niej nawet czarna wołga była bardziej prawdopodobna niż taki uśmiech losu, więc niespecjalnie się przejęła dziwacznym listem – jej niepokój wzbudził natomiast Filip. Nagle wszystko zaczęło jej się układać w całość. Chłopak pochodził z tych okolic. Tu ktoś coś o tym durnym spadku chyba słyszał, nawet jeśli on w ogóle nie istniał, więc Filip mógł też coś wiedzieć. Stąd te jego małżeńskie zapędy.

Z drugiej strony poznali się w Warszawie, i to kilka miesięcy temu... No tak, ale mówił, że wkrótce będzie bogaty...

Wyszła z domu ścigana wrzaskiem Kusiakowej.

– Niech nigdzie nie lezie, zara obiad!

– A co będzie? – zapytała od niechcienia.

– Jaja Gustlika! – odkrzyknęła Kusiakowa. – Na twardo w sosie krzanowym.

– Kusiakowa, znów pani coś wymyśla? – jęknęła dziewczyna, oddalając się. – Na dobre pani zwariowała.

– A gdzie tam! Normalnie tego z *Czterech pancernych*, co tak po talerzu latały.

Dagmara westchnęła i ruszyła przez sad. Rzeczywiście, to tu, to tam widziała jakąś zieloną galaretowatą maź. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy to rzeczywiście nie jest rzęsa wodna albo jakiś cholerny kisiel. Ta pierwsza ewentualność pasowałaby do utopców, co wcale jej się nie podobało, ta druga była całkowicie nieracjonalna, bo kto o zdrowych zmysłach najpierw zrobiłby kisiel, a potem w nim się kąpał? Czyli ktoś musiałby ponieść koszty i zrobić go specjalnie po to, żeby ich wystraszyć, ale Dagmara i w to nie bardzo wierzyła. Była całkowicie przekonana, że istnieją lepsze metody zastraszania. Pomyślała też, że to straszenie jest jakoś mało przerażające... Wyjątek stanowiły dwa trupy, których jednak nie zaliczała do tej kategorii.

Oczywiście morderstwo jest straszne samo w sobie, ale chyba nie pasuje do straszenia, bo i jak? To nie lepiej załatwić od razu tego, o kogo chodzi, a nie mordować wszystkich dookoła?

List dotyczący nieistniejącego spadku też jej za bardzo nie przekonał, bo osoba

namawiająca ją do ślubu i czekająca „z niecierpliwością na ten wielki dzień” nie mogła być dziadkiem.

Czyimś może tak, ale nie jej, nie tym konkretnym, z lekka świrniętym człowiekiem, którego znała. Po prostu Generał wyrażał się inaczej. O wiele dosadniej. W jego wydaniu plotki z pewnością nie byłyby „nieodpowiedzialne”, ale „idiotyczne”, zamiast „kocham cię” napisałby „trzymaj się”, no i wiedziałby o gipsie...

Wszystko było strasznie pogmatwane. Dagmara szła zamyślona, coraz bardziej oddalając się od ruin. Minęła jakieś zarośla i dotarła do granicy posiadłości ogrodzonej gęstym i koszmarnie zaniedbanym żywopłotem.

Przez szpary pomiędzy gałęziami dostrzegła jakieś poruszenie. Usłyszała obce głosy.

– No i co? Już coś wiadomo?

– A gdzie tam. Mówią, że dostały... ale po mojemu to nic nie da. Należało im się...

Szła wzdłuż żywopłotu aż do dziury pomiędzy krzewami. Wyraźnie było widać, że nie raz i nie dwa ktoś tędy przechodził. Rozmowa wydała jej się całkiem banalna.

– A żenić się będzie?

– Będzie, będzie, ale trzeba poczekać, a tu czas nagli, brzuch puchnie, ludzie gadajom...

Prześlizgnęła się przez dziurę i podążała dalej za oddalającymi się głosami, sama nie wiedząc dlaczego.

– A tego łopata trza było! Łopata... Wtenczas by mu się odechciało! Jakby łopata dostał, toby nie uciekł.

– A dziewczusze dupę spruć, coby jej się chłopów odechciało!

Dopiero teraz rozmowa ją trochę zainteresowała, bo wyraźnie była mowa o jakimś zabójstwie, może nie całkiem dokonanym, ale z pewnością przez kogoś upragnionym.

Szła, nie zwracając niczyjej uwagi, sama też nie za bardzo uważając. Lasek był lekko podmokły, miejscami gęstawy, gdzie indziej zupełnie przerzedzony. Z daleka zobaczyła jakieś



budynki. Nie miała zamiaru się do nich zbliżyć, więc skręciła lekko w lewo, żeby ominąć je łukiem i zawrócić. Skierowała się wąską ścieżką pomiędzy dwiema zaniedbanymi szopami i weszła na łąkę, chcąc z powrotem zagłębić się w las.

Stała na czymś miękkim. Poczuła, jak jej noga się zapada. Krzyknęła. Zrobiła bolesny szpagat, rąbnęła twarzą o grunt i wpadła w otchłań śmierdzącej czarnej dziury. Może nie w sensie astronomicznym, ale w tej chwili niewiele to zmieniało.

Dziewczyna jęknęła, poczuła, że ogarnia ją mokra i nadzwyczaj śmierdząca ciemność.

Świadomość ta nie trwała zbyt długo, bo Dagmara nawet jeśli nie zemdląca, to przez chwilę nie wiedziała, gdzie ani kim jest. Smród był jednak na tyle intensywny, że po kilku minutach oprzytomniała. Wydawało jej się, że wpadła do kadzi wypełnionej nieboszczykiem w płynie.

Poruszyła rękoma i wyraźnie wyczuła, że je ma. Obie były sprawne i obie taplały się w czymś o konsystencji rzadkiego bigosu lub gęstej zupy szczawiowej.

– Bigos z umarlaka – jęknęła i zwymiotowała. Zapach się od tego nie poprawił, choć zrobił się o wiele bardziej swojski.

Poruszyła nogami. Także były sprawne i także grzęzły w czymś gęstym i szlamowatym, co na dodatek puszczało bąki w formie bąbelków.

– Gazy – zauważyła. – Zwłoki wydzielają gazy.

Przez chwilę wyobrażała sobie liczbę tych zwłok i o mało nie zemdląca po raz drugi, nie mogła sobie jednak na to pozwolić. Usłyszała głosy.

Wydało jej się, że dochodzą z zaświatów albo spod ziemi. Były przytłumione i nieprzyjemne. Pomyślała nawet, że to mogą być utopce albo jakieś inne demony, które w tej ziemnej jamie urządziły sobie wygodną spiżarnię, ale po kilku minutach dotarła do niej o wiele gorsza prawda. To mordercy. Słyszała jakieś szcęknięcie, jakby nożami, jakieś pokrzykiwania, jakieś huki. Docierały do niej też fragmenty rozmów.

– Bo jakby go tak porządnie tą łopata, toby nie wystawał, ale przez ten spadek się nie

dało. Toporek by to załatwił najlepiej, a tak trzeba czekać.

– A dobrze pociachałaś?

– Jasne, na drobniutkie kawałki, ale jeszcze zostało. Zmieścić się nie chce!

– No to musimy poczekać. Tak ze dwa tygodnie. A potem pod krzaki i już.

– No ale dziewczucha? Nie da rady. W ciąży jest... Kłopot będzie.

– Gdzie tam. Nie ona pierwsza, nie ostatnia...

„Boże kochany! To o mnie! – pomyślała Dagmara. – Głupia Kusiakowa rozniosła ploty...”.

– No i co teraz będzie?

– A nic. Załatwimy to! Papióra nam trzeba, ale i bez tego jakoś się zrobi. Ze starym też sobie poradzimy, jak tylko wróci. Utopce już nie takie jak kiedyś!

– Oj, nie takie! Ruina...

– Ano, racja! A, najgorsze, że ten spadek jest pod samą chałupą! Kopać będzie trudno!

Dagmara usiadła, wygrzebując się ze śmierdziela, czymkolwiek lub kimkolwiek był.

Starła się okiełznać wyobraźnię w tym względzie. Pomacała dookoła siebie. Złapała ciężkie, dość długie narzędzie. Z pewnością było metalowe. Wstała i zaczęła obmacywać ściany.

„Sufit! – pomyślała. – Skoro wpadłam przez sufit, może i wyjdę tą samą drogą”. Niestety znajdował się zbyt wysoko. Dźgnęła narzędziem, ale nic to nie dało, posypały się tylko grudy ziemi.

– Hm, grobowiec? – zapytała sama siebie i ta myśl wcale jej się nie spodobała. – Chyba jakiś rodzinny, bo strasznie duży...

Zaczęła nasłuchiwać głosów, po chwili przesunęła się w ich kierunku i w ciemności domacała się drzwi z nieheblowanych desek.

Pchnęła. Uzbrojona w metalowy oręż wyszła powoli na zewnątrz. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nadal nic nie widzi. Już zamierzała wpaść w panikę, kiedy zobaczyła gwiazdy.

Lekko oszołomiona smrodem i chłodem nocy oraz faktem, że na jej ubraniu powoli, choć z uporem, zasychały resztki niezidentyfikowanego denata, ruszyła w kierunku lasu.

Maż cuchnęła potwornie i nie dawała o sobie zapomnieć, co chwila więc przystawała targana odruchami wymiotnymi. Zastanawiała się, co bardziej dawało jej się we znaki, smród czy wyobraźnia.

\*

Zniknięcie Dagmary nikogo nie zmartwiło.

– Polazła gdzieś z Filipem – złościła się Kinga, zauważywszy, że jego także gdzieś poniosło.

– Randkę sobie wykombinowali – uspokoiła ją Andżelika.

– Świetny czas sobie wybrali – fuknęła zirytowana pani Stasia. – Wyje, chichocze, trup się ściele, a oni telefonów nie odbierają!

– Przecież jak zajęci są. – Andżelika chichotała, robiąc niedwuznaczne gesty. – Na ksiuty poszli.

– A wypluj te słowa – ucięła pani Stasia. – Jeszcze tego brakowało.

– Przecież ona nawet nie zabrała telefonu – burknął Michał. – Cały czas dzwoni u niej w pokoju! – Chłopak wściekał się i nie mógł sobie znaleźć miejsca, bo zniknięcie dziewczyny dziwnie było mu nie na rękę. Późnym wieczorem zjawił się Filip. Sam.

– A gdzie Dagmara?! – Wszyscy rzucili się na niego jak harpie. – Mów, gdzie ona jest!

Nie wiedział. Dopiero wtedy porządnie się wystraszyli. Przeszukiwanie okolicy z latarkami nic nie dało. Psy to odbiegały od domu, idąc jakimś śladem, to wracały, popiskując, bo nie potrafiły niczego wywęszyć. Wciąż i wciąż ciągnęły ludzi w pobliże sąsiednich zabudowań, ale tam ślad się urywał.

– Ktoś ją porwał – stwierdziła Andżelika z zadowoloną miną. – I wiem kto! Albo

Muchy, albo Walczaki! To ich zagrody. Tylko oni mogli...

– Głupiaś! – sapnęła Kusiakowa, która stawiała się do pomocy wezwana czymś w rodzaju wici, które w Utopcach działały bezbłędnie. Wystarczyło powiedzieć: „Patrzcie no, w ruinach coś się dzieje” i wszyscy jak jeden mąż biegli, by nie uronić ani chwili z podniecającego spektaklu. Tym razem też zjawili się tłumnie.

– Głupiaś – powtórzyła. – Po co im ona? Walczaki ledwie wiązo koniec z końcem, bo stary pijok, a Muchowa tylko się o to swoje pole martwi i o ogródek za domem, co se tam róże posadziła, jakby to dało się je jeść. Chryzantemy to jeszcze, sprzedać można, ale róże? Marnotrawstwo.

Wszyscy przeszukiwali chaszczę, krzaki i co tylko się dało, pokrzykując i kłócąc się, jak to zwykle bywa.

– Żeby tylko nie znaleźli – stękała Kinga.

– Chodzi ci o to, żeby trupa nie znaleźli? Jak mają znaleźć, to i tak znajdą. Przed przeznaczeniem nikt nie ucieknie – odezwała się Andżelika, mroząc wszystkim krew w żyłach.

– O Jezusie Maryjo! – jęknęła Kusiakowa. – A wyplujże te słowa.

– Kiedy przecież mówię, żeby nie! – obruszyła się dziewczyna.

\*

Tłum zafalował.

– Zwłoki znaleźli! – wrzasnęli wszyscy jednym głosem i ruszyli hurmem zadeptać ewentualne ślady.

Zainteresowani na wszelki wypadek wycofali się do kuchni, czekając, aż motłoch się znudzi. Zazwyczaj następuje to szybko. Wystarczy chwilowy brak nowych, fascynujących wiadomości w stylu makabry.

\*

Dagmara dotarła do ruin właściwie po głosach. Nie wiedziała dokładnie, dokąd zmierza, ale uważała, że jak dotrze do zbiorowiska ludzi, z pewnością uzyska pomoc.

Nie natrafiła jednak na żadną większą grupę. Zobaczyła tylko jakąś kobietę, która spojrzawszy na nią, rzuciła się z wrzaskiem do ucieczki. Dagmara goniła ją tylko przez chwilę, chcąc zapytać, jak się dostać do domu, ale baba pędziła tak szybko, że dziewczyna nie zdołała jej dopaść.

W końcu jakoś trafiła, zmęczona i wściekła.

– O cholera! O ja cie... Ratunkuuu! – usłyszała przerażony głos Filipa. – Eee... To...

Eeeeeee.

Szybko oddalający się tupot nóg świadczył o tym, że chłopak chyba się czegoś przestraszył. Po chwili szcęknięto jakieś okno.

– Niech to szlag! – wrzasnął jeszcze raz Filip. – O, ja pieprzę! Moja noga!

Dagmara usłyszała jeszcze kilka przekleństw i jęków. Pomyślała, że coś musiało się stać, i w tym momencie zobaczyła Kusiakową i Andżelikę.

\*

Filip biegł.

\*

– O Jezusie Maryjo! – krzyknęła Kusiakowa, wychodząc z kuchni. – Co tu tak cuchnie?

Na chwilę zapadła cisza. Wroga cisza. Potem nastąpiła eskalacja wrzasku.

– Uuuuutopiec! – wrzasnęła kobieta blada jak ściana i zamachnęła się czymś nad głową.

Dagmara jakimś cudem się uchyliła, ale uderzona w plecy pogiętą chochlą padła na podłogę. Trzymane w ręku narzędzie, które okazało się wielkimi, trochę zardzewiałymi nożycami do cięcia żywopłotu, wypadło jej z ręki i sunąc ślizgiem po podłodze, wbiło się w ścianę koło Kusiakowej.

– Mordujaaaaaa! – krzyknęła ta ostatnia, uskakując. – Luuuudzie!

Przeżegnała się, a potem splunęła.

– Tfu! Narzędzie szatana!

Dagmara patrzyła na wszystkich, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Chciała wstać, ale pośliznęła się na plamie rozmazanego nieboszczyka i znowu padła.

– To ja... – stęknęła, nie rozumiejąc, co się stało. – Pani Kusiakowo, to ja.

– Łutopiły ją, za swoją wzięły! Tera ona będzie mordować – pisnęła kobieta, osuwając się na ziemię. Andżelika wrzasnęła, jakby ktoś obdzierał ją ze skóry. Do jadalni wpadł Michał.

– Co to za masakra?! – krzyknął i jednym susem dopadł leżącej na ziemi dziewczyny. –

Żyjesz?

– Nie wygłupiaj się – pisnęła Andżelika. – To nie Dagmara! To jest zielone i śmierdzi!

Utopiec! Trzeba podłożyć pod nią ogień.

– Spalić utopca! Spalić! – zawtórowała Kusiakowa, usiłując się podnieść.

– Powariowałyście? To ona! – krzyknął, patrząc na kobiety takim wzrokiem, jakby chciał je poprzetrącać. – Jak tylko coś zaczniecie kombinować, to ja pod was ogień podłożę!

– Dopadły ją, no przecie widać – jęczała Kusiakowa. – Łutopiły!

Dagmara usiadła, wywołując popłoch na twarzach zebranych. Pani Stasia lekko pozieleniała i pobiegła do łazienki.

– Dziecko drogie! – powiedziała słabym głosem, kiedy wróciła trochę jakby mniej zielona. – Co to za smród? W czym żeś ty się kąpała? Przecież to cuchnie, jakby się rozkładało!

– A bo ja wiem? Wpadłam w jakieś coś... Chyba w jakiegoś nieboszczyka! Pod ziemią...

– O Jezusie Maryjo! W nieboszczyka?

– No... – przytaknęła dziewczyna. – Było strasznie. O mało się nie utopiłam i słyszałam głosy.

– Znaczy, halucynacje miałaś?

– Nie, to były zwykłe głosy. One gadały o spadku!

– No, no, ciekawie się zaczyna – sapnęła pani Stasia. – Ale ja nie dam rady! Idź ty się

najpierw wykąp, bo...

Nie musiała kończyć. Wszyscy dookoła kiwali pospiesznie głowami, zatykając, czym się da, nosy i usta.

– Ale...

– Nie ma ale! Idź do łazienki! Natychmiast – rozkazał Michał. – Cuchniesz gorzej niż szambo...

– Tylko dobrze włosy umyj – dodała pospiesznie pani Stasia. – Może ci nie wypadną, w końcu nie wiadomo, co to za świństwo!

– Przecież mówię. To nieboszczyk!

– W płynie? Zwariowałaś? Idź do łazienki i zmyj to coś. Jak umarlak, to tym bardziej, bo zaraz się wszyscy pochorujemy.

\*

Filip biegł. Ledwie, ale biegł.

\*

Kusiakowa doszła do siebie zadziwiająco szybko.

– Nie do wody! – wrzasnęła. – Nie dajcie jej iść do wody!

Usiłowała protestować przeciw higienie osobistej Dagmary, ale nikt nie chciał jej słuchać.

– Się rozdwoi! Rozpięciorzy! Rozcapierzy...! – wołała coraz słabszym głosem, pewna katastrofy.

– Pani Kusiakowa, da pani spokój – poprosił Michał zmęczonym głosem. – Nic jej nie będzie.

– Jej nic, ale nam tak! – krzyczała piskliwie kobieta. Zamilkła, nie widząc zrozumienia w oczach pozostałych. – Niedowiarki jedne! Pojrzą nas utopce, to dopiero zobaczycie!

Pani Stasia wyobraziła sobie tę wysoce specyficzną możliwość w dość drastyczny sposób, ale było w tym trochę za dużo krwi i obgryzionych ludzkich członków, bo jej żołądek znów się

zbuntował i z minuty na minutę robiła się coraz bardziej zielona.

Dagmara nieświadoma zagrożenia rozpięciem weszła pod prysznic z zachwytem.

Po chwili jednak wybiegła stamtąd, dopadła ubikacji i długo usiłowała dojść do siebie, zdziwiona faktem, że ma jeszcze czym zwracać.

Smród zaschniętej brei był po prostu pospolitym odorem, natomiast po podgrzaniu gorącą wodą wydawało się, że w kabinie za chwilę nastąpi samozapłon jakiegoś bagiennego gazu, który o mało jej nie zadusił.

Po dłuższej sesji pod prysznicem, początkowo ledwie letnim, potem trochę cieplejszym, wyszła z wody. Była mniej więcej umyta. Weszła do jadalni w szlafroku i obłoczku gryzących perfum, które niestety nie zdążyły się ulotnić.

– No więc – oświadczyła uroczyście. – Wszystko wiem. Chcieli kogoś załatwić łopata.

Kogoś starszego, ale im uciekł, potem chyba go zakopali, bo wystawał, i chcieli ofiarę rozczłonkować toporkiem, ale coś poszło nie tak i musieli ją pociachać na kawałki, ale jeszcze im zostało. Po mojemu to oni te trupy w takiej kadzi trzymają i one się rozpuszczają. No i ja tam pływałam.

Pani Stasia znów za bardzo uruchomiła wyobraźnię.

– W truuu... w truuupach płyyy... płyyyyywałaś? – zagadnęła słabym głosem.

Dagmara zbladła. Chciała coś powiedzieć, ale nie dali jej dojść do słowa.

– Łopata? Zamordowali? Uciekł? Zakopali, bo wystawał? Chcieli toporkiem, ale musieli pociachać na kawałki i jeszcze im zostało? Jakies jagody jadłaś w tym lesie? Może takie czarne? – zapytała Kinga z niepokojem.

– No co ty? – Dagmara obruszyła się oburzona. – Nic nie jadłam, a nawet gdybym, to i tak niewiele by z tego zostało. Słyszałam głosy!

– Oho! Zaczyna się. – Kinga była coraz bardziej zaniepokojona. – Halucynacje! Teraz będą napady szału, światłowstręt... Mogła się nazreć wilczej jagody!



– Nieprawda. Opowiadali o morderstwie, potem o spadku! Mówili też tak jakoś, że za dwa tygodnie zakopią go pod krzakiem. A potem mnie, ale nie da rady, bo jestem w ciąży!

– O Boże jedyny. – Pani Stasia nie mogła z siebie wykrztusić nic innego. – O Boże jedyny!

– No! I wspominali, że już tam kogoś pogrzebali, jakąś dziewczynę albo nawet kilka, i jeszcze potem też zakopią. Mówili, że nie będę pierwsza.

– Dużo tu u was ostatnio morderstw było? – zapytał Michał zamyślony. – Zaginięć?

– Nic nie słyszałam, ale przecież mogło być, po cichu – odpowiedziała z zadowoleniem Kusiakowa. – Bo takie rzeczy to się po cichu załatwia, nie?

– No i mówili, że spadek jest i trzeba kopać w ruinach, i że upióra im trzeba. No to chyba upiora po tutejszemu, czy ja wiem? Może do kopania?

– Upiór? – Kusiakowa aż podskoczyła. – Ło Jezusie Maryjo!

– Zaraz, zaraz – jęknęła pani Stasia, jakby dopiero teraz coś do niej dotarło. – W ciąży?!

Czy ty, dziewucho, rozumu za grosz nie masz?! Z tym dupkiem? No to wszystko przepadło...

– Nie jestem w ciąży z żadnym dupkiem! – odparła hardo dziewczyna.

– Jasne! Tylko z Filipem? Jak zwał, tak zwał.

– Z nim też nie. A właściwie to gdzie on jest? – zapytała Daga, rozglądając się dookoła.

Chłopaka nie było i jakimś cudem dopiero teraz wszyscy zdali sobie z tego sprawę.

\*

Filip biegł nadal i nadal się bał. Potwornie. Nigdy nie był specjalnie odważny, ale też wcześniej nie spotkał czegoś tak paskudnego, śmierdzącego i nadprzyrodzonego... Nie to, że wierzył w utopce, przecież nikt o zdrowych zmysłach nie uwierzyłby w coś takiego, ale wiara to wiara, a wiedza to wiedza...

To coś tam było! Stało, wyło i śmierdziało, i na pewno, na sto tysięcy procent, miało wrogie zamiary. W rękę, o ile była to ręką, dzierżyło wielkie nożyce, ale wołał sobie nie

wyobrazić, co mogłoby mu nimi obciąć, gdyby go dopadło.

Biegł przez pola i chaszczę, przeskakiwał przez rowy, choć bolała go nadwyrężona noga, szukał miejsca, gdzie mógłby się schować i przeczekać, oraz obiecywał sobie solennie, że nigdy, przenigdy nie wróci do ruin... Żeby nie wiem co.

Dotarł do jakiegoś budynku. Dopadł drzwi. Zapachniało sianem. Znalazł też jakieś koce.

Postanowił, że to będzie dobre miejsce.

\*

Sen tej nocy był krótki, bo i noc niestety nie trwała długo. Dagmarze śniły się trupy w ilościach hurtowych i pewnie rzucałyby się w łóżku, gdyby nie to, że spała na podłodze w pokoju pani Stasi, co chwila budząc krzykiem pozostałe dwie lokatorki podłogi i umęczoną ostatnimi wydarzeniami starszą panią.

– Są wyniki próbek – zawiadomił ich policjant, zjawiwszy się około dziesiątej. – Wasz utopiec taplał się w pokrzywach.

– Oj, to musiało boleć – stwierdziła współczująco Kinga. – Ale dlaczego taplał?

– Bo były płynne...

– Pokrzywy w płynie? Czego to ludzie teraz nie wymyślą.

– Przecież utopce to nie ludzie! To... no... takie jakby demony? Nie?

– Przestańcie. Demony czy nie, to coś taplało się w gnojówce. Z pokrzywy!

– O! – Kusiakowa popatrzyła na policjanta z niedowierzaniem. – A skąd utopce wzięły takie cudo?

– Znikąd! Ktoś wylał tu trochę tego pokrzywowego świństwa i już! Chciał wam ogródek użyźnić...

– To by się trzymało kupy, ale najbardziej to chyba użyźnił nam korytarz! I Dagmarę!

– Co wy znowu z tą ciążą? Czy wy się ode mnie w życiu nie odczepicie?

– Kiedy nie chodzi o ciążę. Chodzi o to świństwo. To mogło być to samo. I zielone,

i śmierdzi!

– A, to fakt – stwierdził policjant, pociągając nosem. – Cuchnie tu, jakby się jakiś trup wam rozkładał.

– Niech pan natychmiast przestanie! – krzyknęła histerycznie Dagmara. – Mam dość zwłok.

– Wcale się pani nie dziwię. Dwa nieboszczyki to naprawdę paskudna sprawa.

– Dwa?! Pan oszalał! Tam musiało być ich więcej, o wiele więcej... Jakiś taki podziemny zbiornik na zwłoki w płynie.

Policjant uważniej przyjrzał się dziewczynie. Nie wyglądała najlepiej, ale też nic nie świadczyło o tym, że coś z nią nie tak. Nie przewracała oczami, nie miała piany na ustach i nie trzymała w ręku siekiery, choć wbite w ścianę nożyce do żywopłotu nie świadczyły najlepiej o mieszkańcach ruin.

– Zwłoki w płynie? – zapytał dla lepszego zrozumienia. – To znaczy w wodzie, tak?

Ciała w czymś pływały?

– Wręcz przeciwnie, to ja pływałam w nich!

Twarz pani Stasi znów zrobiła się nieprzyjemnie zielona.

– Czy pani się czymś aby nie zatrzymała? – zapytał funkcjonariusz, patrząc na kobietę

z niepokojem. – Kusiakowa? Znów gotowaliście grzyby?

– A gdzież tam! Głupia nie jestem. A tamte trujące nie były.

– W niektórych próbkach znaleźliśmy całkiem pokaźną ilość pewnego trującego alkaloidu – powiedział aspirant z zadowoleniem.

– Znaczy, że co, pijaka żem ugotowała? A skąd niby miałam go wziąć, alkoidy to se pod sklepem stojom, a nie tu.

– Alkaloid to taka... Takie... Taki... – zająknął się. – Takie trujące coś z grzyba!

Muchomorów żeście dodali!

– Nieprawda!

– To skąd się tam wzięły? – westchnął policjant niezadowolony. Wiedział, że Kusiakowa normalna nie jest, zresztą nigdy nie była, ale przecież nie przejawiała morderczych skłonności. Owszem, potrafiła obić Walczaka, ale jego każdy był w stanie obić, szczególnie kiedy gość sobie popił, potrafiła przetrącić cepem męża Muchowej, jak za bardzo podskakiwał, ale miała też swój specyficzny kodeks honorowy. Biła tylko chłopów. Kobiet praktycznie nie ruszała, jeśli nie liczyć wyrwanych włosów i podbitych oczu, ale wyłącznie pod kościołem, kiedy dochodziło do jakichś babskich, światopoglądowych pyskówek. Nie wyobrażał sobie Kusiakowej, która z rozmysłem dodaje trucizny do jedzenia, nie, to nie w jej stylu. Owszem, mogła walnąć kogoś patelnią czy przetrącić chochlą, ale tylko kiedy się zdenerwowała. Inna sprawa, że denerwowała się często.

– A wracając do tych zwłok... – zaczął, ale nie dokończył.

– Bo Dagmara to wpadła gdzieś i podsłuchiwała, że tam baby w ciąży zabijają toporkiem, a potem pod krzakiem zakopują – rzeczowo wyjaśniła Andżelika, budząc niemały popłoch wśród zebranych. – I faceta jeszcze jakiegoś zabili, bo zakopał spadek w ruinach, ale im uciekł.

– To znaczy, że ten spadek żywy był, jak go zakopywali?

– Spadek to nie wiem, ale facet tak.

– Żywcem go pogrzebali?

– Niby to go łopata zabili, ale jakoś im uciekł. I wystawał im. Z dziury.

– Pani Andżeliko! – Policjant popatrzył na dziewczynę ze zgrozą. – Gdzie to się stało?

– Skąd mam wiedzieć? Tutaj pełno dziur, ale nie widziałam, żeby ktoś wystawał.

– Pytam, gdzie doszło do tej masakry.

– A, to gdzieś tam. – Dagmara wskazała ręką dość szeroki, ale mało konkretny teren. – Za lasem, poszłam i wpadłam. No i Filip uciekł.

– No właśnie, chciałem o niego zapytać. Uciekł? To by mniej więcej się zgadzało...

– Że niby co?

– Nic, tylko w tej chwili ten pan jest naszym głównym podejrzanym. O oba morderstwa. – Aspirant podszedł do okna i przez chwilę wpatrywał się w jakąś nieokreśloną bliżej dal. – W obu przypadkach znajdował się na miejscu zbrodni i to jako pierwszy. Bardzo nieudolnie się tłumaczył. Był zakrwawiony. Zeznawał bez ładu i składu.

– A motyw?!

– No cóż, tu mamy kłopot. Państwo go znacie, prawda?

Odpowiedź powinna była być twierdząca, ale tak naprawdę nikt nie chciał jej udzielić.

– Jasne. To dupek – stwierdził Michał, patrząc beczelnie na Dagmarę.

– Duppek? To mało powiedziane! – z satysfakcją dodała pani Stasia. – Co niestety nie świadczy o tym, że mógł mordować, choć bardzo bym chciała.

– Dlaczego tak o nim mówicie? – Dagmara czuła się w obowiązku stanąć po stronie chłopaka. – Nie jest taki zły. No dobrze, ale nie jest mordercą.

– Nic o nim nie wiesz – warknął Michał. – A ja tak! To kretyn!

– To jeszcze niekaralne.

– A oszustwo?

– O jakim oszustwie pan mówi? – zaniepokoił się policjant.

## **Rozdział VII**

Filip przebudził się po raz kolejny. Tym razem trochę bardziej. Przez chwilę nie mógł się zorientować, gdzie jest i dlaczego swędzi go dosłownie wszystko: ręce, nogi, oczy, a właściwie cała głowa.

Na rękach miał wielkie czerwone bąble. O to samo podejrzewał nogi, ale nie chciało mu się zdejmować spodni, żeby sprawdzić.

Było mu ciepło, ale bardzo niewygodnie, coś twardego uwierało go w bok. Otworzył oczy. Zobaczył krowę.

– Won mi stąd! – wrzasnął i wstał, usiłując odepchnąć wielkie zwierzę. Zwierzę nie miało ochoty się ruszyć. Majtnęło ogonem. Odwróciło się i spojrzało na Filipa niechętnym wzrokiem. Miało rogi.

Chłopak zmartwiał.

\*

– O jakim oszustwie pan mówi? – spytał ponownie policjant. Michał się zmieszał. Już miał coś odpowiedzieć, niekoniecznie to, co chciałby usłyszeć funkcjonariusz, kiedy za oknem dał się słyszeć straszny wrzask.

– Panie jaspirancie! Panie jaspirancie! O Jezusicku, ratunku! – krzyczała jakaś kobieta, biegnąc w kierunku ruin przez chaszczę pomiędzy drzewami. Była chuda, przerażona i w nieokreślonym wieku. Nikt nie nazwałby jej starą, ale wiekową jak najbardziej. Cienkie siwe włosy powiewały na wietrze, wystając spod czerwonej chustki zawiązanej pod brodą, co nadawało nieznamomej wygląd Czerwonego Kapturka z horroru. Reszta stroju bardziej pasowała do okoliczności. Kobięcina miała wielkie, czarne męskie kalosze, kraciastą spódnicę, rozwleczony podarty sweter i fartuch tak brudny, że spod plam dało się dostrzec jedynie to, że kiedyś musiał być w kropki.

– Panie jaspirancie! – darła się wniebogłosy. – Jestże pan tamuj? Tyfus! Tyfus mi krowę atakuje!

Dziewczyny podbiegły do okna zaciekawione.

– Adamkowa – stwierdziła Dagmara. – Ona! Ta sama, co przed Mućkiem uciekała.

– No! Identyczna – potwierdziła Kinga z przekonaniem.

– Jezusie Maryjo! – wrzasnęła histerycznie Kusiakowa. – O Boże jedyny!

Dopadła okna, roztrąciła dziewczyny bardziej biustem niż rękoma i zamarła. Po chwili odwróciła się od okna z miną mordercy.

– A żeby wam język kołkiem stanął! – sapnęła wściekle. – To nie Adamkowa! To

mamunia! Moja własna! Nie pozwolę jej obrażać.

Fakt, właściwie naturalny, że Kusiakowa była czyjąś córką, można by zaakceptować z pewną dozą niedowierzania, ale to, że jej matka to ta chuda kobiecina z rozwianym włosom, wydawało się wręcz nie do pojęcia.

Kobieta nadal biegła dziwacznymi susami.

– Panie jaspirancie, tyfus!

Wpadła w drzwi zdyszana.

– Co się stało?

– Ano idę sobie rano do studni, bo ta kranowa woda niedobra, i słyszę straszne rzeczy, krowa muczy jak wściekła, tłucze się, rzuca, to żem do drzwi podeszła, a tam łup, łup, łup... Normalnie strasznie. Jak żem drzwi otworzyła, to widzę, krowa szaleje i tyfus szaleje, taki nieduży, plamisty...

– Idźcie do Jaśka! – krzyknął do niej policjant.

– A co on poradzi na tyfusa?

Funkcjonariusz westchnął.

– On weterynarz, na krowach się zna – wytłumaczył. – Popatrzy, co i jak...

– Kiedy krowa uciekła.

– No to trzeba ją złapać! Ja mam was uczyć takich rzeczy?! Kusiakowa, idźcie, pomóżcie matce krowę złapać, a Jasiek zajmie się tym... tyfusem – powiedział, niezbyt dowierzając diagnozie kobiety.

– To niech drabinę weźnie, bo ja nie mam, a tyfus na belce wisi, wysoooooo, że strach.

– Ale co to w ogóle jest? Kot?

– A gdzie tam! Normalnie to nie wiem, jakby do ludzi podobny, ale jakby nie, bo taki plamisty, przecież mówię.

– Do ludzi podobny?

– No tak trochę jakby... Głowę ma i chyba nogi...

– Mamuniu, co żeście tatuniowi zrobili? – Kusiakowa popatrzyła na rodzicielkę z niekłamanym przestraczem. – Znowu żeście go bili? Wypić chłopu nie dacie, a potem się dziwić, że nerwowy.

– Kiedy nie! Tatunio od wczoraj nie wytrzeźwiał, pod jabłonką śpi, jeszcze go nie prała! A tamto na belce to jakieś obce... I wrzeszczy strasznie.

– Dobra, Kusiakowa, wy gońcie za krową, ja pójdę z panią tyfusa oglądać – oświadczył policjant. Jego słowa spotkały się z wrogością i dezaprobatą wszystkich, włącznie z Kusiakową. Każdy chciał obejrzeć to dziwo. Funkcjonariusz skapitulował.

Kiedy dotarli do stodoły, tyfus jeszcze wisiał. Ledwo, ledwo, ale jednak. Przeżywał katusze. Trudno wisieć i jednocześnie się drapać, ale drapanie się i spadanie, choć znacznie bardziej wykonalne, mogło być bardzo bolesne, więc wisiał.

– Filipku, co ty tam robisz, do jasnej cholery? – Dagmara zadała to pytanie, ledwie powstrzymując się od wrzasku. – Złaż natychmiast! I dlaczego tak dziwnie wyglądasz?

– A czego się spodziewasz? Najpierw jakiś utopiec, potem coś mnie pożarło, a na dodatek ta krowa... – Wskazał głową w kierunku drzwi.

– No, tylko mi mamuni od bydląt nie wyzywaj! – wrzasnęła Kusiakowa przekonana, że to właśnie o nią chodzi. – Złaż!

– Kiedy nie wiem jak – jęknął Filip płaczkliwie i poprawił się trochę na belce. Teraz na wpół leżał, ponieważ w panicznej ucieczce przed krową wspiał się na stos siana i złapał belki. Wydawało mu się, że to całkiem dobre i bezpieczne miejsce, ale siano się osunęło i został na belce jak w pułapce.

– A po coś ty tam wlaź? – zaciekała się Andżelika.

– Po co, po co! Musiałem! Ta krowa tak strasznie patrzyła, jakby się wściekła. Oczami tak świdrowała. Zdejmijcie mnie!



– Spokojnie, Jasiek z drabiną już idzie, ale żeby tak z powodu krówki? – Kusiakowa nie mogła zrozumieć.

– Przecież to jakaś szalona bestia! – Filip zawodził coraz ciszej i słabiej. – Ona chciała mnie zabić! Jestem pewien...

– Szalona bestia, mówisz? – Właścicielka stodoły trochę się speszyła. – Kiedy to łagodna jałówka... Samam widziała, okularów nie zabrałam, alem widziała. Mała, taka z brązowymi łatami...

– Nie miała żadnych brązowych łat i była wielka jak cała ta stodoła – jęknął.

– Co ty powiesz... Hm... Na pewno?

Kobieta wybiegła na zewnątrz.

– O Jezusie Maryjo! – krzyknęła wielkim głosem, a potem wróciła jakby zmieszana.

– No, znaczy się, jałówka jest. Nie uciekła. Stoi w sadzie przypięta.

– To co to było?

– A, bo wiesz... – Kobieta wydawała się wyraźnie speszona. – No, jak ojciec sobie tak porządnie popije, to mu figle w głowie.

– Mamuniu! Nie przy ludziach! Tu dzieci są! – wrzasnęła Kusiakowa oburzona, ale jej matka tylko machnęła ręką.

– Nie takie. Takie zwykłe! Znowu ukradł Mućka Walczakowej...

Akcja ratunkowa zakończyła się pomyślnie, choć Filip tak kurczowo trzymał się belki, że musieli go siłą od niej odrywać.

Jasiek fachowym okiem weterynarza obejrzał obrażenia chłopaka i cmoknął z zainteresowaniem.

– Pluskwy – zawyrokował. – Nie trzeba było kocykiem się nakrywać. Teraz dwa tygodnie swędzących bąbli i lepiej spał ciuchy!

– No właśnie, bo jeszcze nam pan areszt zapluskwi – dodał milczący dotąd aspirant,

który z zaciekawieniem wszystko obserwował.

– Co takiego? Przecież nie może mnie pan aresztować! – krzyknął Filip, rzucając się do góry skazanej na niepowodzenie ucieczki. Po kilku krokach zrezygnował, usiadł na pieńku i jęknął.

– Mam dosyć. Pieprzę to! Ja myślałem, Dagmara, że jesteś inteligentną, miłą osobą, a nie takim koszmarem. Miały być wakacje nad morzem, a nie trupy w ruinach! Małżeństwo, a nie szalone krowy! Jakieś rozsądne życie, a nie ci wszyscy popieprzeńcy...

– Uważaj na słowa – mruknął Michał. – Kogo nazywasz popieprzeńcem? No?

– A was wszystkich! Harcerzyki cholerne! Nie jesteście normalni! Zagadki, podchody, diabły... Utopce i te trupy... – wymieniał bez końca.

Policjant patrzył na całą scenę z pobłażliwym niedowierzaniem. Turyści zawsze go zadziwiali. Kusiakowa i jej rodzina stanowiły odrębną gałąź lokalnego folkloru i też już go specjalnie nie dziwiły, w końcu każdy ma jakiegoś fioła i wszystko dobrze, o ile pozostaje on mniej więcej prywatny, ale morderstwa to inna sprawa, a przecież któreś z nich zabiło, tego był pewien.

Różowa istotka bez mózgu? Mogła to zrobić nieświadomie. Piękna Kinga? Nawet z przyjemnością. Filip ze strachu, a pani Stasia? Pani Stasia stanowiła zagadkę, ale też zdołałaby zabić. Dagmara? Wszystko jakoś kręciło się wokół niej, więc mogła być morderczynią, ba, nawet mózgiem operacji, ale dowodów wciąż nie udało się znaleźć. A Michał? No cóż, darzył chłopaka sympatią, ale zbrodniarzy przecież czasami da się lubić.

Nagle sobie coś przypomniał.

Generał! Może o to chodziło?

\*

Wrócili do ruin tak, jak wyszli, czyli bez Filipa. Aspirant zabrał go ze stodoły prosto na posterunek. Nikt jednak nie wierzył, że mordercą mógłby być właśnie on.

– Trzeba go stamtąd wyciągnąć – powiedziała Dagmara dla przyzwoitości.

– Po jaką cholere? Nic mu nie będzie! – odparła twardym głosem pani Stasia.

Kusiakowa przytaknęła jej skwapliwie.

– Człowieka z niego zrobią – burknęła. – Więzienie jest dla ludzi!

– Ale nie dla Filipa, na litość boską! On się załamie. Tam na pewno nikt nie sprząta i jeszcze ci wszyscy przestępcy... I w ogóle.

– A gdzie tam, jacy przestępcy? – Kusiakowa wzruszyła ramionami. – Teraz na stanie mają tylko Łokietka, Fudasiową i Mietka kobity szwagra zięcia.

– No to sporo. A za co ich przymknęli?

– Łokietek co tydzień wywala łokciem szybę w sklepie i usiłuje kraść, ale mu się nie udaje, a Fudasiowa to normalnie.

– prostytutka?

– A gdzież tam! Porządna kobita. Męczennica za wiarę! – dodała Kusiakowa takim tonem, że aż wszyscy przystanęli.

– I za wiarę ją zamknęli?

– Nie, za pobicie! – wyjaśniła z dumą Kusiakowa.

– To czego mówicie, że to męczennica za wiarę?

– Bo jak jej córka na wiarę z chłopem chciała żyć, to ona się troszku zdenerwowała i tego chłopca przetrąciła, ale że latorośl wyrodną ma, to ją zamknęli. Chłop, jak to chłop, chwalić się nie będzie, że go baba sprąła, więc gdyby córka na nią nie doniosła, toby było w porządku, a tak posiedzi babina jeszcze, oj, posiedzi.

– A ten Mietek?

– Przecie mówię, że to jego kobity szwagra zięć. Adamek się nazywa. Za niewinność siedzi.

Szli przez wieś, obserwowani przez ludzi zza płotów. Pomiedzy krzewami dostrzegli też

sąsiadów, braci Malechów, którzy chyba się o coś kłócili. Rudy Piotrek, gestykulując, raz po raz wskazywał ruiny, drugi wyraźnie się z nim nie zgadzał.

\*

Przyszli do domu i usiedli zmęczeni w kuchni przy zdezelowanym radiu. Leciąca muzyka poważna. Michał bezskutecznie próbował znaleźć inną stację.

*Dlatego też... śśśzzz ostatnie gzzzzzzzzz o trupach aaaooooiiiiuuu dla dzieci i młodzieży... W podziemiach zamku Czocha bzzzzzłłł...*

– Właśnie! Podziemia! – Michał przestał kręcić przedpotopową gałką.

– Nie podziemia, ale piwnica – poprawiła pani Stasia. – Ten policjant mówił, że znaleźli tam przejście do składziku. Idziemy!

Nie zdążyli. Poprzez jazgot psów usłyszeli walenie do drzwi.

Mężczyzna, który za nimi stał, miał minę zbitego szczeniaka, kontrastującą z jego posturą.

– O! Kark! – zawołała Andżelika. – Wchodź, nie stój tak w drzwiach.

– Kiedy ja przyszedłem ze sprawą – powiedział chłopak. – No bo niby...

– A on czego tu chce? – warknęła zwabiona odgłosami Kusiakowa, stając naprzeciw przybysza. Przy niej wyglądał na nieco mniejszego.

– No bo niby, ja... tego... – dukał z bardzo niepewną miną. – Że niby Piotrek mnie przysłał, bo...

– Gadaj wreszcie. – Michał wprowadził go do jadalni. – No? O co chodzi?

– Bo brat kazał powiedzieć, że on się tego... No, że się nie tego...

– Na litość boską? Co tego? Co nie tego? – jęknęła Dagmara.

– No, się żenił nie będzie! – wybuchnął przybysz.

Wszyscy popatrzyli dookoła siebie, nie bardzo rozumiejąc całą sytuację, tylko Kusiakowa przezornie uciekła do kuchni.

– To niech się nie żeni. – Kinga wzruszyła ramionami. – A co nas to obchodzi?

– O, to dobrze. – Chłopak wyraźnie się ucieszył. – Bo ociec go sprął, a to niby, że to jego, a on, że nie, a ociec, że cała wieś, no i teraz to ociec po księdza posłał, a Piotrek chce z domu uciekać.

– Ojciec go sprął i posłał po księdza, to znaczy co? On się księdza boi?

– Kiedy nie! Ojca się boi, ale żenić się nie chce.

– Przecież nie musi?

Wszyscy patrzyli na chłopaka. Był blady jak ściana.

– Ano wychodzi na to, że tak, bo dziewczucha w ciąży.

– A, to co innego – odparła Dagmara. – W takim wypadku może i powinien. Różnie to bywa.

– No to jak? No bo on nie chce się żenić, a ty?

– Ja? A co ja? Co ja tutaj mam do rzeczy? – Dagmara patrzyła na chłopaka jak na zjawę.

– No bo mówią, że w ciąży z Piotrkim jesteś!

Dagmara zamarła.

– Pani Kusiakowa! – wrzasnęła w kierunku kuchni, ale winowajczyni całego zamieszania przezornie się nie odezwała. – Zabiję babę! Zabiję! Plot narobiła... Nie jestem w ciąży!

– Kiedy cała wieś...

– A co mnie to obchodzi? Nie jestem, rozumiesz?

Chłopak bardzo chciał w to wierzyć, ale wolałby usłyszeć to zapewnienie z jakiegoś bardziej wiarygodnego źródła. Ot, choćby od Kusiakowej.

– Tego, no – wydukał znów niepewnie. – Ale ty, no... Jesteś pewna?

Dagmara miała ochotę czymś go zdzielić albo porządnie nim potrząsnąć, ale było to

zwyczajnie niewykonalne.

– Na sto procent. Mówisz, że ojciec go sprął?

– Noooo! Na kwaśne jabłko.

– To przez Kusiakową!

– Ale ona w ciąży nie jest? – Chłopak niewiele wiedział na te ogólnie mało męskie tematy, a akademii, którą zaczął pod sklepem, nie ukończył, ponieważ zajął się kulturystyką.

– Nikt nie jest w ciąży! – krzyknęła Andżelika. – Nikt! Sama widziałam, zła krew z niej uchodzi!

Dagmara popatrzyła na Andżelikę jak na zjawę.

– O czym ty mówisz? Co to za zła krew, co z Kusiakowej uchodzi?

– Nie z niej, ale z ciebie!

– A, no to okej – ucieszył się chłopak i z radości zanucił pod nosem na melodię bardzo znanej francuskiej piosenki: – O, w szambo wliżę, tralalalalala, ooo ooo, w szambo wliżę...

– A to co? – zdziwił się Michał.

– A co, nie znasz? Trochę pedalskie, ale może być, nie? A co to za cholerne pitulitu! – jęknął, wskazując radiodbiornik. – Uszy mi zaraz odpadną!

– To Mozart – odparował Michał, ale chłopak tylko się na niego obraził.

– Niemożliwe! Mocarty tak nie grają! Byłem na nich w Lublinie! Oni tak bardziej skoczno, a to to jakaś masakra. Ale z tą ciążą, no wiesz... Na domkach w Zwierzyńcu razem byliśmy, piwek kilka się obaliło, a od tego różnie się robi... Dziewuchy zachodzą!

– Od piwa?

– No w ogóle, od wódki też!

Dagmara przyjrzała się chłopakowi z niedowierzaniem. Na oko nie był już nastolatkiem, więc powinien wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– No bo wiesz, w sumie jak od wódki, to Filip też pił, nie? – zażartowała, sama nie

wiedząc dlaczego.

– A ty sobie mózg wymyj wodą z tym, no... – Chłopak zerwał się z krzesła. –

Z mydłem! Tfu! I gębę wyparz... Piotrek nie z takich! Z chłopami nie sypia! I... I... – Kark podszedł do drzwi oburzony.

– Jakby ojciec pytał, to mu takich nie mów, bo jeszcze bardziej Piotrka spierze...

Ojciec zjawił się chwilę później. To znaczy przyszli wszyscy: wyraźnie poobijany rudy Piotrek, bardzo zaniepokojony proboszcz i nieduży siwy mężczyzna z papierosem w zębach, w kufajce i uwalanych gnojem gumiakach.

Pod pachą miał butelkę wódki, w ręku pęto kiełbasy.

Weszli, nic nie mówiąc, i od razu skierowali się do jadalni.

– Zawołajcie no tu Kusiakową – rozkazał ojciec zachrypniętym głosem. – Niech kieliszki da, a ty mi synowe przedstaw!

– Tatuniu, ona nie w ciąży! – zawołał Kark. – Nie ma musu ślubu brać!

Ojciec popatrzył na wszystkich zawiedzionym wzrokiem.

– To nawet i dobrze – stwierdził wreszcie, stawiając butelkę na jednym ze stolików. –

Będzie bardziej po bożemu. Kusiakowa! Gdzie te kieliszki? Napić się chcemy!

– Chcemy? – mruknął Michał, nie wiedząc, co powiedzieć. – Kusiakowa gdzieś chyba polazła. Kieliszków też nie mamy, my tu wódki nie pijemy.

– Skocz no, Marek, do chałupy, przynieś te małe z kredensu w kuchni i powiedz matce, żeby dała słoik kompotu, na popitkę będzie.

Kark posłusznie pobiegł do domu. Na dworze zaczynało się robić ciemno. Pierwsze krople deszczu spadały na ziemię. Grzmiało.

Piotrek, ocierając krwawiący nos, usiadł między ojcem a proboszczem z bardzo niewyraźną miną.

– Synowa – zwrócił się stary do Dagmary. – I ty się napij. Trzeba oblać... Zaciążyła ty

czy nie, ślub trzeba zrobić, żeby kurewstwa nie było, skoro się tak macie ku sobie.

– Nie mamy! – jęknął Piotrek. – Mówiłem ci, że jej nie znam!

– To poznasz!

Marek wrócił z kieliszkami, cały mokry od deszczu.

– Starsza pani siada. – Ojciec wskazał krzesło naprzeciw siebie. – Wypijem po jednemu, ale nie na stojąco!

– Nie będę piła.

– No dobra, dobra, jak baba nie chce, to nie, ksiądz wypije. Ślub musowo oblać.

– Kiedy nie będzie żadnego ślubu! Czy wyście wszyscy powariowali?! – Dagmara wpadła w panikę. – Wykluczone. Najpierw Filip, teraz ten, co, do cholery? Zero ślubów! Rozumiecie! Zero!

Mężczyzna pokręcił głową z niezadowoleniem. Cmoknął. Błysnęło. Gruchnął grzmot.

Niedoszły teść przeżegnał się pospiesznie.

– Kiedy we wsi gadają, że tobie to mus za mąż iść i żeś zasobna...

– Niech sobie mówią, co chcą – warknęła Dagmara, po chwili jednak wpadła na coś, co wydało jej się genialnym pomysłem. – Kusiakowa! Gdzie jest ta baba z piekła rodem?

Całej Kusiakowej nigdzie nie dostrzegli, za to jej potężna tylna część ze słupowatymi nogami, które leżały i z braku innych określeń wierzgały nieporadnie obok duchówki, była bardzo dobrze widoczna.

– Co tam robicie, Kusiakowo? – jęknęła pani Stasia, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Kusiakowa, co prawda, coś mówiła, ale słabo ją słyszeli.

– Chyba chciała popełnić samobójstwo – uznała Andżelika. – Głowa do piecyka, gaz i już!

– Przecież to piec węglowy. I co ona tam robi? Udaje pieczeń? Trzeba ją wyciągnąć, tylko jak?



– Za nogi? – bardziej spytała, niż stwierdziła Andżelika, bo nikt nie miał ochoty

dotykać kończyn poszkodowanej. – Żeby choć była w spodniach... Może ksiądz?

Wszyscy wyobrazili sobie proboszcza ciągnącego Kusiakową za nogi i zgodnie doszli do wniosku, że sam nie da rady. Wymyślili więc współczesną bajkę o dziadku i rzepce, w której Kusiakowa odgrywała rolę tej ostatniej.

Kolejność była dość przypadkowa – za nogi złapał Kark, Karka jego ojciec, ojca Piotrek, Piotrka Michał, a Michała ksiądz.

*Tak się zawzięli,*

*Tak się nadęli,*

*Że nagle babę*

*Trrrach!! – wyciągnęli!*

Niestety razem z piecem. Coś huknęło, zgrzytnęło, posypał się gruz. Kłębowisko ciał, cegieł, rąk i nóg, zwieńczone wierzgającą Kusiakową, nie wyglądało najlepiej.

Kusiakowa się rozkasłała, zakrztusiła, rzuciła kilka niecenzuralnych słów i wstała, po niej podniosła się cała reszta, wszyscy brudni od sadzy i kurzu oraz nieco poobijani.

– Co pani, do cholery, tam robiła? – zapytała Dagmara ledwie żywą gosposię, nadal usiłującą uwolnić się z żeliwnego obramowania drzwiczek, które pękło w czasie upadku. – I jak się pani tam zmieściła?

– Umyć chciałam – odparła kobieta, odwracając oczy, jakby mycie wnętrza duchówki należało do czynności wstydliwych.

– Kłamiecie, Kusiakowo – odparł ojciec Piotrka, patrząc na nią ze skrzywioną miną i sprawnie przerzucając zgasły niedopałek papierosa z jednego kącika ust w drugi. – Oj, kłamiecie. Spadku żeście szukali!

– Zamknijcie się, Malecha! – wrzasnęła Kusiakowa. – Nikt was o zdanie nie pyta.

– Jakiego spadku?

– Każdy wie, o co chodzi, tylko wy nie? Największa plotkara we wsi? A możeście już go znaleźli?

– O czym wy mówicie, Malecha? – zapytał proboszcz, otrzepując obsypaną popiołem i kurzem sutannę.

Wtedy nagle do wszystkich dotarła prawda.

– Dziura! – krzyknęli jednym głosem, patrząc na podłogę w miejscu, z którego wyrwali piec. – Dziura!

Podeszli bliżej. Poczuli zapach stęchlizny, wilgoci i czegoś jeszcze... Nie potrafili określić co to, ale to nie była specjalnie przyjemna woń – jakby kwaśna, stęchła, za to mocno roślinna.

Dość duża dziura prowadziła trochę w dół, a potem lekko w bok. Nikt nie miał ochoty dokładnie jej się przyglądać wobec wrzasków poobijanej Kusiakowej i bałaganu w kuchni.

Sam pomysł sprzątnięcia szybko przerzedził towarzystwo. Zostali tylko mieszkańcy.

Malecha, wyraźnie niepokojony, zebrał kieliszki, butelkę, kiełbasę i słoik.

– Ta wieś jest jakaś dziwna – oceniła zmęczonym głosem Dagmara. – Nie uważacie?

Co tu się dzieje? I niech pani wreszcie powie, czego pani szukała w tym cholernym piecu?

– Myłam go – odparła Kusiakowa wyraźnie obrażona.

– Znów pani coś kombinuje! Przecież ten piec stał nieużywany! Po co było go myć?

Kobieta jako tako pozbierała gruz z podłogi i usiadła przy stole.

– A może ktoś panią chciał jak czarownicę wepchnąć tam i upiec? – Andżelika zachichotała.

– Zajrzałam i utknęłam. – Przez chwilę patrzyła na nich złowrogo, potem zebrała się w sobie i ryknęła: – Burza! Pierunów się bałam! Chciałam się schować...

– Cała? Z głową, rękami i resztą? – Dagmara spojrzała na nią z niesmakiem. – A teraz co? Kolejna dziura do kolekcji...

– I to duża – mruknął Michał. – Aż echo słychać. Może tu jakieś lochy są albo co?

Oboje wyszli przed dom dokładniej przyjrzeć się jego bryle od strony kuchni. Niczego nie zobaczyli. Może gdyby któreś z nich było architektem, ten czy inny załom muru, jakiś gzyms albo fragment elewacji coś by im powiedział, ba, nawet wykrzyczał, ale nic takiego się nie stało.

Patrzyli na zrujnowany budynek i nie wiedzieli, czy powinien mieć lochy, czy też nie, czy piwnica to to samo co loch i czy dziura w ścianie, ta konkretna, dzisiejsza, coś zmienia, bo w zasadzie otworów było w tym budynku więcej niż okien, drzwi i ścian razem wziętych.

– Strasznie dziwnie wyszło z tą ciążą – zagadnął Michał jakby od niechcenia. –

Wyraźnie wszyscy chcą się z tobą żenić! Najpierw Filip, teraz Piotrek...

– Piotrek właśnie nie chce, to ojciec go zmusza – sprostowała Daga.

– W sumie porządny człowiek ten Malecha.

– Przecież myślał, że Piotrek zrobił mi dzieciaka... To czy ja wiem? Zachował się odpowiedzialnie?

– Ale ciąża to jednak trochę za mało, żeby chłopaka do ołtarza gonić. Żebyś ty jeszcze ziemię miała, ale tak? Malecha coś wspomniał, że tobie to mus za mąż iść i żeś bogata...

– Kiedy to nieprawda... Nic nie mam. Sklepowa też mówiła, że dziedziczka jakaś jestem, to znaczy nie ja, niby Kinga, ale to chyba wszystko jedno... Że wstydu nie mam, żeby przyjeżdżać i kogoś okradać, że jeszcze nam krzywda ludzka bokiem wyjdzie i rzewnymi łzami będziemy płakać...

Michał się zamyślił, a po chwili pociągnął dziewczynę w kierunku domu Jaśka.

– Trzeba się zastanowić... Coś tu jest nie tak – powiedział bardziej do siebie niż do Dagmary, która i bez tego uważała, że wszystko jest nie tak.

– Pani Ziębowa – rzucił od progu do stojącej przy kuchni kobiety. – Niech mi pani powie, co pani wie na temat tych cholernych ruin. Czyje są?

– Kiedy ja nic nie wiem. To było kiedyś państwowe, potem podobno kupił to jakiś facet, chyba zagraniczny, tyle że one, te ruiny, nie mają żadnej wartości.

– No tak, ale popełniono już dwa morderstwa i wciąż ktoś chce się ze mną żenić – przypomniała Dagmara.

– To może to ma jakieś znaczenie? Może chodzi o to, żebyś wyszła za mąż, bo to gwarantuje spadek, albo wzięła ślub, zanim dowiesz się, że ktoś ci coś zapisał, a twój przyszły mąż na tym skorzysta?

– Filip mówił, że po ślubie będzie miał kupę forsy, ale to i tak nie ma znaczenia, bo poznałam go kilka miesięcy temu, a wtedy jeszcze o żadnym spadku wróble nie ćwierkały.

– Komu jak komu, jemu może ktoś coś ćwierknął!

– I te dziwne zabójstwa... Chciał zabić jedną, zabił drugą, a to miałam być ja?

– No, niby są dwa trupy, ale ty nadal żyjesz. Nie, to się nie trzyma kupy. Jakby ktoś chciał cię zabić, toby już to zrobił, a nie straszył utopcami, chichotem czy innymi głupotami.

Moim zdaniem to zupełnie dwie różne sprawy... Ktoś zabił Krychę... Czy ja wiem?

Niewykluczone, że właśnie o to mu chodziło.

– Tylko kto mógł jej aż tak nienawidzić?

– Każdy, z jej mężem włącznie! Z Krychy był kawał cholery! Knuła, podglądała, judziła, podsłuchiwała, kradła... Ot, choćby rozpowiadała, kto z kim w ciąży, nawet jak ktoś sobie nie życzył...

– Jeżeli za to się tutaj zabija, to rzeczywiście urocza ta wioseczka! – mruknęła z przekąsem Dagmara. – Jeden drugiego w łyżce wody by utopił!

– A pewnie! – zawołała z dumą Ziębowa. – Tu mieszkają ludzie z jajami! A nie jakieś dupki żołądne! Znamy się od lat...

– I kochacie się?

– Ależ skąd! Po co? To nie byłoby normalne. Po co ja miałabym na przykład kochać Muchową, ten stary wścibski tobół? A Walczaka? Przecież to pijak. Walczakowa z kolei to durne babsko, a ich dziewczucha ledwie pełnoletnia z brzuchem chodzi...

Dagmara słuchała wywodów Ziębowej, nie wierząc własnym uszom. Owszem, na wsi

ludzie rzadko pałają do siebie miłością, ale żeby zaraz się mordować?

– Trzeba się dowiedzieć, kto zaciukał Krychę i to drugie coś, a wtedy będzie wiadomo, o co chodzi. Bo o coś musi, tyle że raczej nie o te ruiny. Są bezwartościowe, to znaczy prawie dla każdego, bo nie brak i takich, którzy by je chętnie wyburzyli i zyskali w ten sposób trochę ziemi, choćby pod zabudowę. Walczak wybudowałby tam dom dla wnuka, Muchowa pewnie posadziłaby róże, Maryśka ze sklepu mogłaby tu sobie zrobić magazyn, a Kusiakowa... Czy ja wiem? Też by coś wymyśliła. Jednak te ruiny swoją wartość mają, dla nas, dla was nie... Więc to nie może być ten spadek.

– Dzięki Bogu! – jęknęła Dagmara. – A już się bałam, że ktoś zapisał mi to gruzowisko!

Co ja bym miała z tym zrobić? Musiałabym sprzedać.

– E, nikt by nie kupił.

– Jak to? Sama pani mówi, że wielu by się przydało...

– Owszem, ale żeby zaraz kupować? Zresztą kto tu ma pieniądze?

– No, Walczak dom chce budować, więc na przykład on – rzuciła zdezorientowana Dagmara.

– Tutaj to trochę inaczej działa. Ty mi wylejesz fundamenty, ja postawię ci wódkę...

– ...i obaj będziemy pijani?

– To też, ale potem ja tobie naprawię dach albo co innego...

– Ale przecież się nienawidzicie?

– To niczemu nie przeszkadza. Własny wróg zawsze lepszy od cudzego. Czasem więcej znaczy od przyjaciela, nie ma sensu go mordować. Czyli jeżeli ktoś zabił Krychę, to naprawdę coś poważnego na nią miał albo nie był tutejszy.

– Też wymyślasz, mamó! – Jasiek się roześmiał, wpadając do kuchni. – Tylko mieszasz dziewczynie w głowie! Ona i tak już ma do tyłu, pani Stasia kręci, Kusiakowa gada głupoty,

a dupek w więzieniu.

– Dlaczego wy wszyscy tak nienawidzicie Filipa?! – prawie krzyknęła Dagmara. –

Wiem, ma fuma w nosie i bywa trochę dziwny... – Przerwała na chwilę, bo sama nie bardzo wiedziała, jak określić jego zachowanie. – Ale jak można tak ludzi traktować?! Przecież go nawet nie znacie.

– A ty co o nim wiesz? – zapytał Jasiek, nagle poważniejąc. – Filip może być mordercą.

Dagmara zbyła śmiechem to oskarżenie.

– Zwariowałeś? Filip? Jest marudny, pyszałkowaty, głupi, przesądny i wszystkiego się boi, ale mordercą...

– O, widzę, że naprawdę go kochasz – zauważyła matka Jaska z uśmiechem, patrząc na Dagmarę prowokacyjnie.

– Kocham, nie Kocham... Sama nie wiem, jakoś to wszystko się skomplikowało. Wiem jednak, że nie mógłby...

– A oszukiwać to może? – Michał zrobił złośliwą minę.

– A tak, coś o tym wspominałeś, ale kogo on oszukuje?

– Wszystkich, choć ciebie oczywiście najbardziej. Ostatnio ciągle gdzieś znikał, nie? – przypomniał Jasiek z zadowoleniem. – To trochę za nim połaziliśmy i odkryliśmy... No, powiedzmy, że coś z nim jest nie tak.

– Nocą zmienia się w wilkołaka? – zażartowała Daga, ale wypadło to blado.

– Nie, ale sama pomyśl! Został aresztowany i zwolniony jakiś czas temu, i gdzie się podział? Uważasz, że nie może mieć nic wspólnego z morderstwami, ale to on za każdym razem znajdował zwłoki. I to zawsze sam...

– Równie dobrze to ty, Michał, mogłeś zabijać. Ciebie z kolei nigdy w pobliżu nie było, też pałętałeś się sam po okolicy, nikt nie wie gdzie, a o tobie wiem jeszcze mniej niż o Filipie!

W tym momencie dotarła do niej dość paskudna prawda.

– Poza Filipem i Kingą w ogóle nikogo tu nie znam! Andżelika? Zupełnie obca! Wy to samo... Pani Stasia? Również. Ona też mogła wszystkich... Jezus Maria! Ona mogła zamordować dziadka! Mogła to zrobić! Zabiła dziadka, Krycha ją widziała, zabiła ją...

– A ten babochłop?

– Mogła sama go przebrać. Razem z Kusiakową. Zabiły gościa i zmieniły ubranie dla niepoznaki! Kusiakowa chciała nas otruć... Też dla niepoznaki!

– Sześć trupów dla niepoznaki? Trochę zbyt widoczne i za bardzo na nią wskazuje.

– Bo może miało odciągnąć policję od pani Stasi.

– No dobra, ale po co?! Jeżeli ktoś morduje tyle osób, to musi mieć jakiś motyw!

– Pani Stasia zwariowała? – Dagmara uśmiechnęła się z nadzieją.

– Ty w ogóle nie masz za grosz rozumu w głowie. Mówiłam wam, że to durne i nie wolno jej w nic wtajemniczać! – Pani Stasia stała w wejściu do kuchni i wyglądało na to, że przez cały czas przysłuchiwała się rozmowie.

Dagmara z lękiem popatrzyła dookoła.

Chciała uciekać, ale nie miała szans. Zaczęła powoli cofać się do wyjścia.

– Jesteście w zмовie, tak? Teraz rozumiem – powiedziała przerażonym głosem. –

Banda morderców! Najpierw dziadek, potem biedna Krycha... Potem ten chłop, a teraz co, zamordujecie mnie?

– No to koniec – stwierdził Michał. – Miała pani rację!

Naga straszna prawda objawiła się Dagmarze tak jasno i wyraźnie, że niczego więcej nie chciała już wiedzieć.

To był spisek. Po chwili stwierdziła jednak, że spisek to coś w miarę rozsądnego i zorganizowanego, a to, co się tu działo, miało wszelkie znamiona szaleństwa. Oni z pewnością mordowali w szale, jak popadnie. Siekierami!

Nie zamierzała dłużej zwlekać.

– Ratuuuuuunku! – krzyknęła i rzuciła się do wyjścia. Nikt za nią nie pobiegnął. To było jeszcze gorsze, bo świadczyło o tym, że to pułapka. Gdzie biec? Przecież nie do lasu i nie w ruiny. Tam mogło grozić jej jeszcze większe niebezpieczeństwo. Przecież tam została Kusiakowa, na usługach szajki. Wymordowała wszystkich!

Mając przed oczami dość makabryczne obrazy, dziewczyna pobiegnęła drogą do wsi.

Chwilę potem wpadła w krzaki.

– Cholerne maliny – jęknęła. Wiedziała, że powinna iść na policję, ale bała się, że jej nie uwierzą, a poza tym... Ten aspirant wydał jej się nagle niepewny i mało rozgarnięty. Z daleka zobaczyła dom braci Malechów. Kark pochylony nad czymś wyprostował się nagle i pomachał do niej. W ręku miał siekiere.

Mógł oczywiście rąbać drewno, ale najpewniej ćwiartował zwłoki... Po co komu drewno o tej porze roku, a poza tym miał jakąś dziwną minę... Daga nie zamierzała pozwolić na to, żeby ją dopadł.

Przez chwilę myślała o tym, żeby zawrócić po samochód, ale zrezygnowała. To stwarzałoby realne zagrożenie, oni ją znali. Wiedzieli, co zechce zrobić.

Zdyszana wbiegła pomiędzy chałupy, ale i tu nie czuła się specjalnie bezpieczna. Ludzie patrzyli na nią jakoś dziwnie.

– Oooo! – zawołał ktoś zza płotu, co jeszcze bardziej ją przestraszyło.

Zdecydowała się pędzić dalej. Nagle zobaczyła proboszcza.

– Proszę księdza! – zawołała ostatkiem sił. – Masakra! Tam się odbywa masakra.

– O co ci chodzi, dziecko? – zapytał kapłan spokojnym głosem. – Przestraszyłaś się czegoś? No, mów! Widzę, że jesteś przerażona. Masz, napij się wody.

– Chodzi o to, że odkryłam spisek. Wiem, kto jest mordercą! Wiem, że oni zabili

Krychę i tego chłopca, i dziadka – wymieniała z coraz większymi oporami, bo zdawała sobie sprawę, jak głupio to brzmi. – To potworne. Pani Stasia, Kusiakowa i... I Michał.



– Wiem, przed chwilą do mnie dzwonili. – Duchowny uśmiechnął się jakoś nienaturalnie. – Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. Zaraz zobaczysz się z dziadkiem. To było ponad jej siły. Osunęła się na ziemię. W jej przypadku omdlenie zwykle nie wchodziło w grę, ale w tej właśnie chwili przyszło jej bez trudu. Bieg z przeszkodami i przerażenie zrobiły swoje, no i ta groźba... Zaraz zobaczy się z dziadkiem? Z zamordowanym Generałem? Zobaczy się? Czyżby proboszcz też...?

\*

Obudziła się po czasie, który mógł być chwilą, ale równie dobrze wiecznością.

Zastanawiała się nawet, czy rzeczywiście się obudziła.

Brała pod uwagę jeszcze jedną niezbyt przyjemną możliwość z wykorzystaniem siekiery, ale po obmacaniu się stwierdziła, że chyba jednak na razie jest czymś więcej niż duszą, bo posiada obie nogi, ręce i, co najważniejsze, głowę. Nigdzie też nie wyczuła krwi.

Leżała na najzwyczajszej sofie, było chłodno i dość ciemno.

Coś usłyszała.

– I jak na to zareagowała?

– A jak sądzisz? Źle. Teraz trzeba to jakoś porządnie załatwić.

A więc jej nie zabili. „Jeszcze” – stwierdziła dziewczyna z pewnym żalem. Cicho podeszła do wysokiego okna. Było zamknięte. Na drżących nogach zbliżyła się do drzwi. Na szczęście zdołała je otworzyć.

– Obudziła się – stwierdził ktoś niezbyt odkrywco.

Dagmara zobaczyła księdza. Obok niego siedziała pani Stasia. Z boku Michał i Jasiek.

Naprzeciw nich stał dziadek. Tak jakby, no, w każdym razie... coś dziadkopodobnego. To coś w ręku trzymało telefon Generała.

Znów o mało nie padła bez zmysłów.

– Tylko mi tu nie mdlej! – wrzasnęła pani Stasia. – Dość już narobiłaś bałaganu, głupia

dziewucho.

– Ja narobiłam bałaganu?! – Dagmara się wściekła i dzięki temu przestała myśleć o mdleniu. – To wy jesteście jacyś popieprzeni!

– Licz się ze słowami! Tu są... – Pani Stasia zamilkła. – Tu jest ksiądz!

– Ksiądz skończył już osiemnaście lat – warknęła. – A wy jesteście mordercami!

– Zgłupiałaś? – prychnął dziadek. – My?! My usiłujemy...

– A ty się nie odzywaj – warknęła. – To wszystko twoja wina! Cała ta masakra...

– Jaka masakra? Kogoś jeszcze zamordowano?!

– Mało wam Krychy?! – Dagmara odzyskiwała wigor, choć w jej głosie wyraźnie dało się słyszeć panikę. – Skąd się tu wziąłeś? Gdzie byłeś? Co to za numer z tymi ruinami? Po co to wszystko?

– Po kolei – mruknął dziadek. – Skąd się tu wziąłem? Zwyczajnie, przyjechałem. Gdzie byłem? Tutaj, choć nie cały czas. Nie ma żadnego numeru z ruinami, a po co to wszystko? Określ dokładnie co, bo zupełnie nie wiem, o co ci chodzi!

– Też mi wyjaśnienia! Poczekaj, aż się mama dowie, ona dopiero da ci w kość za cały ten bałagan!

Dziadek lekko wzruszył ramionami.

– Ona się we wszystkim orientuje, chyba nie sądzisz, że zrobiłbym cokolwiek bez jej wiedzy? Pomagała mi. Nawet wyciągnęła ci klucze z torebki, żebyś nie mogła wrócić do Warszawy!

– Kłamiesz, prawda? – zapytała dziewczyna z nadzieją w głosie. Nie bardzo wiedziała, jak ma zareagować. – Klucze? Straszenie gospodyń? To też było za jej wiedzą?

– Nie marudź. To było posunięcie strategiczne.

– Co takiego? I ty twierdzisz, że...

– Niczego nie twierdzę, ale te ostatnie wydarzenia mnie martwią.

- Morderstwa cię martwią? To jest potworne. Wyobraź sobie, jak ja się czuję!
- Jak się czujesz, jak się czujesz... Jesteś pod dobrą opieką – powiedział wyraźnie obrażony.
- Jasne! Wyje, chichocze, bulgocze, trup się ściela gęsto, a nawet dwa trupy.
- Dwa trupy się ścielą? Przesadzasz. Jeden się ściela gęsto...
- A drugi rzadko?! Przestańcie natychmiast! Ja mam dość! Mafia, morderca i ten potworny dom.
- To najzwyklejsze sanatorium, tyle że odrobinę zrujnowane – wyjaśnił jej dziadek.
- Nie wierzysz w to, co mówisz, prawda?
- No bo widzisz... Jak by ci to wytłumaczyć... Zmarł mój przyjaciel. Trzy lata temu. We Francji i...
- Dziadku, nie rób sobie jaj! – wrzasnęła, ale starszy pan zrobił taką minę, że dała spokój.
- I on zostawił spadek...
- A więc o to chodzi?! To jest to cholerstwo, za które ludzie się łopatami i toporkami mordują?
- Problem w tym, że nie wiem nic więcej. Bo testament został skradziony...
- Ale co to ma wspólnego ze mną i z tą cholerną ruiną? – Dagmara usiadła zrezygnowana. – Proszę, wytłumacz mi to najprościej, jak umiesz. Zacznij od początku!
- Tytek Morawski zmarł i zostawił testament. Było w nim coś o spadku i o Utopcach. Richard, znajomy Francuz, dał mi znać, że trzeba tu przyjechać. Tyle powiedział mu Tytek, jak jeszcze żył.
- Nagle Dagmara coś sobie przypomniała.
- I skąd masz telefon?!
- Generał spojrział na Michała przepaszającym wzrokiem.

– On mi przyniósł.

– Po tym, jak Bestia go ukradł?

– Tak jakby – stwierdził wymijająco. – Byliśmy w kontakcie. Ktoś musiał mi pomagać.

– A więc co ty? – Dagmara popatrzyła na Michała z wściekłością. – Skąd ty się w tym wszystkim wzięłeś?

– Nie wiedziałem, że cierpisz na zaniki pamięci – powiedział ze smutkiem w głosie. –

Zabrałaś mnie z Lublina, nie pamiętasz? Byłem z Filipem. Rozumiem, że się już odkochałaś, ale pamięć ci naprawdę szwankuje...

– Wcale się nie odkochałam! – krzyknęła dziewczyna choćby po to, żeby zrobić im wszystkim na złość. Cała sprawa z Filipem wyraźnie rozłąziła się w szwach ku uciesze pani Stasi i dziadka, a nawet jakby Michała, ale dziewczyna nie chciała dawać im satysfakcji! Co to, to nie!

– To niedobrze... – mruknął proboszcz, co tym bardziej rozsierdziło Dagę.

– A to niby dlaczego?! Co księdzu do tego?!

Dagmara była osobą grzeczną i umiała się zachować, ale nie lubiła, jak ktoś wtrąca się w jej prywatne sprawy.

– Mnie nic, ale takiej jednej to już coś. Bo okazuje się, że on tu ma dziecko i dziewczucha już z drugim w ciąży jest! Widziałem ich...

– To mogła być jego siostra albo kuzynka, albo koleżanka z klasy, albo sąsiadka, albo przypadkowa znajoma... – wyliczała Daga trochę niepewnym tonem, bo co innego się odkochać, a co innego zostać zdradzoną.

Owszem, wcale jej już na nim nie zależało, no, prawie wcale, i w ogóle był marudny i głupkowaty, ale jak śmiał ją zdradzić?!

– To niemożliwe – dodała w końcu. – Powiedział, że jak się ożeni, to dostanie spadek, więc dlaczego się z nią nie ożenił?

– Bo to nie chodziło o jego spadek, ale o twój – wyjaśnił jej dziadek.

– Zaraz, zaraz! Dokładniej!

– No przecież ci tłumaczę! Dostaniesz spadek, tylko nie wiem jaki ani na jakich warunkach!

– Ale dlaczego ja?

– Bo jesteś moją wnuczką – powiedział dumnie Generał. Dagmara tylko wzruszyła ramionami. – Tytek był moim najlepszym przyjacielem. Tyle że nie widziałem go od ponad trzydziestu lat.

– No to rzeczywiście wielka przyjaźń.

– Ano wielka, choć nie bardzo udana. Babcia była z nim zaręczona. Dlatego tak ostrożnie podchodzę do testamentu...

– Babcia? Moja babcia? Zaręczona? No ale...

– No ale wyszła za mnie. On nigdy się nie ożenił. Teraz wiem, że był bogaty. Spadek przeznaczył dla ciebie, ale są jakieś klauzule, a ja ich nie znam. A dom...

– Mówisz o tej żałosnej ruinie? – sarknęła Dagmara. – O tym serze szwajcarskim?

– Należał do niego...

– Więc to jest ten spadek? A więc to raczej zemsta! I to za co? Dlaczego na mnie?

Przecież on mnie nie znał? Dlaczego mnie tak znienawidził? Ja nie chcę tej ruiny! Nie chcę, rozumiesz?!

– No już, nie denerwuj się. Wkrótce wszystkiego się dowiemy, a teraz wracajcie do domu. Ja zostanę jeszcze jakiś czas na plebanii.

Dagmara miała ochotę się zbuntować i zostać, wydusić z dziadka więcej informacji, ale jego srogie spojrzenie powiedziało jej, że nie da rady.

Nie dziwiła się w każdym razie, że dziadek wolał mieszkać na wygodnej plebanii zamiast w ruinach, ale była za to na niego jeszcze bardziej wściekła. Wolnym krokiem wrócili do domu, który znów przywitał ich czymś w rodzaju chichotu.

– To zaczyna się robić nudne. Kinga? Co tu się znów dzieje?! – zawołała Dagmara po wejściu do kuchni, nie widząc nigdzie ani jej, ani Andżeliki. – Filip się zjawił?

Odpowiedziały jej cisza i sapanie.

– Hm – mruknęła dziewczyna, patrząc złośliwie na panią Stasię. – Sapanie może być.

Przynajmniej to nie utopce.

– Skąd ta pewność? – zapytała pani Stasia łagodnie, jakby żałowała biednych stworów.

– Bo nie da się wydawać takich dźwięków skrzelami – odparła wrogo Dagmara, po czym ryknęła tak, że aż zadrżały resztki szyb w oknach:

– Kinga, chodź tu natychmiast!

Po chwili w progu pojawiła się blada i wystraszona Kinga, podtrzymywana przez Andżelikę.

– Nie wrzeszcz – poprosiła Andżelika. – Bo Kinga znowu zemdleje, a ja już sobie nie radzę z cuceniem! Mdleje tak od wyjścia Kusiakowej. Co chwila... Ze strachu chyba. Dziura jej dyszy!

Podeszły do otworu. Rzeczywiście dyszał.

Wszyscy, łącznie z Kingą, która bała się zostać sama, zeszli na dół. Piwnica była ciemna, wilgotna, dość ciasna i poskręcana w wąskie korytarzyki, jakby ktoś zaprojektował ją dla niewielkiej, ale bardzo wrednej wersji Minotaura.

– Tu nic nie ma – stwierdził Michał niezbyt odkrywczco. – Zupełnie nic! I nic nie dyszy.

Trzeba od drugiej strony wleźć w tę dziurę i zobaczyć, co tam siedzi.

– A jeżeli to... to coś jest niebezpieczne? Nie chciałabym, żeby coś ci się stało –

powiedziała Dagmara, rumieniąc się i mając nadzieję, że nikt tego nie zauważy w ciemnościach, ale chyba jej się to nie udało, bo Jasiek parsknął bezczelnym śmiechem.

– A widzisz? Tak się zadręczałeś, że dziewczyna nie zwraca na ciebie uwagi, a tu patrz!

Martwi się o ciebie!

– Zamknij się – syknął Michał, nie mniej zawstydzony od Dagmary. – Bo cię zdzieję!

Łupnął pięścią w ścianę, która nie mogła być ścianą nośną, bo nic na nich nie runęło, za to ona sama się zawaliła. Coś zajęczało.

– Jojejejejeje! – zawył tajemniczy głos donośnie, wyraźnie i bardzo nieszczęśliwie.

– Jeżeli to utopiec, to chyba dostał w łeb – mruknęła Andżelika, przechodząc nad gruzowiskiem. – I wiecie co? Sapie! Teraz sapie!

– Już ci mówiłam, że utopce nie mogą sapać! Mogą chlupać... chyba! – zdenerwowała się Dagmara – Boże! Co za ludzie!

– Nie no, ludzie to nie – stwierdziła, gramoląc się z powrotem Andżelika. – Coś jęczy i sapie... Chlupie też. Tak! Wyraźnie słyszę. I jeszcze tak jakby wyje?

Przeszli przez gruzowisko, potykając się o zwały gipsowych okruchów. Ścianka wyraźnie nie była ani gruba, ani trwała. Dotarli do drewnianych, byle jakich drzwi, przez które do środka wpadały blade smugi światła.

Otworzyli je ze zgrzytem, choć bez specjalnego trudu. Coś dalej dyszało, ale wycie ucichło.

– Dziura – stwierdziła Dagmara. – W suficie.

Postąpiła o krok i prawie upadła.

– Boże jedyny! – zawołała. – Śmiertelna kukła!

Ledwie żywe latarki wyłuskały z ciemności okazały kopczyk różnych przedmiotów.

Dojrzeli kukłę, poduszkę, torbę z ciuchami, but i kilka innych rzeczy, chyba nawet ładowarkę do telefonu.

– Złodziejska melina – mruknęła Kinga. – To tutaj Bestia przynosił swoje znaleziska...

Wszyscy przyglądali się z zaciekawieniem psim fantom.

– A więc to kryjówka Bestii. – Dagmara roześmiała się, ale Michał przerwał jej nerwowym syknięciem.

– Jeżeli to prawda, to tym razem naprawdę narozrabiał – mruknął. – Całą bimbrownię komuś podpieprzył. – Poświecił w kąt. Zobaczyli bańki, baniaki, rurki. – Trzeba będzie wezwać policję – dodał.

– Ojejejejeje! – jęknęło coś. – Ratunkuuuu!

Odwrócili się. W odległym, dość wąskim korytarzyku coś wyraźnie się działo.

Jedno po drugim poszli w kierunku wołania, które było coraz głośniejsze i bardziej błagalne.

Zobaczyli coś, czego nie potrafili zrozumieć. Na podłodze, w pozycji obronnej, w dość karkołomnym kłębie leżał człowiek. W jednej ręce coś trzymał, a drugą zasłaniał sobie głowę. Nad nim, a właściwie na nim, oparty przednimi łapami stał Bestia. Dyszał.

– Bestia, zostaw – nakazała spokojnie Dagmara. Pies niechętnie, z wyraźną dezaprobatą, żalem w oczach i pełnym zawodu popiskiwaniami zszedł ze swojej ofiary.

Ofiara odsłoniła głowę.

– Boże! Kusiakowa, co wy tu robicie i dlaczego Bestia...

– Chochłę mi ukradł – chlipnęła kobieta, wstając. – Od dwóch godzin mnie tu trzyma!

O, złapał i trzyma. Przyszłam i...

– Kusiakowa! – Głos pani Stasi nagle zrobił się nieprzyjemnie twardy. – Natychmiast na górę.

– Tylko policji nie wzywajcie, bo to spadek jest!

Wszyscy popatrzyli na siebie zaszokowani.

– Co takiego?! Pani też odbija?

– No, po moim starym – odpowiedziała Kusiakowa, gramoląc się z podłogi i prowadząc ich korytarzykami przez piwnicę do jednych, drugich, potem kolejnych drzwi.

– Czyli pani mąż to Tytek?

– Nie żaden cycek! Wypraszam to sobie! To porządny chłop. We więzieniu siedzi.



– Za niewinność – mruknęły razem Dagmara i Kinga.

– I za tę bimbrownię, bo jak Maniek Dyndów zamierzał na niego donieść, to on go chciał siekierą postraszyć, ale mu się omsknęła i tak jakoś... – Tu Kusiakowa, która nadal dzierżyła w ręku powyginaną chochlę, wykonała dość niepokojący gest.

– No i ten Maniek już nie doniósł?

– Bez głowy trudno. – Kobieta wzruszyła ramionami. – To interesu musiałam pilnować, coby jak chłop swoje odsiedzi, nadal było z czego żyć, nie?

– Czyli pani tak cały czas? Nie bała się pani?

– A czego? Psy mnie znają... Ludzie tu nie zachodzą, tylko ten głupi hydraulik coś spieprzył i jak tylko zabierałam się do chłodzenia, to w całym domu aż gulgotało! Pies to nie był żaden kłopot. Kradł sobie i tyle, umiał się do pakamerki dostać, to myślałam, że jak mu łyżkę odbiorę, to nic się nie stanie, ale w niego coś wstąpiło i ruszyć mi się nie dał. Tylko tak patrzył, jakby chciał mi gardło przegryźć. Za głupią chochelkę?

– To ja już niczego nie rozumiem – stęknęła Kinga. – Pani cały czas nas straszyła?

Dlaczego?

– Żebyście sobie pojechali! Po co żeście się tu wprowadzili? Spokój miałam, robota szła, a tu nagle warszawiaki całym tabunem się zwalili...

– No dobra – zastanowił się Michał. – Ale czemu Kusiakowa Krychę zamordowała?

Też chciała na policję donieść?

– A gdzież tam. Ona o całym interesie od dawna wiedziała.

– I dlatego ją pani zabiła? – Pani Stasia zaczęła się cofać do drzwi.

– Kiedy to nie ja. – Kusiakowa dźgnęła oskarżycielsko chochlą w stronę pani Stasi. –

Pani starsza zupełnie ogłupiała! Po co by mi tu była ta cała policja? Ja jakbym kogo chciała ukatrupić, tobym lepsze miejsce znalazła, no i ja nie z tych, co mordują, ja mogę przetrącić, ale mordować?

– A sama pani mówiła, że te grzyby...

– No żem chciwa była, ale jakoś was nie zamordowałam, nie? Przecie wszystkie żyjecie...

– Ale chciała pani!

– No? I co z tego? Od samego chcenia jeszcze trup się nie ściele! Dwie pieczenie chciałam na jednym ogniu upiec, zarobić, no i was stąd przegonić, a teraz co... Ciężką moją krwawicę policja mi zabierze...

– No tak. Trzeba zadzwonić po gliny – westchnął Michał. – Nie ma innego wyjścia. Musimy im wszystko pokazać!

– A tam, zaraz pokazać. – Jasiek wzruszył ramionami. – Niech oni się zajmują trupami, a my zobaczymy, co Bestia ukradł, i ludziom oddamy. Przecież do psa policji nie będziesz wzywać. Zresztą zrobiło się późno. Jutro pomyślimy.

## **Rozdział VIII**

Nazajutrz Kusiakowa od samego rana cichutko jak nigdy krzątała się po kuchni. Jakimś cudem udało jej się przygotować całkiem sensowne śniadanie bez wrzasków i rzucania garnkami. Co ciekawe, upiekła przepyszne kiełbaski z cebulką i papryką i podała je ze świeżymi bułeczkami, mimo że nie był to czwartek.

– Nie wzywajcie policji – jęczała, podając frykasy, które nagle okazały się kulinarną formą łapówki. – No, nie wzywajcie policji...

Jasiek, który chyba postanowił się do nich przeprowadzić, także został poczęstowany śniadaniem i błagalnym jękiem.

– A bimbrownia? – zapytała Kinga, bardziej praworządna niż sam papież, ale Jasiek nie chciał denerwować gospodyni.

– Oj tam. Nie ma o co kruszyć kopii. Gdyby ich bimbrownicy interesowali, to pół wsi siedziałoby w kiciu. Samogon, byle dobrze zrobiony, to taka tutejsza tradycja! Dajmy sobie z tym

spokój i chodźmy zobaczyć śmietnik Bestii. Trzeba to przejrzeć i ludziom pooddawać.

Poszli.

Śmietnika nie było. Zniknęło wszystko. Została tylko torba z ciuchami.

– Nie zdążył jej przenieść? – zapytała Kinga.

– Nie, to nie to. – Dagmara podrapała się w głowę. – Bestia zabrał tylko to, co ukradł.

Tę torbę przyniósł ktoś inny. To pani rzeczy, Kusiakowo? – Dziewczyna postawiła na stole dość dużą, łuszczącą się torbę z błyszczącego skaju. Kobieta zaprzeczyła.

– Ciuchy babskie – stwierdziła Daga, sięgając po spódnicę w kolorowe kwiaty w rozmiarze XXXXXLLLLLL. – Na King Konga chyba. I jakieś włosy.

Z obrzydzeniem, jakby wyciągała zdechłe i od dawna nieżyjące zwierzę, wydobyła coś podobnego do szopa z wyliniałym ogonem.

– Co to za fujec?

– To nie żaden fujec, tylko jakaś peruka... Trochę skołtuniona.

Po chwili oczom zebranych ukazała się kolorowa płachta.

Daga miała dosyć, więc jej obowiązki przejął Michał. Włożył rękę do torby, wzdrygnął się i rzucił czymś o ścianę. Było duże i różowe. Plasnęło, odbiło się i poleciało aż pod okno.

– Czego rzucasz?! – warknęła Dagmara, wciąż zawstydzona sytuacją w podziemiach.

Chłopak zrobił zde gustowaną minę. Zaczerwienił się, wskazując ręką tajemniczy latający obiekt.

– To coś jest obrzydliwe... Normalnie, gdyby było przyczepione do całości, to oczywiście tak, nawet chętnie, ale nie w tej formie. To cycki! Cycki na szelkach!

– Cyganka! – krzyknęły jednym głosem Kinga i Andżelika, jakby sztuczne biusty były podstawowym, wręcz nieodzownym atrybutem każdej Cyganki. – Ta z gębą jak kowadło, co jej się włosy przekrzywiły!

Rozważania przerwało obcesowe wtargnięcie aspiranta, który wpadł do jadalni, jakby miał ochotę wszystkich wymordować, i warknął od progu:

– Poznajecie? – Rzucił na stół, przy którym siedzieli, kilka zdjęć. – No? Niech się wreszcie dowiem, o co tu chodzi!

Popatrzyli na fotografie z niepewnymi minami.

– Hydraulik – stwierdził zaskoczony Jasiek.

– Cyganka! – pisnęła Kinga.

– O Jezusie Maryjo, chłop mnie zabije! – wrzasnęła Kusiakowa, rzucając się do ucieczki. Spróbowała staranować funkcjonariusza i wepchnąć go biustem, tym prawdziwym, w ścianę, ale nie dała rady.

– Kusiakowa, nigdzie pani nie pójdzie! Mowy nie ma! Gadać mi zaraz!

Kobieta zawróciła, złapała sztuczny biust i wyciągnąwszy go oskarżycielsko w stronę siedzących, wrzasnęła:

– To ich wina! Takie świństwa... Takie świństwa, a teraz chłop mnie zabije. Zabije mnie jak nic!

– Co to, do jasnej cholery? – zdziwił się policjant. – Dlaczego...

Kusiakowa schowała osobliwe znalezisko za siebie, udając, że nie wie, o co chodzi. Nagle zdała sobie sprawę, że cycki i miejsce ich znalezienia niebezpiecznie łączą się z bimbrownią.

– Kusiakowa, cierpliwość mi się kończy – powiedział aspirant groźnym głosem, sugerującym bardzo nieprzyjemne konsekwencje.

– Kiedy to Zenek – jęknęła przestraszona. – No, Zenek, chłopu kumpel spod celi.

– No właśnie. Zenon Kwas, pseudonim „Różyczka”. Skąd on się tu wziął i czego chciał? Dlaczego pani go zabiła?

Kusiakowa usiadła, z rezygnacją oderwała kawałek piętki od chleba i zaczęła przeżuwać.

– Przyjechał jakoś tak miesiąc temu. Chłop go przysłał, kazał się nim zająć. To się zajęłam.

– Zajęła się pani bardzo dokładnie.

– No. Rozumie się. Zakwaterowałam go w piwnicy, załatwiłam kilka fuch. Co miałam robić? Przecież on tu legalnie był. Wyszedł z więzienia, to co miałam nie pomóc?

– Zarzynanie człowieka nazywa pani pomocą?

– Ja go nie zarżnęłam! Mieszkał sobie po cichutku, trochę zarabiał. W oczy się nie rzucał, aż przyjechali ci tutaj i wszystko szlag trafił.

– Jasne. A teraz, Kusiakowa, powiedzcie, kim są Cyganka i hydraulik. I wstańcie z tych cycków, bo zaraz wybuchną.

Kusiakowa, chcąc uchronić się od niewygodnych pytań, rzeczywiście usiadła na sztucznym biuście, sądząc, że w ten sposób go ukryje, ale jedna pierś wysunęła się jej spod pośladka i zaczęła niebezpiecznie nabrzmiwać.

– A tak w ogóle co to za cycki?

I tu powstał problem. Cycki to Cyganka, Cyganka to ciuchy, ciuchy to bimbrownia... Nikt nie wiedział, co powiedzieć, żeby jakoś ominąć ten ostatni temat. Kusiakowa patrzyła na nich morderczym wzrokiem i zaciskała rękę na trzonku noża do masła, tak że aż palce jej zbieleły.

– Bestia przywłókł – oznajmiła Dagmara nonszalancko, choć ledwie była w stanie cokolwiek z siebie wydusić. Kusiakowa odetchnęła, a w jej oczach pojawiła się autentyczna, szczerą i nieposkromioną łuna miłości.

Dziewczyna zadrżała. Policjant wolał jednak się upewnić, co usłyszał.

– Bestia przywłókł sztuczny biust? Bo jest sztuczny, prawda? Ukradł komuś i szedł przez wieś z tym czymś w pysku? Niemożliwe, nie miałem żadnych zgłoszeń, a wierzcie mi, pojawiłoby się ich kilka, choć większość dotyczyłaby morderstwa albo działalności sił nieczystych. I komu miałyby to zwinąć? Tutaj? Tu babom nie potrzeba takich dodatków, mogłyby jeszcze swoimi własnymi kilka miastowych obdzielić!

– Nie no, ma pan rację. – Dagmara jakimś cudem nie wpadła w panikę. – On tego nie ukradł.

– To co? Obgryzł je komuś?

– Nie, chciałam powiedzieć, że on ukradł całą torbę, o tę, co tam stoi. Tam były te ciuchy, ta spódnica i to...

Wskazała leżącą na podłodze perukę.

– Cokolwiek to jest, od dawna już nie żyje, ale co to ma wspólnego z Cyganką?

– W sumie wszystko – odparła Andżelika, której nikt nie był w stanie powstrzymać. –

Napadła nas we wsi, taka wielka była i kosmata, i miała przekrzywionego szczura na głowie, i kazała Kindze za męża wychodzić, i wtedy przyleciała Adamkowa, ta mamunia, i zerwał się Muciek, i... – Zamilkła.

– Dzień dobry, co tak pięknie pachnie? – usłyszeli głos w korytarzu i zdębieli.

W jadalni pojawił się Filip. W kapciach i piżamie.

Przez chwilę trwała cisza. Nie była wprawdzie złowroga, ale dość nieprzyjemna. Nikt nie spodziewał się Filipa. Najmniej Dagmara.

– Co ty tu robisz? – zapytała słabym głosem, bo przecież musiała jakoś zareagować.

– Jak to co? Przyszedłem na śniadanie – odparł z wyższością.

– Ni ma! – warknęła Kusiakowa i natychmiast zabrała ze stołu półmisek. – Wyszło!

– Kiedy sam widziałem...

– Jak mówię, że ni ma, to ni ma! – odparła tak twardo, że jej głos zmroził wszystkim krew w żyłach. – I po co tu przylazł? Idzie stąd!

– Ależ pani Kusiakowa... – Tym razem wtrącił się policjant, nie bardzo rozumiejąc całą sytuację. – Ja też sam widziałem, że...

– Niech se idzie trupy pooglądać, a od moich garów wara! – rzuciła ostro do policjanta, tak że i on zamilkł.

Filip stał jak wmurowany, za to Kotek odezwał się nagle, jakby coś sobie przypomniał.

– A tak! Pamiętacie, jak mówiłem o tych grzybach, że mi się nie podobają... No

i przyszły wyniki. Mieliście rację, Kusiakowo, to całe cholerne danie, co żeście nagotowali, trujące nie było, ale był w nim surowy muchomor. Mrówecki niechcący zebrał go z ziemi razem z tą mazią spod studni i stąd całe zamieszanie.

– Muszę z tobą porozmawiać, kochanie – przerwał policjantowi Filip, zwracając się nadzwyczaj oficjalnie do Dagmary. – Wiem, co mówiłem, wiem, że byłem okrutny, ale to wszystko tylko nerwy. Ja cię szczerze przepraszam! Tak bardzo cię Kocham! Wybaczysz mi, najdroższa?

– Nie – odparła Dagmara, niewiele się zastanawiając.

– Jak to nie? – Chłopak zamarł na chwilę. – Nie słyszałaś? Ja cię Kocham.

– Ale ja ciebie już nie – odparła dziewczyna znużonym głosem. – Chyba nawet nigdy cię nie kochałam, tak mi się tylko wydawało.

– To niemożliwe! Kochanie!

– Możliwe – odpowiedział za Dagmarę Michał. – Nie słyszałeś?

– Zamknij się! – wrzasnął Filip. – Morda w kubek, gnojku, i przestań się wcinać między wódkę a zakąskę! Ta głupia pinda nie wie, co mówi!

Michał patrzył przez chwilę kamiennym wzrokiem na Filipa i nagle wszystkim się wydało, że rozmowa przekroczyła już granice zwykłej wymiany zdań i na złamanie karku pędzi ku wymianie ciosów.

– Gnojka bym ci darował, ale pindy już nie, w dodatku głupiej. – Michał zrobił krok, coś plasnęło, chrupnęło i jęknęło.

– Ratunkuuu, niech mnie pan ratuje, panie policjancie, biją mnie!

– Pan aspirant nic nie widział – odezwała się spokojnie Kusiakowa, ale groźnie. – Sama żem zasłoniła! Wynoś się stąd i do porzundnych ludzi się nie czepiaj. – Popatrzyła groźnie na wstającego z podłogi Filipa. – Żem ci mówiła, łapy przy sobie! – dodała.

– Ale on mnie napadł! Policja powinna...

– Kiedy ja naprawdę nic nie widziałem. – Funkcjonariusz uśmiechnął się ni to złośliwie, ni to przepraszająco. – Ale mogę wziąć pana na posterunek, spisujemy zeznania.

Filip pobladł.

– O, co to, to nie! Nigdy więcej! Wychodzę! – oświadczył dumnie nieco zdeorientowanej Dagmarze, dodając z groźbą w głosie: – Zastanów się, co robisz. Tylko żeby nie było za późno!

Półmisek z podgrzaną jeszcze raz kiełbasą znów wylądował na stole. Kusiakowa promieniała i tym razem nie miało to nic wspólnego z wciąż krwawoczerwoną łuną włosów na jej głowie.

Przez chwilę zastanawiali się, czy kiełbasa nie jest czymś zatruta, skoro tak twardo broniła jej przed Filipem, ale widząc, z jakim zachwytem pałaszuje ją Kotek, stwierdzili, że po pierwsze powinni się pospieszyć, bo zabraknie, po drugie, Kusiakowa chyba nie otrułaby policjanta. Chyba...

Kiedy porządnie posilony aspirant wyszedł, zabierając ze sobą do analizy biust i ciuchy, wszyscy rzucili się na kobietę, aby wydusić z niej wyjaśnienia.

– Zenek tu mieszkał. – Wzruszyła ramionami. – Interesu pilnował. Pijak był i tak jakby trochę się ukrywał. Nie chciał, żeby go ludzie widzieli, ale że chłop kazał mu pomagać, to co miałam zrobić? Z więzienia wyszedł, a potem trochę narozrabiał. Sklep obrobił wódczany, jeden, drugi, to co miał się ludziom pod oczy pchać? Nie? To sobie siedział, za hydraulika robił, ale nie bardzo mu szło. Potem jakąś fuchę podłapał, kazał se babskie ciuchy załatwić, to przyniesłam... Pani starsza akurat ubrania mi dała sokiem z trześni poplamione, ale dla chłopca to żadna różnica, nie?

– A co to była za fucha?

– Nie pytałam. Kto pyta, ten błądzi, oj, błądzi, i jeszcze w mordę może oberwać!

– No dobra, Zenek Zenkiem, a cała reszta? Czego się Kusiakowa na nas uwzięła?



Utopce, upiory... Czyli ich nie ma? – Dagmara uśmiechnęła się złośliwie.

– A gdzie tam, są! Prawdę mówiłam i przestraszyć was chciałam, żebyście się wynieśli, ale...

– To ja już nic nie rozumiem – westchnęła pani Stasia.

– Bo tu nie ma nic do rozumienia! Cała wieś gada, żeście powinni się wynieść, a i ja miałam w tym swój interes, a teraz chłop mnie zabije, że Zenka nie upilnowała.

– A on za co siedział?

– No jak to za co? Za niewinność! Człowieka ukatrupił, nie żeby jakoś tak specjalnie, ale na śmierć.

– I pozwoliła pani, żeby jakiś morderca grasował tu po nocach? Przecież to potworne! Mógł nas wszystkich pozabijać!

– A mógł, ale jakoś nie pozabijał, zresztą po co? Wódki żeście mu nie kradli, a on tylko na własność prywatną był przewrażliwiony. Tak normalnie to porządny chłop z niego.

– A te ciuchy? A cycki? Sama pani mówiła, że to nienormalne...

– Kiedy on nie robił tego dla przyjemności, ino dla zarobku! To insza inszość, a porządny był! Buty wycierał i nie rzygał po kątach. Co wy mi tu będziecie gadać, ja swoje wiem.

– A Filip?

– A... – Kobieta się lekko spłoszyła. – No... On taki mniej porządny jest. Bo on tu taką jedną z dzieckiem ma.

– To czemu pani wcześniej nic nie mówiła? – obruszyła się pani Stasia. – To nieuczciwe.

– Swoje miejsce trzeba znać. Nie moja sprawa była – oznajmiła Kusiakowa, podkreślając ostatnie słowo.

– A teraz jest?

– No jasne! Bimbrownię żeście mi uratowali, to jak ma nie być? Jak Kuba Bogu, tak

Bóg Kubie!

Łatwo dało się dociec, kto w tym układzie jest Bogiem, a kto Kubą.

– Martwi mnie jeszcze jedno – stwierdziła Dagmara. – Jeżeli cycki były w torbie, a Zenek przebrał się za panią Stasię...

Kinga przerwała jej machnięciem ręki.

– Może wcale nie za nią?

– Przebrał się za kobietę, ale nie włożył cycków i szczura, dlaczego?

– Biust zostawił, bo okazał się za duży! – stwierdziła Andżelika. – Nie zmieścił się w zakiet! Pani Stasia ma mniejszy rozmiar, a on miał cycki jak mleczarnie!

– Facet był nawalony jak szpadel. Nawet się nie ogolił. To znaczy, że wcale nie chciał udawać kobiety... To przebranie nie było zbyt dokładne, więc raczej chodziło o to, że z daleka, w ciemności chciał wyglądać jak baba, ale nie spodziewał się, że ktoś będzie na niego patrzył z bliska.

– No świetnie! Dużo nam to daje, jasne, a co z Filipem? Ma babę z dzieckiem, drugie w drodze, a on chce się żenić z Dagmarą? Jakieś to nienormalne – mruknęła Kinga.

– Mało to chłopów, co tak robią? – wtrąciła się Kusiakowa. – Jedna baba tu, druga tam?

No, a ty jeszcze podobno bogata. Ożeniłby się, pieniądze wydoił, do swojej wrócił. Albo olał babę i tyle, a pieniądze... Cała wieś huczy, że ty posażna panna jesteś. Wszyscy wiedzą o spadku.

Walczaki, Muchy, Malechy... Cała wieś! Pod sklepem tylko o tym gadają! Podobno masz całą górę pieniędzy. – Kusiakowa uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

– A co z klątwą? Że niby kto tu zamieszka...

– Rychło gniewu zmarłych doświadczy...

– Jasne, ale dlaczego?

– No, babka mówili, że jak tu kiedyś były takie zamieszkałe ludzie, to oni wyli i jakieś

zło tu się zaległo... I oni to zło topili, utopcom dawali na pożarcie. I tak wyło, wyło, że...

Normalnie utopce to ich zjadali w tej wodzie. Tak co rano dawali im ludzi na pożarcie.

– Kąpali się?

– E tam, latem to jeszcze by uszło, ale i zimą też takich nieszczęśników w wodę

wsadzali... A to wyło... Niosło się, że ho, ho! No, a potem wojna przyszła i już nie dawali ludzi utopcom, ale po wsi mówią, że jak kto tu teraz zamieszka, to one się upomną, bo do żarcia ludzi się przyzwyczały, no i nazwa stąd...

– Może tu chodzi o hydroterapię? Kiedyś rzeczywiście... Ale dajmy spokój wymysłom.

– Michał przerwał krwawe bajania Kusiakowej. – Mnie zastanawia ten ślub.

– Zaraz! To o to chodzi! Mam! – pisnęła pani Stasia jak otumaniona nastolatka na koncercie Biebera. – Dostaniesz spadek, jak wyjdiesz za mąż! Wtedy dopiero!

– Nie no, co pani? Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Nikt już tak kobiet nie traktuje, a poza tym to by znaczyło, że pół wsi chce, żebym dostała spadek, a druga połowa chce mnie zamordować, tak?

– To by się trzymało kupy. – Jasiek, który do tej pory przysłuchiwał się tym dywagacjom, roześmiał się złośliwie. – Chłopy chcą się z tobą żenić, a baby cię załatwić! Całkiem logiczne.

– Nie do końca. Połowa bab ma synów na wydaniu, a tu dziewuch jak na lekarstwo...

Widziałaś tych pod sklepem, co jeden to kawaler!

– Im by się bardziej mydło przydało niż żona – mruknęła z obrzydzeniem Dagmara, przypominając sobie kwiat utopieckiej młodzieży, cuchnący tygodniowym piwem i rocznymi skarpetkami.

– A tam! – obruszyła się Kusiakowa. – Toż to chłopy! Nie do wąchania są!

W obawie przed zbyt drastycznymi opisami nikt nie jej zapytał, do czego właściwie służą mężczyźni, szczególnie ci spod sklepu, ale sama Kusiakowa pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Do gnoju pójdzie, to co? Pachnieć nie będzie, ale po co ma mydło marnować, kiedy jutro znów idzie? A szambo? A opryski? A chlew, obora? Chłop musi śmierdzieć, inaczej jest nierób i już!

– Kusiakowa! To co, ja niby nierób jestem? – Jasiek aż prychnął wściekły.

– Rób, jesteś, rób – mruknęła pojednawczo. – Ino taki bardziej nienormalny... Nie dalej jak wczoraj sama widziałam, jakżeś mokry z łazienki wyłaził.

– Kapałem się – odparł chłopak, wzruszając ramionami.

– No właśnie, a widzisz? Przecie to wtorek był!

Dźwięk telefonu wyrwał wszystkich z rozważań nad tą zagadką higieniczną. Kinga wyjęła komórkę z kieszeni spodni.

– Słucham – rzuciła dość nieprzyjemnie w słuchawkę. – Nie. Mowy nie ma. Nawet o tym nie myśl.

Skończyła rozmowę.

– No co tak na mnie patrzycie? – Dziewczyna rozejrzała się dookoła. – To Adam, ale nie chciało mi się z nim gadać.

– Adam to twój brat? – zagadnął Jasiek przebiegle.

– Oj, dobra, nie zaczynaj! Brat, nie brat, w każdym razie dupek.

– Jak tak, to okej – odparł chłopak, bardziej już zadowolony. – To co? Powynośmy wreszcie te starocie na dół, a ja jutro przyjadę zabrać je do spalenia. Ruszajmy się.

Pomysł sprzątnięcia ruin wyszedł od Michała. Nie był to może najbardziej romantyczny sposób spędzania czasu, ale pozwalał mieć wszystkim mniej więcej na oku.

Znoszenie starych drzwi i połamanych krzeseł dawało im trochę zajęcia, choć miało też inny cel.

– Może gdzieś znajdziemy ten przeklęty testament – rzuciła z nadzieją Dagmara.

– O ile tu jest, ktoś nie wykradł i jeśli w ogóle tu był. Testamenty nie leżą ot, tak sobie

po szafach czy szufladach, przechowuje się je u prawników. Zresztą po co ci on? – zapytała zaciekawiona Andżelika.

– No, żeby się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– To znaczy, że jak coś, to ciach i wyjdiesz za mąż, żeby tylko dostać forszę? – zagadnęła Kinga.

– Forsa to forsa – mruknęła Andżelika, biorąc Dagmarę w obronę. – Nie da się bez niej żyć, a miłość... Rzecz przyjemna, ale niekonieczna.

– I istnieją rozwody...

– A niech cię pan Bóg broni! – wrzasnęła z kuchni Kusiakowa. – Rozwody? Skaranie boskie!

Coś gruchnęło.

– O matko jedyna, Józefie święty, lustra zasłaniać, okna zamykać, gromnicę palić!

Piorun wpadnie... Kulisty! Otwarte okno go skusi...

– Oj tam, oj tam... Nie ma co zamykać okien, przez wybite też może wlecieć...

Na dworze znów rozszalała się wichura, ale tym razem coś zaczęło dudnić i walić.

Z nieba sypnął grad. Psy z piskiem wdarły się do domu i padły przy drzwiach jak dwa parujące, śmierdzące mokrą sierścią dywaniki.

Przed dom zajechał samochód. Czarny. Wielki. Zagraniczny. Kierowca nie miał chyba zamiaru wysiadać, bo tylko otworzył okno i zawołał z dziwacznym akcentem. Usłyszeli samą końcówkę.

– I zabity? Zabity si?[6]

– Nie! – warknęła wściekle Dagmara. – Nikt nie jest zabity! Nie si! Nie teraz! Mam dość... – Stała przez chwilę jak skamieniała. – Mafia! – wrzasnęła. – Cygańska!

– Zabity? Si? Si? – kontynuował domniemany mafioso, gramoląc się z auta. – Gza zje?

Gza zje?

Był dość wiekowy, niski, łysy i w niczym nie przypominał gangstera.

– Gza zje i zabity? To znaczy, że ktoś zjadł gza i został zabity? Za gza? Kusiakowo, to do was! Jak nic, to ten, co dzwonił, żeby nas pani wytruła?

– Truła? – zapytał mafioso.

– Utopcie?! Truła utopcie?! – zawołała siedząca obok niego kobieta.

– Chce, żebyśmy ich utopili czy żeby pani truła?

Kusiakowej nie trzeba było dwa razy powtarzać.

– To ony! – krzyknęła. – To na pewno ony!

Złapała leżący na desce tasak, którym usiłowała się bronić od piorunów, i ruszyła na mężczyznę.

– O skur![7] – zareagował tamten.

– I jeszcze klnie! – oburzyła się Kusiakowa, dobiegając prawie do drzwi samochodu.

Pewnie by ich dopadła, gdyby nie kolejna błyskawica...

– O skur – jękliwie klął nieznajomy. – Gza zje! O skur...

– I to ma być ta twoja cygańska mafia? – zapytał Michał, z trudem opanowując czkawkę ze śmiechu. – Chyba raczej francuska.

– Wszystko jedno jaka – zaperzyła się Daga. – A skąd ty to wiesz?

– Przecież słyszę, jak biedak pyta, czy tu mieszka Ksawery. Ksawery to Xavier, a mówi się Gzawje...

– I klnie?

– On woła pomocy... *Au secours* to „na pomoc”.

Kusiakowa stanęła jak wryta.

– Francuzy? – powtórzyła pełnym obrzydzenia głosem. – Tutaj? O matko jedyna,

skaranie boskie! Toż to koniec świata! Zgorszenie siać będą! To Francuzy! – kobieta zawodziła, jakby przynależność do tego narodu była gorsza od wszelkich zbrodni i chorób wenerycznych

razem wziętych.

– Chłopy z chłopami, baby z babami, robale jedzą i wódki nie piją!

– Zaraz, zaraz! – zawołał Michał. – To ta cygańsko-ruska mafia? Ta straszna mafia ze Słodkowa? Dagmara, ty chyba na głowę upadłaś! Jeżeli to oni tak cię wystraszyli, to jesteś niespełna rozumu! Ci Francuzi to znajomi dziadka, a nie żadni gangsterzy.

Chłopak podbiegł do samochodu, po czym długo i zawile tłumaczył coś przybyszom za pomocą rąk. Wyglądało to jak osobliwy taniec wielkiego pająka, bo używał też nóg i podrygiwał.

– Ten francuski musi być strasznie skomplikowany – stwierdziła zgryźliwie Daga.

– Owszem, ale jeszcze bardziej skomplikowana jest droga na plebanię dla kogoś, kto nie zna okolicy. Tu nie ma żadnych punktów orientacyjnych.

– A po co im tłumaczyć, do diabła lepiej ich wysłać! Francuzi... No, normalnie nieszczęście. A jak tak kogoś wezmą i spaskudzą?

– Pani Kusiakowa! To ludzie, nie utopce!

– A robale żrą? Żrą! Pająki i takie inne ślimole... Takie z ogródka też, sama żem słyszała w telewizji... I zgniły ser, i węże, i takie z wody z łapami... Ośmioma! Ale może proboszcz się ucieszy, bo mu ostatnio ślimaki kapustę wyżerają.

\*

Sprzątanie trzeba było odłożyć, choć część starych połamanych mebli, drzwi, szafek, a nawet jedno okno zwalono już w korytarzu tuż obok wejścia.

Deszcz lał przez całe popołudnie. Wieczorem zamienił się w gęstą mżawkę, ale z drzew przy najlżejszym nawet wietrze spadały całe potoki wody. Noc nadeszła niepostrzeżenie.

Andzelika gdzieś zniknęła, jak to ostatnio miała w zwyczaju.

Kinga wzięła parasol i poszła na spacer.

– W taką pogodę? – zapytała Kusiakowa, która prawie się już do nich przeprowadziła, zajmując jeden z porządniejszych pokoi. Nie chciała zostawiać ukochanej bimbrowni na pastwę

losu, a dokładnie niedopitych sąsiadów.

– Pewnie się z kimś umówiła – stwierdziła Dagmara. Pytające spojrzenie Jaśka wywołało drwiący uśmiech na jej twarzy.

– Tutaj? Oszalałaś? Z kim? – zapytał, jakby w tej konkretnej wiosce nikt nigdy z nikim się nie umawiał.

– Adam dzwonił – odpowiedziała z tym rodzajem niepotrzebnego okrucieństwa, który pojawia się zawsze, kiedy człowiek jest nieszczęśliwy, samotny, rozczarowany i musi komuś dokopać, żeby poczuć się odrobinę lepiej.

Dagmara była bardzo rozczarowana Filipem. W zasadzie nic jej nie obchodził, prawie zupełnie się odkochała i w ogóle miała go naprawdę gdzieś, ale zdrada? Tego rodzaju nielojalność mimo wszystko bolała. I te jego dzieci? Jak on śmiał je mieć?!

Przez chwilę się zastanawiała, czy na pewno są jego i czy cała ta historia nie jest wymysłem dziadka, tej potwornej pani Stasi i oczywiście Kusiakowej... No bo samego Filipa właściwie nie pytała, a może powinna?

Była na siebie zła. Z jednej strony zdawała sobie sprawę, że dała się podejść, z drugiej naprawdę miała dość Filipa, z trzeciej, o ile istniała trzecia strona, zaczynała się znowu zadurzać.

Tym razem w Michale. Czuła to dokładnie.

– Jak to, Adam dzwonił? – zapytał Jasiek z miną skrzywdzonego szczeniaka.

Dagmara postanowiła znów mu dokopać. Owszem, tylko dlatego, że był pod ręką, ale jednak.

– A co? Nie miał prawa? – odpowiedziała wrednym głosem i niewiele się zastanawiając, poszła do swojego pokoju. Od czasu wyjaśnienia hydraulicznego pochodzenia chichotu dziewczyny znów spały osobno. Nie bez znaczenia były też obolałe kości i chrapanie Kingi.

\*



Adam odprowadził Kingę pod drzwi i niespiesznie wracał do zostawionego na drodze samochodu. Znał teren i właściwie niczego się nie bał, ale miał niejasne wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Schylił się, by podnieść z ziemi jakiś kij na wypadek ataku, i tak już został. Coś przygniotło go do ziemi i zaczęło wlec przez trawę i krzaki. Sapało. Było wściekłe. Kiedy tylko usiłował się podnieść, trafiały go kolejne ciosy.

– Ratunkuuu! – krzyknął, ale agresor walnął go pięścią z taką siłą, że rozkwasił mu górną wargę. Potem nastąpił cios w ucho. Jeden, drugi i kolejne.

Słyszał tylko pomruki wielkiego i groźnego napastnika.

Zwierzę? Adam nie miał wątpliwości, że jednak nie. To było coś o wiele groźniejszego.

Zaciągnęło go w jeszcze gęstsze zarośla, podbiło oko, głowę by sobie dał uciąć, że kopniakiem, a potem wrzuciło do wody.

Usiłował wstać, ale bał się poruszyć.

– Ani mi się waż – powiedziało grobowym głosem i łupnęło go po plecach jakimś drągiem. – No!

Padł kolejny cios, w wyniku którego najwyraźniej złamał się kij. Kroki zaczęły się oddalać. Wtedy Adam przyjrzał się napastnikowi ukradkiem i zadrzał.

Chłopak wydostał się z bajora, dowlókł się do samochodu i tam zasnął. Nie chciał wracać w takim stanie do domu. Rano na skraju drogi zatrzymał się radiowóz. Policjanci przez dłuższy czas nie mogli uwierzyć, że Adam żyje.

\*

Kinga wróciła późno w nocy. Nie zamierzała nikogo o tym zawiadamiać. Nie zapaliła nawet światła. Klucze miała ze sobą.

– Gdzie byłaś, kretynko? – przywitał ją wściekły głos Dagmary. – Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że tu grasuje morderca?

– Byłam z Adamem! – odpowiedziała dziewczyna trochę piskliwym głosem. –

Przyjechał po mnie. Nic mi nie groziło!

– To dlaczego nic nikomu nie powiedziałaś?

– Bo nie spowiadam się całemu światu ze swojego życia – wyjaśniła. – A poza tym mam prawo robić, co chcę!

– A Jasiak? – bezczelnie zapytała Dagmara, wiedząc, że wkurzy tym Kingę.

– Czy ja jestem do niego przypisana jak chłop do ziemi? Chciałam się czegoś dowiedzieć, dla ciebie – wyjaśniła Kinga. – Na temat Filipa. Adam twierdzi, że to wszystko bzdury, że on nie ma żadnych dzieci i że kocha cię najbardziej na świecie. Podobno ostatnio wypłakiwał się Adamowi w rękaw, że wszyscy są przeciwko niemu i że ty ich słuchasz, a jego nie chcesz... No, co prawda, to prawda, nie? I że on zrobi sobie krzywdę, jak za niego nie wyjdiesz.

– Szantaż emocjonalny!

– Nie do końca, bo jakby tak wszystko podsumować, to Adam może mieć rację.

Wszystko się sprzysięgło przeciw Filipowi. Patrz. Dwa trupy, dzieci, napad, zamieszanie w stodole, nawet aresztowanie i co? Zawsze to on jest winien, prawda?

– A spadek? – zapytała Daga.

– To może też być tylko gadanie, żeby cię zrazić. Dziadek nie cierpi Filipa, pani Stasia również. A Michał... On w tym wszystkim jest najbardziej podejrzany. Łazi za tobą jak ciele i za dużo wie... – Kinga umilkła na chwilę. – Niby taki dobry znajomy Filipa, niby miał tu być przez przypadek, a wygląda na to, że zna dziadka.

– To jeszcze nie powód do podejrzeń, przecież ty też go znasz – obruszyła się dziewczyna.

– Tak, ale on go zna za dobrze. I jeszcze ten francuski... Sama spójrz, wszystko sprzysięga się przeciw Filipowi. Spadek – żeby pokazać zachłanność, dzieci – żeby udowodnić

zdradę. Kusiakowa, ksiądz i cała reszta robią to specjalnie. Mam! A Kusiakowa nas straszyla wcale nie z powodu bimbrowni, tylko żeby pokazać Filipa jako strachliwego dupka. I ktoś go chciał zamordować. Filipa, nie Krychę, tylko się pomylił.

– Przecież oni tak bardzo się różnią! – zaproponowała Daga.

– Okej, ktoś chciał zabić kogokolwiek, żeby było na Filipa.

– No wiesz, aż tak to chyba nie... On nie jest ze złota.

– Już wiem! Dziadek chce cię na siłę wydać za Michała! O! Po to ta cała intryga.

Dlatego kazali ci tu przyjechać i stąd te ruiny! – Kindze najwyraźniej wszystko zaczęło się układać.

– Teraz to już bredzisz. Piłś coś? Przecież te ruiny to koszmar! – przypomniała Daga.

– Ale jaki romantyczny. Stary szpital, demony, bandyci...

– I gdzie tu romantyzm?

– W Michale! Ratuje cię z opresji, więc się w nim zakochujesz.

– Niedoczekanie – warknęła Dagmara. – Ja im jeszcze pokażę! Romantyczne ruiny...

Dziadek chyba naprawdę zwariował, ale ten proboszcz?

– To proste! Jest pod ręką, żeby natychmiast udzielić wam ślubu.

Dagmara słuchała koleżanki jak zaczarowana. Właściwie sprawa zaczynała się wyjaśniać.

W Słodkowie dziadek zrobił, co mógł, żeby pojechała za nim, inaczej by się nie zgodziła. Mafia?

To jego znajomi... A więc to tak? Obłąd! I to wszystko, żeby wydać ją za Michała?

– A jeżeli właśnie o to chodzi? Jeśli jakiś jego znajomy powiedział, że da ci spadek,

o ile wyjdiesz za jego wnuka, a tym wnukiem jest Michał?

Dagmara poczuła się mniej więcej tak jak Mia Farrow w *Dziecku Rosemary*. Co prawda

nie zaszła w ciążę z diabłem, ale reszta się zgadzała. Otaczała ją wielka pajęcza sieć intryg,

oszustw i kłamstw. Wszyscy byli przeciwko niej. Matka też brała udział w zмовie, a Michał...

On odgrywał rolę szatana. Mało brakowało, żeby się w nim zadurzyła. A właściwie jakby już się

w nim zakochała. Ale wobec takiego obrotu spraw... Mowy nie ma!

– No a Jasiek? – zapytała, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie chciała wyjść na idiotkę, więc nie mogła poinformować Kingi o stanie swoich uczuć.

– Jasiek? Jest w zмовie. Podobnie jak cała wieś, wszyscy!

– A Kusiakowa i grzyby?

– Dziadek kazał jej udawać, że nas truje.

– Andżelika?

– Nie, ona chyba nie. Przecież Filip zabrał ją tylko po to, żeby zaopiekowała się dziadkiem, zresztą co by miała mieć z tym wszystkim wspólnego? Nie urażając nikogo, ona jest po prostu kretynką – stwierdziła Kinga obcesowo. – Chociaż... Sama nie wiem. Najchętniej bym stąd uciekła.

– Dobra! Pakujmy się i spieszajmy. Dokądkolwiek! – Do takiego wniosku doszły rankiem, kiedy nieprzespana noc zaczęła sprawiać, że wszędzie widziały ludzi z nożami i mordercze potwory. – Tylko po cichutku.

Powoli zaczęły przekradać się do drzwi. Pewnie zrealizowałyby swój plan, gdyby nie pukanie.

Daga otworzyła. W drzwiach stał dziadek.

– A więc to tak! – krzyknęła wściekła. – Więc to wszystko zostało ukartowane?

– Ale o co ci chodzi? – wyjąkał niepewnie, zupełnie nie spodziewając się ataku, a już najmniej o tej porze.

– Michał jest wnukiem twojego znajomego? Zgadza się?! – Dziewczyna nie przestawała wrzeszczeć. – Odpowiadaj!

– No tak, ale... – wykrztusił dziadek trochę niepewnie. Wiedział, do czego zdolna jest Dagmara, i doskonale znał jej charakterek, w końcu była jego wnuczką, ale nie spodziewał się aż takiego wybuchu.

– Wiedziałam! – zawołała triumfalnie. – Nigdy za niego nie wyjdę. Wybij to sobie z głowy, ty swacie od siedmiu boleści.

Nie było już sensu uciekać, zresztą nie miały jak. Wszyscy się pobudzili i zaczęli wychylać się z pokoi.

– Nigdy w życiu! Rozumiesz? Wyjdę za Filipa, czy tego chcesz, czy nie! – dodała mściwie. Sam pomysł sformalizowania związku z narzeczoną już jej nie kusił, ale możliwość zrobienia dziadkowi na złość – owszem.

– Ależ dziecko... – Starszy pan wobec furii Dagmary stracił siłę przebicia.

– Nie dzieckuj mi tutaj! To moje życie, moja sprawa, moja... mafia?! – krzyknęła, widząc, jak za dziadkiem wchodzą do domu ich wczorajsi goście. Miny mieli dość niepewne, jakby trochę przestraszone.

– Jaka mafia? W coś ty się, dziecko, wpakowała? – jęknął dziadek.

– W co ty mnie wpakowałeś! Rozumiem, pieniądze, spadek, wszystkie te głupie podchody, ale żeby mordować? Jak ci nie wstyd!

– O co chodzi i dlaczego właściwie za mnie nie wyjdiesz? – Michał wystawił głowę ze swojego pokoju, po czym zagadnął grzecznie mafiosów: – *Oh, bonjour, ça va?*

– Zamknij się, sprzedajny debilu! – wrzasnęła Daga. – Ty, ty... ty pieprzony najemniku!

Łowco posa... tfu, spadków... Zamknij się. Dziadku, jak mogłeś?

– Nikogo nie mordowałem!

– Może nie osobiście... Wynająłeś Kusiakową.

– A, to tak! – Starszy pan się ucieszył.

– Żeby nas truła?

– Nie wiedziałem, że aż tak źle gotuje... Ja nie narzekałem...

– Co tu się dzieje? – Od drzwi wejściowych dobiegł nieco stłumiony głos Filipa.

– A ty czego jeszcze chcesz? – warknął Michał.

– Nie twój interes. – Filip wtoczył się do domu z wielkim bukietem kwiatów. – Ja do

Dagmary! – Niespodziewanie padł na kolana, zwracając się do dziewczyny: – Kochanie, czy wyjdiesz wreszcie za mnie?

W tym momencie Dagmara miała bardzo małe pole manewru. Odmówić to poddać się dziadkowi, zgodzić się to być może wpakować się w faceta z alimentami...

– Nie wiem – odparła bardzo zgodnie ze swoim sumieniem. – Muszę się zastanowić.

– Ależ kochanie! Nie ma na to czasu! Ty za dwa miesiące kończysz dwadzieścia siedem lat! Musimy się jak najszybciej pobrać!

– A co ma do rzeczy mój wiek? Chodzi ci o to, że jestem starą panną?

– Ależ skąd, nie, to znaczy tak, ale w sumie... No bo widzisz... To ważne... Tak jakby...

– Filip kompletnie się zaplątał.

– *Cent ans, cent ans... Happy birthday tooooo you!* – zaintonowała mafia.

– No to co, kochanie? Kiedy? Za miesiąc to całkiem dobry termin.

– Za wcześnie. Dlaczego nie za pół roku?

– Bo wszystko się... Nie, to zdecydowanie za późno.

Walenie do zdezelowanych drzwi nikomu nie poprawiło humoru.

– Policja – odgadła Kusiakowa. – Oni zawsze tak.

Stojący za drzwiami aspirant był lekko zakłopotany i nieco strapiony. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

– Co się stało? – jęknęli wszyscy. – Zwłoki? Kolejne?

– Nie, ale prawie. – Funkcjonariusz wskazał samochód, w którym siedział nie kto inny jak Adam, mokry, potwornie posiniaczony i wystraszony. – Ktoś go pobił, ale facet nie chce powiedzieć kto. Twierdzi, że się potknął.

– Na pewno Jasiek mu wpieprzył – rzucił Filip, ale policjant pokręcił głową.

– Niemożliwe, był z nami na akcji przeciw kłusownikom. Nic z tych rzeczy. A może

któreś z was?

– A gdzie tam! Po co miałbym bić obcego faceta? – mruknął Michał. – Nawet nie wiem, kto to jest.

– Chłopak Kingi – pospieszyła z wyjaśnieniem Dagmara.

– A... ja... o... – Kusiakowa jakby czymś się zadławiła.

– Pani go tak załatwiła? – Policjant otworzył szeroko oczy. – Czym? Kłonicą czy sztachetą?

– Niczym, ale mogę nadrobić! – warknęła. – Jeszczem go nie tknęła. Jeszcze! Już się zaczyna. Zaraza, mówiłam, francuska zaraza.

– Chodzi o chorobę weneryczną? – Policjant złapał się za głowę i aż usiadł, po chwili jednak wstał z krzesła, otrzepał spodnie i starannie wytarł ręce chusteczką.

– Wampiryczną? – Kusiakowa jak zwykle dodała dwa do dwóch. – Że niby krew wysysają?

– Niczego nie wysysają, Kusiakowa! To żeście go pobili czy nie? A jak nie wy, to kto?

– To te Francuzy?

– Przestańcie, przestańcie! Dość tego! – wrzasnęła Dagmara. – Może to Kark?

Andżelika zachichotała lekko i trochę się zaczerwieniła.

– To nie on – stwierdziła. – Był ze mną. W pokoju! Zresztą nadal tam jest, wstydził się, więc wolałam wprowadzić go po cichu.

– Bezwstydnica! – Kusiakowa zrobiła się cała czerwona. – Co teraz za ludzie? Same bezwstydlivce! A może naprawdę się potknął o co albo o kogo?

– Jasne – westchnął aspirant Kotek z niedowierzaniem. – Musiałby się potknąć o walec, grabie, siekierę, kłonicę i wpaść do jeziora jednocześnie! Popatrzcie, jak on wygląda!

– A co pan taki niedowiarek? Jak mówi, że się potknął, to znaczy, że tak było – mruknął Jasiak. – Co innego pozostaje?

Wiedziony instynktem wszedł właśnie wraz z matką do kuchni. Zbyt dużo się działo, żeby nie chciał zobaczyć, po co takie tłumy nagle zjawiają się w ruinach.

Policjant wzruszył ramionami. Nie wierzył w ani jedno słowo, jakie tu usłyszał, ale też nie miał podstaw do interwencji. Potknął się czy nie, nie chciał nikogo pochopnie oskarżać. Nie pozostawało nic innego, jak tylko zamknąć całą sprawę i odwieźć chłopaka do Zamościa.

Zdecydowanie powinien go obejrzeć lekarz.

– Dziwne, nie? – zapytała Kinga zaskoczona, że Adam nie wysiadł z radiowozu, żeby się z nią przywitać, i wyraźnie udawał, że jej nie zna.

– Czemu? Ktoś mu wpieprzył i tyle.

– Ale dlaczego nie chce się przyznać i twierdzi, że się potknął?

– Bo oberwał od baby. – Kusiakowa wzruszyła ramionami. – Tylko nie wiem której, bo Fudasiowa jeszcze siedzi w areszcie. Za niego. Już raz go sprąła.

Jasiek usiadł za stołem i przez chwilę się zastanawiał.

– Co powiedział ten policjant? Że musiał się potknąć o walec, grabie, siekierę, kłonicę i wpaść do jeziora? Dziwne to... Mamo, co ty wczoraj robiłaś nad wodą?

– Ja? Nic? – odpowiedziała kobieta. – Tak sobie poszłam... To znaczy nie poszłam...

– Gumiaki pełne wody widziałem w sieni. Byłaś tam.

– No i co? Nie wolno mi?

– Owszem, ale...

– Oj, ty zaraz coś będziesz kombinował. Poszłam, nie poszłam, co ci do tego?

– Złamane grabie.

– Złamały się! Same!

– Nocą? Mamo?!

– Co „mamo”?! Co „mamo”?! Mogły się złamać! Ze starości!

– I fartuch...



- Też się złamał? – wtrąciła niewinnie Kinga, ale natychmiast zamilkła.
- Jak mogłaś?! – wrzasnął Jasiek.
- Kiedy ja nic nie zrobiłam – zaproponowała Kinga, odsuwając się profilaktycznie w kąt.
- Naprawdę...
- Do ciebie mówię, mamó! – Jasiek był czerwony ze złości. – Napadłaś tego biedaka?
- Przecież mogłaś go zabić!
- A tam. Trochę go poturbowałam, ciut podtopiłam, ale sam widziałeś, że nic mu nie jest.
- Podbite oczy, spuchnięta warga, krew na głowie – wymieniała Dagmara sarkastycznie. – Rzeczywiście nic.
- A co? Żony Jaśkowej pilnowałam przed zakusami. W prawie byłam! Szczęścia synowego broniłam! Matka jestem!
- Boże. Mamó... – jęknął chłopak. – Dałabyś spokój!
- A nie dałabym! A co? Nie i koniec! Nasza jest. – Kobieta wskazała ubezwłasnowolnioną Kingę.
- Ale po co było sobie tyle zachodu robić... – Kusiakowa wydeła usta z pogardą. – To niedoszły zięć Fudasiowej, teraz żeniaty z najstarszą Walczakówną.
- Czemu niedoszły?
- Bo nie doszedł do siebie po tym, jak go sprząła za wiarę!
- To Adam ma żonę? – Kinga nie potrafiła ukryć zaskoczenia. – Pewnie dlatego wciąż żre tę cuchnącą lukrecję!
- Co? – zdziwiła się Andżelika.
- Bez przerwy. Wiesz, jak śmierdzi lukrecja? Potrafi zagłuszyć każdy zapach. Pewnie żuje to świństwo, żeby żona nie wyczuła wody albo cudzych perfum... Ale że ma żonę? – zdziwiła się jeszcze raz Kinga. – Naprawdę? Nie podejrzewałam go o to.

– No cóż, widzę w tym jednak coś dobrego. – Jasiek uśmiechnął się ponuro, tym razem do matki. – Ja na ciebie nie doniosę, on się nie przyzna, a wszyscy i tak pomyślą, że mu żona wpieprzyła. Walczaki są nieobliczalne...

– Zaraz, zaraz. – Dagmara nagle jakby ocknęła się z odrętwienia, odsunęła Filipa, który jakiś czas temu wstał z klęczek, nie widząc efektów romantycznego gestu. – Adam jest żonaty? A ty? Czy ty masz jakieś dzieci?

Pytanie padło dość obcesowo i chłopak wyraźnie nie był na nie przygotowany.

– No coś ty, tylko jedno! – odparł zupełnie szczerze i rozpętała się burza. O wiele gorsza od tej meteorologicznej.

– Ty oszuście! – wrzasnęła Kusiakowa. – Drugie w drodze!

– A nie mówiłem?! – krzyknął dziadek.

– *Oui, oui* – potakiwali Francuzi, nie mając pojęcia, o co chodzi. Po chwili, widząc, że rozmowa niebezpiecznie zbliża się do rękoczynów, zaczęli wołać profilaktycznie: – *Non, non!*

Z pokoju wyszedł Kark.

– Wracasz czy nie?! – zawołał do Andżeliki. – Bo sam nie daję rady!

– O Matko Boska! Łonanizuje się! Przy ludziach. – Kusiakowa wyciągnęła straszny wniosek. – Jeszcze łosłepnie! Bezwstyd i skaranie boskie! Zaraza.

– Co ty znowu wyprawiasz, durna dziewucho?! – warknął Michał, patrząc wściekle na Andżelikę. – Mało ci Piotrka?

– To łona z łoboma? – Kusiakowa złapała się za głowę. – Bezwstydnicza.

– Kiedy ja tylko chciałem, żeby mi pomogła w rozbieraniu.

– Andżelika?!

– No co? Czego się czepiasz, debilu? – Dziewczyna wyraźnie nie wiedziała, co powiedzieć. – Pomagam mu.

– Rozbierać to on sam się potrafi! – wrzasnęła Kusiakowa. – I łonanizować!

– Chodzi o rozbiór! Rozbiór zdania! Gramatyki go uczyć, bo mu się zachciało do technikum iść.

– Ty? – Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Andżeliki. – Ty uczysz go gramatyki?

– Skończyłam polonistykę. Na Jagiellonce.

– O kurde – sapnęła Dagmara. – Ty?

Zamieszanie robiło się coraz większe.

– O co chodzi? Że niby co? Nie mogłam?

– Przestańcie! – krzyknął Michał. – Andżelika to... To moja durna młodsza

siostrzyczka, co prawda cioteczna, ale jednak, a całe to zamieszanie na różowo to był kamuflaż.

No... Tak chciała i tak zrobiła.

– To ona nie przyjechała zająć się dziadkiem? Filip, powiedz coś.

Pytanie padło w pustkę. Po chłopaku zostały tylko kwiaty.

– Nie. Nie przyjechała zająć się dziadkiem, ale Filipem.

– A ty miałeś zająć się mną?

– W pewnym sensie tak.

Dagmara wstała i podeszła do starszego pana z taką miną, jakby miała ochotę go udusić.

– Jak mogłeś mi to zrobić? Nasyłać na mnie takiego osiłka? Takie nic? Takie... coś? –

Dziewczyna wyduła wściekle wargi. – I ja miałabym za niego wychodzić? Za męża? Wcale mnie nie znasz. W ogóle, wiesz? Nie spodziewałam się tego po tobie!

– Wychodzić za męża? – Dziadek wydawał się wyraźnie zdziwiony. – Za Michała?

– To przecież wnuk twojego przyjaciela!

– Wiesz, mam bardzo wielu znajomych, Michał rzeczywiście jest wnukiem jednego z kolegów i wynająłem go...

– Żeby się ze mną ożenił? Dziadku! To świństwo!

– Zamknij się. – Tym razem starszy pan wyraźnie się zezłościł. – Miał cię pilnować. To

były komandos i właściciel agencji...

– Towarzyskiej! – wrzasnęła Kusiakowa. – Toż to zgroza! Łobraza boska!

– Kusiakowo, wam tylko dupy w głowie – warknęła matka Jaśka niezbyt przyjaźnie. –

Opętał was seks, jak nic.

Kusiakowa przeżegnała się i splunęła przez ramię.

– Detektywistycznej – wyjaśnił Michał.

Francuz wyjął z ust fajkę, którą usiłował zapalić.

– *Oui, oui* – powiedział. – *Dietetique*.

Spojrzał na kuchenkę, na której przy całym zamieszaniu właśnie dogorywała

niezidentyfikowana zupa mleczna, teraz już kolorem i konsystencją przypominająca skwarek.

Ten widok uświadomił Dagmarze jeszcze jedno. Złapała się za głowę.

– Andżelika! Czyli ty nie będziesz pracować u dziadka? O Boże!

Nagle uświadomiła sobie coś, co od dawna nie zaprzętało jej myśli. Gospodyni! Skąd ona

weźmie pomoc dla dziadka? Prawie się rozpłakała, ale to nie był czas na załatwianie takich

drobiazgów. Postanowiła, że teraz zamorduje starszego pana, potem znajdzie mu gospodynię.

– Ale dlaczego miał mnie pilnować? Po co, dziadku? – jęknęła płaczliwie, wracając do

tematu.

– Tak na wszelki wypadek. Bo ten Filip to jakoś mi się nie podobał.

– Jakoś? – Pani Stasia aż poderwała się z krzesła. – On się chciał z nią żenić!

– Straszna zbrodnia – odpowiedziała jej Dagmara bezczelnie. – To co? Mam zostać

starą panną? Tak jak pani?

– O, wypraszam sobie. Ja nie jestem starą panną! – Kobieta wypięła dumnie pierś.

– To kim? Wdową?

– Wypluj te słowa! Ksawery jest zupełnie zdrowy, głupia dziewucho! – Pani Stasia

odpukała w blat stołu, wprawdzie malowany, ale nie miała niczego innego pod ręką.

– Ksawery?! – Dagmarę zatkało. – Dziadku, o czym ona mówi?

– No cóż, pobraliśmy się jakiś czas temu – odparł mężczyzna trochę niepewnym głosem. – Nie było okazji ci powiedzieć.

– Jezus Maria – wymamrotała słabym głosem dziewczyna i się rozplakała.

Były to bardziej łzy wściekłości niż rozpaczy. Filip? Od jakiegoś czasu patrzyła na niego nieco niechętnym wzrokiem, ale kładła to na karb nieodwołalności pewnych decyzji, w tym tej o ślubie. Gdyby nie całe to zamieszanie, pewnie mimo wątpliwości i tak by za niego wyszła. Teraz musiała sobie wszystko poukładać.

Dwa trupy, agencja detektywistyczna, zdrada własnej matki i małżeństwo dziadka z potworem z Loch Wyznica... Sama nie wiedziała, co było najstraszniejsze. Może po prostu wszystko razem? Przecież tak naprawdę oni to ukartowali, zaplanowali i starannie ukrywali właśnie przed nią.

– Czy nie przyszło wam do głowy, że mój ślub z Filipem mimo wszystko byłby bardziej naturalny niż wasz? – Daga rozchlipała się na dobre. – Czemu tak bardzo wam przeszkadzał? Po co to wszystko?

– No... hm, chodzi o spadek – odparł uroczyście dziadek. – Przecież nie mogłem pozwolić, żeby taki ktoś ożenił się z tobą dla pieniędzy.

– Ty akurat nie masz tu nic do pozwalania.

– On ma dzieci.

– Ty też, i wnuki! – warknęła Dagmara. – I jakoś ci to nie przeszkadzało...

W tym momencie przez korytarz szarą błyskawicą przemknął Bestia. Wpadł do kuchni, trzymając w pysku coś dziwnego.

– O Jezusie, znowu coś ukradł – jęknęła Kusiakowa, chwytając za chochlę.

– *Loup garrou! Loup garrou!* – pisnęli Francuzi, odskakując pod ściany z bardzo niepewnymi minami. Mężczyźni wreszcie udało się zapalić fajkę.

– Co wrzeszczą? – rzeczowo zapytała Kinga.

– Coś o wilkołakach... – odpowiedział usłużnie Michał.

– A, udziela im się – stwierdziła Dagmara. – Trzeba mu dać kiełbasy! Bestia, błagam, oddaj to.

– On ma w pysku rękę!

– No i dobrze – stwierdziła Dagmara. – Niech ją zakopie, zje, zrobi, co chce! Nic mnie to nie interesuje. Zupełnie nic.

– Ale to ręka!

– I co? Na pewno ukradł Jaškowi. Wynoś mi się stąd! – rozkazała psu z taką siłą i determinacją, że niewielka Francuzka, usłyszawszy jej wrzask, osunęła się po ścianie zemdlona.

Wszyscy rzucili się jej na pomoc.

W zamieszaniu, obrażony brakiem odpowiedniego smakołyku, Bestia wyszedł z kuchni i udał się, by ukryć bezcenną zdobycz w bezpiecznym miejscu.

– Powiedzcie mi wszystko od początku i wyjaśnijcie, co te francuskie mimozy tu robią

– warknęła Daga, siadając za stołem trochę uspokojona. – Tylko szybko i dokładnie.

– To moi znajomi, moi i Tytka – zaczął dziadek. – Właśnie oni zawiadomili mnie o jego śmierci i o spadku.

– Czyli powinni coś wiedzieć?

– Problem polega na tym, że każdy coś słyszał, ale nikt nie wie wszystkiego, to znaczy z naszej strony, bo tamci to chyba tak.

– Tamci? Dziadku? – Dagmara trochę się zaniepokoiła. Dotarło do niej, że całe zamieszanie mogło być wynikiem jakiegoś nieporozumienia albo, co gorsza, choroby...

– Sprawa z Tytkiem jest skomplikowana.

– Zdążyłam się zorientować!

– Chodzi o te kwestie z babcią?

– Mówiłem ci, że ona była narzeczoną Tytka.

– To jakim cudem została twoją żoną?

– W sumie z powodu tego cholernego domu. Przyjechaliśmy tu we troje na wakacje.

Tytek miał praktyki w zakładzie psychiatrycznym. Często brał dyżury. Atmosfera była ponura, ona się bała, pioruny waliły... Hm. Zaszła w ciążę.

Dagmara zmartwiała. Poczerwieniała, zbladła, a wreszcie zrobiła strasznie zdziwioną minę

– Przecież to niemoralne – wydukała.

– Oj tam. Myślisz, że to wasze pokolenie wynalazło seks? My też o nim słyszeliśmy. –

Dziadek wzruszył ramionami. – No i wszystko się rozeszło po kościach, Tytek uciekł do Francji, ja się ożeniłem, urodziła się twoja mama. Koniec opowieści.

– Nie. Raczej początek.

Dagmara długo patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, a w końcu odezwała się nagle, jakby wszystko zrozumiała.

– Wiem. Ta ruina to jest spadek. A właściwie jakaś cholerna klątwa. Zemsta.

Postanowił zniszczyć mi życie za to, że babcia się z tobą... – Dziewczyna zamilkła, bo nie wiedziała, jakiego słowa użyć. – No, tego, te sprawy... I mu się udało!

– Nie! Tytek był porządnym facetem, choć przyznam, że sam początkowo obawiałem się czegoś takiego, wiesz, znasz człowieka latami, potem długo go nie widzisz i wszystko się zmienia. Bałem się, że na przykład zapisał ci w spadku dług albo coś w tym rodzaju, dlatego wolałem nie opowiadać ci o tym za dużo, w sumie i tak nie wszystko jest do końca jasne, bo widzisz...

Z korytarza dał się słyszeć warkot, stukot kopyt i dyszenie.

Do kuchni zajrzało coś czarnego. Miało rogi i złośliwą minę.

– *Satan!* – krzyknęła Francuzka.

– Nie, koza – odparła Andżelika. – Lata po korytarzu, bo znów zapomniałam ją wydoić.

Przepraszam!

Koza była wściekła. Szarżowała z dzikim tętentem, usiłując wziąć na rogi większego od niej Precla.

– Uspokójcie te diabły! – ryknęła Kusiakowa.

Z korytarza dało się słyszeć przeciągłe wycie, potem trzask, huk i przeraźliwe piski bólu.

Dagmara wybiegła na korytarz i natychmiast zorientowała się w sytuacji. W jednym pokoju szalały dwa kłęby futra i Precel. Spod zawalonego łóżka wystawały różne strzępy i nieszczęsna śmiertelna kukła.

– Teraz już wiadomo, gdzie Bestia ukrywał swoje zdobycze – stwierdziła dziewczyna, wracając do jadalni z lalką pod pachą.

Francuzka znów spróbowała zemdleć. Jej mężowi fajka wyleciała z ust z wrażenia.

– Niech nie udaje, przecież to ich robota! – Dziewczyna rzuciła kukłę na stół.

Kusiakowa przeżegnała się ostentacyjnie. Mimoza jęknęła.

– *Oh, no! Oh, no!*

– Nie, to nie mogła być ich robota! – stwierdził kategorycznie dziadek. – To nie w ich stylu, poza tym kukła była wcześniej, widziałem ją. Sam się jej przestraszyłem, dlatego wyjechaliśmy.

– Francja! Domu! – powiedział Francuz. – *Catastrophe!*

Z krzykiem popędził za żoną do samochodu.

Dziadek wybiegł za nimi, wrócił, po czym wybiegł jeszcze raz, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Z jednej strony chciał uspokoić Francuzów, z drugiej Dagmarę. Po chwili znów pojawił się w jadalni.

– Bo widzisz, Tytek miał rodzinę. Rozumiesz? – powiedział w końcu zdyszany. – I ci ludzie też mają prawo do spadku. Sądzę, że dysponują lepszymi informacjami niż my, stąd całe



zamieszanie. Ja wiem tylko tyle, co od Richarda, że Tytek kazał nam tu przyjechać i dokładnie się rozejrzeć.

– I dlatego tu siedzimy? Dlatego kocujemy w tej cholernej ruinie? Jakiś wariat, jakiś świr, jakiś niespełna rozumu...

– O, co to, to nie! Pan Tytus był całkiem porządny – oburzyła się Kusiakowa.

– A pani co? Znała go?

– A czego miałam niby nie znać? Przyjeżdżał tu! Nawet niedługo przed śmiercią przyjechał, pochwalił, zapłacił...

– Za co, Kusiakowa?

– A za łopiekę nad kapliczką!

Wszyscy słuchali w milczeniu.

– Z tego, co udało się wyciągnąć od Richarda, wiem, że coś jest przepisane na moją wnuczkę. O ile nie wyjdzie za mąż przed ukończeniem dwudziestego siódmego roku życia.

– I to coś to ta ruina?

– Nie wiadomo, może nie?

– Więc Filip chciał się ze mną ożenić, żebym nie dostała spadku? Bzdura! W takim razie to nie mogła być ruina. Mówił, że będzie bogaty. Jeżeli to pieniądze, to bardziej by mu się opłacało poczekać te kilka miesięcy i wziąć ze mną ślub, po tym jak dostanę spadek, nie?

Wszyscy przytaknęli zgodnie.

– Może nie wiedział?

– Wykluczone. Przecież sam ostatnio wspominał, że niedługo kończysz dwadzieścia siedem lat.

– Czyli jak nie wyjdę za mąż, dostanę spadek. I może to być ruina. Super! Nie chcę jej, już wolę ślub.

– To ja jestem chętny – powiedział Michał, uśmiechając się pod nosem.

– Ty się zamknij! – odparła dziewczyna, czerwieniąc się. – Nie do ciebie mówiłam.

– No wiesz, mojego Piotrka ci nie dam! – odparła złośliwie Andżelika. – Jak się chcesz pozbyć ruiny, to bierz, co dają. Michał nie jest taki zły. – Dziewczyna roześmiała się, robiąc złośliwą minę do brata. – Uwierz mi, znam go czas jakiś! – dodała.

– Zaraz, zaraz, o czym wy mówicie?

– Jak to o czym? Oświadczają się sobie – odpowiedziała Kinga.

– A kto dziedziczy, gdybym wyszła za mąż?

– Jakaś dalsza rodzina, ale kto dokładnie, to nie wiem. Jakby poszukać w aktach parafii, okazałoby się, że mniej więcej trzy czwarte wioski jest ze sobą spokrewnione – westchnął dziadek. – Cała ta sprawa jest bardzo zagmatwana i niepewna, bo Richard słabo rozumie po polsku, a i pamięć trochę mu już szwankuje. Na wszelki wypadek musieliśmy cię pilnować!

– Cały tabun przyzwoitek? Tak? Pani Stasia, Andżelika, Michał... A ja przecież miałam wyjść za Pawła...

– No tak, ale się zwinął, zresztą wtedy jeszcze o niczym nie wiedzieliśmy. Przyznaj, że miałaś szczęście! – Dziadek wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

– Ty chyba oszalałeś? Rzucił mnie chłopak, następny okazał się oszustem, matka wysłała mnie na pastwę utopców, a ty i pani Stasia... Wszyscy mnie oszukiwali! Wszyscy! Nie no, dziadku! Ty to nazywasz szczęściem?

– Oczywiście, będziesz bogata!

– Nie zgodzę się na ruinę!

– I nie wyjdiesz za Filipa, to najważniejsze.

– Tak – zgodziła się bezwiednie. – Ale po co te morderstwa? To on mordował?

– Tytus? Niemożliwe! Z tego, co wiem, zmarł jakieś trzy lata temu.

– Jak to? – Kusiakowa aż się zachnęła. – Był tutaj jeszcze w zeszłym miesiącu, zapłacił za kapliczkę, powiedział, że dobrze się łąpiekuje... To duch był? O Matko Boska! – Kobieta

przeżegnała się i zaczęła biegać jak oszalała po kuchni i jadalni. – Duch prawdziwy! Demon!

\*

Po kilku godzinach doszli tylko do tego, że do niczego nie doszli.

– To my znikamy – oświadczyła nieco frywolnie pani Stasia. – Pójdziemy na plebanię.

Skoro już wszyscy wie-dzą o naszym małżeństwie, mogę zamieszkać z mężem, prawda?

Dagmara się wzdrygnęła, jakby spadła na nią tona zmrożonego śniegu. Nie mogła nic na

to poradzić. Po prostu nie wyobrażała sobie tego... albo przeciwnie, wyobrażała sobie aż za

wiele.

Kusiakowa zabrała się do przygotowywania obiadu. Michał oklapł, ale wyglądało na to,

że bardzo intensywnie się nad czymś zastanawia.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział w końcu, ni to do dziewczyn, ni to do siebie. –

Zupełnie nic. To jakieś pomieszanie z poplątaniem! Połowa wsi chciała się z tobą ożenić, bo

jesteś posażna, Filip chciał się żenić po to, żebyś nie dostała spadku, cała wieś nas stąd

wyganiała, jak tylko się dało... Ktoś zaczął mordować i wcale nie wiadomo, czy skończył. To

wszystko jakoś się ze sobą łączy, ale nie wiem jak. I po co?

– Dla pieniędzy? Jasne, ale skala mi nie pasuje.

– W sklepie, na ulicy, wszędzie ktoś nas straszył, wyrzucał, wyzywał albo namawiał do

małżeństwa. Tak jakby cała wieś była w zмовie – stwierdziła Kinga.

– A to niemożliwe? – zapytała Dagmara.

– Nie, jeżeli chodzi o pieniądze! Bić się? Normalne, sztchetami pracć, obmawiać,

obsrywać, plotkować za plecami – owszem, ale zrobić coś razem, żeby ktoś z tego miał korzyść?

Ktoś inny? Czy wyście oszaleli? Tu jest porządna polska wieś, a nie jakaś, tfu, hipisowska

komuna! – zawołał Jasek, wpadając jak burza do jadalni. – Ale co racja, to racja, coś w tym jest.

A to co za śmietnisko?

Wskazał leżące pod ścianą skarby Bestii, który wraz z dziadkiem i Preclem powędrował

na plebanię. Chłopak przez chwilę przyglądał się psim znaleziom. W końcu usiadł.

– Wiecie, trzeba zawiadomić policję, żeby to obejrzel.

Wszyscy zgodzili się z propozycją. Aspirant Kotek postanowił wysłać podwładnego, żeby zawiózł skarby do analizy.

– A może to prostsze, niż się wydaje? Może to tylko plotki? – podjął temat Jasiek. – No

bo jakby odjąć straszenie, propozycję małżeństwa, która wynikła z plotki o ciąży, i oczywiście utopce, to zostaje nie tak wiele. Ale dajmy sobie już spokój z tymi bzdurami! Rozerwijmy się.

Jest ciepło, lato, pogoda jak się patrzy, a wy siedzicie w tym kurniku niczym szczury! Byliście już nad Tanwią?

Wszyscy trochę się zmieszali, bo fakt faktem, nawet o tym nie pomyśleli.

– Nigdzie nie pójdziet – warknęła z kuchni Kusiakowa. – Obiad prawie gotowy, chyba

że na plebanii będzieta jeść, ale księdzowa gospodyni gotować nie umie. Cały czas tylko

normalnie jakby krowy karmiła! Sałata, buraki, marchew... Wciąż powtarzam, że ona tego

biedaka głodem zamorzy. I tłuszcz od szynki odcina, a do zupy to nawet zasmażki nie chce jej się zrobić, a ja wam tu boczku upiekłam. Tłusciutki, że przyjemnie patrzeć.

Niemy krzyk jednej czy drugiej wątroby przeszedł bez echa.

– I ziemniaczki z tłuszczkiem! O! I komput z rumbarbaru!

– Chyba z Rumburaka – wykrzywiła się Andżelika. – Czerwony taki. Krwi jakiej pani dodała?

– A buraka! Masz rację, buraka, dla koloru...

– Faj! A sałatka? – zapytała Kinga.

– Broń, Panie Boże! Żadnego zielska! Ja zdrowo gotuję – obruszyła się kobieta, aż rzuciła pokrywką. – Obrażać się nie dam!

Obiad im smakował, nie miał wyjścia. Dużo mu dopomogła Kusiakowa, stercząca w drzwiach jadalni z magiczną chochlą.

– No to co? Idziemy? Zajrzymy najpierw na plebanie zabrać psy, to sobie pobiegają – zawyrokował Michał, patrząc wymownie na Andżelikę. – A ty, siostrzyca, idź po Piotrka. Weź też Karka, niech chłopaki odpoczną, bo Malecha zaorze ich na śmierć!

– Trzeba będzie uważać na psy, bo to obrzeże rezerwatu, ale znam miejsce, gdzie można rozpaść ognisko – oznajmił Jasiek i szybko pobiegł do domu po gitarę.

– Samochodem? – zapytała z nadzieją w głosie Dagmara, ale natychmiast tego pożałowała.

– Spacerkiem! – odparł Michał złośliwie. – Zjedliśmy bardzo zdrowy obiad, trzeba się go jak najszybciej pozbyć. Zresztą tu wszędzie jest blisko, a świeże powietrze...

– No, tego nam akurat nie brakuje – odgryzła się Dagmara. – Zapomniałeś o dziurach?

Tanew była piękna tym romantycznym pięknem, które podkłada pod nogi korzenie drzew, tłucze po głowach gałęziami, zatyka dech w piersiach na widok ledwie żywych drewnianych mostków, przez które człowiek niestety musi się przedostać, udając, że groźba upadku z kilku metrów na kamieniste dno rwącej rzeki to coś, co tygrysy lubią najbardziej. Przechodzili przez śliskie progi skalne, które co chwila pomagały Jaśkowi nawiązywać bliższe stosunki z Kingą, i chyba tylko dlatego ich tamtędy prowadził.

Komary cięły jak oszalałe, tak że wszyscy po chwili byli upstrzeni swędzącymi bąblami.

Powietrze gęstniało od wściekłości w stosunku do wszystkiego, co lata, pełza, gryzie, bzyczy albo jest Jaśkiem.

– Ty idioto – warczała Dagmara. – Przecież te gady nas tu zeżrą żywcem. Też miałeś pomysł! Tanew, Tanew... Nawet utopce byłyby lepsze!

– Nie marudź, miastowa – odburknął chłopak cały w bąblach i skowronkach. Aby móc uchronić Kingę od kłopotów, zrobiłby wszystko, najpierw najchętniej je aranżując.

Doszli w jakieś miejsce, gdzie komary gryzły jeszcze bardziej, a leżące na ziemi pniaki roiły się od robactwa. Dookoła rosły pokrzywy, ale...

– Oto miejsce na ognisko – stwierdził zadowolony Jasiek. – I jest nawet drewno, wystarczy porąbać.

Nie zabrali siekiery.

Po dwóch godzinach zdołali rozpalić ognisko z połamanymi gałązek. Psy zdążyły wytarzać się we wszelkim świństwie i przegonić Dagmarę po okolicznych chaszczach.

Po jakimś czasie dotarli Kark i Andżelika z Piotrkim.

– „Pójdę nad Tanew, głęboką nocą...” – zaintonował Jasiek.

– Nie mam myśli samobójczych – warknęła Dagmara. – Jeszcze czego, nocą? Ktoś tu oszalał. – Nagle zdała sobie sprawę, że jest miastową panienką i chce nią pozostać za wszelką cenę. – Wracajmy! – jęknęła.

Po niebie przetoczył się huk gromu jak w najlepszym filmie o wampirach. Jasiek się nie przejmował, wpatrzony w słodkie oczy Kingi.

– „Nie mów już dłużej, i tak nie zrozumiesz, że ciężki plecak, że upał, że kurz. Czaru Roztocza i tak nie pojmujesz, pytasz dlaczego, więc mówię ci już...”.

– O nic nie zamierzam pytać. Wracajmy!

Kark wyjął z koszyka wino i kilka plastikowych kubków.

– Czar pegeeru? – zapytała złośliwie dziewczyna, ale tamten tylko pokręcił głową.

– Ojcowe! Ściągnąłem trochę, może się nie pozna.

Pili lepką, ciepłą ciecz, podrygując w takt ukąszeń komarów.

Michał raz po raz zagadywał do Dagmary, na co reszta wymownie się uśmiechała.

Ukąszeń nie czuł. Był tak zakochany, że pewnie nie zauważyłby nawet ugryzienia rekina ludojada.

Jasiek monotematycznie opiewał Tanew i Roztocze. Zapadał wieczór. Dagmara, choć rozmarzona, była też wściekła, bo komary dawały się we znaki. Drzemiący dotąd Bestia zawył leniwie. Precel zastrzygł uszami.

\*

Do domu wracali w deszczu, dwójkami. Po raz pierwszy do Michała uśmiechnęło się szczęście, bo osłaniał Dagmarę swoją kamizelką i wreszcie miał okazję ją pocałować. Był to jeden z tych pocałunków, które zapadają w serce i pamięć na lata. Bardziej czuły niż namiętny, nieśmiały, odrobinę niezdecydowany i trochę niepewny. Pocałunki w deszczu są bardzo romantyczne tylko na filmach, w życiu kończą się stłuczeniami i bólem w okolicy kości ogonowej, kiedy pies, nie bardzo rozumiejąc ludzką naturę, postanowi łagodnie, aczkolwiek stanowczo przerwać te dziwne wygłupy i wepchnie człowieka do wody, na której dnie pełno jest odpowiednio śliskich głazów.

Mokrzy, podrapani i poobijani wrócili do domu w dziwnych nastrojach. Dagmara usiłowała przewartościować sobie słowo „romantyczny”, tak żeby znalazło się w nim miejsce na siniaki i komary. Jasiek niczym wielki pająk chronił Kingę przed wszelkim niebezpieczeństwem i żałował, że dotarli już na miejsce. Psy jak szalone biegały w kółko, tarzały się i trącały nosami złączone dłonie, które przecież w takiej formie zupełnie nie nadają się do głaskania...

[6] *Ils habitent ici?* – Oni tu mieszkają? (fr.).

[7] *Au secours!* – Na pomoc (fr.).

## **Rozdział IX**

Kusiakowa przywitała ich w progu ze swoją magiczną chochlą. Wyglądała na dziwnie zafrasowaną. Zapomniała nawet o błyskawicach i grzmotach.

– No i... Jak by to powiedzieć. On znowu przyszedł. To żem się przelęka – oświadczyła tubalnym głosem.

Wszyscy pospiesznie odskoczyli od siebie, nie chcąc wzbudzić w Kusiakowej zapędów umoralniających.

– No, demon – dodała po chwili dziwnie spokojnie. – I żem się przestraszyła. No i żem go przetrącała.

– Z jakim efektem? – zainteresował się Jasiak, podnosząc głos w obawie przed kolejnymi zwłokami, w demony bowiem nie wierzył, za to w Kusiakową bardzo.

– Leży – odparła kobieta, wskazując za siebie.

Wbiegli do korytarza, choć nie było to łatwe, bo Kusiakowa zagradzała wejście niczym potężna kamienna figura.

– A krew? – zapytał jeszcze Jasiak, chcąc szybko uzyskać sensowne informacje.

– No... Krew tyż, ale normalna. Nie zielona.

– O matko! Zabiła pani kogoś?

– Demona. Ale nie całkiem, święconej wody mało miałam, wyszła. Tylko zem takim jakby kołkiem go podziubała.

– Zaraz. Nie ruszajcie się. Najpierw psy! – rozkazał Michał. – Żeby znów nie było, że coś zaniedbaliśmy.

Zamknął psy w pokoju pani Stasi, skąd obrażone wyły głośno i żałośliwie w swoim języku, skarżąc się na niewdzięczność dwunogów pozbawiających ich wspaniałej, pachnącej krwią frajdy. Po chwili wszyscy zajrzeli do jadalni, nie przekraczając jej progu. Na ścianach i na podłodze dostrzegli czerwone plamy.

– Pani Kusiakowa, gardło mu pani poderżnęła?! – zawołała ze zgrozą Andżelika.

– A, to? Nie, trochę się zacięłam przy ziemniakach – odparła kobieta, wyraźnie wbrew faktom. Co prawda miała na palcu plaster, ale stała trochę zbyt spokojnie, wobec tej ilości krwi na ścianach powinna leżeć blada jak ściana i ogólnie spoczywać w spokoju, może nawet wiecznym.

– Niemożliwe! Może pani sobie coś obcięła?

– Ciśnienie mam – wyjaśniła.

– Jak każdy, kto jest żywy! – odparł Jasiak gwoli ścisłości.

– No, demony nie majom, jak tego dźgałam, to ledwie trochę leciało...



Pod ścianą z wybałuszonymi oczami leżał jakiś bardzo poskręcany błądy człowiek i rzeził.

– Żyje! – zawyrokował Jasiek z wprawą weterynarza.

– Nieprawda! – zawołała Kusiakowa z mocą. – Toż to demon! Jakby był żywy, tobym siekierę wzięła, a tak to tylko chochlą go i kijem.

– Ale dlaczego? – Dagmara nie potrafiła zrozumieć, czemu ktokolwiek maltretuje zupełnie obcego człowieka chochlą. – Zgwałcić panią chciał?!

Poniewczasie zorientowała się, że popełniła coś na kształt świętokradztwa. Kusiakowa zapłonęła świętym ogniem oburzenia, który byłby w stanie spopielić znaczną część okolicy.

– Co to ja, czarownica jaka jestem, żeby z demonami?! Tfu! – wrzasnęła. – Toście same mówili, że nie żyje!

– Nie, pani Kusiakowa. Mówiliśmy, że żyje – uspokajał ją niewprawnie weterynarz.

Człowiek pod ścianą zaczął charczeć.

– No mówiliście, że umarł!

– Kto?! Ten facet?

– No przecież, a kto inny? Pan Tytus! To go zdzieliłam. Nie powinien tak sobie chodzić. Zmarłym nie przystoi.

– Pan Tytus?!

– Toż on sam! Bez mała trzy lata w grobie leży, a tu przyłazi i mówi: „truła tysiące”, i pieniądze do mnie wyciąga jak szatan jaki! To mu mówię, że truła nie będę, a on, że w tym sęk, to ja go w łeb. To on, że kęs by chciał, chyba mojego boczku, ale jak tu szatana boczkiem karmić? To mu ziemniaki na łeb wylałam, ale jeszcze nie zdążyły się zagotować!

– Czego on tak dziwnie charczy?

– A, bo żem mu czosnek do pyska wetknęła. Niby od wampirów, ale kto wie? W sumie się nie przedstawił! To żem tak kombinowała, nie zielony, nie utopiec, wampirowaty – to

czosnek i kołek, bez rogów niby był, ale buteleczka święconej wody nie zaszkodzi. I zaraz zemdlął.

– Od wody święconej?

– I od buteleczki też, bo mu się na łbie roztrzaskała, no, ale inaczej się nie dało.

Przerażenie mnie zdjęło za blisko podchodzić.

Policja i pogotowie przyjechały dość szybko. Do tego czasu nikt nie śmiał się zbliżyć do wciąż charczącego i pojękującego człowieka skulonego pod ścianą.

– Co znów narozrabialiście? – warknął od wejścia aspirant Kotek. – Ani chwili spokoju!

– To nie my! – odpowiedziała z godnością Dagmara. – Pani Kusiakowa kogoś przetrąciła.

– Samego demona! O, tam siedzi. – Kobieta wskazała nieszczęśnika chochlą, a w jej głosie duma mieszała się z lękiem.

– Masakra – jęknął stróż prawa, patrząc na plamy krwi. Podeszedł ostrożnie do siedzącego człowieka.

– Jeszcze żyje. Bierzcie go! – zawołał do ratowników. – Tylko ostrożnie, śladów mi nie zadeptać. Jak się pan nazywa?

Leżący już na noszach mężczyzna nie był w stanie powiedzieć ani słowa, dopóki któryś z ratowników nie wyjął mu z ust okazałej główki czosnku.

– Dobrze robi na wampiry – wyjaśniła Kusiakowa. Próbowwała się nad nim pochylić, żeby się dokładniej przyjrzeć, ale nieszczęśnik skulił się przerażony, a po chwili wyrzucił ramiona do góry i zawył.

– O! Oooo! – stęknął i stracił przytomność.

Jego głowa opadła tak gwałtownie, że aż jęknęło. Coś się od niej oddzieliło.

– Móóóóóóg! – ryknął Kark. – Móóóóóg mu wypadł!!!

W panice rzucił się do ucieczki, ale gabaryty utrudniały mu zadanie, więc tylko staranował Dagmarę i łupnął w ścianę.

– Móóózg! – powtarzał przerażony. – Ratuunku!

– Przestań! – uciszył go Piotrek. – To chyba kawałek głowy. Pani Kusiakowa, trepanację mu pani załatwiła?

– Że niby w niego trepem? Gdzież tam, mam oba. – Kobieta pokazała swoje buty, których nie powstydziliby się drwal. Z obrzydzeniem wskazała leżące na podłodze coś.

– To włosy. Widocznie po śmierci odpadają – stwierdziła ze znawstwem.

– Przecież on żyje! Kusiakowa, mam nadzieję, żeście go nie zabili?

– A ja wręcz przeciwnie. To demon!

– Nie demon, tylko... – Michał przyjrzał się mężczyźnie. – To ten biedny Francuz!

Znajomy dziadka!

– Niemożliwe, rano mieli wracać do Francji.

– Może postanowili zostać?

– Jasne, i przebrać się...

– Za pana Tytusa? I kazali mi, żebym truła tysiące? We wsi tyle ludzi nie ma! Skąd miałam wziąć? – tłumaczyła się Kusiakowa.

– Czy... Czczy... – wymamrotał człowiek na noszach, koło którego krzątali się ratownicy. – Czy tysiące... *Trois!* Tak, a potem *cinq...*

– A nie mówiłam, że sęk! – ucieszyła się Kusiakowa. – A potem mi chciał od boczku kęs odgryźć...

– *Quinze...* Pientaście! Pientaście...

– O czym mówi? Jakie pientaście?

– Wygląda na to, że chciał dać pani trzy tysiące, a potem pięć, a jak pani go pobiła, to dawał nawet piętnaście, żeby pani przestała.

– Przebiegły demon! Piniędmzi chciał skusić mnie, bogobojną kobietę! Duszę ode mnie kupić!

– Pani Kusiakowa, nawet pani dusza tyle nie jest warta. Musiał chcieć czegoś innego.

Co mówił?

– Tak niewiele. „Pip, pip, pip”, a potem „ratuuuunku, nie bić, ratunkuuuuu, policja”

i tyle, nic konkretnego!

– Dla mnie to dość konkretne. Pytam, co mówił, zanim zaczęła go pani okładać.

– No mówię, że nic! Tylko pip i pip mówił, jakby cofał. Jak tylko go zobaczyłam, to go walnęłam.

– *Pipe* to fajka! Biedak rano zostawił tu swoją fajkę! Na litość, Kusiakowa! Dlaczego pani go biła?

– Ja demonów nie słucham! – odparła obrażona.

Michał krążył po korytarzu, przypatrując się, jak policjanci pracują nad śladami.

– A ta dziura to co?! – zawołał aspirant.

– To od pieca! – ryknęła kobieta.

– Piecem go pani biła?

– Da pan spokój! – warknęła. – Ona jest całkiem dawna. Starożytna! Ma już ze trzy dni.

– A co znajduje się w środku? – Policjant nie dawał za wygraną.

– Nic, przecież to dziura – mruknęła kobieta i pobiegła bronić dziury własnym ciałem.

Policjanci skończyli pracę i wyszli, karetka odwiozła domniemanego demona do szpitala w Ciepcepcinie, jak co chwila powtarzał umęczony Francuz, usiłując wymówić nazwę Szczebrzeszyn, którą słyszał w rozmowach ratowników.

Dziewczyny poszły położyć się razem na podłodze w pokoju nieobecnej pani Stasi, trochę wymęczone, lekko podpite i bardzo przejęte.

– Wiecie co? Zostańcie na noc – poprosił Michał kolegów. – Jeżeli one śpią razem

u pani Stasi, to ja będę tu siedział sam jak dupek! Kto wie, co jeszcze się zdarzy. Kusiakowa, pani się nie liczy!

W oczach kobiety zamigotała gotowość do niesienia wszelkiej pomocy związanej z przemocą wobec bardziej i mniej realnych napastników.

Kark, Piotrek i Jasiek rozlokowali się w pokojach dziewczyn. Poszli spać dość późno.

Położyć się to jednak nie to samo, co zasnąć. Michał rozpamiętywał pocałunek, Piotrek tęsknił do Andżeliki, tylko Kark śnił o mózgach.

Nie były to dobre sny. W pewien logiczny sposób organ ten kojarzył się Karkowi z zombie. Zombie z jedzeniem. Jedzenie z odgłosami takimi jak mlaskanie i siorbanie. Te odgłosy z jego własnym ojcem. Tak więc zombie miało wygląd nieco pozieleniałego Malechy, który gonił za Karkiem z nożem i widelcem, chcąc oblizać go długim na metr jęzorem. Chłopak usiłował się obudzić, ale nie był w stanie. Wcisnął się tylko między łóżko a ścianę.

– Neeee, ojciec, błagam, nie! – zawołał przez sen, chcąc się schować. Wkrótce mu się udało, bo łóżko odsunęło się od ściany, a on zleciał z hukiem na podłogę.

Coś skoczyło za nim. Nie ojciec, bo nawet w formie zombie nie byłby ani taki zwinny, ani taki kudłaty...

– Uuuuee? – stęknęło coś wesoło pod łóżkiem i zaczęło sapać, a następnie lizać chłopaka po twarzy. – Eeeeeuuu!

Kark zdrętwiał. Otworzył oczy i natychmiast zamknął, niepewny, gdzie jest. Po chwili znów otworzył. Przed nim jarzyły się wielkie ślepiec bestii. Były to szczęśliwym zbiegiem okoliczności oczy Bestii, ale trochę zamroczony alkoholem chłopak, który w tym momencie nie potrafił przypomnieć sobie, co robi pod łóżkiem, zamarł z przerażenia.

– Yyyyyy! – jęknęło coś, raz jeszcze trącając go pyskiem i oblizując.

Kark miał do wyboru zemdleć albo uciekać. I jedno, i drugie wstyd. Z pierwszą opcją wiązała się ponadto ta niedogodność, że mógł zostać zjedzony, z drugą właściwie też. Wybrał

trzecią.

Wrzasnął głośno i tak przeraźliwie, że po dosłownie kilku sekundach w pokoju pojawili się wszyscy, dzięki Bogu oprócz dziewczyn.

– Gdzieś ty wlaż?! – skarcił go brat. – I czemu tarzasz się z psem po podłodze?

Uwolniony spod łóżka Kark znów poszedł spać, licząc na nieco lepsze sny. Bestia, pozbawiony kompana i obrażony, gdzieś zniknął. Wszyscy wrócili do swoich pokoi.

Ranek był szary i zmęczony, tak samo jak aspirant Kotek, który ich obudził. Kusiakowa od kilku godzin snuła się leniwie po kuchni, bo po wczorajszych przeżyciach nie mogła dojść do siebie. Całą noc budziło ją czyjeś chrapanie.

– I to takie złowieszcze – tłumaczyła każdemu, kto chciał słuchać. – Jakby demoniczne.

Nikt nie chciał słuchać.

Policjant usiadł przy stole.

– Powiedzcie jeszcze raz. Dokładnie. Błagam. Może coś pominęliście?

– A, jasne – wyrwała się Andżelika. – Spadek! Wygląda na to, że Dagmara dziedziczy tę cholerną ruinę i w tym cały kłopot. Każdy ją chce. Ale pan Tytus zapisał ją Dadze, to znaczy, tak nam się wydaje.

– Pan Tytus Morawski? To niemożliwe! – odparł policjant. – Sprawdzałem. Nie mogłem tego zrobić. Ruina należy do gminy. Już od jakichś trzech lat. Sam ją przekazał. Dlatego potrzebowaliście zezwolenia, żeby tu zamieszkać.

Daleko, gdzieś w korytarzu rozległo się chrapanie.

– Ło, takie było. Demoniczne – stwierdziła Kusiakowa. – Ło. Same słyszyta!

– Dajcie spokój, kobieto! Ja mam dwa trupy na głowie, a wy mi o chrapaniu! Bo wiecie, ten biedny Francuz, co go pani pobiła...

– Kiedy Francuz był łysy! Demon miał włosy jak pan Tytus!

– Kusiakowo, zamknijcie się na litość boską! – warknął aspirant. – Tupecik sobie

założył. No, takie włosy... Sztuczne!

– Jezusie Maryjo! Biedne te nasze Utopce, co tu się z ludziami dzieje! Chłopy w baby się zamieniajom!

– Kusiakowo... Łysy był. Wstydził się. Elegancko chciał wyglądać.

– O, znowu chrapie! Aligancki chłop włosów sobie nie zakłada! Chrapie...

– Ale kto pani znów chrapie? Przecież wszyscy jesteśmy tutaj.

Całe zgromadzenie było ostro skacowane. Kark zapomniał im powiedzieć, że wino ojciec robił na landrynkach z dodatkiem kilku słoików spleśniałych kompotów, których Malechowa nie pozwoliła wyrzucić, resztki zacieru i przypalonych zeszłorocznych powideł.

Nie musieli kolejno odliczać. Byli wszyscy, oczywiście oprócz pani Stasi i Filipa, ale w tym momencie nie brano go już pod uwagę.

Wybiegli na korytarz, po chwili jednak przystopowani zdecydowanym gestem Michała zaczęli skradać się po cichu, tak by usłyszeć jak najwięcej. Zatrzymali się pod pokojem Dagmary.

– Ktoś tu dzisiaj spał? – zapytał Michał, ale wszyscy zainteresowani pokręcili głowami.

Jasiek nocował w pokoju Kingi, Piotrek zajął łóżko Andżeliki, Kark urządził się u Filipa, a Michał spał po prostu u siebie.

– Czyli ktoś nam się zagnieżdżył – stwierdził Michał. – Tylko kto?

– Utopiec? – podsunęła z nadzieją Kusiakowa.

– Wchodzimy – dał rozkaz policjant i grzecznie zapukał do drzwi, zza których dało się słyszeć ciche „mpfff, mpfff” oraz głośniejsze „chrrrrr”.

– O Boże! Ojciec! – z przerażeniem jęknął Kark. – Tylko on tak chrapie.

Powoli otworzyli drzwi.

Ich oczom ukazał się rozczulający widok.

Na podłodze leżał mężczyzna. To nie ulegało wątpliwości, choć na twarzy miał

kominiarkę. Na nim w słodkiej pozie, z wrednymi iskierkami w oczach wyciągnął się Bestia. Zamerdał ogonem na widok przybyłych i chyba usiłował szczeknąć, ale wyszło mu coś na kształt chrapania. Pysk miał czymś zajęty.

– Mpfff – jęknął mężczyzna. – Eeeee.

Nie był to głośny jęk.

– Aaaaa – dodał po chwili słabym głosem. Najprawdopodobniej nie lubił zwierząt. Bestia natychmiast wyczuwał takich ludzi. Przydusił go jeszcze bardziej, nie wypuszczając z pyska jego ręki.

– Chrrrr – mruknął, machnąwszy ogonem, odwrócił pysk i pisnął.

Na podłodze zobaczyli nóż i trochę krwi. Futro psa też było zakrwawione.

– O Boże! – zawołała Dagmara. – Bestia jest ranny!

Policjant ostrożnie podniósł nóż przez torebkę, którą wyjął z kieszeni. Potem kazał odwołać psa.

– No, no! – rzekł zamyślony i równie delikatnie zdjął kominiarkę z głowy mężczyzny.

– Adam?! – krzyknęła Kinga zaskoczona. – Co ty tu robisz?

– Zamknij się, kretynko – odparł wydobyty spod wielkiego cielska, ledwie żywy chłopak. Odetchnął głęboko. – Nic nie robię. Chciałem wpaść i pogadać.

– W kominiarce i z nożem? I skąd się wziąłeś w pokoju Dagmary?

– Pomyliłem pokoje – odpowiedział już bardziej pewnie.

– Zamierzałeś mnie zabić?

– A niby po co? Bronilem się! To bydlę mnie zaatakowało. Rzuciło się na mnie. Jak dzika bestia! Chciało mnie zezreć! To karygodne!

– Jasne. Jasne... To skąd u psa rana na plecach? Grzbietem się na ciebie rzucił?

Szybko wezwany kierowca radiowozu przyszedł z pomocą aspirantowi i niezbyt delikatnie, ale zdecydowanie zakuł Adama w kajdanki.



– Panie władzo, ja naprawdę nie wiem, co tu się wyprawia! – zaprotestował chłopak ostrym tonem.

– Za to ja wiem! – odparł policjant. – Przyszedłeś zabić Dagmarę, ale dziewczyna na szczęście spała w innym pokoju.

– Adam. – Kinga miała łzy w oczach, co wyraźnie nie spodobało się Jaśkowi. – Jak mogłeś?! Przecież mówiłeś...

– Jasne, pewnie, że mówiłem, wszystko, co chciałaś usłyszeć. To proste. Tak, tak, kocham, tak, tak, uwielbiam, tak, oczywiście, jesteś całym moim... O cholera!

Adam zatoczył się i uderzył o ścianę.

– Tak nie wolno! Nie można bić więźnia! I co pan z tym zrobi? – Wskazał głową rozcierającego sobie pięść Jaśka. – No co?

– Nic? A co miałbym zrobić? Przecież nic się nie stało!

– Jak to! Mój nos! Zgłoszę to na polic... Do prokuratury... – jęczał Adam.

– Oczywiście. Bardzo proszę. Możesz zgłaszać, ale nie rozumiem, jakim cudem masz pretensje do psa.

– Co?

– No tak, dźgnąłeś nożem tę puchatą, niewinną kulkę miękkiego futerka, a ona zamiast przegryźć ci gardło, tylko walnęła cię łbem w nos... Wszyscy to potwierdzą, ale skoro chcesz zawracać głowę prokuratorowi, droga wolna...

Wyprowadzili Adama do radiowozu.

Dagmara z wrażenia słaniała się na nogach, na szczęście zawsze w pobliżu znajdował się Michał.

Na podwórku Adam jeszcze dwa razy prawie doznał uszczerbku na zdrowiu i tylko dzięki szybkiej reakcji aspiranta nie zarył nosem w żwir. W końcu policjant naprawdę się zdenerwował.

– Pani Kusiakowa!

– No co?! – ostro postawiła się kobieta.

– Jeszcze raz podstawicie mu nogę, to zamknę i was! I ani słowa więcej! Mam dość! –

burknął, siadając obok kierowcy.

– Panie aspirancie... – jęknęła Dagmara. – Proszę nam powiedzieć, o co tu chodzi!

– Powiem, powiem! Muszę tylko coś sobie przemyśleć.

Wrócili do kuchni, żeby coś zjeść.

– No to ruiny szlag trafił – zawyrokowała Kusiakowa.

– Nic w tym straszego – odparła Dagmara z pewną ulgą.

– Ale co ja biedna teraz pocznę? Przecie gmina nie pozwoli bimbru tu pędzić.

Wszyscy popatrzyli na kobietę ze współczuciem.

Chwilę później szalone popiskiwanie Bestii zapowiedziały wejście dziadka. Wyglądał dziwnie, idąc pod ramię z panią Stasią.

– On chciał mnie zabić! – mruknęła Dagmara. – Słyszysz, dziadku?

– Chcieć chciał, ale byłaś przecież pod dobrą opieką.

– Mogłam tam spać – odburknęła.

– Nie mogłaś! – odpowiedziała Andzelika. – Pilnowałam cię.

– Tak? A skąd wiedziałaś, że ktoś... Chodzi o Krychę? Tak?

– Nie, nie o nią. Raczej o to, co kilka dni temu powiedziała Kinga. Wiesz, o tej lukrecji...

– Czyli? – Dagmara szukała w pamięci jakiejś prawdy objawionej na temat lukrecji, którą ostatnio wygłosiła Kinga, ale była tak przejęta, że niczego nie potrafiła sobie przypomnieć.

– A tak przy okazji, dziadku, dlaczego nie zabraliście Precla? Wciąż siedzi w ogródku na plebanii?

– To nie ma go tutaj? – zdziwił się starszy pan. – No trudno, jak narozrabia, trzeba będzie zapłacić.

Co prawda Precel był łagodny i bardzo rzadko kogoś gryzł, ale często tratował. Kochał zwierzęta jedyną w swoim rodzaju miłością. Uwielbiał kury, koty i króliczki. Oczywiście bez wzajemności. Kury mdlały, koty wrzeszczały jak opętane, a króliczki były bardzo bliskie zawału, kiedy delikatnie brał je w pysk i usiłował się z nimi zaprzyjaźnić. Potem oślinione i przerażone zwierzaki nie za bardzo dochodziły do siebie. Ich właściciele żądali odszkodowań za straty moralne swoich pupili.

Dziadek płacił.

– Zaraz, zaraz, dajcie spokój z Preclem, znajdzie się. Mówcie lepiej, o co chodzi z tym czymś, co powiedziała Kinga.

Ale wszyscy milczeli.

Przed domem zatrzymał się radiowóz i wysiadł z niego biedny Francuz. Był posiniaczony, skulony i bardzo niepewnie się poruszał. Z powodu bandaży znów świecił łysiną.

– Przywiozłem go, bo chciał się z panem zobaczyć – zwrócił się do dziadka aspirant. –

Ksiądz nas tu skierował, choć ten biedak dostał drgawek, jak mu powiedziałem, dokąd jedziemy.

– Boże kochany – jęknął Generał. – Ryszardzie! Mam twoją fajkę. Kusiakowa, co pani zrobiła? Chciała go pani zabić?

Francuz się skulił i schował głowę w ramiona, widząc przed sobą kobietę.

– A tak! Po co udawał pana Tytusa jako demona? Włosy sobie założył! O! – Kobieta wskazała palcem w kierunku obandażowanej głowy przybysza. – O!

– Boże! Biedaku, co ona ci zrobiła?! – lamentował dziadek.

– A co żeś pan taki litosierny? Nic mu nie jest!

Francuz skulił się jeszcze bardziej, kiedy Kusiakowa wyraźnie niezadowolona rzuciła jakimś garnkiem.

– O Boże! Mamunia! – krzyknęła, patrząc w okno. – Mamunia!

Z daleka dostrzegli biegnącą w kierunku domu małą staruszkę. Ręce miała rozłożone,

jakby usiłowała wzbić się w powietrze, i wrzeszczała wniebogłosy.

Jej wielkie gumiaki pędziły przed nią i tylko cudem udawało się kobiecie nad nimi zapanować.

– Upiór! Upiór! – wołała, ale w jej głosie słychać było więcej radości niż przerażenia. –

Upiór przyszedł zeżreć Walczaków! Za krzywdy przyszedł ich zeżreć! Za krzywdy!

Wszyscy, nie wyłączając Francuza, wybiegli przed dom.

– Dużo upiór – skwitował obcokrajowiec. – Dużo, dużo...

– A tam zaraz, pan im nie wierzy – skwitował policjant. – Te durne baby wszędzie upiorka znajdują. Kusiakowa, co wasza matka znów wymyśliła?

– Kiedy nie wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Co żeście wymyślili, mamuniu?

Pan policjant pytają.

– Kiedy nic! Idę sobie lasem, a tu widzę, wielkie biegnie, strasznie wielkie, po chwili pod ziemię się zapadło, mgła była, to i nie bardzo widziałam, ale wyło tak jakoś nieludzko i wielkie, wielkie ponad miarę było, i coś strasznie syczało, a potem ciach i z tej podziemi wyskoczyło, i do Walczaków wpadło, a zielone było i trupem cuchnęło, i oczy miało straszne, takie jakby ogniste... To za tym upiorem lecę, a tam patrzę, Walczaki poklękali i się modlą.

Ratunku, krzyczą, coby ich nie zżerał. Ale może już ich zeżarł, całą wieś obleciałam, zanim tu przybiegłam.

– No wiecie co, mamuniu?! Jak już ich zeżarł, to wam nie daruję – warknęła

Kusiakowa. – Jak tylko co ciekawego, to cała wieś ważniejsza niż ja. Wstydziliby się mamunia!

– Trzeba tam iść natychmiast! – stwierdził aspirant i ruszył w kierunku domu

Walczaków. Z doświadczenia wiedział, że demony nie istnieją, upiory to babski wymysł, ale zawsze tam, gdzie nabiera się zbyt dużo gapiów, z których większość nawet o tej porze z pewnością będzie pod wpływem albo co gorsza przed wpływem, może dojść do rękoczynów, a to już było nie tylko bardzo realne, lecz także niebezpieczne.

Ci na kacu zdenerwują podpitych i odwrotnie, zazdrość rzecz ludzka, a chryja gotowa.

Do tego dojdą baby. Wszystkie mniej lub bardziej nawiedzone.

– Zamiast latać z ozorem po wsi, trzeba było im pomóc! – zawołał policjant do staruszki, jakimś cudem pędzącej przed nim. – Przecież to mógł być ktoś niebezpieczny!

– Co racja, to racja, upiory bezpieczne nie są, ale jak ja im miała pomóc? Jak przyszło ich zeżreć, to zeżre, a kumy by mi nie darowały, gdybym nie zawiadomiła.

Zostawiwszy Francuza z dziadkiem i panią Stasią, pobiegli przez las, objając się co chwila o gałęzie. Na prowadzenie wysunął się Kark, który sapał, tupał i tratował wszystko na swojej drodze. Pędził niczym szarżujący nosorożec. Nagle zniknął.

– Ło łooo tu... – Staruszka wskazała miejsce. – Ło tu się demon zapadł, a łooo tam wylazł...

– Ratuuuuunku – jęknęło spod ziemi.

Dagmara zamarła. Głos był straszny. Przerazający...

– Zaraz! To ta sama dziura, w którą wpadłam, tam są te nieboszczyki w płynie.

– Boszczyki? – wrzasnęło głucho, dał się słyszeć plusk, potem chyba ktoś dostał niestrawności giganta. Taki galopujący rozstrój żołądka może naprawdę zaskoczyć. Szczególnie odgłosami.

Z daleka widać było nadciągający tłum. Brakowało wideł i kos, wszyscy za to dzierżyli w rękach telefony komórkowe, ale w końcu nikt nie przyszedł walczyć z upiorem, każdy chciał tylko zrobić mu pamiątkowe zdjęcie.

Po chwili spod ziemi wy dostał się Kark. Był zielony i śmierdział. Tłum zamarł.

– Oooooo! – jęknęło głucho, po czym w ruch poszły aparaty.

– To nie ten! – zdenerwowała się matka Kusiakowej. – Ten jest podrabiany. Toż to Malechów syn. Ten durniejszy!

Wszyscy zrezygnowani opuścili aparaty i ruszyli dalej, szerokim łukiem omijając

chłopaka.

- Boże, czego on tak cuchnie? – jęknęła Kinga do Jaśka. – Nieboszczyk w płynie?
  - Gnojówka z pokrzywy! – zawyrokował Jasiek. – Walczakowa was zabije!
  - Jeśli da radę – mruknęła przekornie Andżelika. – Mogło ją zeżreć.
  - Przestań bzdurzyć, siostrzyca! – warknął Michał.
  - Kiedy mi się udziela – odparła zadowolona dziewczyna. – Lubię swojskie klimaty.
  - Oszalałaś? – zapytała z niedowierzaniem Dagmara.
  - No jasne! – rzuciła dziewczyna ze śmiechem, podchodząc do domu Walczaków.
- Śpiewali. A właściwie jojczeli.

– Ojejejejeje, demonie, nie zabijaj nas! – zawodziła Walczakowa.

Obok niej leżał zemdłony Filip. Za nim, bo stanowił coś w rodzaju tarczy, klęczał skulony Walczak, żegnając się co chwila.

– Żeśmy nie chcieli...

– Ojejejejeje, demonie, nie zabijaj nas – powtarzała jego żona.

– Żeśmy nie chcieli...

Demon się nie odzywał. Był wielki, zielony i śmierdział. Miał rogi i paszczę pełną okropnych zębów. Stał nad swoimi ofiarami, trzymając w pysku przeraźliwie miauczącego kota.

– Ummmmm – pojękiwał i co chwila usiłował zbliżyć się do Walczaka, który zasłaniał się lekko już przybrudzonym Filipem.

– Odejdź, szatański pomiole! – bardziej błagała, niż rozkazywała Walczakowa.

– My żeśmy nie chcieli – dopowiadał Walczak. – Tego tu zeżryj. To jego pomysł był.

Walczak z niejakim trudem usiłował nakarmić upiora Filipem, który mimo że zemdłony, co chwila otwierał oczy, jęczał i wierzgał.

– Upióóóóóóóóóóór – zawyrokowało zgromadzenie zza okna i flesze poszły w ruch.

– Precel – oświadczyła Dagmara i weszła do kuchni Walczaków, zatykając nos.

Kilka kobiet się przeżegnało, a nawet chciało zemdleć z wrażenia, ale że nie codziennie zdarza się takie widowisko, zrezygnowały.

Dagmara wyjęła kota z pyska Precla. Pogłaskała psa po sterczących jak rogi uszach. Nic na świecie nie jest tak przyjacielskie i przymilne jak mokry, upaprany pies. Uszczęśliwiony polizał ją po twarzy, co wywołało mniej więcej takie samo poruszenie pośród ludzi, jakby właśnie odgryzł jej głowę.

Wygoniła Precla na dwór. Tłum rozpierzchnął się na wszystkie strony, tratując kilka mniej mobilnych starszych kobiet i wikarego, który też oczywiście pojawił się na miejscu zdarzenia. Upiór rzucił się za uciekającymi, poszczekując. Kilka osób zemdlało, tym razem naprawdę.

Kot z sykiem wczepił się w wydatny biust Walczakowej.

Dagmara walnęła Filipa w twarz. Mocno.

– Da pani spokój – jęknął policjant. – Nie potrzebujemy kolejnych zwłok.

– Ja potrzebuję! – warknęła dziewczyna. – I to natychmiast! Jego zwłok! Tego parszywego śmierdziela...

– Oj, będzie masakra – sapnęła Kinga.

– Ojejejejeje, demonie, nie zabijaj nas – znów zajęczała Walczakowa, której płyta się zacięła. – Nie zabijaj. My nie chcieli!

– Nie ma żadnego demona – uciął wściekle policjant.

– Kiedy ziemisty pies utopców przyszedł po nas, bośmy spokój im za... No, tego...

– Nie ma żadnego...

– Kiedy był! Przyńdzie po nas, przyńdzie! Bo my złe ludzie...

– Widzita?! Przyznali się! Dzikiego piesa na moje pole nasyłali, a teraz ich zeżreć chce!

– oświadczyła Muchowa. – Za moje pole! Za moją krzywdę!

– To dzipies, matka – poprawił ją stojący obok nieduży mężczyzna. – Dzi-pi-es.

– Czy on dżipi, czy dziki, mnie tam za jedno, ale pies!

– Przyńdzie po nas, przyńdzie! Bo my złe ludzie... – mamrotała Walczakowa jak katarzynka.

Z tym oczywiście zgodziła się cała wieś, nie wykluczając poturbowanych. Policjant sapnął zrezygnowany.

– Jak tu pracować, wciąż tylko demony, upiory... Gadajcie, co żeście narobili!

– On nam kazał. – Kobieta wskazała jeszcze nie całkiem przytomnego Filipa. – Utopce wywołać. Klątwę...

– Walczakowa, czegoście się nażarli? Jakie utopce, jaką klątwę?

– No, na tę dziewczuchę. – Przepytywana wycelowała gruby paluch w Dagmarę. – Coby uciekła. Coby nam ziemi w parking nie zmieniła. Coby poszła precz!

– No i coby pieniądze oddała, co nam się prawnie należą, bo my rodzina, a ona obca!

I dziecka zrobił. Dwa!

– Ma pani dzieci z tym panem? – zapytał lekko zdziwiony policjant. – Dlatego pani go tak bije?

– Kiedy nie jej zrobił, tylko naszej Kaśce! – oburzyła się Walczakowa. – Toż to Kaścżyn absztyfikant! Dwa dziecka! Że niby żenić się będzie, a tu gównno... Wstyd na całą wieś, z brzuchem lata, zasmarkañca utrzymywać trzeba, a on groszem nie śmierdzi...

Tłum zaczął się rozpraszać.

– Eeee. Chyba nic ich już nie zeżre – skwitował ktoś bardzo zawiedziony. – Ni ma na co czekać.

W domu nadal trwała indagacja Walczaków.

– Co on wam dokładnie kazał?

– Oj, straszyć. Chichotać po nocach...

Policjant nie wierzył własnym uszom.



– Pani, pani Walczakowa, chichotała po nocach?

– A co to? Nie mogłam? A juści! – odparła dumnie kobieta. – Ale chłopą posyłałam, bo on jak się ubzdryngoli, to chichotliwy jest. Psychiki dostaje, lata po domu i tak jakby wariuje, to po co miał po chałupie na darmo się tłuć?

– Zaraz was zawiozę na posterunek i tam zaczniecie mówić do rzeczy! Pytam, po co straszycie tę panią.

– Bo ona chce nas okraść, ziemię zabrać, parkingi pobudować, a to nasze morgi, ojcowizna! Nie damy...

– To prawda? – Zdziwiony aspirant zwrócił się do Dagmary.

– A po jaką cholere tu parkingi? Przecież tu nic nie ma! – odparła dziewczyna.

– No niby tak, ale chce pani ich wykupić?

– Po pierwsze nie wiem, po co miałabym to robić, po drugie nie mam pieniędzy.

– No... Ale on mówił... – Walczakowa wskazała Filipa. – Bo on taki bardziej kształcony jest, że ona już papiery złożyła... U jego wuja. O naszą ziemię! Zabrać chce! Z Warszawy jest!

Może!

– Panie Filipie, proszę...

Filip nie dał dokończyć policjantowi pytania, tylko popukał się w czoło.

– Nic takiego nie mówiłem. Babskie gadanie! Ona kłamie.

– Co?! Kłam mi będziesz zadawał? – Walczakowa wstała od stołu i bardzo spokojnie wyszła do sieni, skąd po chwili wróciła z wielką miotłą z brzozowych witek. Zamachnęła się porządnie i zdzieliła nią niczego niespodziewającego się Filipa.

– Ty gnoju chapaty! – wrzasnęła. – Mordą nachapał, a teraz porządnym ludziom kłam zadaje! Ty ćwoku jeden! Ty... – krzyczała i waliła Filipa miotłą z taką szybkością, że nawet policjant nie był w stanie jej powstrzymać.

– Ja kłamie? Ja? – Znów łupnęła chłopaka, uzasadniając prawdziwość swoich słów. –

Że niby jak pies? I to niby ja mam być tym psem? Stary, leć no po sztachetę! Łon mnie łobsobaczył!

– Walczakowo! – Policjant ostrzegawczo podniósł rękę, ale kobieta ani myślała ustąpić.

– A co?! Zakapior jeden kłam mi będzie zadawać?!

– No dobrze – jęknął Filip. – Powiedziałem i co z tego?

– Co pan powiedział?

– Oj tam, po wsi nagadałem, że będzie wywłaszczać, i już. Ludzie się wściekli, chcieli się jej stąd pozbyć.

– A my to nawet się włamaliśmy i tych papierów szukaliśmy, że to niby jakby się dowiedzieć, to może dałoby się zarobić.

– Jakich papierów? – zaciekał się aspirant.

– Ojciec, jakich?! – wrzasnęła Walczakowa, nie patrząc, że mąż siedzi tuż obok.

– No, tych od wywłaszczania, co je musiała mieć, ale w walizkach nie było.

– A po co wam te papiery?

– A jakby czego się dowiedzieć, cenę dobrą dostać, to może by i sprzedał kawałek gruntu pod parking? Ojcowizna ojcowizną, a pieniądz pieniądzem.

– Więc to wy narobiliście tego bałaganu w pokojach?

– No, najpierw to Krychę namówiłem, żeby grzebała. Ale ją stara złapała, a Filip się ło to na nio wściekł.

– I dlatego zabił pan panią Krystynę... – zwrócił się mundurowy do Filipa.

– Że niby z powodu Dagmary? Eeee, bzdura! Nie wrobi mnie pan w morderstwo!

Mowy nie ma. Tak, chciałem, żeby się stąd wyniosła, ale to nie jest karalne...

– Straszenie...

– A tam. Utopce to nie pistolet, nie? Nie ma paragrafu na coś takiego... Zresztą to nie tylko ja, ale cała wieś! Zamknie pan całą wieś?

– Dlaczego nie chciał pan, żeby pani Dagmara tu przebywała?

– Bo tak. Wolno mi!

Aspirant wezwał do siebie Mróweckiego, który oczywiście zdążył już się znaleźć na zewnątrz wśród gapiów, i kazał mu coś sprawdzić.

– Tak, to ten – odparł Mrówecki, wskazując głową zaniepokojonego Filipa. Wszyscy siedzieli dookoła, na czym popadnie, toteż w kuchni panował okropny tłok. – Podobno takiego bałaganu narobił, że się facet przez pół roku nie mógł pozbierać.

Aspirant Kotek szybko wybrał numer telefonu.

– Tak, ja w tej sprawie. Niech pan pokrótce... Tylko proszę się uspokoić... Matka? Aha.

Bez matury? Dlaczego pan... Aha. I... Proszę nie kląć! Tak? Niemożliwe! I zabrał go pan tam?

Nauczyć? Rozumiem... Co ukradł?

Filip zbladł.

– Wszystkie dane? Ile? Przez cały ten czas?

Chłopak zaczął się trząść.

– I co potem? A... Chce pan złożyć doniesienie? Nie? – Był wyraźnie zawiedziony. –

A morderstwo? Nie, nie! Wiem, że chce pan go zamordować, ale pytam, czy on... Dupek? Idiota?

Kretyn? Mógł?!

Filip skulił się w sobie.

– Wuj przesadza! Nic takiego się nie stało!

Aspirant zakończył rozmowę bardzo zadowolony. Teraz już wiedział mniej więcej wszystko. Mniej więcej.

– Zabieramy was na posterunek – zawyrokował, wskazując Filipa i Walczaków. –

Reszta zostaje. Muszę wszystko sobie przemyśleć.

Wrócili do domu zawiedzeni, głodni i zestresowani. Piotrek i Kark po cichu, opłótkami poszli do siebie, żeby ojciec ich nie dopadł i nie wysłał znów w pole. Jasiek odprowadził Kingę

i poszedł zdać relację matce. Nie widział jej w tłumie, więc trochę się martwił. Czegoś takiego przecież by nie przepuściła. Kusiakowa, która trochę wcześniej poszła zrobić obiad, czekała już na nich zniecierpliwiona.

– No i wszystko wiadomo! – krzyknęła, jak tylko ich zobaczyła. – Złapali mordercę. Ja wiedziałam od samego początku! Biedny chłopak...

– Morderca? Biedny chłopak? Kusiakowo, litość to dobra rzecz, ale nie należy przesadzać.

– Kiedy mnie chodzi o twojego Jaśka – zwróciła się kobieta do Kingi.

– Po pierwsze żaden on mój, po drugie aż taki biedny przecież nie jest.

– Jakże nie? Matkę mu zgarnęli policjanty. Przed chwilą. Przyjechali z kogutem i ciach babę w kajdanki, aż wierzgała! Sama wiedziałam!

Wszyscy zamarli. Z daleka usłyszeli przekleństwa.

– Ło! Już się zaczyna – sapnęła Kusiakowa z zadowoleniem. – Jak nic zabije, kiedy ją dorwie...

Jasiek wpadł do kuchni wściekły jak nigdy. Wcale nie wyglądał na biednego ani nawet na zasmuconego. Klął.

– I co ta baba znów wymyśliła?! – ryknął. – Ja przez nią zwariuję! Dzwoniłem na policję. Zatrzymali ją do wyjaśnienia w sprawie zabójstwa. Ile to może potrwać?

– Czy ja wiem? – Michał wzruszył ramionami. – Do kilku miesięcy.

– Świetnie! – Jasiek się ucieszył. – Zdążę ochłonać! Zabiła kogoś, jak mnie nie było?

Tylko mówcie prawdę, Kusiakowo.

– A bo to ja wiem? Z siekierą latała...

– To jeszcze nie dowód. Zwłok nie ma.

– Zakopała? – Kusiakowa rozkwitła w uśmiechu. – Mogła!

– Nie było nas ledwie godzinę! Cała wieś siedziała pod chałupą Walczaków, to kogo

niby miała zabić?

– Zaraz. Zadzwońię do dziadka na plebanię, może on coś wie – zadeklarowała miłosiernie Dagmara. – A ty się nie martw.

– Ja się nie martwię. Ja się wściekam! – odparł chłopak. – Kiedyś przez nią osiwieję.

– Jasiek, twoja matka to dobra kobieta, nie ma się o co niepokoić... – zaryzykowała Kinga, czym wyraźnie się naraziła.

– Co?! Ani mi się waż tak mówić, chyba nie chcesz jej obrazić?! Moja matka to baba z piekła rodem! – oburzył się Jasiek.

Dagmara przez chwilę rozmawiała z dziadkiem i z przekrzykującą go panią Stasią.

– Ktoś zadzwonił na policję anonimowo w sprawie pobicia Adama – poinformowała wreszcie zebranych.

– Tego się nie spodziewałem – westchnął chłopak. – Ale to jeszcze nie zabójstwo.

– Nie, ale w rzeczach babochłopa coś znaleźli. Podobno świadczy o tym, że go zabiła.

Przyznała się, że miała z nim konszachty, że go wynajęła, że mu ciuchy pożyczała po waszej prababce i cycki! – powiedziała Daga.

– Cycki po prababce? – powtórzyła Kinga z dziwną miną.

– Zaraz kogoś przetrącę – mruknął Jasiek. – Zostawcie cycki mojej matki w spokoju.

– Kiedy to nie jej! Od takiej jednej z domu kultury, co deska jest, a mamkę karmiącą miała grać... W teatrzyku. Tak mówił dziadek.

– I? – Jasiek nie bardzo rozumiał sytuację. – Wyjaśnijcie mi, bo zgłupiałem do reszty.

– Oj, za mądry to ty nigdy specjalnie nie byłeś, ale przecie to proste. Twoja matka wynajęła Zenka, żeby robił za Cygankę, i przepowiedział dziewczynie... – Kusiakowa wskazała Kingę – ...że ma za mąż wyjść. Żonę ci próbowała załatwić! No, boś ty niemota...

– Kusiakowo!

– No i potem się zawstydziała, że się z takim kryminalistą zadała...

– Bo się nie zadała! A wy, Kusiakowo, znowu o seksie?

– No więc tylko trochę się zadała i zabiła go. Siedzieć pójdzie.

– Oj, to dobrze, jak mi Bóg miły! – zawołał Jasiek. – Bo sam bym ją teraz chętnie zabił!

– Ale to zupełnie nielogiczne – zaprotestował Michał. – Po co miała go zabijać? To bez sensu.

– No i Krychę też ona, tak we wsi gadają! I nawet utopce, i w ogóle... – ciągnął Jasiek.

– Utopce też zabiła? Tfu! Bzdury! Po co miałyby mordować Krychę?! – Dagmara załamała ręce.

– A bo ja wiem? Dla wprawy? – Kusiakowa postawiła na stole coś, co miało wyglądać na zupę, ale kolorem przypominało ścierkę do podłogi.

– Jedzta! Kapuśniaku wam nagotowałam.

– Kusiakowo, ja niewiele wiem o gotowaniu, ale to nie wygląda na kapuśniak – ocenił Michał, patrząc z obrzydzeniem na szarą ciecz.

– No bo kapusty nie miałam! – odparła kobieta. – Z czerwonej zrobiłam.

– Ale to nie jest czerwone!

– No bo ocet mi wyszedł! – obruszyła się. – Sklep zamknięty, bo sklepowa po kumach lata i o upiorze Walczaków opowiada.

Nikt nie miał ochoty na zupę. Drugiego nie było.

– Ni ma! I tak cały dzień przy garach stoję! Też mi się coś od życia należy! – zawołała baba i wybiegła z domu, ledwie zdjawszy fartuch. Nie mogła pozwolić na to, żeby ominęły ją takie plotki.

Jasiek powlókł się do domu.

Andżelika pobiegła do Malechów.

Kinga chodziła od drzwi do okna, zastanawiając się, czy dobrze ulokowała uczucia, w końcu człowiek, wychodząc za męża, bierze także ślub z teściową.

– Myślicie, że ona na poważnie kogoś zadźgała? – zapytała niepewnym głosem.

– Niemożliwe – odparł Michał. – Kusiakowa tworzy nowe *Dziady*! Pomyśl tylko, po co Ziębowa miałaby to robić?

– Właśnie! – jęknęło za oknem.

Nikt jakoś na to nie zwrócił uwagi.

– Nie wyglądała na morderczynię.

– Wcale a wcale – powiedział głos zza okna.

Wszyscy popatrzyli na siebie przestraszeni.

– Kto tu jest?! – wrzasnęła Dagmara w panice.

– To tylko ja. Przechowajcie mnie, bo mnie Jasiek zabije.

Po chwili, nie wiadomo dlaczego przez okno, wgramoliła się Ziębowa.

– Uciekła pani? – Kinga zadrżała.

– A gdzie tam, wypuścili mnie! Przecież nic nie zrobiłam. Wynajęłam tego idiotę, ale nic więcej, a Adam nie wniósł oskarżenia, ale Jasiek to mi na pewno nie daruje. – Usiadła zalekniona za stołem, jakby bardziej bała się własnego syna niż oskarżenia o morderstwo. – No, ciuchy jej dałam, to znaczy jemu, czyli Cygance – dukała. – Nic więcej.

– A cycki?

– Oj, dziewczyno, czepiasz się szczegółów! Dałam, no! Cyganka bez cycków, też pomysł! Musiała mieć!

– I wszystko po to, żeby... – Kinga zaczerwieniła się po same uszy.

– A co? Mam patrzeć, jak mój synek się marnuje? Co to za życie bez żony i dzieci?

I cały czas mam się martwić, że spotka jakąś wywłokę? A widzisz... – westchnęła, jakby widziała w oczach słuchaczy zrozumienie, choć gdyby bardziej się przyjrzała, zdałaby sobie sprawę, że było to raczej niedowierzanie. – Jakżeś się trafiła, taka ładna, inteligentna, wykształcona, to co miałam robić? Musiałam trochę pomóc losowi, choć w tej sytuacji to nie wiem, czy nie

zaszkodziłam, bo jak mnie Jasiek dorwie...

– Już cię dorwał! – wrzasnął wściekle chłopak, który od kilku chwil przysłuchiwał się jej monologowi. – Mamo, tym razem przesadziłaś! Darowałem ci tamto pobicie, ale to już przesada. Na kogo wyszedłem? Na dupka, który nie umie sobie żony znaleźć!

– A umiesz? – pisnęła kobieta. – Jeśli tak, to czego ja jeszcze wnuków nie mam?!

Ziębowa rozplakała się z żalości.

– I możesz nie mieć! Nigdy! – warknął Jasiek. – Bo po tym wszystkim dziewczyny będą mnie omijać z daleka!

– Uuuuuuuu – zawyła kobieta, ale się nie przejął.

– Ze strachu, że je w nocy zamordujesz, jak ci w czymś podpadną!

– Uuuuuuu... – Ziębowa zanosila się płaczem. – Uuuuuuu...

– Że jaka matka, taki syn!

– O, co to, to nie! – odparła, przestając nagle zawodzić. – Ja niemota nie jestem.

– Mamo... – jęknął tym razem Jasiek. – Ja cię chyba zabiję. I to naprawdę...

Wobec braku zdecydowania chłopaka Ziębowa przeszła do ofensywy.

– To zaczekaj chwilę, bo zaraz policja ma tu przyjechać. Mówili, że przyjadą wszystko wyjaśnić, to niech zobaczą, jakiego wyrodnego syna wychowałam!

– Ale co mają wyjaśniać? – zapytał Michał, chcąc nieco zmienić temat. Morderstwo to kwestia o wiele bezpieczniejsza od zalotów, w których udział bierze przyszła teściowa. – Czyli wszystko wiedzą?

– Tak! – odpowiedział dumnie aspirant Kotek, choć właściwie pytanie nie było skierowane do niego. – Wszystko wiemy. Czekamy tylko na pana Ksawerego z żoną. A, i na tego nieszczęsnego Francuza. Kusiakowa też by się przydała...

Ta ostatnia doskonale zdawała sobie z tego sprawę, bo biegła już przez pola za światłami radiowozu, ledwie dysząc. Wpadła do domu rozpromieniona.



– I co? I co? Gadajcie! Ino szybko! – zawołała od progu, ale tak jak wszyscy musiała uzbroić się w cierpliwość.

Dziadek wraz z żoną zjawili się po kilkunastu minutach nieznośnego wręcz oczekiwania.

– I po tę panią trzeba zadzwonić – rozkazał policjant. – Po tę różową, co z Piotrkim Malechów się prowadzi.

Andżelika, co prawda, zmieniła kolorystykę, ale ludzie na wsi potrafią mieć zadziwiająco dobrą pamięć.

– Pan Adam Adamek i pan Filip Grzęda siedzą w radiowozie.

\*

Kiedy wszyscy rozsiedli się przy odrapanych stolikach, aspirant jak, nie przymierzając,

Herkules Poirot rozpoczął przemowę. Wyszła dość dziwacznie, bo zaczął tak:

– Dawno, dawno temu... To znaczy, nie tak znowu dawno, bo trzy lata temu, pan Tytus Morawski, w tamtej chwili obywatel francuski, przyjechał tutaj, żeby spisać testament. Tak, zaraz odpowiem... – nie dał sobie przerwać. – Przyjechał tu, bo stąd pochodził, jak i cała jego rodzina, a on niedawno odzyskał prawo własności do tego domu...

– Aha, do ruin? – wtrącił Michał, ale został uciszony syknięciem.

– Pan Morawski przywiózł ze sobą dwoje obywateli z Francji, był to pan Richard Kowalski z żoną, aby wzięli na siebie rolę świadków spisywania testamentu. Zgadza się?

– *Oui, oui* – odparł cicho nieszczęsny, poobijany i niepewny przy Kusiakowej Francuz.

– Notariusz też miał świadka, choć prawo tego nie wymaga. Był nim...

– Filip! – odgadła Dagmara. – Mówił coś, że robi aplikację.

– Aplikację to on sobie na szydełku albo na drutach mógł robić – rzuciła ze śmiechem Andżelika. – Notarialna bez studiów nie przejdzie.

– To on nie ma studiów? – Dagmara otworzyła oczy ze zdumienia. – Mówił, że jest wykształcony.

– Bo to niemal prawda – odpowiedział spokojnie policjant. – Ukończył technikum rolnicze, ale matury nie zdał.

– Boże kochany! To co on robił u notariusza?

– O tym za chwilę. Otóż testament został spisany. Na jego mocy pan Morawski ustanowił spadkobiercę, a raczej spadkobierczynię, pannę Dagmarę Rogalską, i przy okazji przekazał gminie ruiny.

– Kochany Tytek – rozczulił się dziadek, ale zamilkł zgromiony wzrokiem przez aspiranta.

– W testamencie zażądał, aby panna Rogalska przynajmniej miesiąc przed objęciem spadku przebywała w Utopcach i... – Tu spojrzął na rozłożoną naprędce kartkę, którą wyjął z kieszeni; była to chyba kopia testamentu. – Tak, żeby do swoich dwudziestych siódmych urodzin pozostała niezamężna. Jeżeli nie zastosuje się do tych poleceń lub umrze przed upływem trzech lat od daty spisania testamentu...

Dagmara zadrżała. Śmierć jako taka nie robiła na niej specjalnego wrażenia, ale własna trochę ją niepokoiła.

– Ale zaraz! To nielogiczne! To on chciał się ze mną żenić dla pieniędzy czy żeby ich nie dostała? Nie mógł poczekać? Jakby się ze mną ożenił, byłby bogaty!

Aspirant westchnął.

– ...daty spisania testamentu... – ciągnął, niczego nie wyjaśniając – ...pieniądze otrzymać ma dalsza rodzina pana Morawskiego, państwo Walczakowie.

– Teraz już wszystko jasne – westchnęła Dagmara.

– Wcale nie – zaproponował mundurowy. – Pan Filip Grzęda wykradł testament.

Dotyczył on go osobiście, ponieważ spotykał się z Katarzyną Walczak i doczekał się z nią potomstwa. Był pewien spadku, dopóki, a nie muszę pani chyba mówić, że była pani przez cały czas dyskretnie obserwowana, nie rzucił pani ówczesny chłopak.

– A co ma z tym wspólnego Paweł? – obruszyła się Dagmara.

– Przecież chciała pani wyjść za niego, prawda?

– No tak, już od kilku miesięcy powinnam być mężatką – westchnęła.

– I tu dla pana Filipa zaczęły się schody. Wpadł w panikę. Zwrócił się do pana Adama Adamka o pomoc. Wtajemniczył go we wszystko...

– Niestety w tym samym czasie Richard z żoną przyjechał do mnie na święta – wtrącił dziadek. – Co prawda mówią po polsku bardzo słabo, ale pamiętali, kto miał otrzymać spadek i mniej więcej pod jakimi warunkami. Bardzo się zdziwili, że ja nic o tym nie wiem, mimo że Tytus zmarł zaraz po podpisaniu testamentu. Od dawna zresztą chorował. Nie rozumiecie? Tytus oddał ruinę gminie i zostawił testament u notariusza, ten miał zawiadomić, kogo trzeba, czyli Dagmarę, ale nie mógł, bo Filip ukradł dokument! Tylko on znał warunki dziedziczenia. Mógł nie dopuścić do ich spełnienia i gdyby nie Richard, wszystko by mu się udało.

– ...ale zaczęło się płatać. Filip postanowił więc szybko się z panią ożenić.

– To głupie, bo i tak zyskałby spadek. Żeniąc się ze mną po moich dwudziestych siódmym urodzinach, też by go miał, i to większy, bo Walczaków jest dużo, a ja jedna!

– Zgadza się, ale on wszedł w układ z panem Adamkiem, który mu pomagał, a przy okazji jako jego szwagier też by coś dziedziczył, więc Filip nie miał wyboru. Musiał pozbawić panią spadku, biorąc z panią ślub i nie dopuszczając do spełnienia drugiego warunku, czyli przyjazdu do Utopców.

W tym momencie znów wtrącił się dziadek.

– A ja postanowiłem szybko przywieźć cię tutaj. Nie wiedziałem nic o roli tego... – zmełł w ustach przekleństwo. – Ale coś mi nie grało.

– A ta ucieczka? Te... pogrożki... Kukła?

– Kochanie, nie mieliśmy innego wyjścia! Zresztą kukła to nie nasza sprawa, sami się przestraszyliśmy, ale pogrożki faktycznie były – wyjaśniła zdecydowanym tonem pani Stasia. –

Nawet twoja mama zgodziła się z nami, że przy twoim charakterku uratuje nas tylko podstęp!

Nie zgodziłabyś się.

– No nie... – przytaknęła dziewczyna.

– Jestem nawet pewien, że tym szybciej wyszłabyś za mąż – dodał dziadek.

Dagmara musiała przyznać mu rację.

– A skąd się w tym wszystkim wzięłeś ty? – zwróciła się do Michała. – Ale konkretnie

i nie gadaj mi tu o Lublinie ani zanikach pamięci.

– Ja? No dobra, dobra. Generał poprosił mnie o pomoc. Ktoś musiał cię pilnować

i śledzić Filipa. – Wskazał głową Andżelikę. – Świetnie udaje głupiutką blondynkę, ale jest dobra

w tym, co robi. Z jej obserwacji wiele się dowiedzieliśmy, choćby o spotkaniu klasowym. Nie

muszę ci tłumaczyć, że wcale nie byłem szkolnym kolegą Filipa. Pojechałem tam, podałem się za

kogoś ze starszej klasy i tyle, to akurat nie sprawiło problemu, ale potem ta debilka przesadziła

i zaprosiła swojego chłopaka do Zwierzyńca, a ten upił Filipa... Okropność!

Wspomnienie tamtej nocy przy ognisku wciąż jeszcze prześladowało Dagę.

– Kiedy przyjechaliśmy, dziadek dał Bestii telefon, żeby ten mnie do niego

zaprowadził. Cały czas byliśmy w kontakcie. Dlatego ciągle spacerowałem z psami.

– Ale dziadku, dlaczego tak się ukrywałeś? – jęknęła dziewczyna. – Po co? Przed kim?

– Właściwie przed tobą, żebyś nie chciała za szybko wyjechać, musiałem cię jakoś

zatrzymać, a po tych morderstwach trochę się bałem pokazać.

– A ta ciąża?

– To akurat było proste, Malecha wyczuł pismo nosem, a on ma nosa do plotek –

wyjaśnił Michał. – I postanowił ożenić Piotrka z majątną panią z miasta, a przy okazji pozbyć się

Andżeliki, bo nie znosi jej z całego serca.

– Ale jak to się zaczęło? Bo nie rozumiem.

– Początek był taki, że rzeczywiście przestraszyłem się kukły i tych dziwnych

pogróżek, więc zabrałem Kingę i Stasię do Utopców, a w nocy, kiedy już wiedzieliśmy, że nie chcesz za nami jechać, Richard wymalował keczupem mój dom. Przyznaj, to było genialne! – Dziadek wyprostował się dumnie.

Kusiakowa warknęła, a Francuz się skulił, widząc jej minę.

– I tutaj nastąpiły nieprzewidziane wydarzenia, początkowo cała wieś, nie wyłączając pani, pani Kusiakowa, usiłowała przestraszyć dziewczynę, żeby po prostu wyjechała. Niestety coś poszło nie tak – policjant przejął pałeczkę. – Chodzi o morderstwo. Denatka słynęła z plotek, a czasami posuwała się nawet do drobnego szantażu. Prawdopodobnie kiedy poszła do Walczaka po maść, usłyszała coś, czego nie powinna była usłyszeć, umówiła się z Adamem Adamkiem, chcąc go szantażować, i została przez niego zadżgana. Znaleźliśmy przy niej...

– Kapustę – szepnęła Kinga.

– Też, ale przede wszystkim kilka kawałków lukrecji, a wiemy, że Adamek ciągle żuje to świństwo, prawda? Potem pan Filip z zemsty za piętrzące się przeszkody chciał załatwić panią Stasię.

– Dziadku, ale...

– Cisza! Proszę o ciszę! Tak więc pan Filip, widząc w lesie kobietę w ubraniu pani Stasi, zabił zupełnie kogoś innego.

– Ano właśnie, a potem, kiedy okazało się, że z małżeństwa nici, że zaraz minie miesiąc od waszego przyjazdu i że spadek jednak przypadnie pani, postanowił wyeliminować panią.

– Ooooo – jęknęli wszyscy.

– Tak! Wysłał swojego kolegę, który zakradł się tu nocą i zaatakował psa. I to wszystko! Utopce i śmierdząca maź to tylko Walczaki, jak sami wiecie, ale i oni dostaną coś za współudział. Za włamanie też – zakończył dobitnie funkcjonariusz.

Zapadło milczenie, choć aspirant Kotek w swojej wyobraźni słyszał gromkie brawa i głośne zachwyty.

– Eeeee – stwierdził Michał, krzywiąc się. – To za bardzo skomplikowane.

Z doświadczenia wiem, że tego typu sprawy nie są...

– Co takiego?! – Policjant aż zagotował się w środku. – Jakie może pan mieć doświadczenie w tym względzie?

– Kieruję agencją detekty...

– Drogi panie! Proszę mnie nie rozśmieszać. Też mi coś. Agencja! Tu jest prawdziwe życie, prawdziwa zbrodnia, a nie jakieś głupoty czy śledzenie niewiernych żon. I to pan nazywa doświadczeniem? Mrówecki! – ryknął w szarość za oknem, która niepostrzeżenie otuliła dom. – Musimy jechać! Trzeba odwieźć tych dwóch do Zamościa. Nikt nie dzwonił?

– Tylko jakiś adwokat, coś tam wydziwiał, prosił, żeby pan się skontaktował – odpowiedział policjant.

– Cholera! – skwitował aspirant i wściekły wybiegł z domu. Nikt nie poszedł go odprowadzić. Wszyscy siedzieli jak wmurowani, nawet Jasiak przestał wściekle zerkać na matkę, tylko trochę się zamyślił.

– Możesz mieć rację – przyznał po chwili milczenia. – To się nie trzyma kupy. Ten Adam nie jest znowu taki chojrak, skoro się dał babie pobić, a tu ciach i morduje? No i ten atak na psa?

– To miałam być ja! – oburzyła się Dagmara.

– No właśnie. Ledwie go skaleczył i dziabnął tak, jakby nie wiedział, jak to zrobić. Chodzi o anatomię...

– No oczywiście, liczył na człowieka, a ranił zwierzaka. Mógł nie znać anatomii psa.

– Tyle że on moim zdaniem jest za cienki na mordercę. I to podwójnego!

– To drugie morderstwo to Filip.

– On też mi nie pasuje. I cała ta gmatwanina... Tu kombinuje z wywłaszczeniem, z utopcami, ze ślubem, a w międzyczasie zabija? Powinien zrobić to od razu. Po co zresztą

miałby mordować panią Stasię? Ona nie dziedziczy. Krycha też nie.

– Tak, ale z tym szantażem to może być prawda. Dowiedziała się o jego dzieciach i...

Chociaż to raczej powinien być Filip, a nie Adam.

– Kusiakowa też wiedziała i jakoś nikt jej nie mordował?

Wszyscy popatrzyli na kobietę i pokręcili głowami.

– Nie daliby rady nawet we dwóch, Kusiakowa by im łby poukręcała jak kurczakom!

Zainteresowana z zadowoleniem popatrzyła na swoje wielkie dłonie.

– A pewnie! Czego by nie? Pewnie, że bym poukręcała... To może ja wam zrobię kolację? – dodała po chwili.

Wszyscy

natychmiast

skojarzyli

posiłek

z pieczonymi

kurczakami,

kurczaki

z ukręconymi głowami, a głowy z Adamem i Filipem.

– Ale coś bezmięsnego – odpowiedzieli słabo jedno przez drugie.

– Dobra – odparła z westchnieniem kobieta. – Schabowe mam.

– Ale miało być bezmięsne?

– No i będzie, ziemniaków do tego zrobię!

Kotlety skusiły wszystkich. Nie przywodziły na myśl ukręconych głów.

– My wracamy na plebanię – oświadczyła pani Stasia, biorąc opierającego się męża pod rękę. – Cholesterol!

– Pani nie klnie! – warknęła Kusiakowa. – Nie wypada tak cholerować do własnego

męża. Wstyd!

– Kiedy to nie do męża!

– To wy na kocią łapę? Jeszcze większa sromota. Księdzu doniosę!

Pani Stasia szybko załatwiła sprawę, wyciągając dziadka z domu. Miała ku temu dwa powody – kotlety i Kusiakową. Nie była pewna, co gorsze. Zabrali też oba psy, żeby sobie trochę pobiegały. Czworonogi przeżyły wielkie rozczarowanie, bo liczyły na poczęstunek i śliniły się od samego zapachu.

Matka Jaśka przezornie wyszła razem z nimi i szybko pobiegła do domu, myśląc, że zdąży zasnąć, zanim zjawi się Jasiek z żądaniem wyjaśnień.

– A ten adwokat? – zapytała Kinga, przypomniawszy sobie rozmowę aspiranta Kotka i Mróweckiego.

– Pewnie wuj Filipowi załatwił. Ma dojścia. Mogą go wypuścić, w sumie nie udało się znaleźć żadnych dowodów. Wprawdzie Filip mógł zabić babochłopa i Krychę, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

– Był tam.

– Owszem, ale nie mają odcisków ani nic.

– Słyszałem, że kilka udało im się zebrać. Ale nie wiem, czy sprawdzili, do kogo należą.

„Bezmięsne” kotlety schabowe smakowały doskonale. Zjedli je z ziemniakami i bez jakiegokolwiek sałatki czy surówki, po czym ubłagani przez Andżelikę powlekli się do Malechów. Przesiedzieli u nich do dwunastej. Wrócili do domu zmęczeni. Spadło ciśnienie, zaczynał padać deszcz, grzmiało. Nie chcieli zostawiać Kusiakowej samej w czasie burzy i to posłużyło za pretekst do powrotu, bo Malecha upierał się, że nie wypuści ich, dopóki nie spróbują jego bimbru, który miał kolor wody ze ścieku, przejrzystość kałuży i zapach karbidu.

Nie odważyli się skosztować podejrzanej mikstury.



W domu panowały dziwna cisza i ciemność. Kto jak kto, ale Kusiakowa nie gasiła światła, bo o ile bała się „elepstryki” w czasie burzy, o tyle jeszcze większy strach budziły w niej błyskawice. Nie było jej ani w kapliczce, ani w łazience, ani nawet w bimbrowni.

– Może jest w swoim pokoju? Tylko jak to sprawdzić? Ja tam nie wejść, ona może być naga – wyzłościwiła się Dagmara.

Nie szukali jej. Nie mogła być w poważnym niebezpieczeństwie, bo to ona stanowiła największe zagrożenie, zresztą wkrótce sama się znalazła. Zjawiła się w domu cała mokra.

– Nie boi się pani burzy?

– A juści, ale mam teraz coś innego na głowie... No bo to wszystko jakoś mi się nie zgadza, nie pasuje. Zabijcie mnie, ale cuś tu nie gra, dziwne to i niemożliwe.

– Ale co? Pani Kusiakowo? Co?

– No niby nic takiego. Niby nic, ale Walczakowa sama też mówi, że nie wiedziała. No i jak to możliwe?

– Że co?

– Oj, dajcie wy mi wszyscy święty spokój – jęknęła zasmucona i poszła prosto do kapliczki.

Zapanowało milczenie.

– Spać idźta – syknęła baba zza drzwi. – Pomyśleć muszę. Tylko kartkę jaką dajcie i ołówek, bo muszę sobie coś spisać.

– Kolejny testament? O nie, tylko nie to!

– Nie! Po co Kusiakowej testament? Córkę ma i chłopca też... Myślicie, że chora?

Osoba, której coś dolega, jest zazwyczaj blada, słaba i chuda, Kusiakowa zaś stanowiła okaz zdrowia.

– Co ty! Jednym cyckiem chłopca by zabiła – stwierdziła Andżelika.

– To jeszcze o niczym nie świadczy.

– I apetyt ma. Na kolację pożarła cztery schabowe. Zdrowa jest jak ryba...

– Optowałabym za bykiem. Może zdrowa jak Muciek? – mruknęła Dagmara.

– Zamknijta się wreszcie, myśleć mi przeszkadzata!

Przenieśli się w najdalszy kąt kuchni. Mimo późnej pory, a dochodziła pierwsza w nocy, nie szli spać, ciekawi rezultatów. Bo Kusiakowa po pierwsze myślała bardzo intensywnie, co dotychczas jej się nie zdarzyło, po drugie wydawała się nieswoja.

– Ktoś ją zauroczył? – podsunęła zdenerwowana Dagmara, która przyzwyczała się już do gospodyni i mimo że nie darzyła jej szczególną sympatią, wołała Kusiakową zachowującą się jak Kusiakowa, a nie jak jakieś zombie.

Po chwili kobieta pojawiła się w kuchni i każdy, ale to absolutnie każdy powiedziałby, że coś jest z nią nie tak. To myślenie musiało jej bardzo zaszkodzić.

– Bo niby to Malechy tutejsze som – powiedziała w zadumie, o jaką nikt by jej nie podejrzewał. – Schedę wzięli po Stefanie, co go traktor przejechał, a ona z Zastawia się wprowadziła.

Nie wiedzieli, co odpowiedzieć.

– Może ma pani gorączkę? – zapytała Kinga, licząc na konieczność wezwania Jaśka, który zrezygnował z wizyty u Malechów i zaraz po kolacji poszedł do domu „dać matce w kość”.

– Co? A, nie... Gorączka to ten spod lasu, on się nie liczy, bo po Wojewodach jest, a tamci z Komorówki się sprowadzili.

– Jasiek! – wrzasnęła Kinga do telefonu. – Szybko... Jak to kto? Kusiakowa! Nie, nie rodzi! Wariuje!

Z niecierpliwością czekali na przybycie naczelnego weterynarza kraju, przekonani, że skoro poradziłby sobie z dzikiem lub bykiem, da sobie radę z tą odmienioną Kusiakową.

Jasiek wpadł jak burza i natychmiast, choć z bezpiecznej odległości, zaczął się przyglądać kobiecie. Byli zawiedzeni. Nie przyniósł kaftana bezpieczeństwa.

– Dobrze, że jesteś! – zawołała Kusiakowa na jego widok. – Dziura to od Adamków jest?

Chłopak się zamyślił.

– Nie, od Dziwotów, od Adamków była pierwsza żona, co potem poszła za tego Toporka z Zastawia. Miała troje dzieci i Toporkówna wyszła za mąż za Pasterskiego.

– Psa pasterskiego? – zażartowała Kinga, bo stan umysłu obojga trochę ją zaniepokoił.

– Nie wygłupiaj się. Za Pasterskiego, Leon miał na imię, ale po co wam, Kusiakowo... – Jasiak nie zdążył dokończyć pytania.

– No bo tak myślę i myślę, i zupełnie mi to nie pasuje. Walczak jest tutejszy od pradziada, co ziemię w spadku po wuju dostał, Walczakowa z domu była Król, Króle są z Zarzecza, jej ojciec kowalem był.

– Ma pani rację! – zawołał Jasiak. – Przecież Morawscy tu folwark mieli jeszcze przed wojną.

– Toż to pany byli. Prawdziwe pany, konie mieli, oranżerię, służbę... Mój dziadek za fornala tam robił... No to jak to tak, że Walczaki rodzina? Niepodobna!

I wtedy zrozumieli, co ją tak niepokoiło. Kusiakowa musiała być zazdrosna o koligacje.

Co prawda dwór dawno nie istniał, ale splendor pozostał. Daga, usiłując załagodzić nieco sytuację, westchnęła i szepnęła do Jaśka:

– Masz coś na uspokojenie?

Potem głośno i wyraźnie powiedziała do Kusiakowej:

– Ten Tytus mógł się pomylić. To już tyle lat!

– To niepodobna! – krzyknęła kobieta, jakby od tego zależał los któregoś konkretnego wszechświata. – Ludzie się nie mylą w takich sprawach! Nie tutaj! Może tam u was, w Warszawie, ale nie tu! Tu każdy wie, kto czyj jest!

Jasiak poważnie skinął głową.

– Może nie chodziło o jego rodzinę, tylko o „rodzinę” Walczaków? Przyjechał, poznał ich, spodobali mu się...

– Brał coś? Był ćpunem? Bo Walczaki mogą się spodobać tylko po dużej dawce LSD albo po trzech litrach na głowę – oburzyła się Andżelika, wyraźnie dobrze poinformowana. – Człowieku, Walczak to opilec, ochlaptus i menel! Walczakowa klnie i kłóci się ze wszystkimi, córeczki puszczają się, z kim popadnie, a babka, świeć, Panie, nad jej duszą, księdza pobiła, jak przyszedł do nich po kolędzie.

– Miała alzheimera – westchnął Jasek. – Biedna staruszka myślała, że to złodziej.

– Ale pobiła – twardo postawiła sprawę Kusiakowa.

– Fakt. Trzeba po prostu wreszcie przeczytać ten testament i się zobaczy. Może zapisał Walczakom, bo ich mu się szkoda zrobiło? Trzeba do księdza zadzwonić.

– Ale nie o tej porze. Jest trzecia rano!

Mimo uporu Kusiakowej nie zadzwonili. Powoli rozeszli się każdy do siebie. Kusiakowa nie poszła spać. Chodziła i mamrotała, wyliczając co chwila na palcach koligacje każdej utopieckiej rodziny i wykrzykując raz po raz coś w rodzaju:

– O, a ich kuzyn, ten Stefan, to przecież z młynarzówną się ożenił!

Albo:

– A syn Zośki to za panną do Komorówki poszedł, ale go wygoniła... Ale żeby z dziedzicami? Walczaki? Niedoczekanie! Coś tu śmierdzi!

Kusiakowa nie była osobą, która umiała być cicho. Nie to, że specjalnie czasem czymś rzuciła, po kolacji zwykle tego nie robiła, ale miała swoje sposoby na sprawienie, żeby inni nawet nie próbowali zasnąć.

Chodziła w tę i z powrotem. W ciszy nocy, a właściwie poranka, odgłos jej stóp był słyszalny na kilometr. Wzdychała żałośliwie, kończąc czasami takie westchnięcie długim, przeciągłym: „Ojejkujejkuicoterabędzie?”.

Obijała się o meble. Nie celowo. Chyba.

Wszyscy leżeli wykończeni, usiłując zmrużyć oczy pomiędzy jednym a drugim jękiem, hukiem i tupotem.

– Jedna owca, druga owca, zwariuję, trzecia owca, zwariuję ze szczętem, ile to było?

Szósta owca, siódma owca... – liczyła Dagmara. – Zabiję tę babę, zamorduję!

– Nie ma szans, nie da nam spać – stwierdziła Andżelika.

Nie miała racji. Co chwila zapadały w czarną otchłań, potem budziły się i znów zasypiały, i było to jeszcze gorsze.

Zwlokły się z łóżek mniej więcej dwie godziny później.

– Dobrze, że jesteście. Trza do księdza dzwonić – oświadczyła Kusiakowa.

– O piątej rano?

– Ksiądz śpioch nie jest! Na pewno już dawno wstał.

– O piątej rano?!

Popatrzyła na nie wściekle i już miała wybrać numer telefonu, ale po chwili zmieniła zdanie.

– Nie ma co dzwonić, trzeba iść...

– O piątej rano?!

– Już pięć po – oświadczyła kobieta, zarzucając sobie na ramiona smętnie wyglądającą szydełkową chustę. – A wy co? Ubierać się! Trzeba iść...

– Bez śniadania?

– No przecież nie będę wam robić jedzenia o piątej rano! – obruszyła się kobieta.

Kilkanaście minut później wszyscy byli już w drodze. Panował chłód, znad łąk podnosiła się poranna mgła. Kusiakowa prawie biegła, Andżelika i Dagmara wlokły się ledwie żywe, noga za nogą, za nimi szła nie mniej wykończona Kinga.

Michał także szedł wraz z nimi. Obawiał się zostawić dziewczyny na pastwę Kusiakowej.

Nagle przystanęli.

– Muciek! – wrzasnęła Dagmara. – Pani Kusiakowo! On ma podniesiony ogon! Będzie na nas szarżował!

Kobieta popatrzyła z politowaniem na dziewczynę.

– Po co ma szorować, i to na nas, zaraz to on będzie srał, ło. – Wskazała przed siebie.

Muciek zrobił wielki placek i odmaszerował. Chwilę potem w placku leżała Kinga.

– Cholera jasna! – jęknęła Dagmara. – Znowu nie uważałaś? Musiałaś to zrobić? Jak my się teraz pokażemy księdzu? Trzeba wracać do domu!

– Mowy nie ma – warknęła Kusiakowa.

Podniosły zatem dziewczynę, wytarły ją pobieżnie łopianami i mimo że wciąż cuchnęła, ruszyły dalej.

Ksiądz, wyrwany z pościeli, starał się być grzeczny, nawet usiłował nie ziewać i nie wyzywać.

– Rejestry parafialne? Po co to pani o piątej rano?! Czy pani oszalała?

Księża gospodyni z niezbyt przyjazną miną zajęła się Kingą. Dziadek i pani Stasia wyszli w szlafrokach z ich pokoju, tylko wikary spał nadal, bo jego pokój znajdował się na drugim piętrze i cały rozgardiasz go po prostu ominął.

– A więc to tak? – zdziwił się po jakichś trzydziestu minutach szperania w papierach dziadek, który pomagał księdzu. – Jednak Kusiakowa ma rację. Trzeba wezwać policję.

Sprawczyni całego zamieszania nie mogła znaleźć sobie miejsca i wiedziona jakimś pradawnym instynktem bardzo szybko wylądowała w kuchni. To było jej środowisko naturalne, oczywiście jeśli kuchnia należała do niej, bo taka posiadająca właścicielkę bardzo szybko stawała się polem bitwy.

Tym razem nalot Kusiakowej zaowocował skromnym śniadaniem i potężną kłótnią.

– Co wy dajecie księdzu? – zapytała głosem niewróżącym nic dobrego.

- Jajka na twardo – odparła gospodyni z hardą miną pani na włościach.
- Przecie to nie piątek! – warknęła Kusiakowa. – Kiełbasy, boczku trzeba dać! Chudy!
- Boczek tłusty, nie chudy!
- Ksiądz chudy! I tę trawę z talerza wyrzućcie. – Wskazała sałatę. – Jak wam nie wstyd?! Ksiądz nie krowa! Trawy nie żre. A to co?

Tym razem wycelowała oskarżycielskim palcem w miskę z czymś podejrzanie zielonym.

- Żeście Mućkową kupę z drogi zebrała? – zapytała z przekąsem.
- To szpinak na obiad!
- Krowia kupa! – jęknęła Dagmara.
- Nie jedzcie! – wrzasnęła księża gospodyni. – Nikt wam nie każe.
- Gotować to wy nie umiecie! Księdza głodem zamorzycie!

Wybuchowi trzeciej wojny światowej zapobiegł przyjazd policji.

W zabranym Filipowi testamentie rzeczywiście wspomniano o rodzinie Walczaków, a konkretnie o Józefie jako o „rodzinie ze strony nieżyjącej siostry”.

- Czyli to jakiś totalny przekręt! – stwierdził policjant. – Ten Filip nie dość że mordował, to jeszcze co? Sfałszował testament? No bo skoro Walczaki nie są rodziną...

Rzeczywiście to dziwne. Trzeba porozmawiać z notariuszem. Może on coś wie na ten temat?

## **Rozdział X**

Jeszcze tego samego wieczora sprawa się wyjaśniła.

Aspirant Kotek przyjechał z jakimiś papierami.

- Mielście całkowitą rację. Notariusz wszystko nam wyjaśnił. Otóż zatrudnił Filipa.

Siostra żony go prosiła. Wręcz błagała, bo chciała, żeby się czegoś nauczył... A on zamiast tego zaczął paskudzić w papierach. Miał niby pracować na komputerze, bo tamten nie za bardzo się na tym znał, ale nakradł, co się dało, w tym testament pana Morawskiego.

- I sfałszował go?

– Na to wygląda. Potem zrobił wszystko, żeby pani nie dostała spadku, a na koniec chciał panią zabić.

– Czyli wszystko jasne?

– Niestety brakuje jeszcze dwóch rzeczy. Pamiętacie państwo te „psie skarby”?

Poddaliśmy je analizie. To, co braliście za rękę, to była rękawiczka. Bestia musiał znaleźć ją w lesie.

– Ale... Rękawiczki są miękkie, a to...

– Była sztywna, nasączona krwią dwóch osób, znaleźliśmy też szczątkowe kawałki naskórka, sprawdzamy DNA.

– A krew do kogo należała?

– Do denatki, tfu, denata i kogoś innego, jeszcze nie wiemy kogo. Musimy pobrać próbki, ale to dopiero jutro. Z pewnością będzie to krew Filipa lub Adama. Morderca mógł się zranić, czy ja wiem? No tak – odpowiedział sam sobie. – Adam Adamek był ostatnio ranny. I to bardzo...

Pożegnał się szybko i odjechał. Wszyscy prawie spali na stołach. Ziewali na potęgę i usiłowali zrobić wszystko, by jak najszybciej znaleźć się w łóżkach.

Nieprzespana noc mocno dała im się we znaki. Jakoś przetrwali ten koszmarne dzień, z niecierpliwością czekając na wieczór.

Snuli się po kątach, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Usiłowali wysprzątać resztę śmieci z piętra i zanieść je na dół, poganiani pokrzykiwaniem Kusiakowej, która dumna ze swojego odkrycia tryskała energią wulkanu i wykańczała ich jeszcze bardziej.

Żeby się przed nią ukryć, rozłożyli koce w Jaśkowym sadzie, ale stamtąd przegnały ich komary. Pogoda była parna i wilgotna, a owady nienasycone.

Na obiad dostali pierogi. Wyglądały cudownie polane tłuszczem ze skwarkami i cebulką.



– Ruskie?

– Gdzie tam, lubelskie. Z kaszą gryczaną, serem i miętą – zachęcała Kusiakowa. – Na słodko!

– To skąd ta słonina? – jęknął Michał.

– Przecie to nie post! Ja nie taka jak księżzowa gospodyni, ja o was dbam.

Nagle okazało się, że wszyscy są uczuleni na miętę.

Kiedy tylko nadszedł wieczór, dziewczyny znów ułożyły się razem na podłodze w pokoju pani Stasi.

– Jakie to dziwne – westchnęła Dagmara, ziewając. – Cała ta plątanina z Filipem.

– I jeszcze ten podrobiony testament. Jak chciał fałszować, to mógł jakoś bardziej logicznie. Dlaczego zmienił tylko nazwisko, a resztę zostawił? Jak już się babrał, to powinien iść na całość...

– Nie, chyba się wydało.

– I tak się wydało! Trudniej byłoby wykryć oszustwo, gdyby wykasował ten kawałek o rodzinie, nie? I dlaczego akurat Walczaki? To na siebie nie mógł? Na kogoś innego?

– Fakt. Wtedy Kusiakowa nie wpadłaby na ten... Tu mi coś śmierdzi – szepnęła Andżelika.

– Mnie też – stwierdziła Dagmara.

– Nie, ja mówię poważnie. Coś naprawdę cuchnie! W pokoju! – jęknęła dziewczyna. – Któraś ma kłopoty żołądkowe?

Zaczął padać deszcz. W oddali dały się słyszeć odgłosy burzy. Po chwili lało jak z cebra. Okno zalały potoki deszczu. Grzmiało coraz głośniejsze i coraz bliżej.

– No to znowu nie pośpimy – jęknęła Dagmara. – Kusiakowa oszaleje i trzeba będzie ją skądś wyciągać. Może od razu do niej idźmy?

Niechętnie wstały. Coś gruchnęło. W tym momencie światło zgasło.

– Albo w drzewo, albo w chałupę – zawyrokowała Kinga. – Szybko, żeby gdzieś nam nie uciekła!

Pobiegły razem w kierunku pokoju Kusiakowej.

Pioruny waliły coraz częściej, a w ich przebłyskach ponury dom wyglądał jeszcze bardziej makabrycznie. Burza tworzy cudowną atmosferę zagrożenia, szczególnie gdy w pobliżu grasuje morderca.

– Michał, to ty? – zapytała Dagmara, widząc przed sobą wysoką postać.

Coś zacharczało.

– Nie wygłupiaj się! – zawołała Kinga. – Musimy ratować Kusiakową.

Po omacku szły w kierunku jej pokoju.

– Kinga, uważaj na to cholerne składowisko śmieci! – krzyknęła Dagmara. – Nie zabij się.

Coś łupnęło.

– Żyjesz? – zapytała.

– Przecież idę za tobą.

– Andżelika?

Nikt nie odpowiedział.

Usłyszeli tylko jakieś zduszone jęki.

– Łutoooooopec! – wrzasnęło coś z pokoju przed nimi. – Łutopieeeeeec!

– Wariatka – jęknęła Dagmara.

– Nie powiedziałbym – wtrącił ktoś. – O, przepraszam...

Błyskawica przetoczyła się po niebie zygzakiem jak wielka kanciasta żmija. Znów huknęło.

– Gdzie jesteście, dziewczyny? Kusiakowo!

Piorun znów rozświetlił niebo. W jego blasku Dagmara zobaczyła przed sobą kolejną

postać. Była wysoka, chuda, dziwaczna i... trzymała w ręku miecz?

Przed nią biegła wielka jak piec Kusiakowa. Znow zapadła ciemność.

Przez chwilę słychać było tylko bębnienie kropli o dach i szyby, a po chwili coś walnęło w jedno z okien. Posypało się szkło.

– Michał! Michał, gdzie jesteś?! – zawołała Dagmara, podbiegając do ściany. – Co tu tak śmierdzi?

Na dworze zawył wilk.

– Kłątwa! – wrzasnęła Kusiakowa. – Łojezusiemaryjo!

Kobieta się zatrzymała i podniosła coś z ziemi. Po chwili w blasku padającym zza okna Dagmara zobaczyła wielki cień trzymający w ręku widelec.

– Łoj, to nie to – jęknęła Kusiakowa.

Chwilę potem na ścianie pojawił się jeszcze jeden cień, bardzo podobny do poprzedniego.

– Kusiakowa się rozdziwiła – zauważyła Dagmara.

– Coś walnęło mnie w głowę – usłyszała po chwili gdzieś w okolicy swoich nóg. – Coś mnie ciągnieeeee!

Głos wyraźnie się oddalał.

– Będęm jo jeść – pisnęła Kusiakowa. – Ratunku...!

Drugi cień rozmnożonej Kusiakowej miał na sobie coś w rodzaju fartucha, ale w ręku dzierzył nie widelec, tylko miotłę.

Kobieta, wyraźnie niezbyt zadowolona z rozdziwienia, złapała połamane krzesło i walnęła nim w stojącą postać.

– Ubiłam! – zawołała zadowolona.

– Cholera jasna... Cholera jasna...

– I jeszcze klniesz?!

Kusiakowa poprawiła drugi raz krzesłem. Coś plasnęło. Huk grzmotu zagłuszył jęki.

Wielki cień z mieczem przesunął się w kierunku Dagmary.

Coś złapało ją za nogę. Odruchowo wyrwała się i z całej siły kopnęła napastnika.

– Mój brzuch – jęknął męski głos.

Dagmara ponowiła cios.

– Moja głowaaaaa...

Coś ją złapało jeszcze raz i pociągnęło dalej. Upadła na ziemię.

– Pieprzony utopiec – syknęła.

– Przony piec? Przony piec. – Jęk przeszedł w sapanie.

– Nie weźmiesz mnie żywcem! – huknęła dziewczyna i zaczęła tłuc pięściami dookoła siebie. Udało jej się złapać nogi starego fotela.

– Uszczaj! – wrzasnęło.

W tym momencie wielki cień podniósł miecz...

Kusiakowa wstała z podłogi i rąbnęła postać miotłą.

– Łoboże – dało się słyszeć z drugiego końca korytarza. – Bedom mnie jeść. Ciągnij mnie! Ratunku!

Były dwie. Musiały być dwie.

Kusiakowa z miotłą zamachnęła się jeszcze raz.

Dagmara puściła nogę fotela i pojechała po mokrej podłodze w bliżej nieokreślonym kierunku. Po drodze wymacała ręką coś twardego. Złapała to i rąbnęła tym w kierunku, w którym była ciągnięta.

– Ratunkuuu! – wrzasnęła Kusiakowa. – Bijom mnie!

– O ja pier... – stęknął jakiś głos. – Mój nos...

Znów błysnęło. Dagmara zobaczyła niewiele. Leżała na podłodze, nieokreślony napastnik ciągnął ją za nogę. Był cały pokrwawiony.

Nad nią stał ktoś jeszcze.

– Kinga! Andżelika! Michał! – zawołała w panice.

– Ja ci... am ...chał – sapnęło.

W dali dało się słyszeć jakiś przeciągły dźwięk.

Kusiakowa numer dwa kolejny raz zamachnęła się miotłą. Raz, drugi, trzeci... Wielki cień z mieczem runął na ziemię.

\*

Po chwili z wyciem syren pod dom podjechał radiowóz. Znów coś huknęło. Światła się zapaliły i zgasły. Do środka wbiegło kilka osób. Kiedy ponownie zapaliły się światła, oczom Dagmary ukazało się pobojuwisko.

Na podłodze tuż przy jej nogach leżał dość porządnie zmasakrowany mężczyzna.

– Utopiec? – zdziwiła się dziewczyna.

– To ja, kretynko – jęknął Michał, ocierając krew. – Chciałem cię odciągnąć.

Nieco na prawo leżały Kinga i Andżelika, a obok nich siedział Jasiek.

Kawałek dalej kotłowała się Kusiakowa, usiłując wstać.

Pod ścianą siedział ksiądz z miotłą, a obok niego leżał całkowicie nieznany im mężczyzna.

– Masakra – szepnęła ze zgrozą Dagmara.

– Ratowaliśmy ci życie! Dziewczyno, czy ty w ogóle nie myślisz? Po co wyłaziłaś na korytarz?

– Chciałam ratować Kusiakową!

– Kusiakowa doskonale sama się ratuje.

– Potrzebne pogotowie? – przerwał im aspirant Kotek. – Jak się ksiądz czuje? A pan, panie Michale? Skąd tu tyle krwi?

– To jej wina – sapnął Michał. – Ale jakoś się udało, wpadliśmy w ostatniej chwili.

Chciał ją zamordować.

– Niby kto? – zdziwiła się Dagmara. – Filip siedzi, Adam też, prawda?

– Zgadza się. Oni siedzą, choć nie całkiem, a ten, kto chciał panią zabić, leży o tutaj. –

Policjant wskazał półprzytomnego mężczyznę. – To Józef Wilczak, miejscowy notariusz.

– Po co miał mnie zabijać? Przecież ja go w ogóle nie znam! Nawet o nim nie słyszałam do wczoraj.

– On za to słyszał o pani już dawno.

– Strasznie dużo tutaj tych morderców – westchnęła dziewczyna. – To już trzeci w tym tygodniu.

– Nie trzeci, ale pierwszy.

Mężczyzna został podniesiony i usadzony na resztkach fotela.

– Pani Kusiakowa, zrobi pani herbaty. Nie możemy wracać na posterunek, droga zawałona drzewami. Tuż za nami złamała się gałąź i do rana nie da się przejechać.

Kusiakowa trochę się pokręciła po kuchni, po jakimś czasie wyszła gdzieś na chwilę i wróciła z butelką krwistego płynu.

– No co? – obruszyła się, widząc spojrzenia pozostałych. – Wiśniówka na spirytusie.

Do herbaty jak znalazł.

Miała rację. Od razu wszystkim zrobiło się cieplej, tylko policjanci odmówili wkładki rozgrzewającej. Notariusz też nie dostał.

– Ja mordercom dogadzać nie zamierzam – warknęła Kusiakowa, omijając mężczyznę szerokim łukiem.

– Kiedy ja nikogo nie zabiłem! Wszyscy żyją – burknął mężczyzna. Był dość porządnie ubrany, ale wypapraną zieloną mazią.

– Gnojówka z pokrzywy? Za utopca robił? – zdziwiła się pani Stasia, która właśnie z reklamówką na głowie wtoczyła się do domu wraz z dziadkiem. Wszyscy biegli w deszczu na pomoc księdzu, po tym jak zawiadomili policję.

– Nie, to Kusiakowa wymyśliła utopce, on chciał zmylić psy. Pomyślał, że nie rozpoznają jego zapachu. Sam nie wiem, czy nie miał racji!

– Filip go wynajął?

– Ależ nie – odparła Andzelika, która trochę już doszła do siebie. – Pamiętasz, jak mówiłam, że to za bardzo poplątane? Teraz wszystko się wyjaśniło.

Policjant przytaknął skinieniem głowy.

– Pan Wilczak jest synem siostry pana Tytusa Morawskiego – wyjaśnił. – To on miał dziedziczyć, ale tylko jeżeli pani Dagmara Rogalska nie spełni warunków. Podpuścił więc Filipa, dając mu sfałszowany testament. Chłopak nie grzeszy inteligencją, więc narobił sporo zamieszania. Zresztą tak właśnie miało być. A tymczasem pan Wilczak postanowił panią zabić.

– A co z Krychą? – przypomniała Dagmara.

– Zaszła gigantyczna pomyłka. Nie wiedział, jak pani wygląda. Pomyślał, że ta osoba, która przyjechała z dziadkiem i panią Stanisławą, to musi być pani. Pamięta pani te zdjęcia ze Słodkowa? Zrobił je panu Ksaweremu i Kindze, myśląc, że to pani... Potem je zgubił.

– Gips.

– Tak. Pani Kinga miała gips, a denatka bandaż. Było ciemno. Mało czasu. Pani Krystyna rzeczywiście przyszła chyba coś ukraść. Zdarzało jej się. – Aspirant nie wydawał się oburzony.

– A kapusta?

– Czysty przypadek. Zwyczajna zmyłka dla odwrócenia uwagi.

– Przecież to głupie. – Dagmara się skrzywiła. – Jeden testament, teraz drugi...

– No cóż, zapisano pani duży spadek, którego on nie chciał stracić – wyjaśnił aspirant.

– Bo te pieniądze należały się mnie! Mnie, a nie jej – warknął mężczyzna.

– A wszystko i tak spadłoby na Filipa. Nawet list, który zostawił koło domu podczas burzy, także miał na niego wskazywać, ale... nie za bardzo się udało, bo Filip wiedział, jak

wygląda wnuczka pana Rogalskiego – powiedział policjant.

– Ten kretyn doskonale się do tego nadawał. Niczego nie potrafił zrobić, jak należy!

Nawet nie dał rady się ożenić... – rzucił Wilczak.

– Wcale panu na tym nie zależało! – warknęła pani Stasia.

– To fakt. Przecież nie mogłem dopuścić do tego, żeby potem pokazał komuś

sfalszowany testament. Wszystko by wyszło na jaw. Moja rola też, a tak...

– Ale po co miał zabijać panią Stasię? Czy może to jednak Filip? – zapytała Dagmara.

– Ależ skąd. Chciał ją zabić, bo myślał, że coś widziała, kiedy mordował Krychę, ale w pomieszczeniu było zbyt ciemno. Zobaczył tego mężczyznę, który w przebraniu niósł bimber...

– Jaki bimber? – oburzyła się Kusiakowa. – Tu nikt nie handluje bimbrem, no co pan, panie władzo!

– Niby nikt nie, ale wszyscy piją, znaleźliśmy przy nim dwie butelki. Skądś musiał je wziąć. Może kupił? Bał się, że go ktoś rozpozna, miał problemy z prawem, pewnie dlatego przebierał się za kobietę, kiedy wynosił towar. Pan Wilczak wziął go za starszą panią i zabił...

– Ale skąd wy tu wszyscy... – Dagmara nie potrafiła znaleźć słów.

– Po rewelacjach Kusiakowej jeszcze raz przejrzelśmy księgi parafialne. Dodaliśmy dwa do dwóch i wyszło nam, że może spróbować cię zabić – westchnął dziadek.

– Ta cholerna burza była mu bardzo na rękę. My popędziliśmy na policję – dumnie stwierdziła pani Stasia – a ksiądz pobiegł cię ratować.

– Z miotłą?

– Nic innego nie miałem pod ręką – wyjaśnił kapłan. – Plebanie rzadko są wyposażone w arsenał.

– Ja usiłowałem was odciągnąć, ale chyba niepotrzebnie. Jestem cały posiniaczony – poskarżył się Michał.

– Więc co? On chciał mnie zabić teraz, kiedy Filip siedzi w więzieniu? Nielogiczne. –



Dagmara wciąż miała wątpliwości.

– Filip nie siedzi w więzieniu. Odwieźliśmy go wczoraj do Warszawy. Matka załatwiła mu adwokata.

– A to trucie?

– To łon! – wrzasnęła Kusiakowa. – Poznaję ten głos! To łon kazał mi was struć.

Kusiakowa dopiero teraz opowiedziała policjantom o telefonie i zleceniu. Słuchali zaszokowani.

– I co? Chciał pan zabić ich wszystkich? – zapytał aspirant.

– A jaki miałem wybór? Ile razy wpadałem tu nocą, to latali jak szaleni, raz o mało mnie nie dopadli. Wszędzie psy... – powiedział Wilczak tonem usprawiedliwienia.

– Ale tyle osób?!

– No i co z tego?! To duża forsa. Wreszcie mógłbym się wynieść z tych przeklętych Utopców. Co ja tu mam za życie?! Tylko stare baby i ploty!

– A kancelaria? – zapytała pani Stasia.

– To już tylko wspomnienie. Nie stać mnie nawet na lokal w Zamościu, a kto przyjedzie do notariusza do takiej dziury?

– Dlaczego? – zdziwiła się Dagmara.

– Bo pan Wilczak gra. Namiętnie – spokojnie wyjaśnił aspirant Kotek. – Przegrał już, co się dało. Jakiś czas temu przegrał nawet ten szpital, dlatego popadł w ruinę, potem pan Morawski odkupił budynek za ciężkie pieniądze i przekazał gminie. Ma tu być sanatorium jego imienia.

– Po co mu to?

– Jemu po nic, ale był we Francji znanym lekarzem, chciał coś po sobie zostawić w Utopcach, to przecież kolebka jego rodziny – wyjaśnił dziadek.

– Aha! – Kusiakowa się nachmurzyła. – Szatanorium? Takie dla wariatów? Znów będą

ludzi utopcom na pożarcie składać?

– Niczego nikt nikomu nie będzie składał. To będzie nowoczesny obiekt, gmina stara się o dotację z Unii.

– Ale jak kto tu zamieszka, to rychło... – jęknęła Kusiakowa.

– Rychło to ja panią u spowiedzi chcę widzieć – wtrącił się ksiądz. – Za utopce, za trucie i... Sama jeszcze wiecie za co! I panią też. – Wskazał głową Ziębowa, która zawiadomiona przez Jaśka przysłała z wielką torbą opatrunków i wody utlenionej.

Jasiek pracowicie zaczął obmywać rany Michała.

– Kiedy ja nic nie zrobiłam! – zawołała Ziębowa wyraźnie wystraszona.

– Ja już swoje wiem. Ale to z innego powodu. – Zadowolony z siebie proboszcz spojrział na Kingę. – Jakoś tak mi się widzi, że na zapowiedzi będziecie dawać.

Jaśkowa matka poczerwieniała z radości.

Chłopak z wrażenia prawie wydłubał Michałowi oko. Kinga zaczerwieniła się po cebulki włosów.

– Przestań, debil! – warknął ranny.

– Chodźcie no, Ziębowo – powiedziała Kusiakowa i skinieniem głowy zaprosiła ją do kuchni. Po chwili już pracowicie o czymś szeptały.

– Ale czy aby na pewno?

– Toż mówię, że na pewno! Umie!

– Krowę też?

– I krowę, i byka... Tyle że na chorobę, ale poradzi sobie i z tym. Da sobie radę. Jak ja mówię, że da, to da – zawyrokowała Kusiakowa. Obie wyszły z kuchni. Widać było, że coś knują.

Dopiero rano udało się odblokować drogę. Aspirant Kotek zapakował notariusza do radiowozu i odwiózł do Zamościa.

– Jutro powinny przyjść wszystkie wyniki. Przywiozę też kopię testamentu, bo oryginał musi zostać jako dowód w sprawie... A państwo co? Jakie macie plany? – zapytał, wychodząc.

– Na razie żadnych – odparła pani Stasia, która jak wszystkie chyba żony świata traktowała swojego męża jak niezbyt rozgarnięte dziecko i czuła się w obowiązku odpowiadać w jego imieniu. – Prawda, kochanie?

Policjant zatrzymał się w drzwiach nieco spłoszony.

– Ale nie macie zamiaru tu zostawać? Prawda?

– Nie, nie! – odparła Dagmara.

– Czemu? – zapytała Kinga.

– Jasne, że tak – stwierdziła Andżelika.

– Oczywiście, że mamy! – odezwał się dziadek, patrząc z wyższością na panią Stasię. –

Co w tym złego?! Odpoczniemy, pospacerujemy, rozerwiemy się...

Aspirant Kotek zadrżał.

– A Kinga jak chce, może trochę u nas pomieszkać – stwierdziła Ziębowa z nadzieją w głosie.

Kusiakowa o mało nie zemdląła.

– Jakże to tak! Łobraza boska będzie... Zgorszenie!

– Ludzkie gadanie, a nie obraza boska – odparła twardo Jaškowa matka. – A ja plotek się nie boję!

– Ja zwariuję. Ksiądz jedzie ze mną, odwiozę na plebanię – zaproponował policjant. –

Jak znam życie, coś księdzu zrobią albo co... A poza tym...

Nie został jednak należycie wysłuchany, bo proboszcz mimo podeszłego wieku był pełen wigoru i lubił spacerować. Wyszedł, zabierając ze sobą dziadka i panią Stasię.

– Ty, Andżelika, naprawdę zamierzasz tu zostać? – zapytała dziewczynę Dagmara trochę zaskoczona. – Tak cię wzięło do tego rudego Piotrka?

- Oj, Daga, życia nie znasz? My ze sobą jesteśmy od dawna. Prowadzimy...
- Agencję detektywistyczną? – podsunęła Dagmara trochę złośliwie.
- Ależ skąd! Agencję to ma Michał, w Warszawie... Ja i Piotrek mamy siłkę w Zamościu. Stary Malecha się wścieka, bo żaden syn na roli nie chce zostać, dlatego tak bardzo chciał Piotrka z tobą ożenić, a mnie chętnie by pogonił, ale mu się nie udało.
- A Kark? No... To technikum i w ogóle...
- Jak chce u nas pracować, musi szkołę skończyć. Nieuków nie zatrudniamy, nawet takich z rodziny. Widzisz, co się stało z Filipem i tym popieprzonym notariuszem? Jełopa zatrudnił...
- Podpuścił go jak cholera, a ten biedak...
- Dagmara! Ty chyba go nie żałujesz? – obruszył się Michał. – Jestem cały zmasakrowany, oczy podbite, warga rozcięta, łuk brwiowy trzeba będzie szyć, siniak na siniaku, wszystko z twojej ręki, a nie tylko nie słyszę przeprosin, ale ty się zupełnie mną nie przejmujesz... To co, ja nie biedak?
- Nie. Zasłużyłeś sobie! Zresztą podobno jesteś komandosem.
- Byłym!
- To powinieneś być przyzwyczajony.
- Do czego? Takiego wpięprzu żaden facet mi jeszcze nie spuścił, bo leżałby w gipsie przynajmniej pół roku, ale jak, do cholery, miałem bić kobietę?!
- Daj spokój! Ja teraz myślę – przerwała mu obcesowo. – Chodzi o to, że przecież powinni mnie zawiadomić już trzy lata temu, nie?
- Notariusz miał obowiązek to zrobić, ale udawał, że Filip wymazał mu wszystkie dane, a on, nie znając się na komputerze, nie umiał nic zrobić. Gdybyś tu nie przyjechała albo gdybyś wyszła za Filipa...
- To bez sensu. Notariusz miał dwa plany. Pierwszy – zabić mnie i drugi...

– Dokładnie taki sam. On musiał cię wyeliminować. Nie miał wyjścia.

– To po co te numery ze ślubem?

– Filip naprawdę myślał, że jak się z tobą ożeni, to nie dostaniesz spadku, szybki rozwód i już... Potem chciał przedstawić „swoją” testament, przecież on nie wiedział, że jest sfałszowany. A to była tylko zasłona dymna. Notariusz chciał cię zabić, ale najpierw musiał sprawić, żeby Filip namotał, żeby wszędzie go było pełno i żeby okazał się idealnym podejrzanym, bo morderstwo miało iść na jego konto.

– A pani Stasia?

– Mogła niczego nie widzieć. Wiesz, jak jest, na mordercy czapka gore...

– A to, co słyszałam, kiedy wpadłam w tego nieboszczyka? Może to nie notariusz, ale jeszcze ktoś inny albo miał współników... Bo tam mówili o spadku, upiorze i o zwłokach na kawałki, co pod krzakiem...

– Oj, głupiaś ty – mruknęła Kusiakowa.

– ...I o toporku, co trzeba było nim kogoś...

– Oj, głupiaś ty – powtórzyła baba. – Walczakowa o studni gadała, co ją Toporek miał wykopać, ale akurat po papiór do gminy pojechał.

– A spadek?

– No, spadek pod chałupą mają. Nie stoi na równym, to i kopać trudno. I żadnych zwłok nie kroili, ale pokrzywy na gnojówkę! – Kusiakowa nerwowo popatrzyła na zegarek. – Muchowa już tu idzie – powiedziała uroczystym tonem. – Będziem zamawiać.

– Co robić?

– No, zamawiać – mruknęła Ziębowa.

– Zwariowałyście?! – jęknął Jasiak, ale matka pogroziła mu pięścią.

– Ty się zamknij i idź stąd, to babskie sprawy! Trzeba ją zamówić, bo się dziewczyna odkocha, a nam żona potrzebna...

– Nam? – warknęła Kinga.

– A jak? Żona to takie, no, dobro ogólne... Domowe, no...

– Sprzęt gospodarstwa domowego – roześmiał się Michał i o mało nie dostał znów w łeb, tym razem od Dagmary.

Kusiakowa popatrzyła na niego z politowaniem.

– Łoj, niedorobiony ty jakiś, Michał, już tu dwa śluby się szykujom, a ty jeszcze w lesie. Zabierz się do niej, bo ci ją kto sprzed nosa sprzątnie, jak taka majątna!

Kinga nie wiedziała, co powiedzieć. O zamawianiu miłości słyszała, wiedziała, że to jakiś gigantyczny zabobon, ale była ciekawa, jak to wygląda.

Muchowa wtoczyła się do kuchni jak wielki, chlupoczący balon. W jednym ręku niosła miotłę, na którą nanizła jakieś wianki, w drugim dzierżyła miednicę i trochę zasuszonego zielska.

– Tylko nie daj się podpalić – mruknęła Andżelika do Kingi.

– Zamknijta się! I jajów ze trzy dajcie, bo swoich mi szkoda. I wynocha! – warknęła

Muchowa. Po chwili wskazała głową Ziębową, Kusiakową i Kingę. – A wy chodźcie.

– Nic jej nie zrobią?

– E tam... Najwyżej przestraszą – odpowiedział Jasek ze złośliwym uśmiechem. –

Muchowa to taka zamawiaczka jak z koziej dupy trąba!

Niewiele było słyhać. Najpierw jakieś mruczenie, potem jęki, stuki, a na końcu coś w rodzaju litanii.

Wszyscy siedzieli jak zaczarowani. Jasek usiłował zobaczyć coś przez okno, ale zostało zasłonięte.

W końcu dobiegł ich mrozący krew w żyłach krzyk.

– Podpaliły ją! Jak nic podpaliły! – Wszyscy rzucili się do drzwi, zza których dobiegały

wrzaski. Wpadli do kuchni. Na podłodze leżała Muchowa, a na niej Kusiakowa i Ziębowa. Kinga

stała i patrzyła na kobiety ze zgrozą.

– Co się dzieje?!

– Nic, gaszą Muchową, jakoś tak się podpaliła. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Po chwili ofiara została ugaszona. Leżała w kłębach dymu, prawie na śmierć zaduszona przez Kusiakową i załuczona miotłą przez Ziębową.

– Nie po łocach! – wrzeszczała. – Fartuch mnie się tli, nie głowa. I dupę se poparzyłam...

– Może i twoją zamówić? – zainteresowała się Muchowa, widząc maślane oczy Michała, ale chłopak popatrzył na nią z taką miną, że aż się cofnęła.

Nazajutrz aspirant Kotek przywiózł nowe wiadomości oraz testament. Tym razem ten prawdziwy, przechowywany w domu notariusza. Wszyscy usiedli przy stole, czekając na rewelacje. Policjant trochę zwlekał, żeby wzbudzić jeszcze większe zainteresowanie. Nie chciał zaczynać bez dziadka, księdza i pani Stasi. Wreszcie się zjawili.

– Jesteśmy już wszyscy? Siadajcie! – powiedział. – Właściwie sprawa jest zakończona.

Badania potwierdziły, że zabójstwa dokonał notariusz. Bardzo to smutne, bo był tu powszechnie lubiany... Na dodatek jego DNA znaleziono na rękawiczce, na nożu i na waszej śmiertelnej kukle.

– A co ona ma z tym wspólnego? – zdziwiła się pani Stasia.

– To logiczne. Musiał sprawić, żebyście się tu pojawili, więc próbował was przestraszyć.

– Nieprawda, nie powinno było mu zależeć na moim przyjeździe. Przecież od tego zależało otrzymanie spadku – zaprotestowała Dagmara.

– Tak, ale to dla niego nie miało najmniejszego znaczenia. Musiał dmuchać na zimne.

Chciał panią zabić. Tak więc pojechał do Słodkowa, podłożył kukłę, zaczął dzwonić z pogroźkami. Zamierzał wywołać lawinę zdarzeń, która doprowadziłaby was do przyjazdu do

Utopców. Tu był u siebie, o wiele łatwiej mógł panią zabić, nie wzbudzając podejrzeń.

W Słodkowie ktoś mógł go zauważyć.

– Tu też...

– Tak, ale tu nikt nie zwracał na niego uwagi. Tam byłby podejrzany, tu nie.

– A testament?

– Proszę bardzo. – Funkcjonariusz położył na stole kserokopię dokumentu znalezionego w domu notariusza. – Spadek ma zostać przekazany pani Dagmarze Rogalskiej...

– Ile tego jest? – zapytał zaciekawiony dziadek. – Dużo?

– Kłopot w tym, że nie wiadomo. Nie określono tego dokładnie – powiedział policjant.

– W ogóle nie ma nic na temat pieniędzy, stoi tylko: „Dagmarze Rogalskiej, wnuczce mojego przyjaciela Ksawerego Rogalskiego, zapisuję *Klątwę utopców*”.

Wszyscy wybałuszyli oczy.

– Co? Znaczą się przeklina ją? Tak? To łona teraz straszyć będzie czy jak? – zapytała zdezorientowana Kusiakowa.

– Nie mam pojęcia! – przyznał aspirant.

– I dlaczego ktoś miałby komuś klątwę zapisywać? – zaciekawiła się pani Stasia. – To chore... To tak jakby na kogoś urok rzucić albo jaką chorobę...

– No, zdrowy to on nie był, pewnie mu się w głowie pomieszało. Coś poszło nie tak, ale... Notariusz. Przecież... On to czytał? I za tę klątwę chciał zabijać? Nieee... – zdziwiła się Andżelika.

– No bo łon se umyślił, że ta klątwa może mu się na co przyda. Może straszyć lubi?

– Nie, pani Kusiakowa, to nie to! Coś tu nie pasuje... Może to jakiś szyfr? Hasło do skrzynki pocztowej? Do banku? – podsunął zaciekawiony Michał.

– Kiedy nie! Stary pan Morawski...

– Tytek?



– Nie, łojciec jego, cały czas powtarzał: uważajta na klątwę, uważajta na klątwę.

Wiadomo, straszna jest, to ją zapisał, żeby kto jej pilnował, coby wsi nie wymordowało w jedną noc.

– Kusiakowa, co wy znów wygadujecie? Pokażcie no – zainteresował się ksiądz. – Coś mi świta...

Wziął kartkę i zamyślił się poważnie.

– *Klątwa utopców*. Przecież to tytuł obrazu, który zostawił mi na przechowanie!

– Jest cenny? – zapiszczała z zachwytem Andżelika.

– Nie wiem, ale chyba nie, bo autor nie był raczej znanym malarzem. No i to jakiś bohomaz.

– Może abstrakcja? Picasso?

– Dziecko, wiem, jak malował Picasso – poinformował ksiądz. – Znam się na tym trochę. Możemy zaraz go przywieźć.

– Czyli co? Nie ma szans na miliony? – skonstatowała niezbyt rozczarowana Dagmara, która w głębi duszy nie bardzo wierzyła w cały ten spadek. Owszem, nie odrzuciłaby go, ucieszyłaby się, może nawet oszalała ze szczęścia, ale po prostu nie wierzyła w taką możliwość.

– Wygląda na to, że nie zostaniesz milionerką – westchnął Michał z wyraźną ulgą.

On też niespecjalnie wierzył w dziwaczny zapis, ale przecież mógł nie mieć racji.

Samochód odjechał. Dziadek siedział skulony i zawstydzony pod oknem. Pani Stasia pocieszała go, jak tylko żona potrafi.

– A widzisz? Nie mówiłam? I kto miał rację? Coś mi śmierdział cały ten spadek, ale ty jak zwykle się uparłeś, że Tytus to, Tytus tamto, o mało boga z niego nie zrobiłeś, a on nie dość, że biedny jak mysz kościelna, to jeszcze niespełna rozumu! Dziewczynie klątwę zapisywać? To jeszcze gorsze od długu, co go się tak obawiałeś! Tfu. – Gdyby starsza pani nie była tak dobrze wychowana, pewnie splunęłaby na podłogę.

Michał zadzwonił do Jaśka. Konferował z nim o czymś długo i półszepem.

Dagmara powlokła się do pokoju w towarzystwie dziewczyn, które nie bardzo wiedziały, jak się zachować.

– I on dla tej klątwy tę Krychę? Ale odjazd! Ksiądz mówi, że obraz do dupy. Patrz, co zachłanność robi z ludzi! – komentowała Andżelika.

Kinga dreptała na końcu.

Przed bramą ukradkiem jak nigdy przebiegł Walczak.

– Chodźcie do kuchni – zaproponowała Dagmara. – Zobaczymy, co tam pichci Kusiakowa, bo jestem głodna jak jakiś dziki pies.

Nagle otworzyły się drzwi i na korytarz, a potem do jadalni wtoczył się... bukiet. Był wielkości stogu siana i zawierał chyba wszystkie gatunki kwiatów, jakie da się znaleźć na polu i w przydomowych ogródkach. Sterczały z niego nawet długie jak miecze malwy.

Wiecheć stanął przed Dagmarą. Chyba chciał coś powiedzieć, ale nie było mu dane.

– O, co to, to nie! – wrzasnęła Kusiakowa. – Nie dasz dziewczynie spokoju?

Bukiet usiłował się skulić, ale nie dał rady.

– Taki wstyd, taki wstyd! Dzieci dziewusze narobił, a teraz drugą chce zbałamucić?

Wszyscy z równym niesmakiem spojrzeli na kwiatowy stóg.

– Spadaj stąd, Filip – sapnęła Kinga, biorąc Dagmarę w obronę.

– A spadaj, spadaj – powtórzyła za nią Kusiakowa. – Bo jak nie, to ja cię spadnę, złodzieju! I jeszcze ogródki ludziom okradasz!

– Ja nie... – zaczął bukiet, ale nic nie pomogło. Dwa machnięcia chochlą załatwiły sprawę. Kwiaty rozsypały się na podłodze i nic nie dało rady zamortyzować karzącej łychy sprawiedliwości, która wylądowała na głowie Michała.

– Chciałem cię, Dagmara... No, nie żeby zaraz ślub, ale... Dobra! Nie jesteś bogata!

Dzięki Bogu! Teraz spokojnie możesz za mnie wyjść... – wymamrotał chłopak grobowym

głosem. – Już nikt nie powie, że kocham twoją forszę, a nie ciebie!

Dziewczyna trochę zaczerwieniona podeszła do Michała, uroczo potykając się o stos kwiatów.

– To znaczy ogólnie, że kochasz?

– Tak jakby – odparł, wycierając krew z policzka.

– Jak jakby?

– No, bardzo, tylko weźcie ode mnie chochlę tej cholernej... Pani Kusiakowo, niech już mnie pani nie bije!

– No dobra, dobra – udobruchała się kobieta.

– Czyli wyjdiesz za mnie?

– Nie wiem, czy tak od razu, ale kiedyś tak. Oczywiście...

– Czy wy tu wszyscy postradaliście rozum? – odezwał się przerażonym głosem aspirant

Kotek, otwierając drzwi. – Kusiakowo, sprzątnijcie te chabazie! Ktoś się może potknąć.

Funkcjonariusz taszczył komisyjnie wielkie coś. Bez wątpienia był to obraz. Miał ramy.

Został postawiony na stole i oparty o ścianę.

Większość obecnych machinalnie przekręciła głowę w prawo, potem w lewo...

– Łocy mi łzawio – jęknęła Kusiakowa. – Co to za dziwo?

Tak zadane pytanie musiało pozostać bez odpowiedzi. Nikt nie wiedział, co przedstawiało dzieło. Widniał na nim chaotyczny kłęb kolorów, a pośród nich coś wielkiego, zielonego i...

– Dlaczego to jest mokre? – zapytała Kinga.

Proboszcz uśmiechnął się przepaszajaco.

– To wikary! On jest z tych nowoczesnych księży, co wszędzie widzą demony,

święconą wodą polewał, bo to zielone na utopca mu wyglądało...

Kinga podeszła i poskrobała farbę. Odgięła róg naderwanego płótna, zdarła kawałek mokrej tektury z tyłu. Nie znalazła nic ciekawego.

– Może oddać to do analizy? – zainteresował się Mrówecki. – W obrazach czasami coś jest, jedna warstwa na drugiej...

– Mrówecki, zamknij się.

– Ten obraz, to znaczy to coś, jest u mnie od lat – mruknął proboszcz. – Stary pan Morawski to zostawił. Powiedział, żeby przechować, że to pamiątka.

– Może przeszukać internet? – podsunął Michał. – Mam tablet. Może to jednak ma jakąś wartość...

– Kusiakowo, Kusiakowo! – zaszeleściło coś spod okna.

– A czego tak przez okno? Nie wejdziecie, Walczak?

Chłop się rozejrzył.

– A Muchowej nie ma?

– A po co wam ona?

– Kiedy po nic, ciut zwariowała ani chybi. Z kwiatami za mno gania i godzić się chce!

Niedoczekanie! – zawołał. – Już wolę kłonicę... Od wczoraj wciąż mnie prześladuje! I nawet mojej powiedziała, że ja przystojny chłop!

– Andżelika! – zawołała nagle Kusiakowa. – A wydoiła ty kozę, bo to bydle tu lezie?

– O Boże! Zapomniałam – jęknęła dziewczyna, ale nie chciało jej się lecieć do kozy, zwłaszcza że ona sama przyszła do domu i z filozoficznym wyrazem wrednego pyska zaczęła pożywiać się bukietem.

Kiedy Andżelika skończyła dojenie, koza właśnie zżerała obraz.

– Hej, ktoś zjada twoją klątwę! – zawołała z chichotem dziewczyna i zamarła. Wszyscy popatrzyli w tamtym kierunku i rzucili się na kozę.

– Otruje się! – jęknęła Dagmara.

– Nie, ale klątwa może jej zaszkodzić – oświadczyła ze znawstwem Kusiakowa.

– Jasne, i będzie dawać zielone mleko. – Michał roześmiał się złośliwie, a kobieta się

przeżegnała.

– Wypluj te słowa!

– Oddaj to, koścista pokrako – warknął dziadek, wrywając kozie z pyska kawał płótna, które oddarło się i ukazało coś dziwnego.

Wewnątrz, jakby w samym środku, znajdował się drugi, o wiele mniejszy obraz.

Ksiądz podskoczył jak nastolatek.

– Niemożliwe! Toż to Rembrandt! Ten sam, co u Morawskich w salonie wisiał jeszcze przed wojną! Boże kochany! A ja myślałem, że Niemcy albo Rusczy... No, no... A on tu! Przecież to będzie naprawdę warte miliony. Pomyśleć, że bez mała pół wieku u mnie w szafie leżał.

W tym momencie do domu zajrzała Ziębowa.

– Kineczko kochana! – zawołała. – Chodźże no tutaj.

– Idź, teściowa cię woła! – ryknęła Kusiakowa, a Kinga zaczerwieniła się po same uszy i wyszła przed dom koszmarnie zawstydzona.

– Czyli notariusz...

– Musiał wiedzieć – stwierdził dziadek. – Musiał.

– Oczywiście – zgodził się z nim aspirant Kotek. – To logiczne. Rembrandt należał do rodziny od wieków, wisiał we dworze. Tytus i jego siostra musieli go widzieć i ona pewnie powiedziała synowi.

– Który uznał, że obraz należy się jemu...

– Bo w sumie miał rację i gdyby nie jego uzależnienie od hazardu, pewnie nie byłoby z tym problemu, ale Tytus nie chciał inwestować w kogoś takiego...

– Zainwestował więc w Dagmarę – zgodził się dziadek.

– Przecież mnie w ogóle nie znał!

– No tak, ale wszystko wydało mu się lepsze niż siostrzeniec hazardzista.

– Ale skąd ten dziwaczny tytuł?

– *Kłątwa utopców?* Pewnie od tutejszej legendy!

Ksiądz roześmiał się wesoło.

– Wcale nie wiadomo, czy nie odwrotnie, bo legenda wzięła się prawdopodobnie od obrazu. Każdy słyszał o klątwie, tylko nikt nie wiedział, co to takiego, wystarczyła odrobina wyobraźni...

– Mamo, mammo! – Do domu wpadł lekko zasapany Jasiek. – Jest tu gdzieś moja matka?

– Jestem, jestem! – zawołała zza okna po drugiej stronie Ziębowa. – A czego chcesz?

Z Kingą rozmawiam, nie przeszkadzaj...

– Kiedy no, tego... Nie mogę znaleźć...

– Czego?

– Tego pierścionka po prababci...

– Nie szukaj, bo go w domu nie ma – odpowiedziała, wzduszając ramionami. – Kini dałam. Jesteście po słowie...

– Mamo! To tak wygląda, jakbyś to ty się z nią żeniła, a nie ja!

– Muszę o ciebie zadbać, kiedyś taka niemota – odparła z wyższością Ziębowa. – Ale nie martw się, przyjęła.

– Kinga, ty tak na poważnie? – zapytała Andżelika. – I zamierzasz tu zostać? Przecież to koszmarne zadupie. Co ty tu będziesz robić?

– Jak to co? – obruszyła się Kusiakowa. – Dzieci będzie rodzić, bimber pędzić, gotować, prać, mało?

– Ale ona jest przecież po biologii!

– Znaczy co? Dzieci nie może mieć?

– Przestańcie – westchnęła Kinga. – Do dzieci mi się nie spieszy, ale mam pewne plany.

Wiesz, Daga, o czym myślę.

Dagmara wiedziała.

– Ogród?

– Dokładnie to szkółka, wiesz, będę projektować ogrody, sprzedawać sadzonki, kwiaty... O ile Jasiek pomoże.

– Jasiek pomoże – odpowiedziała zdecydowanie Ziębowa, nie pytając syna o zdanie.

– A ty, Andżelika? Ty tu nie zostaniesz?

– Coś ty? Zwariowałabym ze starym Malechą, ale Zamość jest blisko... Zresztą my z Piotrkim też myślimy o ślubie. Jakoś tak wyszło, choć teraz to Malecha go do ślubu nie goni, mimo że jestem w ciąży. – Dziewczyna się zaczerwieniła. – A wy?

– Oni wracają do Warszawy – odparła pani Stasia. – Za kilka dni wracają, a potem ślub i tyle. Oczywiście tutaj.

– Pani Stasiu – jęknęła Dagmara.

– Jaka ja dla ciebie pani jestem? Babciu mi mów!

Dagmara zagryzła wargi niezadowolona.

– Czyli co? Będą trzy wesela i jeden...

– Tylko żadnych pogrzebów – mruknął ksiądz. – Trzy śluby i jedno wesele, wyjdzie wam taniej... Zresztą niewykluczone, że do tego czasu gmina odnowi już to sanatorium, to może tutaj...?

– Przecież to ma być dla wariatów! – przypomniała Dagmara.

– A wy znów takie normalne?! – odgryzła się szybko Kusiakowa.

# Epilog

Posiadanie Rembrandta automatycznie nie czyni człowieka bogatym, wręcz przeciwnie, przysparza mu mnóstwa wydatków i kłopotów. Trzeba natychmiast zabezpieczyć mieszkanie, wymienić zamki, kupić jakiś koszmarnie drogi alarm przeciwwłamaniowy, ubezpieczyć cenny bohomasz, wycenić go, skatalogować, w końcu wystawić na aukcji i czekać.

Dagmara nie spała po nocach tak samo jak kiedyś, choć teraz bała się nie pani Stasi, ale bandytów.

Michał robił, co mógł, żeby zarobić na mieszkanie, ale na razie nie stać ich było nawet na wynajem.

Niedługo potem odbył się ślub. Pan młody był blady, bardzo skacowany i nosił ślady wielokrotnego użycia... jakiegoś tępego narzędzia. Zresztą właściwie nie pan młody, ale jeden z dwóch panów młodych.

Zarumieniona panna młoda dumnie kroczyła przez kościół w białej obszernej sukni z welonem podpiętym zielonymi gałązkami asparagusa, które miały świadczyć o jej nieskalanej cnocie. Trochę przeszkadzał jej wydatny brzuszek, ale niespecjalnie się nim przejmowała.

W końcu ślub to ślub.

Panna młoda była jedna.

Dwa dni wcześniej bardzo zdecydowana tęga kobieta zapukała do warszawskiego mieszkania Filipa, który właśnie usłyszał szesnaście zarzutów, ale miał odpowiadać z wolnej stopy. Zarzuty nie były specjalnie poważne – żadne tam morderstwo, lecz jedynie utrudnianie śledztwa, mataczenie, opór podczas aresztowania, zastraszanie z chęci zysku, oszustwo i kilka innych pomniejszych.

Kobieta wtoczyła się do mieszkania, potknęła się o kilka mebli, walnęła Filipa sztachetą, którą przezornie zabrała ze sobą, i zawołała:

– Dawać, chłopaki! Zabirajta go!



Dwóch synów Muchowej sprawnie złapało ślaniającego się na nogach chłopaka i wrzuciło do bagażnika, tego samego, w którym zazwyczaj wozili świniaki na targ.

Koniec końców Filip wylądował w Utopcach i został poczęstowany dużą ilością bimbru.

Nawet nie usiłował oponować. Protesty nie na wiele się zdadzą, kiedy nad głową stoi osiłek z kłonicą.

Nazajutrz więc ubrany w stary garnitur ślubny Muchy został zawleczony do kościoła.

Muchowa musiała przecież jakoś udowodnić swoje uczucia Walczakowi.

Był i drugi pan młody. Kryszyn mąż nie ukrywał, że Kaśka Walczakówna bardzo mu się podoba.

Zwłaszcza że stanowiła całkiem dobrą inwestycję. Po pierwsze była babą, a chłop bez baby żyć nie może, szczególnie jak się przyzwyczai, a on był przyzwyczajony. Oprany, obgotowany, obsyty... Potrzebował żony, a dzieciaki mu nie przeszkadzały, one też stanowiły całkiem niezłą inwestycję.

– Warszawiak jalimenta zapłaci! Będzie z czego żyć – kwitował każdą zaczepkę na ten temat.

Walczak nie bardzo wiedział, co zrobić. Bo z jednej strony zapowiedzi to zapowiedzi, z drugiej warszawiak to warszawiak. Wybrał morgi. Całkiem spory kawał pola, który Krycha wniosła mężowi w posagu, a ten odziedziczył po jej śmierci.

Walczak nie był wielkim myślicielem i nie przewidział jednego. Filipa. Dzieciak w drodze, bękart, kolejny, weselna wódka, o którą postarała się Kusiakowa, chłodzi się w piwnicy obok gnojówki z pokrzyw, ciasta napieczone, kiełbasy zrobione... Stoły uginają się od szynek. I co? Jak nie ma ślubu, nie ma i wesela.

Jedynym sposobem na uniknięcie kłopotu z nadprogramowym panem młodym było unieszkodliwienie Filipa. Miał do niego zresztą sporo osobistych obiekcji. Nie wiadomo, jak to się stało, ale w kościelnej ciszy nikt niczego nie usłyszał. No, może jakieś:

– Oj, przepraszam.

– Moja noga!

– Co się tak pchacie, Malecha?

Po chwili wyniesiono Filipa z kościoła i położono w trawie, żeby sobie odpoczął.

Podobno zemdłał. Mówiono, że warszawiak delikatny jest, w kościele zaduch i ścisk, a on jak panienska.

Fakt, w końcu cała wieś miała się bawić na Kańczynym weselu, ale nie bez znaczenia był chyba porządnie rozkwaszony nos.

Wesele odbyłoby się w stylu tradycyjnym. Spokojnie, z jedną, najwyżej dwiema interwencjami policji, z jakąś bijatyką i kilkoma wybitymi zębami, z pijaną orkiestrą grającą na leżąco i z tradycyjną walką na pięści o bukiet ślubny, który stanowił szczyt marzeń kilku nieco podstarzałych, bo prawie dwudziestoletnich panienek. Gdyby nie mamunia.

Wystrojona w elegancką kościółową spódnicę, w nieodłącznej chustce, tym razem góralskiej, na głowie całkiem nieźle bawiła się na weselu, trochę nawet tańczyła, ale od pantofli bolały ją nogi, poszła więc do domu po gumiaki.

Po kilku chwilach biegła przez pole, krzycząc:

– Ratuunkuuuu! Muciek! Muciek!

Rzeczywiście, tuż za nią nieco chwiejnym, wręcz tanecznym krokiem pędził byk.

Wpadł za kobietą do stodoły, w której odbywało się wesele. Rozwalił kilka stołów, pośliznął się na torcie i padł. Był pijany.

– Tatuniu, cóżeście zrobili Mućkowi? – warknęła Kusiakowa do ojca, widząc jego minę.

– Zamknął zem go w stodole, jak wczoraj go Walczaczce ukradłem.

– To czego on taki pijany?

– Bo zezarł całą balię wiśni.

– I od wiśni tak mu się porobiło?

– Nie! Od spirytusu! Matka zalała.

Kaśka zaczęła rodzić.

Dagmara, Kinga i Andżelika, które też zaproszono na to wiekopomne wydarzenie, pod czujnym okiem Jaśka odebrały poród. A co potem? No cóż, życie. Zwykłe życie.

Zresztą może nie takie zwykłe?

KONIEC